



Grey Scale #13



DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Lucjan Zapata

W Rembertowskiej  
**ALMA MATER**

Wspomnienia

55517

AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ



**Lucjan Zapała**

**W REMBERTOWSKIEJ  
ALMA MATER**

**Wspomnienia**

  
**55517**

**AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ**

**WARSZAWA 2002**

Redaktor  
**mgr Anna Doraczyńska**

Redaktor techniczny  
**Beata Klarowska**

Korekta  
**Renata Czerwińska**

Projekt okładki i opracowanie graficzne  
**Ewa Wiśniewska**

*Zdjęcia pochodzą z archiwum Autora*

**ISBN 83-88062-48-4**

Sygn. AON 5420/02

Skład, druk i oprawa: Akademia Obrony Narodowej - Wydział Wydawniczy  
00-910 Warszawa, al. gen. A. Chruściela 103, tel./faks 681-37-52  
zam. nr 793/2002

## SPIS TREŚCI

O studiach wojskowych już nie marzyłem .....	5
Na kursie przygotowawczym.....	7
Pierwszy rok studiów.....	15
Ćwiczenia taktyczne.....	24
Wizyta komendanta na zajęciach w terenie.....	31
Dalszy tok ćwiczeń.....	36
Ćwiczenie szkieletowe.....	39
Egzamin.....	47
Praktyka w jednostce.....	53
Drugi rok studiów.....	61
Zmiany.....	69
Ćwiczenia, ćwiczenia i ćwiczenia.....	95
Mało czy dużo czasu?.....	104
Inni nauczyciele i przedmioty nauczania.....	110
Żyliśmy nie tylko ćwiczeniami.....	126
Nasze życie kulturalne, zwyczaje i obyczaje.....	132
Koniec bezpartyjności.....	151
Zakończenie drugiego roku.....	155
Kolejna praktyka.....	158
Trzeci rok studiów.....	163
Ćwiczenia szczebla operacyjnego.....	169
Podróże historyczne.....	190
Nasze kolejne podróże po kraju.....	195
Nie tylko sztuka operacyjna.....	219
Prace dyplomowe.....	239
Ćwiczenie egzaminacyjne.....	249
Egzamin państwowy i obrona prac dyplomowych.....	254
„Kupcy”.....	263
Promocja.....	266
Posłowie.....	274

Załączniki:

- 1 - Główne elementy struktury org. ASG na 1963/64 r.
- 2 - Główne elementy struktury org. ASG na 1964/65 r.
- 3 - Skład pociągu wykorzystywanego w ćwiczeniach

## O STUDIACH WOJSKOWYCH JUŻ NIE MARZYŁEM

Służbę wojskową rozpocząłem w 1949 r. Najpierw w Słupsku i Warcisławiu, potem miałem prawie rok przerwy na Kurs Doskonalenia Oficerów (KDO) w Poznaniu, i ponownie w Słupsku, a następnie w prastarym grodzie słowiańskim - Trzebiatowie nad Regą.

Mówiono mi, że jestem dobry. Awansowałem w stopniach i na stanowiskach, nawet dość szybko, bo po KDO (w stopniu porucznika) zostałem wyznaczony na dowódcę batalionu czołgów, w którym szefem sztabu był kapitan, starszy ode mnie. Mimo to moją prośbę o skierowanie na studia w WAT dwukrotnie odrzucono. Dopiero jak dowódcą dywizji został pułkownik dypl. Józef Stebelski, jego wysłannicy coraz bardziej zachęcali mnie do studiów, ale w ASG WP. Zwłaszcza mjr inż. Marian Werczyński, dobry znajomy, z którym przez pewien czas służyłem w Słupsku, a następnie Trzebiatowie. Od kiedy został przeniesiony do pracy w Wydziale Technicznym dywizji bardzo usilnie pracował nad zachęceniem mnie do tych studiów i nie krył, że bardzo tego chce dowódca.

Odmawiałem kategorycznie. Nie chciałem rozpoczynać takich starań w obawie, że się to skończy tak samo, jak przed laty gdy starałem się do WAT. Po prostu nie wierzyłem, że z moich dokumentów, po październiku 56 r. został usunięty zapis o rodzinie za granicą i że ten zapis przestał mieć znaczenie. Nie chciałem tego rozgrzebywać na nowo. Tym bardziej że kontynuowałem cywilne studia zaocznie w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie. Trzeba również dodać, że moi kolejni dowódcy

pułku wcale mnie do tego nie zachęcali. Woleli pozostawić mnie w jednostce.

Wszystko się odmieniło, kiedy zimą 1962 r. przyjechali do pułku przedstawiciele kadr Pomorskiego Okręgu Wojskowego, w ramach werbunku na studia. W rozmowie z nimi też odmawiałem, ale moje argumenty ich nie przekonywały. Uważali, że odpowiadam wymaganiom. Przede wszystkim, że jest to dla mnie „ostatni dzwonek” z uwagi na wiek.

Ponadto podważyli podstawy prawne mojego zezwolenia na zaoczne studiowanie. Takie zezwolenie mógł wydać dowódca okręgu wojskowego, a nie dowódca pułku, jak to miało miejsce w moim przypadku.

- Obywatelu pułkowniku, czy ktokolwiek na moim miejscu, mając zaoczne studia na ukończeniu, porzuciłby je i zmarnował kilkuletni dorobek dla wielkiej niewiadomej, a jeszcze do tego po moich doświadczeniach ze studiami w WAT? - wyrzuciłem z siebie.

- Ale wasze rolnicze studia zaoczne nie mają nic wspólnego z pracą dowódczo-sztabową. W tych warunkach dowódca okręgu może cofnąć zezwolenie wydane przez dowódcę pułku. A tak przy okazji, jak to się stało, że obywatel kapitan nie starał się o zezwolenie dowódcy okręgu? - pytał równocześnie przedstawiciel kadr.

- Ja do uczelni miałem dostarczyć wyrażenie zgody od mojego pracodawcy, a za takiego uznałem dowódcę pułku. Ten mi natomiast nie odmówił - wyjaśniłem.

- No, a co będzie, jeśli dowódca okręgu cofnie zezwolenie? Tym bardziej, że proponujemy wam studia w uczelni wojskowej?...

- Uważam, że nikt mi nie może zabronić uczenia się czegośkolwiek. Będę więc kończył studia. Powiedzmy inaczej: gdybym miał te studia ukończone, to wtedy bardzo chętnie spróbowałbym swoich sił w ASG WP.

- Wobec tego, kiedy należy się spodziewać ich ukończenia?...

- Dokładnie za półtora roku - odparłem.  
- Umówmy się więc, że kiedy przyjedziemy tu w przyszłym roku, to jest w styczniu 1963 r. będziemy mieli z was kandydata na studia w ASG. - Umowa stoi?...

- Tak jest, obywatelu pułkowniku!...

Kiedy przyjechali po roku, to mimo że mój egzamin miał się odbyć dopiero za kilka miesięcy, napisałem i wręczyłem im raport o skierowanie do ASG WP w Rembertowie, a trzy miesiące później trzeba było tam jechać.

### **NA KURSIE PRZYGOTOWAWCZYM**

Był wczesny ranek 1 kwietnia 1963 r. kiedy po przesiadce na dworcu Warszawa Wschodnia dojechałem do Rembertowa pociągiem elektrycznym. Nie pamiętam co się na to złożyło, że do akademii, gdzie nigdy przedtem nie byłem, przyjechałem z Trzebiatowa sam, a nie razem z kpt. Trzeźniewskim i kpt. Sumelką, którzy również zostali skierowani na kurs przygotowawczy.

Drogę od stacji, to jest ulicę Wieczorkiewicza, przemierzyłem pieszo. Miałem więc okazję poznać nie tylko brukowane kocimi łbami dwa pasma jezdni, oddzielone pasemkiem bardzo zniszczonego trawnika, ale i przyjrzeć się niskiej zabudowie starych domów z drewna, stojących przy samym chodniku z bardzo nisko osadzonymi małymi oknami.

Na biurze przepustek, przy okazałej bramie z płaskorzeźbami, poinformowano mnie, że trafiłem do bloku nr 14, to jest do internatu dla słuchaczy akademii. Dopiero tu wyjaśniono mi dokładnie, że internat dla kandydatów mieści się w bloku koszarowym, w pobliżu kotłowni i podano wskazówki, jak tam dojść.

Znowu maszerowałem z walizą, zarówno drogami wyłożonymi podobnie jak ulica Wieczorkiewicza otoczakami, jak

i na przelaj między drzewami, po terenie pokrytym grubą, zapewne nigdy przedtem nie usuwaną warstwą liści. Tu i ówdzie widziałem śmieci, których jeszcze nikt nie usunął po stopieniu śniegu.

Wrażenie było nieprzyjemne. Tym bardziej, że o tak wczesnej godzinie, absolutnie nie było widać ludzi.

- Jakże to możliwe - myślałem sobie - że o tym Rembertowie słyszałem tyle dobrego, tyle zachwyty i uniesień, zarówno od absolwentów akademii, jak i absolwentów: Wyższej Szkoły Piechoty (WSPiech), Centrum Wyszkożenia Piechoty (CWPiech), Kursu Doskonalenia Oficerów Piechoty (KDOPiech) czy innych kursów (ich nazwy podlegały kilkakrotnej zmianie), na których byli tu szkoleni. Z ich relacji odnosiłem wrażenie, że udawali się tu, jak wyznawcy Mahometa do Mekki, a tymczasem...

Internat również nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Nie-równe, wytarte i poszczerbione schody, od dawniej noszonych przez wojsko, podkutych gwoździami butów. W salach sypialnych dość gęsto ustawione żelazne łóżka żołnierskie prawie się nie różniły od naszych w szczecińskim akademiku, przy ul. Arkońskiej. Umywalnie i ubikacje, z którymi się zetknąłem na samym początku, nosiły wyraźne oznaki zagrzybienia ścian i na mój gust wymagały remontu, aczkolwiek utrzymane były w czystości. A więc tutejsze koszary także nie takie, do jakich byłem przyzwyczajony - konstatowałem.

Internat był zaludniony kandydatami i jak się okazało, należałem do nielicznych spóźnialskich. Zdążyłem jednak zjeść z kolegami śniadanie i stanąć na zbiórce, na której dokonano podziału na grupy według specjalności: piechurzy, czołgiści, artylerzyści i oficerowie służb kwatermistrzowskich. Pozostali specjaliści zostali włączeni do piechurów lub pancerniaków.

W swojej grupie spotkałem kilku kolegów i znajomych, na przykład Staszka Puchałę ze SKORu. Ze zbiórki udaliśmy się na zajęcia do bloku nr 1, nieopodal bramy.

Przedmiotami nauczania, a raczej „powtarzania”, były: nauka o Polsce i współczesnym świecie, matematyka, taktyka.

Najwięcej czasu przewidziano w programie na przedmiot pierwszy. Dużo go poświęcono również matematyce. W ramach nauki własnej trzeba było odrabiać zadania z matematyki oraz przygotowywać się do seminariów z polityki. Taktyce poświęcano niewiele czasu, ale w toku zajęć z tego przedmiotu zalecano opanowywanie Regulaminu Walki oraz odpowiednich instrukcji z rodzajów wojsk.

Na zajęcia programowe uczęszczałem regularnie i brałem w nich w miarę aktywny udział. Po południu zagłębiałem się w nauki rolnicze, aby przygotować się do egzaminu w uczelni cywilnej.

Na Stanisława mieliśmy w grupie kilku solenizantów. Rano złożyliśmy im życzenia w przekonaniu, że na tym koniec, jakkolwiek było kilka przytyków, że co to za imieniny bez „Sto lat”, a tymczasem na sucho nie będziemy śpiewać. Być może, iż to spowodowało, że nasi solenizanci zamiast uczestniczyć w nauce własnej przygotowali dla całej grupy uroczystą kolację, suto zakrapianą.

Potem była „dokładka”, według przysłowia „Dobre wasze, to i nieźle nasze”. Uczestnicy biesiady dokonali „zrzutki” i wszystko się przedłużyło. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że niektórym o słabszych głowach dodatkowa porcja alkoholu zaszkodziła. Aby to źle nie wypadło, tych, którzy poczuli się nie najlepiej, odprowadzono na odpoczynek do internatu.

Okazało się, że słabą głowę miał por. Gierałtowski, może ta głowa nie była tak słaba, tylko porcja alkoholu większa, niż na inne głowy przypadło. W każdym razie, starszy grupy ocenił, że ten kolega wymaga opieki. Przypadło jej udzielać wyjątkowo szczupłemu pancerniakowi, stanowiącemu przeciwieństwo Gierałtowskiego, który był wysoki prawie na dwa metry i nie należał do szczupłych. Ledwie sobie biedaczysko poradził z doprowadzeniem kolegi do internatu.

W drugiej połowie maja zmuszony byłem znaleźć pretekst do kilkudniowego zwolnienia i pojechałem wprost do Szczecina. Tam, na dworcu spotkałem st. szer. Gałuszkę, który wysłany przez mojego szefa sztabu kpt. Szarwiłło przywiózł mi od żony walizę z ubraniem cywilnym. Przebrałem się w hotelu garnizonowym i pojechałem do uczelni. Na miejscu uczestniczyłem w spotkaniu instruktazowym, które prowadził osobiście pan dziekan Radomski, a które dotyczyło procedury zdawania egzaminu.

Mój egzamin odbył się następnego dnia. Nie należał do łatwych. Przypadło mi bowiem, między innymi, omówienie gęstości wysiewu nasion przy uprawie mieszanek zbożowych, w zależności od gleby, położenia geograficznego danego gospodarstwa, czasu wysiewu i innych czynników. Wszystko to musiałem uzasadniać fizjologią roślin, odpornością na choroby, na wymarzenie i inne. Musiałem również przedstawić sposób obliczania gęstości wysiewu tych nasion przy użyciu siewnika, gdzie istotą sprawy były odpowiednie nastawy tego narzędzia, aby wysiane uprawy miały odpowiednią gęstość, a która przy wysiewie zależy od wielkości nasion.

Było jeszcze kilka innych zagadnień, które wyjaśniałem, ale przedstawione wyżej zajęły mi najwięcej wysiłku i czasu.

Zaraz po zakończeniu egzaminu, ogromnie uszczęśliwiony, pędziłem do pociągu i pojechałem do żony podzielić się informacją, że moje studia zakończyły się pomyślnie, że mam to wszystko już za sobą.

Tak uszczęśliwiony spędziłem wraz z żoną i córką aż dwie doby, po których znowu przyjechałem do Szczecina, na inżynierską promocję. Przy tej okazji, po wręczeniu dyplomów odbył się uroczysty obiad i zabawa taneczna, wspólnie z naszą profesurą, po której nastąpił odjazd kolegów i koleżanek, nowo upieczonych inżynierów, na swoje pielesze rodzinne. Ja z inżynierskim dyplomem w kieszeni pojechałem do Rembertowa i włączyłem się w nurt kursu przygotowawczego.

W końcu czerwca, odbył się egzamin wstępny, który obejmował: taktykę ogólną i taktykę rodzajów wojsk, matematykę, terenoznawstwo, geografję, język rosyjski, język polski - w którym należało przedstawić jeden z problemów współczesnej Polski, w tym również temat dotyczący literatury - „Sława i Chwała” Iwazkiewicza, oczywiście do wyboru jeden. Ostatnim sprawdzianem był test na iloraz inteligencji.

Jeśli do czasu egzaminu w Szczecinie mój stosunek do kursu przygotowawczego był niefrasobliwy i czyniłem wszystko, aby się przygotować do tamtego egzaminu, to teraz poczułem się niepewnie, zacząłem się nawet obawiać o jego wynik. Uważałem bowiem, że będzie bardzo głupio wrócić do pułku, jako nieprzyjęty do Akademii Sztabu Generalnego, będąc już inżynierem. Nie mogłem się przecież tłumaczyć, że na kursie przygotowawczym zajmowałem się zupełnie innymi sprawami. Egzamin wstępny okazał się wcale nie taki trudny, przynajmniej dla mnie. Oprócz matematyki, w której trzeba było rozwiązać zadanie i która była zarazem największym konkretem, to z pozostałych przedmiotów udało się unikać szczegółów i daleko idących dokładności. Moje staranne pilnowanie się, aby trzymać się tematu, komisja przyjmowała za dobrą monetę. Zadawała ją również dość ogólne przedstawianie problemów i kwestii. Bardzo się wystrzeżałem przytaczania danych liczbowych, bo w tej materii byłem słaby. Podobnie prosty wydał mi się także test na iloraz inteligencji i byłem zdziwiony, słysząc narzekania niektórych kolegów, że mieli z nim tyle kłopotu.

Dla wielu bardzo trudny okazał się egzamin z geografii. Pamiętam na przykład, że jeden z nich miał omówić Kostarykę. Tymczasem podszedł do mapy fizycznej Afryki i szuka, a komisja powiada: - dziękujemy. Pomieszały się biedakowi nowo powstałe państwa afrykańskie ze środkowoamerykańskimi, a tymczasem komisja już o nic więcej nie próbowała go pytać.

Wielu się „wyłożyło” na praktycznym egzaminie z terenoznawstwa. Tu trzeba było bowiem nie tylko wskazać na mapie

swoje miejsce stania, ale i poprawnie zorientować w terenie, a nawet przejść odpowiedni odcinek drogi według azymutu. Z tym nie bardzo dawali sobie radę ci, którzy nie służyli w linii i dawno nie mieli okazji poruszania się i orientowania w nieznanym terenie.

Jeśli idzie o język obcy, to należałem do tych, którzy rosyjski mieli opanowany najsłabiej. Liczyłem się z tym, że będę się go uczył. Założenie było bowiem takie, że ci, którzy wykażą jego dobrą znajomość, będą się mogli uczyć języka – niemieckiego albo angielskiego. Natomiast słabo znający rosyjski, będą się go uczyć w toku studiów.

Kiedy jednakże zobaczyłem panią mgr Zoję Kurek, nauczycielkę języka rosyjskiego, która bardzo nerwowo dyktowała pytania, a jeszcze bardziej nerwowo usiłowała wprowadzić porządek na sali nr 30, gdzie odbywał się egzamin, postanowiłem zrobić wszystko, aby się więcej z nią nie spotkać. Prosiłem więc kolegę, u którego najwyżej ocenialiśmy znajomość rosyjskiego, aby dał mi odpisać. Zagęszczenie panujące w sali umożliwiała tego rodzaju oszustwo.

Wybieg się udał, uzyskałem wysoką ocenę, dlatego też mogłem się uczyć angielskiego u pani mgr Eleonory Wodzyńskiej.

Wróciliśmy do pułku i przystąpiliśmy do pracy na swoich stanowiskach. Nie znaleźmy wyników naszego egzaminu i jego rezultatu. Dopiero w ostatnich dniach lipca przyszło powiadomienie, że zostałem przyjęty i że 1 października 1963 r. mam się zameldować w ASG WP celem odbycia studiów na Wydziale Wojsk Lądowych. Do tego czasu miałem wykorzystać urlop wypoczynkowy i rozliczyć się z jednostką macierzystą.

Informacja nie dotyczyła moich dwóch kolegów, to jest Trześniewskiego i Sumelki, a powszechnie była interpretowana, że niestety – nie zostali oni przyjęci.

Było mi ich żal, bo wysuwano pod ich adresem nieprzyjemne aluzje. Lepiej nie wspominać, jak oni czuli się w tych warunkach. Prawdę mówiąc, byłem zaskoczony tym faktem.

Wiedziałem bowiem, że solidnie przygotowawali się do egzaminu, mieli „obkuty” Regulamin Walki oraz wymagane instrukcje. Na dodatek Trześniewski posiadał duże doświadczenie w dowodzeniu batalionem i obycie w ćwiczeniach z wojskami. Natomiast kpt. Sumelka, moim zdaniem, wykazywał wysoki poziom inteligencji, aczkolwiek w dowodzeniu nie posiadał tak dużego doświadczenia. Był bowiem tylko dowódcą szkolnej kompanii.

Do dziś jestem przekonany, że wcale nie gorzej byli przygotowani ode mnie, może nawet lepiej, zwłaszcza w przedmiotach podlegających sprawdzianom. Pocieszałem ich więc, jak tylko mogłem, że informacja o ich przyjęciu niebawem nadejdzie, że może przysyłają je według rodzajów wojsk. Innym, którzy mnie o to indagowali, tłumaczyłem podobnie, a tymczasem ta korzystna i pocieszająca moich kolegów informacja nie nadchodziła.

Doszedłem do wniosku, że ja nie tyle posiadałem wiedzę, ile lepiej potrafiłem ją przekazać, bo miałem większe doświadczenie w zdawaniu egzaminów. Wiedzę nie tylko trzeba posiadać, ale umieć ją „sprzedawać” – jak się często określa taką umiejętność. Tego właśnie zabrakło moim dwóm kolegom.

Od kiedy było wiadomo, że odchodzę na studia w Akademii Sztabu Generalnego, przychodzili do mnie jej absolwenci z radami na przyszłość. Najwięcej informacji, zarówno o uczelni, jak i metodach nauczania w niej, przekazywał mi mjr dypl. Chodakowski dowódca 1 batalionu piechoty. Mówił o ćwiczeniach, jakie tam na mnie czekają. Wymieniał ich nazwy, kolejność, czym się różnią między sobą i czego mnie na nich w akademii nauczą. Jego zdaniem, jeśli ktokolwiek do akademii zostanie przyjęty, to musi ją ukończyć. Nawet gdyby tego nie chciał, to potrafią go zmusić.

- Oczywiście, nikt tego nie czyni siłą, ale mają tam wiele sposobów na takich... – mówił Chodakowski.

- Ze sposobu przeprowadzenia egzaminu, a nawet całego kursu przygotowawczego, przynajmniej ja takiego wrażenia nie odniosłem - powiadam na to Chodakowskiemu.

- Weźmy za przykład naszych dwóch kolegów, którzy jak się na to zanosi, nie zostaną przyjęci. A wydawało się, że już przed kursem byli dobrze przygotowani, a ponadto wiem, że w czasie kursu przygotowawczego też nie próżnowali. A tymczasem...

- Bo oni obaj widocznie mają coś nie w porządku w swoich papierach. To nie egzamin spowodował, że nie zostali przyjęci - stwierdził stanowczo Chodakowski.

- No, nie wiem i nie jestem o tym przekonany - odrzekłem i zaraz pomyślałem o sobie, że jeśli te sprawy dalej brane są pod uwagę, to raczej ja nie powinienem zostać przyjęty.

- Jak ja studiowałem, to nawet dowódców plutonów przyjmowano do akademii i nie tylko bez średniego wykształcenia, ale i takich, którzy nie mieli pełnego wykształcenia podstawowego - mówił znowu Chodakowski.

.- No, ale żeby ukończyć, to tacy musieli być bardzo zdolni, albo się pewnie wykruszali.

- Nie, na ogół wszyscy kończyli. Nawet słabi. Dostawali bowiem taką pomoc od wykładowców, od organizacji partyjnej, od zobowiązanych przez partię kolegów, że w końcu potrafili podołać najcięższym zadaniom. Mało tego, byli tacy, co mając wielkie trudności z opanowaniem materiału, a zwłaszcza z napisaniem pracy dyplomowej, zgłaszali rezygnację ze studiów, a też im nie pozwolono odejść i akademię ukończyli - wyjaśniał dalej.

Wyglądało mi na to, że to on był tego żywym przykładem. Widocznie takie czasy już minęły, bo ja nie spotkałem kandydata, który by nie miał średniego wykształcenia - myślałem sobie. Podziwiałem natomiast jego doskonałą pamięć, bo nie mogło być inaczej, jeśli pamiętał tyle szczegółów dotyczących odbytych przez niego w czasie studiów ćwiczeń, ich nazwy,

kolejność występowania i stosowane tam metody nauczania, et cetera...

Pojechałem z żoną i z córką na urlop, a po powrocie czułem się na dużym luzie. Szarwiłło tak dobrze i skrupulatnie mnie zastępował i tak bardzo wczuł się w rolę dowódcy, że nie chciałem mu w tym przeszkadzać. Przystąpiłem więc do rozliczania się z jednostką. Przekazywałem obowiązki. Oczywiście przedtem zaproponowałem swojemu przełożonemu mojego następcę – co zostało przez niego zaakceptowane. Przy tej okazji przeprowadzone zostały apele mundurowe w podległych kompaniach, sprawdzone uzbrojenie, a także sprzęt kwaterunkowy. Sporządziliśmy protokół przekazania i uzyskaliśmy jego zatwierdzenie u dowódcy pułku.

Tymczasem na dzień przed moim wyjazdem z Trzebiatowa, ku wielkiemu zdziwieniu, na moje miejsce przybył kpt. Bubnowicz. Wytworzyła się bardzo nieprzyjemna sytuacja. Przypuszczam, że to dowódca pułku ppłk dypl. Śliwa nie widział w Szarwille dowódcy batalionu i skorzystał z nadarzającej się okazji, aby go „wyklinować”. Było mi nieprzyjemnie, ale jeszcze bardziej Szarwille.

## *PIERWSZY ROK STUDIÓW*

W akademii zameldowałem się w dzień przed inauguracją roku akademickiego. Miałem już wyznaczony pokój na drugim piętrze, z ukośną ścianą zewnętrzną, na poddaszu. Miałem go dzielić wspólnie z mjr Grzańą, dotychczasowym szefem łączności akademii i kpt. Raduchowskim-Brochwiczem. Było ciasno. Dwa łóżka przy ścianach bocznych wsunięte w wykusze ściętego dachu, a trzecie, cofnięte w kierunku drzwi przez wnękę okienną i dlatego ustawione prawie pośrodku pokoju. Mały stoliczek z trzema krzesłami, szafa ubraniowa w ścianie z jednej strony drzwi, a po drugiej umywalka, nad którą wisiało lustro.

Ponadto głośnik, nazywany kołchoźnikiem, podłączony do radiowęzła i lampa u sufitu.

Łóżka metalowe z siatkami sprężynowymi oraz materace, poduszki puchowe, prześcieradła i koperty z kocami do przykrycia. Podłoga z klepki, ściany odświeżone farbą klejową, kaloryfer pod oknem. Oto całe pomieszczenie. Skromne, ale schludne.

Pod nami, na pierwszym piętrze oraz na parterze, pomieszczenia były identyczne, jednakże nieco przestronniejsze, bo nie miały ukośnych ścian zewnętrznych. Tam mieszkali słuchacze starszych roczników: drugiego i trzeciego.

Dla nas pewna poprawa warunków bytowania mogła dopiero nastąpić za rok, przy przejściu na kolejny rok studiów.

Inauguracja roku akademickiego odbyła się w sali kinowej. Choć najbardziej doniosłym punktem uroczystości była nasza immatrykulacja, to i wykładu inauguracyjnego wszyscy wysłuchali z wielką uwagą. Podobną uroczystość odbyłem co prawda w Szczecinie przed kilku laty, i teraz nie stanowiła dla mnie wielkiego novum, to jednak bacznie ją śledziłem i dokonywałem porównań: tu, profesura nie została obleczona w odpowiednie togi, a Jego Magnificencja Rektor nie miał płaszcza z soboli. Nie było też „Gaudeamus igitur”.

- Jeśli tej pierwszej różnicy byłoby pewnie trudno uniknąć, to dla tej studenckiej pieśni mogłoby się znaleźć miejsce w tej uroczystości - myślałem sobie.

Jeszcze ważniejsza różnica to fakt, że zaliczanie nas w poczet studentów odbywało się przy uczestnictwie całego stanu osobowego słuchaczy.

- To nie jest znowu tak bardzo dziwne - tłumaczyłem sobie jednocześnie.

- Przecież w uczelniach cywilnych, które posiadają ogromnie liczne stany studentów (kilka - kilkadziesiąt tysięcy), zebranie ich na taką uroczystość staje się po prostu niemożliwe.

Tymczasem za stołami dla prezydium owej ceremonii, ustawionymi na scenie, zasiadało, jak należało się domyślać, kierownictwo akademii z generałem brygady Mieczysławem Bieniem na czele oraz zaproszeni goście, którymi byli przedstawiciele instytucji centralnych MON z gen. Chochą, wśród nich najstarszym stopniem, jedynym, którego już kiedyś widziałem i znałem z nazwiska.

Komendant akademii wygłosił krótkie przemówienie, a następnie wręczył nam indeksy. Tuż po tym miejsce za mównicą zajął nasz kolega, mjr Roman Tomaszewski i przemawiając w naszym imieniu, dziękował wszystkim przełożonym oraz władzy partyjno-politycznej, jak to było przyjęte - za umożliwienie nam studiowania w tak wielce zasłużonej dla naszych sił zbrojnych uczelni.

- Będziemy się starać naszą pracą nad zdobywaniem wiedzy i umiejętności przysporzyć sił naszej ojczyźnie w umacnianiu Jej obronności - mówił, kończąc swoje wystąpienie.

Wykład inauguracyjny wygłosił zastępca komendanta akademii do spraw naukowych płk prof. Jakub Broch. Tematu niestety nie pamiętam. Przysłuchiwaliśmy się jednak i w dalszym ciągu lustrowaliśmy osoby w prezydium.

- Popatrz jaki to młody ten nasz komendant - szeptał mi prawie do ucha sąsiad z jednej strony.

- No właśnie, w tak młodym wieku. - Musi być bardzo uzdolniony, żeby kierować taką uczelnią - odpowiedziałem.

- A jaki z niego przystojny mężczyzna - dodał mój sąsiad z lewej.

Po wykładzie, przeszliśmy z sali kinowej do sali nr 30 w bloku 14 (tylko I Kurs Ogólnowojskowy). Tu szef Katedry Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej płk prof. Jan Kurniewicz, któremu kurs podlegał i który był naszym przełożonym, przedstawił swoich zastępców i kolejnych naszych przełożonych, mówiąc:

- moimi zastępcami, a równocześnie waszymi przełożonymi są:

- płk dr Kazimierz Nożko - zastępca do spraw taktycznych;
- płk dr Zenon Klonowski - zastępca do spraw operacyjnych;
- płk dypl. Klemens Kotus - zastępca do spraw kursów;
- kierownikiem taktycznym waszego kursu jest ppłk dypl. Zbigniew Gnojnicki, który w moim imieniu będzie kierował procesem waszego nauczania.

Kierownikami taktycznymi grup szkoleniowych na waszym kursie są:

- mjr dypl. Adolf Bąk - kierownik taktyczny grupy pierwszej;
- mjr dypl. Stanisław Oleksiński - kierownik taktyczny grupy drugiej.

W następnej kolejności płk Kotus odczytał składy poszczególnych grup i wyznaczył jednocześnie na starszego kursu - ppłk Gierczaka (po pierwszym roku został zwolniony, a przez następne dwa lata funkcję st. kursu pełnił ppłk Henryk Antoszkiewicz), a starszymi grup: mjr. Jana Pietronia (pierwszej grupy) i mjr. Stanisława Jaworskiego (drugiej grupy).

Ogłosił także, że zaraz po tym spotkaniu grupy mają się udać do swoich sal grupowych w bloku 101. Znalazłem się w drugiej grupie, która teraz spacerkiem w szyku luźnym przemieszczała się do wskazanego bloku. Na miejscu, Jaworski odszukał naszą salę, wskazaną przez płk. Kotusa. Zajęliśmy miejsca. Po niedługiej chwili zjawił się nasz kierownik grupy, a Jaworski zameldował stan grupy na zbiórce według rozkazu. Było nas siedemnastu.

Mjr Stanisław Oleksiński przedstawił porządek dnia, jaki obowiązuje słuchaczy, objaśnił, jak należy postępować z dokumentami niejawnymi, zwłaszcza że należy je przechowywać w skrytkach sejfów ustawionych w korytarzu naszego internatu, tuż obok biblioteki. Poinformował także, jak wygląda podział roku na okresy, czego w każdym z nich będziemy się uczyć, jak należy się przygotowywać do zajęć. Już na samym

początku zalecał systematyczność, aby nie dopuszczać do spiętrzeń w pracy. Zapowiadał jednocześnie ogromny nawal zadań i wysiłku w czasie ćwiczeń taktycznych, które miały się rozpocząć dopiero w listopadzie lub na początku grudnia.

Kierownik grupy od początku zdobył nasze uznanie. Zarówno aparycją, jak i jasnością, rzeczowością oraz precyzją wyrażania myśli. Można było założyć, że w czasie przyszłych zajęć z tym bezpośrednim przełożonym, a jednocześnie nauczycielem głównego przedmiotu – taktyki ogólnej, będziemy się dobrze rozumieli.

Jak się później okazało mój kierownik grupy odbywał służbę wojskową w Szkolnej Kompanii Oficerów Rezerwy (SKOR) o jeden rok wcześniej ode mnie. Należał do tych, których udało się zaagitować do służby zawodowej.

Potem nasz mjr Oleksiński służył w jednostce liniowej. Po dwóch latach pracy, a trzech służby wojskowej, jako wyróżniającego się oficera, skierowano na studia w ASG WP. Ukończył je w 1954 r. i pozostał w uczelni zaangażowany do pracy dydaktyczno-wychowawczej.

Zajęcia dydaktyczne rozpoczęto z nami następnego dnia. W pierwszej kolejności z takich przedmiotów jak matematyka, psychologia, ekonomia polityczna, języki obce. Prowadzono je zarówno w formie wykładów, jak i repetycji, seminariów i ćwiczeń audytoryjnych (matematyka, języki obce).

Dopiero po pewnym czasie przyszły wykłady, repetycje i seminaria z taktyki ogólnej i taktyki rodzajów wojsk. Wykłady były odczytywane, z taktyki ogólnej przez kierownika taktycznego kursu, a z taktyki rodzajów wojsk – przeważnie przez zastępców odnośnych katedr.

To odczytywanie wykładów bardzo nam się nie podobało.

– Jakże to, mówią nam, że wysłuchujemy wykładu, a przecież jest to po prostu odczyt – mówiliśmy między sobą.

Nasz kierownik kursu wykazywał dużą ruchliwość i energię, a jak to oceniali podlegli mu nauczyciele (oficerowie jego zespołu) również i wiedzę taktyczno-operacyjną. Miał jednak

pewną przywarę językową, bo kiedy mu przypadło wyliczać jakieś czynniki czy właściwości, to nigdy nie wymieniał ich w odpowiedniej kolejności, nie nazywał też, następnymi, „tylko wszystkie one były u niego drugą sprawą”. Tak na przykład, wymieniając i omawiając w toku swojego wykładu cechy czy właściwości działań bojowych, mówił, że „współczesne działania bojowe charakteryzują się następującymi właściwościami:

- ciągłością działań, co polega na prowadzeniu ich w dzień i w nocy;

- druga sprawa to charakteryzują się one bardzo często brakiem styczności między oddziałami i pododdziałami, to znaczy, że będą one działać bardzo często na oddzielnych kierunkach;

- druga sprawa - aczkolwiek była już trzecią - to fakt, że w ten sposób powstaną między oddziałami i pododdziałami przerwy i luki oraz otwarte skrzydła”...

W ten sposób wymieniał kolejne właściwości tych działań, a wszystkie były u niego „drugą sprawą”. Było to tym dziwniejsze, że miał przed sobą konspekt i wydawało się, że czyta, a tymczasem takie lapsusy.

Na przerwie Włodek Król powiada:

- Czyżby ten nasz Gnojnicki tylko do dwóch potrafił liczyć?...

- Rzeczywiście, on wszystko widzi jako „drugą sprawę” - dodał Sujecki.

Od tej pory nikt na kursie, no może z wyjątkiem starszego kursu, nie nazywał go inaczej, tylko „drugą sprawą”.

Repetycje, seminaria, a potem jeszcze kolokwia i zaliczenia, prowadzili wykładowcy prowadzący w danej grupie ćwiczenia taktyczne.

Kierownik grupy przeprowadził z nami zaledwie jedno zajęcie - repetycje, w czasie którego nasze przypuszczenia, że jest znakomitym nauczycielem, potwierdziły się. Ale zaledwie

kilka dni później przedstawił nam swojego następcę mjr. dypl. Mariana Szeląga. Miał on zastąpić Oleksińskiego na czas opracowania, a raczej finalizowania rozprawy doktorskiej. Trwało to jednak do końca roku akademickiego i było dla nas dużą stratą.

Repetycje i niektóre seminaria w zasadzie nie różniły się między sobą. Jedne i drugie polegały niekiedy na powtarzaniu czy odtwarzaniu materiałów zawartych w skryptach, podręcznikach i podawanych w czasie wykładów. Jeśli słuchacz referujący nie omówił zagadnienia w pełni poprawnie, to do odpowiedzi wywoływano następnego i tak aż do wyczerpania jego treści. Każde z omawianych zagadnień było podsumowywane przez nauczyciela. Odpowiadającym słuchaczom wystawiane były oceny, z tym, że ich nie ogłaszano.

Wspomniałem, że niektóre seminaria prowadzono podobnie jak repetycje. Były więc prowadzone różnie. Poszczególne katedry hołdowały bowiem różnym metodom ich prowadzenia. Tak na przykład z filozofii nauczyciel wyznaczał w grupie referentów i koreferentów. Każdemu z wyznaczonych przypadało do opracowania i wygłaszania jedno zagadnienie. Pozostali słuchacze w grupie byli zobowiązani przygotować się na tyle, aby mogli czynnie uczestniczyć w dyskusji, uzupełniając wystąpienia kolegów, ewentualnie wyrazić własny pogląd na poruszane zagadnienie.

Jeśli natomiast na seminarium wyznaczano kilka zagadnień, a co z kolei zależało od czasu trwania seminarium, to referowali wyznaczeni referenci i koreferenci, a na dyskusje czasu już nie starczało. W takich warunkach część grupy nie zabierała głosu.

Słuchacze byli zazwyczaj zadowoleni z takiego obrotu sprawy, ale to nie przynosiło pożądanych efektów.

Wykładowcy z taktyki ogólnej na ogół nie wyznaczali do przygotowywania referatów i koreferatów. W tym przedmiocie panował zwyczaj, że wszyscy słuchacze powinni być przygotowani do każdego z zagadnień. Ponadto, dobrze było widziane

przez nauczycieli, zgłaszanie się słuchaczy do referowania poszczególnych zagadnień oraz zabieranie głosu w dyskusji przy omawianiu poszczególnych zagadnień. Jeśli brakowało chętnych, to nauczyciel wyznaczał zagadnienia do zreferowania.

Trzeba tu dodać, że podawane do seminarium zagadnienia najczęściej były tak sformułowane, że aby je można było zreferować poprawnie, to w czasie przygotowywania się do niego trzeba było szukać i zbierać informacje w wielu źródłach. Dlatego i nasze przygotowanie do seminarium wyglądało różnie.

Jeśliby oceniać metody, jakimi posługiwały się w seminarjach poszczególne katedry, to najbardziej odpowiadały mi te, które stosowali nauczyciele z Zakładu Dydaktyki Wojskowej, zwłaszcza mjr mgr Sidor. Potrafił on bowiem wprowadzić w czasie zajęcia atmosferę swobody, która sprzyjała rozwojowi dyskusji. Taką swobodę dawało już samo urządzenie klasy. Bowiem do prowadzonego przez niego seminarium ustawialiśmy stoły w czworobok. On, jako kierownik zajęcia, zasiadał przy jednym boku owego czworoboku, od strony tablicy, a my zajmowaliśmy miejsca przy pozostałych trzech bokach prostokąta utworzonego z naszych stołów. To nastrajało do dyskusji. Co więcej, można było referować na siedząco. Był to iście kameeralny nastrój.

Tylko u niego odbywaliśmy w taki sposób seminaria. Tak bardzo mi się to spodobało i tak bardzo byłem przekonany o słuszności takiej metody, że kiedy zostałem nauczycielem i przyszło mi, jakże zresztą często, prowadzić seminaria, tak samo nakazywałem ustawiać stoły. Uważam, że rezultat był wspaniały.

Ogromnie przydatny w studiowaniu i w ogóle w pracy umysłowej, choć nie kończył się egzaminem ani nawet zaliczeniem był na pierwszym roku studiów przedmiot występujący pod nazwą „Technologia pracy umysłowej”.

Generalnie można powiedzieć, że w tym przedmiocie chodziło o to, aby nam wskazać: jak słuchać wykładu, jak sporzą-

dzać z niego notatki, jak się uczyć w ramach samokształcenia itp., aby osiągać dobre efekty.

Prowadził go przemyśli, o ogromnej delikatności, wysokiej kulturze i szerokich horyzontach, mjr mgr Mieczysław Respondek.

Jego takt, doskonała znajomość problemów, jakich nas uczył, oraz doświadczenie i delikatność, z jaką udzielał nam rad i wskazówek w toku zajęć, stały się wielce przydatne w codziennej naszej pracy. Były bowiem użyteczne w czasie odbierania wykładów, przygotowywania się do seminariów, zdawania egzaminów, odbywania ćwiczeń, a nawet opracowywania i obrony pracy dyplomowej. Chociaż uważałem początkowo, że opanowane przeze mnie metody uczenia się już mi wystarczają, to jednak dużo się jeszcze na tych zajęciach nauczyłem. Cóż tu dopiero mówić o moich kolegach, dla których była to zupełna nowość.

Po latach przypadło mi z Mieczysławem często współpracować; miłą wspominać te czasy, bo zawsze mogłem się jeszcze czegoś od niego nauczyć.

Mieczysław z wykształcenia jest prawnikiem. W 1947 r. wstąpił do kompanii akademickiej WP jako student Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego, a w 1949 - Wrocławskiego. W 1950 r. został zwolniony do rezerwy ze względów społeczno-politycznych. W roku akademickim 1950/51 kontynuował studia na Wydziale Prawa, a prodziekan tego wydziału zatrudnił go w charakterze asystenta i przyjął do siebie w mieszkaniu jako sublokatora. Latem 1951 r. Mieczysław napisał prośbę o ponowne przyjęcie do wojska. Uzyskał zgodę i został skierowany do pracy dydaktycznej w ASG WP. Przyjmował go osobiście ówczesny komendant tej uczelni gen. dyw. Zygmunt Berling, który zapoznawszy się z problemami Mieczysława, udzielił mu natychmiast urlopu szkoleniowego. W ten sposób mógł on ukończyć studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

W toku zajęć, które Mieczysław z nami prowadził, wyczuwało się, że ma za sobą solidnie odbyte studia, że posiada głęboką wiedzę, bo nie tylko poruszał się z wielką swobodą w problematyce, której uczył, ale również chętnie podejmował tematykę pozostającą daleko poza jej obrębami.

W ASG WP wykładał również logikę oraz międzynarodowe prawo wojenne. Z tego ostatniego przedmiotu prowadził także zajęcia na Wydziale Prawa UW oraz w innych uczelniach wojskowych. W końcu lat 60. przestawił się na problematykę organizacji i kierowania. Z tej dziedziny obronił pomyślnie pracę doktorską na UMCS w Lublinie. Był wieloletnim pracownikiem naukowo-dydaktycznym w katedrze płk. doc. Jerzego Skibińskiego, podobnie jak wielki entuzjasta tej problematyki – płk dr inż. Krzysztof Stangret.

W ostatnich latach swojej służby, przed emeryturą, kierował Katedrą Nauk Społecznych.

## ĆWICZENIA TAKTYCZNE

Pod koniec listopada rozpoczęliśmy tak zwane ćwiczenie „przygotowawcze”. Wydano nam odpowiednią ilość arkuszy map, do tego założenia z kalką techniczną, na których było wydrukowane położenie wojsk własnych i nieprzyjaciela oraz decyzja dowódcy pułku. W załącznikach do założenia, były oceny położenia wraz z wnioskami i meldunkami oficerów sztabu oraz treść decyzji dowódcy pułku.

Mimo, że owe dokumenty zostały nam wydane na tydzień przed pierwszym zajęciem, nie bardzo mogliśmy się z zadaniem uporać w czasie nauki własnej. Należało bowiem, w pierwszej kolejności skleić poszczególne arkusze map w jednolitą, znacznych rozmiarów „płachetkę”. Była to pierwsza napotkana z naszej strony trudność.

Tylko niektórzy dawali sobie z tym radę, a nawet wykazywali w tym względzie dużą sprawność. Do nich należeli: Antoszkiewicz, Pietroń, Jaworski, Stychno, Kalski i Sujecki. Byli to przede wszystkim ci, którzy przedtem ukończyli KDOPiech, a do tego jeszcze przed przyjściem do akademii pracowali w sztabach i bardzo często przygotowywali mapy do pracy.

Tak więc, klejenie map dla niewtajemniczonych, może się wydać czynnością prozaiczną. Tymczasem, niektórzy z kolegów, przy wykonywaniu tej czynności nabili sobie porządnego „guza”. W taki sposób bowiem poobcinali ramki poszczególnych arkuszy map, że potem nawet przy pomocy tych, co się bardzo dobrze w tej materii orientowali, ba, mieli w tym dużą wprawę, sklejenie ich należało do wyczynu. Po uporaniu się ze sklejeniem map należało przenieść sytuację z kalki technicznej na mapę i w odpowiedni sposób podkolorować. Trzeba tu dodać, że rysowanie sytuacji taktycznej na mapie odbywało się kredkami „TAKTYKA”.

Był to oddzielny problem zasługujący na uwagę, bo jakkolwiek były to kredki bardzo dobre, to posługiwanie się nimi czyniło naszą pracę mało wydajną. Oczywiście jeśli porównamy ją z pracą przy pomocy flamastrów, które trafiły do wojska dopiero w kilka lat po naszych studiach.

Przenoszenie sytuacji taktycznej z kalki technicznej na mapę było zajęciem osobliwym. Po „dowiązaniu” kalki do mapy, to jest, zgraniu jej współrzędnych ze współrzędnymi na mapie, należało tak ją uchylać, aby możliwe się stało kreślenie pod nią. Praca wymagała dokładności. Inaczej nanoszona sytuacja mogłaby zostać źle osadzona w terenie.

Zabierało nam to dużo czasu. Nawet przy trzecim z kolei ćwiczeniu nasze umiejętności i wprawa w tej kwestii, okazały się jeszcze niewielkie. Pośpiech nie był wskazany, jeśli praca odwzorowująca sytuację miała być wykonana dobrze.

Aby nadać sytuacji na mapie dobrą czytelność to przeniesioną z kalki sytuację trzeba było poprawić dobrze zaostrzoną kredką dla wyrazistości. Czego myśmy w tym celu nie czynili:

na przykład, za radą starszych kolegów albo wykładowców, pozostawialiśmy na noc, nasze kredki w wilgotnej szmatce, moczyli w wodzie w toku rysowania, a nawet śliniliśmy malując równocześnie swoje wargi i języki na różne kolory, takie jakimi były malowane znaki taktyczne.

Potem, trzeba było jeszcze tę sytuację podkolorować, bo to nadawało jej czytelność z dużej odległości, na przykład z każdego miejsca w sali grupowej, jeśli mapa została zawieszona na tablicy.

Podkreślenia wymaga fakt, że praca na mapie, to jest, wykonanie na niej rysunku obrazującego sytuację operacyjno-taktyczną oraz ocenę nieprzyjaciela i decyzję dowódcy była niemal świętością. Nie chodziło tu bowiem jedynie o rysunek czysto techniczny, kreślarski, ale także o to, by oddawał swego rodzaju „nastrój sytuacji” w jakiej te wojska się znalazły, o wyrażenie i oddanie tego, czego należy oczekiwać od przeciwnika i, co zamierza dowódca strony ćwiczącej. W szczegółach powinno być widoczne, gdzie pododdziały uzyskują w danej chwili powodzenie, a gdzie natrafiają na opór itp.

Taka umiejętność była wyznaczona do osiągnięcia wszystkim i przeważnie do tego dochodziliśmy. Niektórzy, stawali się w tym względzie klasą dla siebie. Ale do tego dochodziliśmy przeważnie, dopiero w końcowej fazie studiów. Zdarzali się jednak tacy, którzy napotykali takie trudności, że do końca, a nawet nigdy wymaganego poziomu nie osiągnęli.

Oceniając tę część naszego nauczania z perspektywy lat, uważam, że techniczna praca zabierała zbyt dużą porcję naszego czasu ze studiów. Zwłaszcza czasu przeznaczonego na ćwiczenia taktyczne. Można powiedzieć, że proporcje między czasem, który musieliśmy poświęcić na pracę techniczną (kreślarską), a tym który pozostawał na pracę umysłową (konceptyjną) były zachwiane.

Po takim przygotowaniu map można było przystąpić do studiowania treści zawartych w założeniu, a więc ocen i decyzji. Teraz kiedy wszystko było już gotowe tylko sobie przy-

swoić i umieć odtworzyć na zajęciu i tak nie było takie łatwe, jak by się mogło wydawać. Trzeba było bowiem posiadać umiejętność przedstawiania owych treści. Znowu niejeden z nas zazdrościł wymienionym wcześniej jak Antoszkiewicz i inni. Niestety, pozostawałem za nimi daleko ze swoimi umiejętnościami.

Zaledwie po kilku dniach od zakończenia ćwiczenia przygotowawczego, pobieraliśmy mapy i założenia do następnego ćwiczenia. Tym razem było to ćwiczenie główne na temat marszu pułku zmechanizowanego na dużą odległość. Tu także należało kleić mapy i przenosić graficzne wyrażenie ugrupowania z kalki technicznej. Ponieważ sytuacja była stosunkowo prosta, to i pracy technicznej mniej niż w poprzednim ćwiczeniu, a przede wszystkim mniej niż w tych, które miały dopiero nastąpić.

W tym ćwiczeniu mieliśmy się nauczyć planowania marszu, tworzenia ugrupowania marszowego, kalkulacji przemarszu, z uwzględnieniem krótkich i długich odpoczynków oraz utrzymania ciągłej gotowości pułku do wejścia w styczność z przeciwnikiem.

Zaraz po ćwiczeniu z marszu, rozpoczęło się ćwiczenie główne, grupowe - „Natarcie pułku zmechanizowanego”. Nazywało się tak, bo w toku jego trwania mieliśmy się nauczyć tego, co w natarciu pułku było podstawowe. Zarówno więc metody i kolejności pracy dowódcy i oficerów sztabu pułku, jak i zasad prowadzenia walki na tym szczeblu.

Przyjęty w ćwiczeniu zarys położenia stron, sformułowane zadanie dla ćwiczącego pułku i przyjęte rozwiązania, miały nas, ćwiczących, przekonać o słuszności przyjmowania takich, a nie innych, norm taktycznych, to jest szerokości działania oddziału i pododdziałów, głębokości zadań oraz tempa natarcia. Miały jednocześnie utrwalić ich znajomość oraz znajomość zasad prowadzenia działań bojowych.

Ćwiczenie grupowe, bo wszyscy słuchacze, to jest cała grupa szkoleniowa, występowali w tej samej roli. Dla przykła-

du: wszyscy w roli oficera rozpoznawczego pułku, następnie wszyscy w roli oficera operacyjnego pułku, dowódcy pułku, szefa saperów itd.

Następną właściwością ćwiczenia grupowego było to, że w każdej sytuacji taktycznej było opracowywane i przyjmowane do dalszych rozważań rozwiązanie autorskie, tak zwane „katedralne”. Wykładowcy, do prowadzenia zajęć posiadali specjalnie do tego celu przygotowane opracowania metodyczne (metodyczki), od których nie było odstępstwa, choćby ktokolwiek ze słuchaczy, znalazł rozwiązanie lepsze.

Była to oczywista konieczność z uwagi na fakt, że w ćwiczeniu musiały być wcześniej przygotowane następne położenia stron oraz wyprowadzone z nich kolejne rozwiązania uzgodnione z wieloma katedrami współuczestniczącymi w ćwiczeniu.

Ćwiczenie główne było rozczłonkowane na kilkanaście zajęć o różnym wymiarze godzin (2-6) i dlatego trwało przez dwa, a nawet trzy miesiące. Przy sporządzaniu rozkładu zajęć przestrzegano bowiem zasady, aby w toku ćwiczenia grupowego, w jednym dniu nie planować więcej niż jedno - dwa zajęcia z ćwiczenia.

Wynikało to, przede wszystkim stąd, że przygotowanie się słuchaczy do wielu zajęć w ćwiczeniu było niemożliwe, a co najmniej bardzo utrudnione.

Szczerze mówiąc, nie ułatwiało to pracy. Po prostu, wcale przez to nie było nam lżej. Bowiem do zajęć, które rozdzielały zajęcia z taktyki, na przykład dwie godziny z języka angielskiego, niemieckiego lub rosyjskiego, również wymagało czasu na przygotowanie się do nich. Podobnie było z zajęciami z filozofii, socjologii, czy innych przedmiotów.

Trzeba dodać, że do zajęć na początku ćwiczeń, w czasie których rozważaliśmy przygotowanie działań, to jest do wypracowania decyzji i napisania rozkazu bojowego, materiały wydawano nam z dużym wyprzedzeniem. Natomiast w dynamice działań, wydawano je tuż przed zajęciami, to jest jeden

- dwa dni wcześniej. Zbyt wczesne wydanie kolejnego położenia mogło bowiem sugerować rozwiązanie wcześniejszych zadań, nad którymi pracowaliśmy.

Krótki czas, a przede wszystkim brak umiejętności i nasza nieporadność, razem wzięte, powodowały, że było bardzo trudno. Niekiedy nie do wytrzymania.

Jednakże niektórzy zdobywali tak zwane „kości”, czyli rozwiązania katedralne. Nie musiały to być same opracowania metodyczne, aczkolwiek w sporadycznych wypadkach i to miało miejsce, ale wystarczyły notatki od starszych roczników. Tacy mieli ułatwione zadanie. Początkowo nikt się nie kwapił pochwalić posiadaniem „kości”, podobnie jak notatkami do seminarium. W miarę zdobywania doświadczenia studenckiego, owe notatki przekazywane były z grupy do grupy i wykorzystywane, a niekiedy odbywało się ich przepisywanie.

Przepisywanie uważałem za stratę czasu i nigdy tego nie robiłem. Chętnie natomiast dyskutowałem nad tak zdobytym rozwiązaniem. Za cenniejsze bowiem uważałem zrozumienie problemu, istoty zagadnienia, niż odczytywanie go, bez zrozumienia, jak to niekiedy miało miejsce na zajęciach.

Bywało tak, że kiedy przyszło mi referować, to przedstawiane przeze mnie treści były skromniejsze od tych odczytywanych przez kolegów. Było jeszcze gorzej, gdy próbowałem przedstawić swoje wątpliwości, a nie daj Boże własny, odmienny pogląd. Mój kierownik grupy bardzo tego nie lubił i przez to, bardzo słabo mnie oceniał. Nie mogłem się z tym pogodzić i zrozumieć jak to jest, że niektórzy nauczyciele nie dostrzegają faktu, iż koledzy odczytywanych treści nie rozumieją, a mimo to wystawiają za to wysokie oceny.

Po zakończeniu ćwiczenia było trochę czasu na przygotowanie się do kolokwium z „Marszu i z natarcia pułku”. Odbyło się ono w formie pisemnej. Wydawało mi się, że jestem niezłe przygotowany. Napisałem więc tak, jak to rozumiałem. Niektórzy usilnie starali się korzystać ze skryptu i muszę przyznać, ku niemałemu zdziwieniu, że im się to udało.

Tymczasem ja, nawet takiej myśli nie dopuszczałem do głowy i nie wyobrażałem sobie, aby obecny w sali nauczyciel mógł nie zauważyć, że ktoś „odżyna” ze skryptu. Kiedy po oddaniu prac znalazłem się na korytarzu ze swoim kolegą z pokoju pytam:

- Jak ci się pisało?...

A wiedziałem, że niewiele się trudziłem nad przygotowaniem i przy próbie dyskusji nad zagadnieniami objętymi kolokwium nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka.

- Słuchaj - odpowiada mi wtedy szacowny i uczony kolega - uważam, że napisałem bardzo dobrze. Chyba, że ten skrypt jest do d...py.

Za kilka dni kierownik grupy oddał nam nasze prace i okazało się, że mój kolega wcale się nie mylił w ocenie. Ja natomiast, byłem zadowolony z oceny dobrej.

Z taktyki czekało nas jeszcze jedno kolokwium - z działań obronnych pułku, a oprócz tego trzeba było zdać kolokwium z taktyki i techniki wojsk inżynieryjnych, z taktyki i techniki wojsk łączności, z filozofii i socjologii oraz z taktyki i techniki obrony przed bronią masowego rażenia.

Jeszcze trwało przygotowanie do kolokwium z natarcia pułku, a już prowadzono z nami wykłady z działań obronnych. Dopiero co zostało zaliczone kolokwium z natarcia, a trzeba było powtarzać materiał do repetycji z działań obronnych. Tempo nauczania było zawrotne, bo natychmiast po repetycjach następowało pobieranie map, klejenie ich, przenoszenie sytuacji z kalki technicznej na mapy i dalszy tok ćwiczenia głównego jak w poprzednim.

Nie tylko tego typu kłopoty mieliśmy na głowie. Płk Kotus kontrolował sposób przechowywania przez nas dokumentów niejawnych, a od czasu do czasu sprawdzał również nasze pokoje. Zdarzyło się nawet, że w dwóch pokojach (sypialniach) zrobił „lotnika” i część wyposażenia owych pokoi, zwłaszcza przedmiotów osobistych, zamieszkujących tam słuchaczy, znalazło się na korytarzu.

Koledzy takim sposobem załatwienia sprawy poczuli się obrażeni i problem niegodziwego ich potraktowania poruszali przez kilka kolejnych zebrań partyjnych i odpraw służbowych. Jakie konsekwencje poniósł sprawca „lotnika” nie było nam dane się dowiedzieć. Jednakże już nigdy więcej, podobny incydent nie został powtórzony.

Niezależnie od incydentu z „lotnikiem” do funkcji pełnionej przez płk. Kotusa odnosiliśmy się z rezerwą. Braliśmy ją za przejaw etatowej rozrzutności – za niepotrzebną, a jeśli już, to może w dalekiej przeszłości. Tym bardziej, że tacy oficerowie we wszystkich katedrach profilujących nie tylko nie realizowali procesu dydaktycznego, ale i nie byli przełożonymi słuchaczy. W kwestiach dyscyplinarnych mogli jedynie składać propozycje szefowi katedry. Głównym zajęciem płk. Kotusa i zarazem „zmartwieniem” było dbanie o to, aby punktualnie podawano nam posiłki w kasynie. Takie były nasze odczucia.

Nie zdziwiliśmy się więc bardzo, a nawet wyrażali pełne zrozumienie, kiedy już od nowego roku akademickiego, gen. Kuropieska ową funkcję zlikwidował.

## WIZYTA KOMENDANTA NA ZAJĘCIACH W TERENIE

Ćwiczenie z obrony trwało krócej niż z natarcia. Przeznaczono na nie znacznie mniej godzin. Odbyło się też znacznie mniej zajęć. Odpowiadało to bowiem doktrynie naszego „przemożnego sąsiada” i doktrynie Układu Warszawskiego – „Tylko natarciem można rozbić przeciwnika.”

Na jednym z zajęć owej obrony na początku kwietnia, byliśmy w polu. Panowała piękna, słoneczna pogoda. Po przyjeździe ustawiliśmy się na drodze polnej na południowym skraju miejscowości Sienica. Miejscowość mieliśmy za plecami.

Taktycznie, byliśmy w ugrupowaniu pułku, który w styczności z przeciwnikiem przechodził do obrony. Tematem zajęcia

był rekonesans rejonu obrony, precyzowanie decyzji oraz stawianie zadań wykonawcom.

Po orientacji topograficznej i taktycznej, prowadziliśmy rozważania w roli poszczególnych oficerów sztabu i szefów rodzajów wojsk oraz dowódcy pułku. Zajęcie przebiegało z wielkim oporem, ciężko. Wiele aspektów rekonesansu, po prostu nie wychodziło nam. Nasz kierownik grupy bardzo się denerwował. Kilku kolegów zostało ofukniętych podniesionym głosem za słabe przygotowanie się do zajęć. Pokrzykiwanie mjr. Szelağa było tak głośne, że słyszeli je koledzy z pierwszej grupy, ustawionej w znacznej odległości od nas.

Kiedy była przerwa, podszedł do mnie kolega z pierwszej grupy i powiada:

- Słyszeliśmy, że i wam nie wychodzi ten rekonesans. U nas także nie idzie najlepiej. Bąk też ma do nas pretensje, ale kiedy wam spuszczano takie lanie, to powiedział na nasze pocieszenie: „słyszeliście, waszym kolegom z drugiej grupy również nie wychodzi. Powiem wam, że to nie tylko sprawa nie przygotowania się do zajęć, a po prostu to, że obrona zawsze jest trudniejsza do zorganizowania, a tym bardziej w styczności z nieprzyjacielem niż natarcie”.

- Ale odgłosy napiętnowania was przez kierownika grupy, do nas nie docierały - powiadam.

- No tak, to może i prawda, bo nasz kierownik grupy mówi tak cicho, że nawet kiedy podniesie głos, to go słabo słyszymy - oznajmił kolega.

- W czasie zajęć, to nie on się wysila, aby być słyszany, tylko my, nastawiamy uszy i usiłujemy je wydłużyć by go usłyszeć.

Trzeba dodać, że Bąk był zdolnym i bardzo wymagającym nauczycielem. Jego słuchacze czynili więc duże postępy. Podobnie jak Oleksiński, ukończył SKOR piechoty, ale w 1950 r. Już po roku służby w jednostce wojskowej, skierowano go na studia w ASG WP, a po ich ukończeniu pozostawiono (w tym samym czasie, co wymienionego wcześniej Oleksińskiego) do

pracy dydaktycznej w uczelni. Przez kilka lat był kierownikiem taktycznym grupy, bardzo dobrze notowanym. Wtedy, kiedy byliśmy na półmetku I roku studiów (1964), bronił pracy doktorskiej. Spodobał się komendantowi nie tylko jako kierownik grupy, ale i autor ćwiczenia szkieletowego. Dlatego w następnym roku był kierownikiem grupy na Kursie Zintegrowanym, o którym będzie mowa później.

Wróćmy jednak do naszego zajęcia koło Sienicy. Otóż po wspomnianych niepowodzeniach, w dalszym jego toku, wlepialiśmy wzrok w mapy oraz notatki, śledząc uważnie tok referowania. Tymczasem, jak grom z jasnego nieba, tuż obok naszej grupy zjawił się, podjeżdżając samochodem, nowy, w trakcie przyjmowania obowiązków, komendant akademii gen. dyw. Józef Kuropieska wraz z towarzyszącym mu mjr. Oleksińskim.

Podszedł do nas, przyjął meldunek kierownika grupy i polecił dalej prowadzić zajęcia. Posłuchał jak referujemy, a widząc, że nie odrywamy ani na chwilę wzroku od map i notatek, że nie interesujemy się terenem, przerwał referującemu, prosząc jednocześnie aby wskazał w terenie omawiany element ugrupowania bojowego. Ten uczynił to tak nieudolnie, że komendant poprosił następnego o wskazanie owego elementu. Potem innemu polecił wskazać rubież, na której zamierzamy przejść do obrony. To też nie wypadło najlepiej, bo poprawiał kierownik grupy.

- Kiedy jesteście w terenie to, korzystajcie z niego. Należy wiązać z nim i wskazywać to, o czym mówicie, a nie tylko patrzeć w mapę i jedynie z niej korzystać, tak jak byście byli w klasie - zwrócił uwagę komendant nam i równocześnie naszemu nauczycielowi.

- No, ale dobrze, ja się już wyłączam. Prowadźcie dalej! - polecił kierując jednocześnie wzrok na naszego kierownika grupy.

Postał jeszcze przez moment przy grupie, a następnie ruszył w kierunku, gdzie pracowała grupa pierwsza, nie pozwalając przerywać rozważań. Również nie chciał aby mu meldo-

wał kierownik grupy. Znowu powstał, posłuchał, przerwał referującemu i pytał jak u nas, ale tam wypadło nieco lepiej.

Potem, generał podszedł do chłopów, którzy przed naszym frontem w odległości około stu metrów zasiewali jakieś zboże jare na polu. O coś ich pytał, coś im tłumaczył, do czegoś może przekonywał. Był przecież posłem tej ziemi i nadarzyła się dobra okazja, aby porozmawiać ze swoimi wyborcami, a może zasięgnąć opinii w określonej sprawie. Odległość nie pozwalała słyszeć o czym z nimi rozmawiał.

Po rozmowie z chłopami odjechał. Miał widocznie dość naszego nieciekawego referowania.

Ani my, jako słuchacze, ani nasz kierownik grupy, nie czuliśmy zadowolenia z wizyty komendanta. Nawet grupa pierwsza, choć u nich wypadło lepiej, wcale nie była uszczęśliwiona. Jak się niebawem okazało, komendant również z wizyty u nas nie był rad, bo przez pewien czas na odprawach, nawiązywał do naszych braków, a zwłaszcza nieumiejętności korzystania z dobrodziejstw jakich w rozważaniach taktycznych dostarcza teren.

Jakby nie było dość niepowodzenia dydaktycznego, to na dodatek gdzieś, nam się zapodział kierownik taktyczny kursu i nie był obecny przy niefortunnym przepytывaniu nas przez komendanta. Miał rzekomo ustalać, a raczej rozpoznać miejsce do prowadzenia kolejnego zajęcia w terenie.

Po zajęciach, zwłaszcza podczas powrotu do Rembertowa, głównym problemem, gorąco dyskutowanym była osoba nowego komendanta.

- Jak to jest? - pyta jeden z kolegów. - Tamten komendant taki szacowny generał, że się chyba nie lubi zajmować drobiazgami. Zobaczyliśmy go na inauguracji i wystarczy. A ten, jeszcze nie przyjął obowiązków, a już go przyniosło do nas na zajęcia w polu. - Czy on nie ma nic lepszego do roboty?...

- Bo to jest generał polowy - odpowiada, pochodzący z okręgu warszawskiego.

- Zobaczycie co ten stary będzie tu wyprawiał. Był właśnie moim dowódcą okręgu, to wiem, ile nam robił alarmów i ćwiczeń - dodaje.

- Tak, tak, słyszałem, że ten Kuropieska lubi tego rodzaju „wyglupy”. Tak właśnie o nim mówią - powiada Kalski.

- Ale w przypadku naszego zajęcia, to trzeba mu przyznać rację. No bo jak to, pracujemy w terenie, a nosy wtykamy w kajety i mapy, dukamy niczym w klasie - dodaje,

- Moim zdaniem nie masz racji, ty, ani komendant, bo czy my jesteśmy już na tyle przygotowani, aby referować bez tego, jak mówisz, kajetu? - powiada na to Walinowicz.

- No patrzcie, żeby tak od pierwszej chwili zając się słuchaczami i prowadzonymi w polu zajęciami.

Po wizycie komendanta, w naszej nauce nic się nie zmieniło. Tylko, że dość często odwiedzał on kolejne grupy z różnych lat studiów w toku zajęć. Wpadał i do nas.

Pewnego razu, na przykład, kiedy wygłaszał nam wykład ze służby sztabów kierownik tego zespołu dr nauk wojskowych, późniejszy generał, oficer bardzo zdolny i jak nam się wydawało głoszący wykład z wielkim znanstwem przedmiotu oraz wielką swobodą, do sali wszedł gen. Kuropieska. Wykładowca tak bardzo się wtedy zmieszał, że nie bardzo wiedział co uczynić. Dopiero po chwili wahania, podniósł nas i zamierzał zameldować, ale generał dał znak ręką aby dalej prowadził wykład. Sam natomiast przysiadł na jednym z wolnych miejsc i słuchał.

Zaskoczenie wykładowcy nie minęło. Zmieszał się kompletnie. Zgubił wątek i nie potrafił do niego wrócić. Nic mu się ten wykład nie kleił, chwilami mówił bez sensu. Ba, do końca już nie odzyskał poprzedniej równowagi i swobody zachowania. Czytał, ale to tak wyglądało, jak by improwizował. Widać było, że przechodzi ogromne męczarnie. Dyskutowaliśmy po zajęciu dociekając przyczyny takiego zachowania się, tak pewnego siebie i, jak nam się wydawało, doskonale przygotowanego wykładowcy.

Po niedługim czasie ów nauczyciel odszedł z akademii.

## DALSZY TOK ĆWICZEŃ

Ćwiczenie z obrony trwało. Po kilku zajęciach odbytych w klasie, pojechaliśmy znowu w teren. Wypadło nieco lepiej niż poprzednio. Byliśmy bogatsi w wiedzę i mieliśmy więcej doświadczenia. Jednakże zróżnicowanie między nami w zakresie przygotowania, stało się jeszcze wyraźniejsze. U większości z nas praca nad przygotowaniem się do zajęć w ćwiczeniu była mało wydajna. Marne były nasze umiejętności manualne, tak bardzo potrzebne w pracy na mapie. Właśnie to decydowało o naszej wydajności w toku przygotowania się do zajęć.

Na szczęście byli i tacy jak wspomniałem wcześniej, którzy dawali sobie z tym radę zupełnie dobrze. W drugiej grupie do takich należeli: Jaworski, Kalski i Sujecki. Jaworski przybył na studia z Lublina, gdzie był pomocnikiem szefa sztabu pułku do spraw operacyjnych. Oficer średniego wzrostu, energiczny i bardzo zdolny. Nie napotykał na trudności w przyswajaniu nowego materiału. Podobnie bardzo dobrze radził sobie z pracą na mapie. Nie rwał się jednak do współdziałania, a tym bardziej do pomocy innym. Nie dzielił się też wnioskami z przeprowadzonej oceny położenia. Chyba, że z dwójką oficerów, którzy mieszkali z nim w pokoju, na przykład z Walinowiczem. Dlatego też koledzy z grupy za nim nie przepadali.

Inny był Kalski. Wywodził się z KBW i należał do najzdolniejszych na kursie. Był także bardzo koleżeński i uczynny. Dlatego też mieliśmy od niego wcale dobrą pomoc, zwłaszcza w tym początkowym i dla niektórych najtrudniejszym okresie. Wraz z nim na kursie było jeszcze dwóch bardzo zdolnych „kabeśniaków” Ostrowski i Urbańczyk. Często dyskutowali razem nad sytuacją taktyczną, która była przedmiotem naszych zajęć. W sytuacjach trudnych kiedy problem nie dawał się „ugryźć” wołali do pomocy, a najczęściej udawali się do swoich kolegów starszego rocznika i dostawali pomoc.

Podbudowany w ten sposób nasz Włodziu Kalski wracał i innych wspierał pomocą. Dziwiliśmy się niekiedy, że ten, nie

dość że niewielkiego wzrostu, bardzo szczupłutki oficer potrafi tyle energii i zapału z siebie wydobyć.

Po ćwiczeniu z obrony trzeba było zdać kolokwium i to nie jedno. Na przykład z taktyki ogólnej w zakresie działań obronnych u mjr. dypl. Szelağa, z taktyki i techniki wojsk inżynierskich u mjr. inż. Mańkowskiego, z obrony przed bronią masowego rażenia u mjr. dypl. Kielbia. Do tego jeszcze kilka przedmiotów zaliczyć. Oczywiście, odbywało się to w pewnych odstępach czasowych, ale mimo to, wymagało wytężonej pracy nad przygotowaniem się do nich.

Tymczasem jeszcze nie zdążyliśmy dobrze odetchnąć i głębiej wciągnąć powietrze, a tu nadeszło ćwiczenie sprawdzające z działań zaczepnych i obronnych. Już na kilka dni przed ćwiczeniem, na kursie panował wielki niepokój. Zastanawiano się, co to za ćwiczenie, kto jest autorem, to jest, które to z ćwiczeń sprawdzających zostanie wydane do rozwiązania w tym roku. Było ich podobno kilka. Takie opinie były rozpowszechniane i nigdy nie było wiadomo, które trzeba będzie rozwiązywać. Jak się potem okazało, była to tylko plotka, która miała zniechęcić do poszukiwania gotowego rozwiązania.

Niektórzy, bardziej przedsiębiorczy, czynili wysiłki, aby zdobyć do niego „kości”. Prawdopodobnie i tym razem potrafili tego dokonać.

Kiedy jednak do ćwiczenia już doszło, to się okazało, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, aczkolwiek na początku każdy z nas stosunkowo długo czytał założenie, potem wszyscy nadmiernie podkolorowywali sytuację i nikt się nie mógł odważyć wyrazić oceny nieprzyjaciela i swojej decyzji. Ponieważ odstępstwa między stołami były niewielkie, to jeden drugiemu zaglądał w mapę i dokładnie kontrolował czego sąsiad na niej dokonał.

Nareszcie, ruszył z pracą Jaworski, ruszył też Kalski, również i Sujewski wykazał swoją odwagę i samodzielność. W miarę jak czynili oni na swoich mapach postępy, to i nasze nabierały rumieńców. Były jednak przesunięte w fazie i niekiedy bardzo

odbiegały swoją dokładnością oceny, kierunkami uderzeń własnych pododdziałów i poprawnością wykorzystania terenu.

Warto dodać, że do ćwiczenia sprawdzającego otrzymaliśmy mapy z wydrukowaną sytuacją, to jest z położeniem wojsk własnych i nieprzyjaciela, które były już sklejone w komplety. Do tego, jak przy każdym ćwiczeniu, potrzebne było założenie. Do nas należało zapoznanie się z sytuacją taktyczną, z założeniem, wypracowanie decyzji oraz napisanie rozkazu bojowego.

Nie było łatwo, ale większość z nas potrafiła się z tym uporać, zawdzięczając to w dużej mierze pomocy wspomnianych wyżej kolegów oraz sprzyjającym okolicznościom.

Kilka dni po ćwiczeniu i zdaniu kolejnego kolokwium, wysłuchaliśmy wykładów na temat: „Forsowanie przeszkody wodnej przez pułk z marszu”. Były to wykłady z taktyki ogólnej, z taktyki wojsk inżynieryjnych, taktyki artylerii i taktyki wojsk obrony przeciwlotniczej. Odbyły się też z tego zakresu repetycje.

Do każdego z nich, podobnie jak do seminarium, dano nam trochę czasu na przygotowanie się. Nie pamiętam jak dużo go było (jeden-dwa dni). Były także konsultacje, ale lepiej nazywać je instruktażem. Sprowadzały się najczęściej do udzielania wskazówek z jaką literaturą należy się zapoznać oraz przebiegiem repetycji. Wykładowca udzielający instruktażu, czy konsultacji, oczekiwał też od nas pytań oraz problemów, stwarzających nam trudności w przygotowaniu się. Najczęściej na tym etapie nie byliśmy jeszcze tak dobrze zorientowani, dlatego tych pytań nie potrafiliśmy formułować. Wtedy nauczyciel zapowiadał, iż gdyby owe trudności nastąpiły, to możemy się do niego zwrócić, a on będzie próbował nam pomóc.

Przygotowywaliśmy się zwykle w małych grupach samokształceniowych, według doboru koleżeńskiego, międzygrupowego. Najczęściej bywałem w grupie ze Zbyszkim Sawickim, Kurkowskim, Kurkiewiczem, Urbańczykiem i Ostrowskim. Przy pogodzie słonecznej zabieraliśmy koce i rozkładaliśmy je na polance okolonej lasem i porośniętej trawą, a gdzie

obecnie działkowicze uprawiają swoje warzywa i owoce. Rozneglizowani do kąpielówek toczyliśmy dysputy, pogłębiając i utrwalając materiał. Był to bardzo wydajny sposób przygotowania się.

Niebawem, jeszcze podczas repetycji, wydano nam materiały do kolejnego ćwiczenia głównego, na temat „Forsowanie przeszkody wodnej przez pułk”. Tak samo jak do ćwiczeń poprzednich, trzeba było kleić mapy i przerysowywać sytuację z kalki na mapę.

Tym razem również musieliśmy stracić dużo czasu na pracę mechaniczną, ale nikt nie narzekał. Wmawiano nam, że to najlepszy sposób nauczania pracy na mapie, a myśmy byli przekonani, że to zbyt duża strata czasu.

Ćwiczenie było stosunkowo krótkie. Bodaj na dwóch zajęciach byliśmy w terenie, z których jedno dotyczyło rekonesansu odcinka forsowania Narwi w rejonie Popowa. Ten odcinek miał być wkrótce zalany i akurat usuwano drzewa w miejscu przyszłego Zalewu Zegrzyńskiego.

Przed rozpoczęciem zajęcia, kierownik taktyczny kursu informował, że w tym rejonie forsował II Front Białoruski pod wodzą marszałka Rokossowskiego.

## ĆWICZENIE SZKIELETOWE

Pod koniec czerwca, albo na początku lipca 1964 r., odbyło się ćwiczenie szkieletowe. Zanim jednak do niego doszło, odbyliśmy trening na dokumentach tajnego dowodzenia i przy wykorzystaniu środków łączności. Prowadził go zakład służby sztabów.

Już następnego dnia po treningu pobieraliśmy materiały: mapy, założenia, dokumenty tajnego dowodzenia, a po kilku dniach załadowaliśmy się na samochody i wyjechaliśmy w teren, na pierwsze stanowisko dowodzenia (SD) pułku czołgów.

Miejsce pracy dowództwa pułku było w namiocie, w następnym spanie. Do tego transporter opancerzony jako środek transportu i dowodzenia dowódcy. Ponadto kilka samochodów ciężarowych, przenośne radiostacje i odpowiednia ilość aparatów telefonicznych oraz kuchnia i namiot kasynowy. Takie było nasze stanowisko dowodzenia rozlokowane w wysokopiennym lesie.

Przy naszym SD rozlokowało się kierownictwo ćwiczenia z „podgrywkami”, a w niedalekiej odległości kolejne ćwiczące dowództwo zorganizowane z pierwszej grupy.

Po przybyciu na polowe SD mieliśmy nieco czasu na zapoznanie się z sytuacją taktyczną. Potem napływały informacje od dowódców kompanii o położeniu wojsk własnych i nieprzyjaciela, od sąsiadów w styczności z nieprzyjacielem, a także od elementów rozpoznania.

Występowałem w roli oficera operacyjnego. Dowódcą był Sujecki, a rozpoznawczego i innych nie pamiętam.

W godzinach popołudniowych wezwano nas do sztabu dywizji (kierownictwa ćwiczenia) i przekazano zadanie. W roli dowódcy dywizji wystąpił mjr Bąk autor ćwiczenia, aczkolwiek kierownikiem ćwiczenia był szef katedry. Potwierdzeniem ustnego zadania był wręczony nam, pisemny rozkaz bojowy.

Zadanie pułku polegało na wejściu do walki jako drugi rzut dywizji, w celu spotęgowania uderzenia, rozbicia sił nieprzyjaciela na podejściach do rzeki Liwiec, sforsowaniu jej w rejonie Paplina (na północ od Wągrowca) i działaniu na Małkinię.

Późnym popołudniem meldowaliśmy decyzję i stawialiśmy zadania wykonawcom. Wysłuchiwało kierownictwo ćwiczenia z szefem katedry płk. Kurniewiczem na czele.

Meldowanie miało spokojny przebieg, aczkolwiek szef katedry miał kilka pytań dodatkowych. Pytania zadawali również rozjemcy. Prawie wszystkim ćwiczącym przypadło odpowiadać na pytania. Najwięcej jednak był indagowany dowódca, ja jako operacyjny, oficer rozpoznawczy, szef saperów i kwater-

mistrz. Kierownictwo było zadowolone z naszych odpowiedzi co nas nie tylko usatysfakcjonowało, ale bardzo podniosło na duchu i dodało pewności siebie.

Następnego dnia w godzinach przedpołudniowych udawaliśmy się na rubież wejścia pułku do walki. Po drodze zatrzymał nas komendant akademii gen. Kuropieska i wypytywał: mnie o położenie pułku, rozpoznawczego o ocenę nieprzyjaciela, a dowódcę o zamiar.

Nasze meldunki były krótkie, z wyjątkiem dowódcy, który meldował swoją decyzję, bo tego rodzaju subtelności jak zamiar, nie były nam znane na tym etapie naszej edukacji taktycznej. Potem komendant nakazał realizować przemieszczanie się na nowe miejsce. Bardzo byliśmy radzi, że niczego więcej od nas nie żądał, bo przecież mogliśmy się poplątać. Tym bardziej, że nasz główny rozjemca, ciągle nam towarzyszący, okazywał niezadowolenie, a my w wyznaczonych rolach czuliśmy się niepewnie.

Wieczorem rozjemca zmienił nam funkcje. Miałem być szefem zabezpieczenia chemicznego. Tymczasem Kalski, wyznaczony na operacyjnego, prosił rozjemcę aby mnie pozostawił w „działce operacyjnej”, dla dobra ćwiczenia. Mnie wcześniej prosił, aby przyjąć tę funkcję i być odpowiedzialnym za utrzymanie łączności oraz opracowywanie meldunków.

Nie mogłem odmówić. Tym bardziej w sytuacji, gdy niektórzy koledzy jakoś sobie nie radzili z „tabelami rozmównicznymi”, a ja podobno zupełnie dobrze w tym się poruszałem.

W kolejnym dniu ćwiczenia i na którymś z kolei SD, gościł u nas gen. Kuropieska, przysłuchiwał się i przyglądał naszej pracy, a zwłaszcza składaniu meldunków przez oficerów sztabu i meldunku decyzji dowódcy, składanych rozjemcom, z mjr. Szelągiem na czele.

W pewnym momencie włączył się do tego „przepytowania”. Podobno chciał od oficerów sztabu usłyszeć zamiar dowódcy. Co który zameldował, to nie było wystarczająco jasne, a co najgorsze przedstawiane zamiary, a lepiej powiedzieć de-

cyzje, bardzo się od siebie różniły. Toteż komendant pytał kolejnych. Nie bardzo się orientowałem o co chodzi, bo byłem zajęty przyjmowaniem meldunków przez radiostację w kącie namiotu, ze słuchawkami na uszach. Szarpnięty za rękaw przez kogoś, odwróciłem głowę i z gestu zrozumiałem, że wołają mnie do stołu, przed oblicze przełożonych. Odłożyłem więc słuchawki i zameldowałem się, a komendant powiada:

- Zameldujcie, co byście zrobili w tej sytuacji w roli dowódcy pułku.

- Czy mogę się trochę zastanowić obywatelu generale?...

- Dobrze zastanówcie się, tylko aby nie za długo - odrzekł generał.

- O co tu idzie?... - myślałem.

- Oderwali mnie od radiostacji i pytają?... Dlaczego?... Czy to rodzaj jakiegoś egzaminu?... No, ale teraz nie czas na takie rozważania! - przynagliłem siebie i analizowałem pośpiesznie wyraźnie przedstawioną na mapie sytuację.

Była ona arcyciekawa z dydaktycznego punktu widzenia. Natomiast taktycznie wielce skomplikowana dla dowództwa pułku. Niecałe dwie kompanie czołgów były już na przeciwległym brzegu, ale naciskane ze skrzydeł przeważającymi siłami nieprzyjaciela... Kolejna uzupełniała zapasy i mogła wejść do walki za dwie - trzy godziny. Następne dwie kompanie rozwinęte na południowym brzegu odpierały zbieżny kontratak nieprzyjaciela. Przeprawa w bród została zerwana uderzeniami lotnictwa przeciwnika.

- Mogę zameldować obywatelu generale?...

- No meldujcie, przecież ja czekam kiedy mi zameldujecie - powiada na to komendant.

„Oceniam, że największą groźbę dla pułku stanowi zbieżny kontratak przeciwnika na południowym brzegu przeszkody wodnej. Może on, w początkowej fazie, odciąć siły główne pułku od przeszkody, a w następnej kolejności, rozbić te siły, które są już za przeszkodą. Odzyskując południowy brzeg rzeki

wprowadzić tu kolejne siły i rozwinąć działanie w kierunku południowym.

Zamierzam, uderzeniem kompanii odwodowej na kontratakującego nieprzyjaciela z prawego skrzydła, rozbić go wspólnie z broniącą się tam kompanią czołgów. Utrzymując w ten sposób południowy brzeg rzeki, przenieść uderzenie na rozbicie nieprzyjaciela kontratakującego na lewe skrzydło pułku. Równocześnie ogniem artylerii oraz uderzeniem lotnictwa, a następnie ogniem kompani czołgów z południowego brzegu, wesprzeć siły działające za przeszkodą w celu utrzymania przyczółka”.

- A czy kompania w odwodzie może już uderzyć?...

- Tak jest, obywatelu generale. Amunicja została jej uzupełniona jak wynika z otrzymanego meldunku. Jeśli natomiast idzie o paliwo to starczy go na krótkie uderzenie - odpowiedziałem.

Komendant dał mi już spokój, ale rozjemca z katedry tyłów powiada:

- Czy ja dobrze zrozumiałem? Obywatel major zamierza uderzyć kompanią czołgów, która przystępuje do uzupełnienia paliwa?...

- Tak jest! Zdecydowałem się uderzyć bez uzupełniania paliwa. Należy bowiem uderzyć natychmiast, bo zanim go uzupełnimy uderzenie może stać się niemożliwe. Tym bardziej, że na krótkie uderzenie paliwa starczy.

- A czy to jest zgodne z obowiązującymi zasadami?...

Nie pamiętam już dalszego toku pytań i odpowiedzi, ale nauczyciel nie był ukontentowany. Potem włączył się mój kierownik grupy, główny rozjemca:

- Czy wy macie lotnictwo w swojej dyspozycji?...

- Nie mamy, ale ma dywizja, i uważam, że dowódca tak bardzo zależy na opanowaniu przyczółka oraz rozwinięciu działań w kierunku północnym, że użyje tego lotnictwa na naszą korzyść.

Odchodząc od stołu, oczywiście za przyzwoleniem przełożonych, miałem wrażenie, że komendant nie miał do mnie urazy za zamiar, ani za odpowiedzi na zadawane mi pytania. Niezadowolenie widziałem u innych, zwłaszcza u głównego rozjemcy, który powstrzymał się jednak od kąśliwych uwag. Odbił sobie to wszystko nieco później, po odejściu komendanta, wytykając skromną wypowiedź, zwłaszcza w zakresie decyzji. Trudno to nawet nazwać decyzją. Za największe uchybienie uważał jednak moje dążenie do kontynuowania działań zaczepnych, podczas gdy pułk takich możliwości już nie posiadał.

- Łatwo mu mówić... - myślałem sobie.

Ja byłem nawet zadowolony z siebie, że mi się udało jakoś wybrnąć z tego pomysłu na przepytywanie, przy takim zaskoczeniu. Na moje szczęście pretensje kierował nie tylko do mnie, bo pozostali przepytywani również nie wypadli najlepiej, a przecież nie byli tak, jak ja zaskoczeni.

Jak się okazało, zanim zostałem poddany temu „przepytaniu”, rozjemca prawie „gwałcił” moich poprzedników, aby przechodzili do obrony. Tymczasem oni, podobnie jak ja, chcieli działać zaczepnie.

Plan ćwiczenia przewidywał bowiem przejście do obrony, po opanowaniu południowego brzegu rzeki Liwiec. Myśmy natomiast dążyli do realizacji zadania postawionego wcześniej przez dowódcę dywizji.

W toku ćwiczenia dało się wyraźnie zauważyć, że komendant akademii nie darzy sympatią szefa Katedry Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej. Nigdy nie występowali u nas razem. Początkowo sądziliśmy, że dzielą się uczestnictwem w zespołach ćwiczących, aby uzyskać dokładniejszy przegląd naszego przygotowania. Dalsze obserwacje potwierdziły pierwotne przypuszczenia, bo oni nawet w czasie posiłków, ani podczas poobiedniego odpoczynku nie siedzieli razem. Zdarzyło się, na przykład widzieć ich odpoczywających w cieniu drzew, w pobliżu namiotu kasynowego. Jednakże jeden z nich siedział przy

stoliku wystawionym z namiotu po jednej jego stronie, a drugi po przeciwnej. Od kwietnia następnego roku, szefem Katedry Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej został płk dr Kazimierz Nozko.

Dopiero po latach dotarły do mnie informacje, że nowy komendant nie doceniał płk. Kurniewicza. Miał o nim wręcz bardzo złe zdanie. Uważał, że szefem katedry nie mógł być oficer, który jest mianowanym profesorem i posiada duże doświadczenie w pracy sztabowej, ale ASG WP ukończył jako ekstern, będąc jednocześnie szefem katedry Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej.

Pewnego razu udałem się do namiotu kierownictwa, aby wyjaśnić jakąś kwestię dotyczącą położenia wojsk sąsiada. Jakież było moje zdziwienie kiedy odesłany do autora zastałem go już w łóżku, a tymczasem była dopiero godzina dwudziesta pierwsza. Jeszcze nie spał i wyjaśnił mi wszystko co mnie interesowało.

Ćwiczenie zakończono po kilku dniach tuż przed obiadem. Z dużym zadowoleniem oddawaliśmy mapy i inne dokumenty niejawne, bo dopiero po rozliczeniu się z nich, można było zaznawać pełni szczęścia - jak to niektórzy mówili. Czyściliśmy więc obuwie mocno zakurzone, szorowaliśmy się dla odświeżenia i podążaliśmy na ostatni na tym ćwiczeniu obiad. Przed nami spożyła go kadra po czym udała się na odprawę z komendantem. Należy przypuszczać, że była to rada pedagogiczna, na której odbyło się ostateczne wystawienie ocen, jednakże w owym czasie tak tego nie nazywano, albo takie określenie do nas nie dotarło.

Przy sygnale o zakończeniu ćwiczenia przekazano nam szereg informacji. Między innymi i to, że po spożyciu posiłku mamy zabrać swój ekwipunek i wraz z nim przybyć do samochodów ustawionych w kolumnie do odjazdu i czekać na przybycie kadry. Razem z nią mieliśmy odjechać do Rembertowa.

Zapowiedziano również, aby się nie ociążać z przybyciem do samochodów jako, że kadra przybędzie tam niebawem.

Tymczasem stało się nieco inaczej, bo musieliśmy bardzo długo czekać na naszych przełożonych. Co prawda nie czuliśmy się z tego powodu zawiedzeni. Jedni bowiem roztrząsali jeszcze swoje ostatnie rozwiązania, inni ucinali drzemkę, uzupełniając nieprzespaną noc, a jeszcze inni – dyskutowali o sprawach bardzo odległych tematycznie od co tylko zakończonego ćwiczenia. Piękna słoneczna pogoda, dawała miły odpoczynek w cieniu drzew tuż przy leśnej drodze. Mimo to oczekiwanie stało się zbyt długie, jak na naszą ocenę, i mieliśmy tego czekania dość.

- No, koledzy, pobudka. Idą nasi wykładowcy – krzyczał jeden z grupy.

- Popatrzcie, jak ich ten Kuropiecha wytrzymał – powiada drugi.

Na razie, ponieważ nie było potrzeby, wszyscy przyjęliśmy postawę siedząc i obserwowaliśmy zbliżających się nauczycieli. Czynili to bardzo wolno jak nam się wydawało, a na ich twarzach raczej nie było zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku. Za taki właśnie obowiązek uważaliśmy odbyte ćwiczenie szkieletowe.

- Cóż to?... – myślałem sobie.

- Nie cieszą się, że ćwiczenie się skończyło?...

- Wiecie co? Coś mi się wydaje, że nasi wykładowcy są jacyś przygnębieni po tej odprawie – wyraża jeden z kolegów swoje spostrzeżenie.

- Ja podejrzewam, że komendant, zamiast im podziękować, wyróżnić kilku z nich nagrodami, jak to się zwykle dzieje w takich okolicznościach, zwłaszcza na ćwiczeniu, to ich zganiał – mówił kolejny.

Przygnębnionym wydał się nam Szelaż nasz główny rozjemca. Prawie do nas nie mówił.

Wkrótce wsiedliśmy do samochodów a w trakcie jazdy dyskutowaliśmy dalej, snując przeróżne domysły. Przede wszystkim dochodziliśmy do wniosku, że nasz zespół ćwiczący

został źle oceniony przez komendanta i że Szelańg czuje do nas żal, iż musiał wysłuchiwać za nas nieprzyjemności. Tym tłumaczyliśmy również fakt, że kierownik grupy nie podał nam nawet ocen za ćwiczenie, aczkolwiek zapowiadał, że uczyni to przy samochodach przed powrotem do garnizonu. Przekazał je nam dopiero po kilku dniach, ale nie omawiał.

## EGZAMIN

Po powrocie z ćwiczenia porządkowaliśmy sprawy, a między innymi swoje indeksy uzyskując wpisy o zaliczeniach. Wprawdzie zaliczanie przedmiotów odbywało się w toku całego roku, bo na każdy z nich był wyznaczony termin, jednakże niektórzy z kolegów nie mieli wszystkich zaliczeń i teraz musieli je uzupełnić. Natomiast nauczyciele zaglądali przy tej okazji do swoich notatników i dodatkowo niektórych przepytawali. Oczywiście, tak postępowali tylko z tymi, którzy w toku odpowiednich zajęć okazali się do nich nieprzygotowani.

Nasz stosunek do zaliczeń był różny. Bardzo niechętnie byliśmy nastawieni do matematyki. Jakkolwiek było to tylko zaliczenie, to jednak na każdym ćwiczeniu byliśmy wywoływani do tablicy i rozwiązywaliśmy zadania. Niektórym każda porcja nowego materiału sprawiała kłopot, a nasz pan magister (nie pamiętam nazwiska) poczuwał się do obowiązku wyczerpania całego programu łącznie z rachunkiem prawdopodobieństwa i pytał nie tylko tych co sobie dawali radę.

Sytuacja była dla niektórych tym bardziej nieprzyjemna, że na te zajęcia do naszej grupy, wprosił się kpt. mgr Jan Nowakowski, który nas uczył automatyzacji i mechanizacji pracy sztabowej.

Jak się okazało, studiował on w tym czasie matematykę na UW i wraz z nami, ale jako wolny słuchacz, odbywał dodatkowe ćwiczenia z tego przedmiotu. Jego obecność bardzo nas

krępować. Przez długi czas bowiem, nie wiedzieliśmy jaka jest jego rola na naszych ćwiczeniach. Tym bardziej, że dał nam się poznać jako oficer zdolny, pięknie i precyzyjnie wyrażający swoje myśli. Nikt z nas nie chciał być w jego oczach słabyszem.

Pośrednio jego obecność przyczyniała się do lepszego opanowania materiału, ale myśmy tego nie doceniali i byliśmy bardzo niezadowoleni.

Zaliczaną technikę czołgową prowadził nie tylko zdolny, ale wyjątkowej grzeczności i akuratności oficer, absolwent WAT ppłk inż. Łęcki. Zajęcia z nim były przyjemne mimo, że jako czołgiści, uważaliśmy ten przedmiot za niepotrzebny w uczelni wyższej.

Kolokwia wymagały solidnego przygotowania się, a więc i czasu. Na szczęście były one tak rozłożone w czasie, że przypadało mniej więcej jedno kolokwium w miesiącu.

Za najbardziej nieprzyjemne, przynajmniej w naszej grupie, uważaliśmy kolokwium z OPBMr. Trudno powiedzieć, dlaczego tak było, ale wszystko co ono obejmowało, wydawało się nam jakieś enigmatyczne. W programie przeznaczono na nie niewiele godzin.

Tymczasem nasz nauczyciel mjr dypl. Józef Kiełb okazał się wyjątkowo i bezlitośnie wymagający. W toku zajęć grupowych, kiedy wysłuchiwał „poderwanego” do odpowiedzi, odznaczał sobie w swoim konspekcie omawiane przez referującego kwestie i kiedy ten zameldował „skończyłem” mówił:

- Może i obywatel major skończył, ale jeszcze dalece nie wyczerpał zagadnienia. Za taką odpowiedź mogę postawić ocenę dostateczną z dwoma minusami.

Na kolokwium okazywał jeszcze większe niezadowolenie z naszych odpowiedzi i obdarowywał „cieniutkimi” ocenami. Bardzo dobrych ocen nie stawiał nam w ogóle, a czwórki należały do rzadkości. Inna sprawa, że jak wspomniałem, pasjonatów tego przedmiotu wśród nas nie było.

Egzaminów rocznych na I roku studiów było trzy. Jeden z nich trzeba było zdać już w lutym u ppłk. mgr. Sidora z wybranych zagadnień pedagogiki i psychologii oraz z dydaktyki wojskowej. Bardzo miłe wspominał ten egzamin, jak również prowadzone przez niego seminaria, o czym wspominałem wcześniej.

Wszystko co ten oficer głosił i czego od nas żądał było jasne i klarowne. Emanowała od niego szeroka wiedza oraz wysoki stopień inteligencji. To właśnie on pokazał możliwość tworzenia swobody i miłej dyskusji na zajęciach seminaryjnych.

Kolejny egzamin, ale dopiero w czerwcu, zdawaliśmy z topografii wojskowej u ppłk. dypl. Piechowicza. Był to ogromny pasjonat przedmiotu. Odbyliśmy z nim sporo ćwiczeń, zwłaszcza z zakresu odczytywania zdjęć lotniczych. Miał ambicje zrobić z nas specjalistów w tej dziedzinie. Dlatego wielu z moich kolegów musiało po kilka razy powtarzać ćwiczenia. Podobne wymagania stosował w czasie egzaminu. Nic dziwnego, że na przygotowanie się do owego egzaminu strawiliśmy wiele czasu.

W ostatnich dniach lipca mieliśmy zdać egzamin obejmujący jednocześnie: taktykę ogólną i taktykę rodzajów wojsk oraz rozpoznanie wojskowe i armie obce. Do przyjęcia tego egzaminu, na każdą grupę szkoleniową, wyznaczono oddzielną komisję. W naszej grupie, przewodniczył komisji ppłk dypl. Mieczysław Manejkowski był szef oddziału operacyjnego POW. Członkami komisji byli:

- mjr dypl. Tadeusz Przychodzeń, jako przedstawiciel zespołu służby sztabów, stosunkowo młody wykładowca ale po kilkuletniej praktyce na stanowisku szefa sztabu pułku,

- mjr dypl. Marian Szelağ, kierownik grupy,

- mjr dypl. Józef Kiełb, przedstawiciel Katedry Wojsk Chemicznych. Spokojny, powolny, ale wyjątkowa piła - absolwent akademii radzieckiej, - mjr inż. Mańkowski, oficer spokojny, delikatny i taktowny. Absolwent WAT.

Przed egzaminem było kilka dni wolnych, które wykorzystaliśmy na przygotowanie. Czynieśmy to we wspomnianych

już grupach samokształceniowych i to przynosiło dobre rezultaty.

Nadszedł wyznaczony dzień. O 8.00 zbiórka w sali grupowej. Przewodniczący podkomisji dał krótkie wytyczne związane z organizacją i przebiegiem egzaminu. Trzech pierwszych z listy pozostało w sali, a pozostali oczekiwali na korytarzu na swoją kolejność.

Na stole przed komisją leżały rozłożone bilety z pytaniami. Obejmowały one 2-3 pytania z taktyki ogólnej oraz 2-3 wybiórczo z: rozpoznania wojskowego i armii obcych, taktyki wojsk inżynieryjnych, taktyki wojsk łączności, taktyki i techniki OPBMR, służby sztabów.

Na wybrane (wyciągnięte) pytania można było się przygotować, nawet zrobić plan odpowiedzi. Czasu na przygotowanie pozostało tyle, ile zabrały go odpowiedzi dwóch poprzedzających kolegów.

Kiedy się zameldowałem do odpowiedzi na wylosowane pytania i, kiedy pozwolono mi referować, zauważyłem, że byłem pilnie obserwowany przez członków komisji.

- Co u licha, czym ja zwróciłem na siebie ich uwagę?... chodziła mi myśl po głowie.

- Może mam krawat źle zawiązany, albo guziki od munduru nie pozapinane?...

Peszyło mnie to, ale postanowiłem niczego nie sprawdzać i niczego nie zmieniać, tylko referować kolejne zagadnienia, jak przewiduje mój plan odpowiedzi.

- Jeśli oni nie zwracają mi uwagi, to ja tym bardziej nie powinienem niczego czynić - postanowiłem zdecydowanie.

Bardzo się starałem odpowiadać zwięźle, krótko i co jeszcze ważniejsze, nie gubić tematu. Do moich wynurzeń, komisja nie miała zastrzeżeń, a co jeszcze ważniejsze, nie przerywano mi wypowiedzi. Tylko kierownik grupy, po zakończeniu odpowiedzi na pytania z taktyki ogólnej, zadał mi dodatkowe pytanie. Odpowiedziałem widocznie zadowolająco, bo więcej mnie nie indagował.

Przy odpowiedzi z taktyki rodzajów wojsk, tylko mjr Kielb miał zastrzeżenia i musiałem mu udzielić dodatkowych wyjaśnień.

Natężenie obserwacji mojej osoby przez członków komisji nie słabło, zwłaszcza Przychodzeń czynił to bardzo wnikliwie i na zakończenie zadał mi pytanie dotyczące współpracy dowódcy pułku z oficerami jego sztabu podczas wypracowania decyzji i kierowania walką (nie pamiętam dokładnie tego pytania). W odpowiedzi poruszyłem nie tyle powinności tych oficerów, wynikające z regulaminu, podległości i przełożenia, ile konieczności wzajemnego zrozumienia, poznawania możliwości psychofizycznych jako niezbędnych elementów do uzyskania dużej wydajności pracy i skuteczności działania danego zespołu. Uwypukliłem w tym rolę dowódcy, jego przygotowanie, możliwości psychiczne i fizyczne oraz oddziaływanie na otoczenie.

Dopiero po kilku latach, gdy jako wykładowca znalazłem się w zespole nauczycieli razem z Przychodzeniem, dowiedziałem się, że owe zainteresowanie się moją osobą wywołał fakt przedstawienia mojej sylwetki przez kierownika grupy w zgoła odmiennych barwach niż sam się zaprezentowałem.

Nasze zakończenie roku nie przynosiło nam poczucia szczęścia i zadowolenia.

Zarówno słuchacze jak i nauczyciele byli przygnębieni atmosferą egzaminów i zwolnieniami słuchaczy. Nigdy dotąd podobno się nie zdarzyło w historii ASG WP, aby zwalniano ze studiów po pierwszym roku za uzyskanie słabych wyników.

Tymczasem w naszych warunkach po pierwszym roku wydaleniu zostali następujący koledzy:

- ppłk Gierczak (nie pamiętam imienia),
- mjr Zdzisław Majewski,
- kpt. Zygmunt Skaruz,
- kpt. Józef Koziół,
- kpt. Janusz Kawęcki,
- kpt. Henryk Tabor.

Najbardziej zaskoczony byłem zwolnieniem Kawęckiego. Moim zdaniem był to oficer o szerokich horyzontach, kulturalny, wyróżniający się inteligencją.

- To jest jakieś nieporozumienie - myślałem.

Niczego jednak w tej kwestii nie wyjaśniał i nie usiłował zmieniać. Odszedł. Po kilku latach ponownie wystartował na studia w akademii, tyle, że zaocznie. Zupełnie dobrze sobie z nimi radził, mimo wykonywania bardzo odpowiedzialnej pracy.

Żegnając się z naszymi przełożonymi po zakończeniu roku, mieliśmy mieszane uczucia. Najwięcej pretensji i żalu mieli do nich koledzy zwolnieni (wydaleni). Wszyscy pozostali, zauważone u nich błędy i grzeszki natychmiast im przebaczyli...

Jeśli idzie o naszych bezpośrednich przełożonych, zwłaszcza zaś w kwestii wydalania słuchaczy, to trudno jednoznacznie określić i przypisać im nieudolność, złośliwość, czy też brak odwagi w zakresie obrony swoich słuchaczy przed komendantem.

Generał Kuropieska forsował bowiem pogląd, że należy zerwać z niezdrowym podejściem do sprawy, iż wszyscy słuchacze przyjęci na studia muszą je ukończyć. Jego zdaniem kończyć je mogą ci, którzy opanują odpowiedni zakres wiedzy, a przede wszystkim wykażą predyspozycje dowódczo-sztabowe. Jeśli tego nie posiadli, powinni odejść.

Po powrocie z urlopów i z odbytej praktyki w jednostkach, nie zastaliśmy w akademii, ani naszego kierownika grupy, ani kierownika taktycznego kursu. Obaj zostali przeniesieni służbowo.

## PRAKTYKA W JEDNOSTCE

W sierpniu 1964 r. byliśmy na urloпах, natomiast wrzesień był przeznaczony na odbycie praktyki liniowej. Wraz z kilkoma kolegami trafiłem na praktykę do pułku czołgów w Elblągu (w północnych koszarach). Po przybyciu na miejsce, okazało się, że pułk przebywa na poligonie Marianowo koło Szczecinka. Dlatego też ruszyliśmy tam jeszcze tego samego dnia, zaopatrzeni w nowe rozkazy wyjazdu i zlecenia na przejazd pociągiem.

Pułkiem dowodził podpułkownik dypl. Szymłowski, który przed laty pracował w Głównym Inspektoracie Szkolenia i z tej racji bywał w naszym garnizonie i kontrolował...

Potem odbywał roczną praktykę w 9 pcz i spotykaliśmy się na poligonie. Przy zameldowaniu się u niego, co czyniłem jako starszy grupy (tylko ja wśród nich byłem z POW), objął mnie, uściskał, co zrobiło wrażenie ogromnej przyjaźni i koleżeństwa. Ponadto zwracał się do mnie per ty, jakkolwiek nigdy dotąd takiego zwrotu między nami nie było. Natychmiast wyznaczono nam miejsce do odpoczynku i przydzielono miejsca pracy. Mogliśmy ulokować swój ekwipunek oraz przebrać się w mundury polowe. Zapewniono nam też wyżywienie w kasynie, a dopiero w następnej kolejności sprecyzowano zadania.

Ledwo odeszliśmy od dowódcy, a moi koledzy prawie chórem do mnie z inwektywami.

- A, to z ciebie taki gagatek?... - Nic nam nie powiedziałeś, że jedziemy do twego kolegi na praktykę. A dlaczego to ukrywałeś przed nami ten fakt? Widocznie z góry zaplanowałeś, że będziesz jego wtyczką w naszej kilkusobowej grupie.

- Czyście zwariowali?... - odpowiedziałem nieco zdenerwowany.

- Jakież on dla mnie kolega? Przyjeżdżał z Warszawy i kontrolował mnie kilkakrotnie. Potem spotykaliśmy się czasem na poligonie, bo odbywał praktykę w sąsiednim pułku czołgów naszej dywizji, i to jest cała nasza znajomość.

Nie wierzyli. A może tylko chcieli mi trochę dokuczyć. W każdym razie, więcej z tej znajomości nie musiałem się tłumaczyć. Koledzy nie poruszali tematu, bo z tą znajomością było im bardzo dobrze.

Nasze zadania w toku praktyki, sprowadzały się do czynnego uczestniczenia w życiu i pracy sztabu pułku. Bywaliśmy bowiem na zbiórkach, odprawach i szkoleniach kadry tego pułku oraz realizowaliśmy inne zadania bieżące. Sprowadzało się to do kontrolowania pobudki, gimnastyki porannej i śniadania spożywanego przez żołnierzy na stołówce, kontrolowania zajęć w pododdziałach, przeprowadzania informacji dla kadry z zakresu taktyki i tym podobnych. Przede wszystkim jednak mieliśmy opracować kilka ćwiczeń taktycznych i treningów sztabowych dla pułku, które miały być przeprowadzone w terminie późniejszym. Tylko jedno z nich miało być przeprowadzone z kompanią czołgów i z naszym udziałem. Ponadto, w ramach odbywanej praktyki odbywaliśmy jazdę wozami bojowymi na czołgowisku oraz strzelania bojowe.

.Trzeba bowiem wiedzieć, że gen. Kuropieska po objęciu obowiązków, w pierwszej kolejności rozwiązał istniejący dotąd w ASG WP batalion zabezpieczenia, który między innymi, posiadał w swoim składzie kompanię czołgów, na wozach której, słuchacze odbywali naukę jazdy i strzelania bojowe. Teraz należało je odbywać w czasie praktyki.

Dowódca nie żałował nam kilometrów, ani amunicji. Ba, przykładał do tego dość dużą wagę. Należał bowiem do dowódców, którzy kierowcę samochodu sadzali na miejscu dysponenta, a sami zasiadali za kółkiem kierownicy. Ogromnie lubił prowadzić i to, zarówno samochód osobowy, ciężarowy, jak i transporter opancerzony czy czołg.

Jeśli jednak jazdę czołgami organizowano dla nas specjalnie, to strzelania odbywaliśmy tylko w ramach programowego strzelania pododdziałów.

Wszystko to, dla mnie, nie było atrakcją. Dość się już nustrzelałem pełniąc służbę w linii, a jeszcze więcej najeździłem

się czołgami, w tym również za drążkami kierowniczymi. Dziwiłem się nawet, że w programie nauczania ASG uwzględniano, nawet dla pancerniaków, budowę sprzętu pancernego, jego uzbrojenia i eksploatację.

Dla moich kolegów, piechurów, zarówno jazda czołgiem, jak i strzelanie było nie lada atrakcją. Jazdy czołgiem prawdopodobnie próbowali jeszcze przed akademią, ale strzelanie stanowiło nowość.

W tym względzie starałem się być dla nich przewodnikiem i instruktorem. Dlatego do strzelania tworzyliśmy wraz z etatowym mechanikiem kierowcą, załogę. W pierwszej kolejności spełniałem funkcję działonowego, to jest strzelałem sam, Jaworski funkcję dowódcy, a Krzyżaniak ładowniczego. Potem ja objąłem nad nimi dowodzenie, a oni zamieniali się funkcjami działonowego i ładowniczego. Chciałem nie tylko służyć im radą w celowaniu, ale i mieć pieczę, nad ich bezpieczeństwem. Spisaliśmy się w toku owego strzelania wcale nie gorzej niż załogi etatowe.

Ppłk Szymłowskiego poznałem w 1957 r., był jeszcze w stopniu majora, a przyjechał do Trzebiatowa na nasze ćwiczenia taktyczne z mobilizacją. Miał on, między innymi, kontrolować przebieg alarmu w moim batalionie.

Chcąc się zorientować w położeniu i rozlokowaniu mojego sztabu, kompanii, a zwłaszcza parku wozów bojowych, wybrał się do mnie wcześniej, na kilkanaście minut przed ogłoszeniem alarmu. Jednakże zamiast do mnie, trafił do dowódcy 1bp kpt. Przybylskiego, którego kancelaria znajdowała się w tym samym pionie co i moja, ale na parterze.

Ucieli sobie dyskusję, która miała wyjaśnić kontrolującemu nie tylko kwestię rozmieszczenia ludzi i sprzętu batalionu czołgów, ale i kilka aspektów technicznych związanych z obsługą wozów, przechowywaniem amunicji z grupy szkolno-bojowej, ładowania jej do tych wozów, a także dotyczących przechowywania i ładowania akumulatorów. Okazało się, że dowódca batalionu słabo się orientuje w tej problematyce.

- Jak to jest obywatelu kapitanie, czyżby dowódca batalionu czołgów tak dalece się nie interesował tą problematyką? - pyta mjr Szymłowski w pewnym momencie.

- Ale ja nie jestem dowódcą batalionu czołgów, tylko dowódcą 1bp - odpowiedział na to kpt. Przybylski.

- A gdzie wobec tego mieści się sztab batalionu czołgów?...

- Piętro wyżej - informował Przybylski.

Ppłk Szymłowski podziękował mu i za moment znalazł się w mojej kancelarii. Po krótkiej wymianie zdań zorientowałem go w sytuacji, która go interesowała i oprowadziłem po rejonie rozmieszczenia batalionu. Kiedy byliśmy w rejonie zakwaterowania 3 kompanii czołgów, ogłoszono alarm. Odmeldowałem się aby przystąpić do swoich czynności, a on pozostał obserwując przebieg osiągnięcia gotowości przez poszczególne kompanie i wraz z nimi udał się do parku wozów bojowych.

Pomyłkowe spotkanie i brak możliwości porozumienia się w kwestiach technicznych z Przybylskim wspominał kilkakrotnie przy naszych późniejszych spotkaniach.

Teraz kiedy odbywałem u niego praktykę z kolegami, starał się być dla nas troskliwy i opiekuńczy.

Podczas jednej ze spędzonych tam niedziel, Szymłowski zaprosił mnie do przejażdżki w odwiedziny do pułku zmechanizowanego, dowodzonego przez znakomitego oficera dyplomowanego (...). Okolicznością była odbywająca się tam wieczornica, na którą tamtejszy dowódca zaprosił swojego przyjaciela.

Próbowałem się wymówić, ale mój dowódca na to:

- Co ty, nie chcesz pojechać i popatrzeć na życie pułku zmechanizowanego i w dodatku dowodzonego przez tak dzielnego oficera? A znasz dowódcę tego pułku?...

- Nie, nie znam, ale tyle o nim słyszałem, w tym również niepochlebnych opinii, że obawiam się, iż spotkanie z nim może być dla mnie nieciekawe - powiedziałem.

- To tym bardziej powinienes tam pojechać aby się przekonać, że to porządny człowiek i bardzo dobry dowódca - zachęcał mnie Szymłowski.

Uległem owej perswazji. Pojechaliśmy gazikiem. Odległość nie była wielka, ale w warunkach poligonowych przejazd trwał 20 minut.

Gospodarz przyjął nas z wielką serdecznością i natychmiast udaliśmy się na zapowiedzianą imprezę. Siedziałem chwilę w ich towarzystwie, popatrzyłem na wieczornicę i posłuchałem ich szeptanej dyskusji jaką toczyli obaj dowódcy obserwujący jednocześnie co dzieje się na scenie.

Ponieważ wieczornica nie była frapująca, przeprosiłem dowódców, wskazując jednocześnie, że pragnę odszukać kolegów praktykantów i pogawędzić z nimi.

Jeden z nich ogromnie narzekał, zwłaszcza na dowódcę, bo jak się okazało, nie wiele brakowało, a dowódca byłby go odesłał do dyspozycji komendanta akademii za jakieś uchybienie w realizacji powierzonego mu zadania. Po rozważeniu przedstawionych mi okoliczności doszedłem do wniosku, że była to ewidentna wina mojego kolegi. Zlekceważył sprawę, a tymczasem dowódca, tego rodzaju zaniedbań nikomu nie przepuszczał.

Po rozmowie z kolegami, odbieranej z mieszanymi uczuciami, wróciłem do dyskutujących dowódców, którzy robili wrażenie wielce zadowolonych. Posłuchałem i pomyślałem sobie: ile prawdy, a ile nierzetelnych plotek o tym dowódcy w wojsku, a tymczasem on wygląda tak przyzwoicie i taki jest miły w rozmowie.

Zrobiło się późno i należało wracać do naszego obozowiska. Po drodze, w obecności kierowcy, nie wymienialiśmy z Szymłowskim poglądów na temat tego oficera. Dopiero na miejscu, w drodze do stołówki zostałem zapytany:

- No i co, jak ci się podobało u mojego kolegi?...

- Mam mieszane uczucia, bo jakkolwiek robi on wrażenie uprzejmego i bardzo miłego człowieka, to jednak mówi się o nim

różnie. - Jedno na pewno można stwierdzić, że w jego pułku panuje porządek i bezwzględna dyscyplina.

- A widzisz, to choćby tylko dlatego należy go szanować. Pragnę również dodać, że od niego wiele można się nauczyć - dodał Szymłowski.

Swoimi wrażeniami z pobytu w pułku zmechanizowanym, mogłem się niebawem podzielić ze swoimi kolegami. Zainteresowały ich nie tylko informacje i opinie o dzielnym dowódcy, ale i o koledze, któremu groziło odesłanie do akademii.

U naszego wodza - Szymłowskiego, dopatrywaliśmy się również wielu zalet. Był bowiem oficerem doskonale znającym rzemiosło wojskowe, co zawsze cenili podwładni, zwłaszcza żołnierze służby zasadniczej. Był również ogromnie ruchliwy i operatywny. Na wyjątkową uwagę zasługuje zaś jego wysportowanie. Wśród kadry i żołnierzy pułku uchodził za najlepszego sędziego piłki nożnej i siatkówki.

Z naszej pracy, dowódca i jego szef sztabu byli zadowoleni. W dowód uznania i równocześnie podziękowania, zostaliśmy zwolnieni z odbywanej praktyki, na kilka dni wcześniej, a do naszych indeksów zostały wpisane bardzo pochlebne opinie. Cieszyło nas to, aczkolwiek, jak się okazało, w akademii do owych opinii nie przywiązywano większej wagi.

Z Szymłowskim spotkałem się znowu, po kilku latach, będąc nauczycielem akademickim w Gubinie, kiedy on był już generałem i dowodził dywizją pancerną. W obecności mego bezpośredniego przełożonego, kierownika zespołu, płk. dr. Aleksandra Cierpickiego oraz kilku kolegów wykładowców, zaproponował, abym przyszedł do niego na dowódcę pułku. Był wielce zaskoczony, że takiej oferty nie przyjmuję z entuzjazmem.

- To na razie, a po roku, jak dobrze ci pójdzie, w co nie wątpię, bo na tyle cię znam, postaram się o przesunięcie cię na szefa sztabu dywizji. Na pewno jest to do zrealizowania, dodał, patrząc mi prosto w oczy.

Nie podejmowałem tematu. Jedynie skwitowałem, że szerzej chętnie bym pogawędził innym razem. Nie chciałem wyjaśniać w takich okolicznościach, iż nic by z tego nie wyszło, bo odpowiednie organy, nigdy by do tego nie dopuściły.

Podziękowałem więc za dozę dużego zaufania jaką w tym momencie zostałem przez niego obdarzony i wiarę w moje możliwości. Było to zresztą bardzo szczere moje wynurzenie, bo przecież było mi ogromnie miło.

Chcąc niejako zakończyć temat, zapytałem o kolegę ze studiów, który u niego w dywizji był szefem wydziału operacyjnego.

- Jak mu się tu wiedzie?...

- Daj spokój. Lepiej nie mów, że to jest twój kolega - powiada.

- Prawdziwy z niego obibok. A w dodatku, miałem tu przez jego sprawy męsko-damskie nie mało kłopotu. „Wyobraźcie sobie panowie, że miał dziewczynę, która go tu podobno dość często odwiedzała. - Dał jej nawet klucz od pokoju w internacie. Znajoma przyjechała pod jego służbową nieobecność, a ponieważ miała klucz, rozgościła się i w samotności, w jego łóżku zmarła na zawał. Wrócił rano i zastał ją martwą. Był wielki skandal i kłopot. Jego małżonka, do której ta wiadomość bardzo szybko dotarła, choć mieszkała w odległym mieście, przyjechała zrobić mi wielką awanturę. Jej zdaniem to moja wina, że w wojskowym internacie mogła przebywać w pokoju jej męża, obca kobieta” - mówiła.

- Może nie powinienem się zbytnio tym przejmować, ale jednak. Uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy powiedziałem, że dla jej męża widocznie nie była ona obcą.

- A to miał pecha biedak... - zawyrokował jeden z obecnych kolegów.

- Delikwent natomiast znalazł sobie jakąś pracę w Warszawie i zameldował się do mnie z prośbą o wyrażenie zgody na przeniesienie - dodaje generał.

- O nie, mój drogi. W pierwszej kolejności bierz się porządnie za robotę. Napraw sfatygowaną opinię społeczną, a przede wszystkim popraw wyniki pracy, a potem porozmawiamy o możliwości przeniesienia - miał mu na to odpowiedzieć dowódca.

## DRUGI ROK STUDIÓW

Podobnie jak w roku poprzednim każdy z nas, po przybyciu do internatu, miał wyznaczone miejsce. Pokoje lepsze, bo były na I piętrze, bez wykuszy.

W dalszym ciągu miałem mieszkać z Jankiem Raduchowskim-Brochwiczem z czego byłem zadowolony. Był inteligentnym, zaradnym oficerem o przyjemnej aparycji. Miał znakomitych przodków na naszych Kresach Wschodnich, ale atmosfera tamtych czasów nie zachęcała do przyznawania się do takiego pochodzenia. Dlatego też mój kolega nie obnosił się ze swoimi przodkami i tytułami, a koledzy nie byli natrętni.

Na studia do ASG WP przybył z Kłodzka, gdzie pełnił funkcję dowódcy kompanii czołgów. Z pokoju odszedł mjr Edward Grzana. Został jednocześnie przeniesiony do innej grupy. To również bardzo zdolny oficer, ale niezmierny bałaganiarz. Nie lubił porządku zarówno w pracy na mapie, jak i w wyrażaniu swoich myśli, a nawet w utrzymaniu swoich rzeczy osobistych. Stosunki rodzinne miał również nieuporządkowane.

Na jego miejsce do naszego pokoju został przeniesiony mjr Zdzisław Ostrowski. Ten był synem rotmistrza 1 Brygady Kawalerii WP - oficerem zdolnym, wysportowanym, kadetem. Do akademii przybył ze stanowiska wykładowcy taktyki w Oficerskiej Szkole KBW w Legnicy. Byliśmy bardzo zadowoleni z takiego towarzystwa.

Po przespanej nocy wzięliśmy udział w inauguracji roku akademickiego. Miała bardziej uroczysty przebieg, niż w roku poprzednim. Na sali kinowej zebrane zostały wszystkie roczniki oraz kadra akademicka. Byli też zaproszeni goście w osobie zastępcy szefa Sztabu Generalnego, a także rektorzy uczelni warszawskich.

Tak wchodziliśmy w nowy rok akademicki pod przewodnictwem Jego Magnificencji, Rektora, w osobie gen. dyw. Józefa Kuropieski.

Nie tylko inauguracja wyglądała inaczej, zmienił się również program kształcenia, skład kadry nauczającej, a nawet struktura organizacyjna akademii. Porównaj załączniki 1 i 2. Najbardziej widoczne, już na pierwszy rzut oka, były zmiany organizacyjne.

Dowiedzieliśmy się o nich w czasie inauguracji roku akademickiego. Podano nam bowiem informację, że I Kurs Ogólnowojskowy rozpoczyna studia według nowego programu, noszącego nazwę „Programu studiów zintegrowanych”.

Jak się wkrótce okazało w grupach szkoleniowych tego kursu znaleźli się słuchacze wszystkich specjalności wojsk lądowych (piechurzy, pancerniacy, artylerzyści i raketowcy, przeciwlotnicy, chemicy oraz oficerowie służb kwatermistrzowskich).

Studowali według jednolitego programu w okresie trzech lat. Problematyka specjalistyczna, przygotowująca specjalistów różnych rodzajów wojsk, była uwzględniana podczas ćwiczeń dowódczo-sztabowych, w pracach indywidualnych i dyplomowych słuchaczy, a także w toku praktyk liniowych.

W ten sposób, niejako przy okazji, zostały skrócone studia, z czterech lat do trzech, słuchaczom o specjalności wojsk raketowych i artylerii oraz słuchaczom obrony przeciwlotniczej wojsk.

Kierowanie I Kursem Ogólnowojskowym (zintegrowanym), komendant powierzył wybitnemu, moim zdaniem, dydaktykowi, posiadającemu wieloletnie doświadczenie w nauczaniu słuchaczy, a jednocześnie doskonale przygotowanemu w zakresie taktyki i sztuki operacyjnej płk dr Aleksandrowi Cierpickiemu. Jak się miałem okazję przekonać, bo po dwóch latach zostałem jego podwładnym, był to oficer obdarzony nie tylko doskonałą pamięcią, ale i rozsądkiem. Wyróżniał się dokładnością, skrupulatnością i wielką pracowitością.

Takiemu zadaniu tylko on mógł sprostać, zwłaszcza w początkowym stadium realizacji założeń nowej koncepcji kształcenia kadr w ASG WP.

Warto dodać, że kurs zintegrowany został wyprowadzony z podporządkowania szefów, tak zwanych katedr profilujących. Katedry te według dotychczasowego programu (porównaj załączniki) kierowały kursami swoich specjalności. Obecny I kurs podlegał bezpośrednio komendantowi akademii. Komendant miał nawet bezpośrednią łączność z dowódcą kursu dzięki specjalnej linii telefonicznej.

To, między innymi, dowodzi jak bardzo komendantowi zależało na tym, aby mieć wgląd i bezpośredni wpływ na przebieg kształcenia owego kursu.

Zadanie kierownika I Kursu Ogólnowojskowego było trudne. Zajmował się bowiem nie tylko nauczaniem taktyki ogólnej na kursie, co się wiązało z prowadzeniem wykładów, udzielaniem instruktaży swoim kierownikom grup, ale także kierowaniem przy opracowywaniu ćwiczeń ich omawianiu itp. nie mówiąc już o utrzymywaniu porządku i dyscypliny na podległym mu kursie. Kierował szkoleniem taktycznym słuchaczy i za nie odpowiadał, a z tym wiązało się przygotowanie i prowadzenie ćwiczeń. W toku instruktaży ustalał zakres merytoryczny oraz metodę prowadzenia każdego zajęcia.

Dowódcom - kierownikom kursu podlegali kierownicy taktyczni grup, którzy na czas pełnienia tych funkcji byli oddelegowani ze składu kadry dydaktycznej danej katedry. Byli oni bezpośrednimi przełożonymi słuchaczy i prowadzili z nimi zajęcia z taktyki ogólnej oraz sztuki operacyjnej, w zależności od nauczanego szczebla (odpowiedniego roku studiów). Kierownik grupy był „figurą” pierwszoplanową w procesie dydaktyczno-wychowawczym, a doborowi oficerów do pełnienia tej funkcji poświęcano wyjątkowo dużo uwagi. W czasie pełnienia takiej funkcji pozostawali oni pod ciągłą obserwacją nie tylko kierownika kursu, ale i komendanta akademii.

Na naszym, II kursie ogólnowojskowym, podobnie jak na wszystkich pozostałych kursach, w zasadzie realizowany był dotychczasowy program studiów. Z pewnymi jednak modyfikacjami, o których nieco później.

Przede wszystkim spotkaliśmy się tu z zupełnie nowym zespołem wykładowców. Naszym kierownikiem kursu był ppłk dr Konstanty Myszlou. Był to oficer zdolny i spokojny, ciemny blondyn w okularach, co go wyróżniało w owym czasie od licznego grona nauczycieli, na ogół bardzo jeszcze młodych. Był równocześnie człowiekiem o wielkiej uczciwości. Z naszych obserwacji, wynikało, że bardzo lubił mówić, przemawiać. W gronie kolegów, nauczycieli akademickich, otrzymał przydomek „SZYMLON” i używano tego przydomka powszechnie, zamiast nazwiska.

W czasie jednego z zebrań akademickich z udziałem komendanta Myszlou wygłosił obszernie przemówienie na temat koncepcji kształcenia słuchaczy, w którym, najogólniej można powiedzieć, potępił program, wprowadzony przez nowego komendanta. Właśnie to wystąpienie miało podobno ugruntować nienajlepszą o nim opinię u rektora. Uznał on bowiem, że oficer z takimi poglądami, nie może prowadzić pracy dydaktyczno-wychowawczej.

Po zakończeniu roku akademickiego, w czasie wakacji, płk Myszlou został odesłany do dyspozycji Departamentu Kadr MON. Przez kilka następnych lat pracował w Sztapie Generalnym WP.

Kierownicy taktyczni grup byli wyrocznią w ocenianiu słuchaczy. Jak dowiodła późniejsza praktyka, wielu z nich również musiało odejść z akademii. Odchodzili przeważnie za to, że – w ocenie przełożonych – nie posiadali wystarczającej wiedzy i umiejętności, albo nie potrafili jej przekazać. Bywało, że odchodzili dlatego, że nie umieli dostrzec u nauczanych odpowiednich predyspozycji, nie potrafili swoich wychowanków dostatecznie poznać.

W zespole płk Myszlou pracowali między innymi:

- płk dypl. Jan Konieczny - kierownik taktyczny 1 grupy;
- ppłk dypl. Bogusław Bidziński - kierownik taktyczny 2 grupy;

- ppłk dypl. Edward Łańcucki - kierownik taktyczny 3 grupy.

W skład tego zespołu wchodziło jeszcze kilku innych oficerów, którzy z zasady prowadzili zajęcia z taktyki ogólnej w grupach specjalistycznych, a niekiedy zastępowali także naszych kierowników grup oraz kierowali niektórymi naszymi pracami indywidualnymi. Pomagali w ten sposób kierownikom taktycznym grup wyjątkowo obciążonym pracą dydaktyczno-wychowawczą. Należeli do nich: mjr dypl. Dyniewicz, mjr dypl. Wincenty Lech, mjr dypl. Wiesław Wójcik i kilku innych.

Płk Konieczny był oficerem o doskonałej prezencji, jakkolwiek był dużo starszy wiekiem od pozostałych członków tego zespołu. Mówiono, że przy różnych uroczystościach akademickich, jemu powierzano dowodzenie paradą akademicką. Za naszych czasów nie było widocznie tego rodzaju okazji, bo nie widzieliśmy go w takich okolicznościach. Natomiast już wtedy jak i przez wiele lat późniejszych, pełnił funkcję radnego dzielnicy Warszawa-Rembertów. Należał do weteranów. Służył przed wojną jako podoficer nadterminowy. W Riazaniu był szefem kompanii podchorążych. Po wojnie został oficerem i pracował na różnych stanowiskach w jednostkach liniowych, awansując w stopniach i stanowiskach, bardzo szybko dochodząc do funkcji szefa sztabu dywizji. W latach pięćdziesiątych został skierowany do pracy dydaktycznej w ASG WP. Tu pracując, ukończył równocześnie studia wieczorowe.

Był nauczycielem bardzo wymagającym i starannym w wykonywaniu obowiązków. Bardzo zasadniczym w stosunku do wymogów regulaminu walki, zwłaszcza takich jak szerokości odcinków i pasów działania, głębokości zadań, a nawet grubości i szerokości strzałek wrysowanych przez słuchaczy na mapach.

Rozwiązania nietypowe wprowadzały go w zakłopotanie. Kiedy na przykład jeden ze słuchaczy podjął dość nietypową decyzję, to kierownik grupy nie był z niej zadowolony. Pyta więc:

- A cóż to takiego?...

- Moja decyzja obywatelu pułkownika!

- Tak, wcale nie wątpię, ale to przecież nierealne, co wyście sobie tu zaplanowali.

- Nierealne? - zdziwił się słuchacz.

- A mogę o coś zapytać obywatelu pułkownika?

- Tak, oczywiście, pytajcie, proszę!...

- Czy Warszawa jest wolna?...

- Tak, jest wolna - odpowiada Konieczny.

- Jeśli Warszawa jest wolna, do czego również doszedłem w ocenie, to wyobrażam sobie realizację swojej decyzji w następujący sposób: Na mój sygnał, dwadzieścia tysięcy Warszawiaków stoi pod bronią i osłania drogę A, B, C. Moje tyły maszerują w kierunku: A, C i ćwiczą salutowanie - wykonał równocześnie ruch prawą ręką i przyłożył dwa palce do skroni.

- W tym czasie pułk czołgów, wykonuje w lewo zwrot i maszeruje na ich spotkanie w miejscowości C, gdzie tyły uzupełniają jego zapasy. - Po dwóch godzinach od rozpoczęcia uzupełniania zapasów, pułk zostanie rozmieszczony w rejonie X, Y, Z w gotowości do wykonania kontrataku na kierunkach: Y - D, lub Y - E. - Melduję obywatelu pułkownika, że skończyłem.

Płk Konieczny był tak bardzo zaskoczony ową repliką słuchacza, a może i oryginalnością tej decyzji, że wołał się do niej nie ustosunkować. Koncepcja działania odbiegała od rozwiązania katedralnego, była nietuzinkowa. Według Koniecznego należało ją odrzucić jako nie nadającą się do dalszych rozważań. Argumenty, a zwłaszcza pewność siebie, z jaką została przedstawiona przez słuchacza, skłaniała do przyznania mu racji, a co najmniej głębszego jej rozważenia. Tymczasem, jego zdaniem, należało bronić rozwiązania katedralnego. Zabrakło jednak argumentów do obalenia decyzji słuchacza.

Widocznie jakimiś drogami, tego rodzaju opinie docierały do przełożonych, bo od następnego roku akademickiego ten dostojny oficer już nie prowadził zajęć na kursach zasadni-

zych, a tylko w grupach specjalistycznych oraz na kursach zaocznych.

W kręgu kolegów wykładowców, zwłaszcza starszej generacji, Konieczny cieszył się w dalszym ciągu dużym autorytetem i renomą. Ja również wierzyłem w jego rzetelność, zwłaszcza do momentu, kiedy po kilku latach pełniłem przez pewien czas funkcję sekretarza POP w Katedrze Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej i kiedy to pewnego razu przyszło mi wysłuchać jego żalów.

Z relacji, jaką mi złożył, wynikało, że ma tak dokuczliwą małżonkę, iż z jej przyczyny będzie musiał pożegnać się z życiem na ziemskim padole o kilka lat wcześniej niż by to mogło nastąpić w normalnych warunkach. Cierpi bowiem na ciężkie dolegliwości serca, potrzebuje spokoju. Zwrócił się co prawda z prośbą do przełożonych o przydzielenie malutkiego mieszkanka, aby z żoną nie mieszkać, ale mu odmawiają. Przeto mnie prosi, aby jego sytuację jeszcze raz przedstawić i to po linii partyjnej.

Uwierzyłem w te wynurzenia, a nawet byłem nimi do głębi poruszony. Dlatego też, już następnego dnia zjawiłem się u sekretarza uczelnianego i całą sprawę wyjawilem, nadając jej poważną rangę, jak tylko potrafiłem to czynić i stając od samego początku po stronie Koniecznego.

Plk mgr Wasil jako sekretarz, spokojnie wysłuchał mojej relacji, a na koniec, kiedy sądziłem, że go przekonałem o krzywdzie, jakiej doznaje Konieczny, powiada:

- Człowieku, daj sobie spokój z tą sprawą, bo to wcale nie tak wygląda jak przedstawia Konieczny. Ja tam mieszkam, w tej samej klatce schodowej i bardzo dobrze znam ich sprawy rodzinne. Jeśli ktoś tam jest winien, to na pewno nie jego żona. Ich problemy były już kilkakrotnie rozważane. Nie tylko w Komitecie Uczelnianym, ale również w kierownictwie akademii.

- Wydaje mi się jednak, że gdyby to, co usłyszałem od tak poważnego oficera, nie było prawdą, to on, jakkolwiek zainte-

resowany sprawą, nie zechciałby wtajemniczać w swoje sprawy rodzinne postronnych ludzi, a na dodatek dużo od siebie młodszych – wtrąciłem z pełnym przekonaniem o swojej racji.

Ponownie zostałem uspokojony przez Wasila, po czym wyszedłem od niego z postanowieniem, że o rozmowie z Wasilem nie będę informował Koniecznego. Chyba, że sam przyjdzie i będzie mnie indagował ponownie. Wtedy mu wyjaśnię jakie zdanie mają o jego sprawach rodzinnych nasi przełożeni oraz władze partyjne.

Po pewnym czasie dotarła do mnie wiadomość, że Konieczny mieszkanie otrzymał. Walnie mu w tym podobno pomogli dawni koledzy z Riazania, a teraz wysoko ustawieni, i których potrafił przekonać, że dzieje mu się wielka krzywda. Dowiedziałem się również, że w nowym mieszkaniu bardzo często pojawia się, a może i mieszka, kobieta dużo od niego młodsza, która dla Koniecznego zostawiła młodego męża.

– O moja naiwności!... – wyrzucałem sobie.

Naszym kierownikiem – jak wspominałem był ppłk dypl. Bogusław Bidziński. Od pierwszego spotkania odnieśliśmy wrażenie, że jest erudytą i oratorem, a jak się wkrótce grupa dowiedziała, akurat na początku naszego drugiego roku przygotowywał się do obrony, tylko co ukończonej pracy doktorskiej. Bidziński wywodził się z korpusu oficerów politycznych, ale studiował w ASG WP i po jej ukończeniu pozostał tu jako wykładowca taktyki ogólnej. Należał do tych nauczycieli akademickich, którzy uchwycili intencje nowego komendanta akademii i z zapałem przystąpili do wcielania ich w życie. Już bowiem na jednym z początkowych zajęć w ćwiczeniu głównym wiele uwagi poświęcił nauczaniu nas zwięzłego formułowania zamiaru, jako części składowej decyzji. Wyjaśniał też jego istotę i przekonywał o słuszności stosowania, propagowanego przez gen. Kuropieskę, schematu: „oceniam, liczę się, zamierzam, rozkazuję”...

Trzeba dodać, że dotychczas w akademii hołdowano zasadzie zapożyczonej z Armii Radzieckiej – formułowania ogrom-

nie obszernych zamiarów. Nowy komendant postanowił ten niedobry obyczaj zmienić. Nasz kierownik grupy stał się gorącym zwolennikiem takiego podejścia.

Tak dalece był przekonany o słuszności krótkiego formułowania zamiaru, że na jednym z kolejnych zajęć zorganizował nawet konkurs jego zwięzłego przedstawiania. Wszyscy w grupie próbowaliśmy swoich sił w tej kwestii. Na zakończenie i on poddał naszej ocenie sformułowany przez siebie zamiar. Zmitygował się jednak, bo jego był nieco obszerniejszy od kilku ogłoszonych przez jego uczniów. Nikt mu jednak nie poczytał tego za ułomność. Było zrozumiałe, że po tak licznych poprawkach i uwagach co do naszych zamiarów mógł się wreszcie zagubić i użyć zbyt wielu słów.

Za najistotniejszy uznaliśmy fakt, że przyniosło to pożądany skutek. Od tego bowiem zajęcia byliśmy najlepsi na kursie w kwestii formułowania zamiarów. Palmy pierwszeństwa nie pozwoliliśmy sobie odebrać, bo Bidziński w dalszym ciągu nie spuszczał tego problemu ze swojego pola widzenia.

Ppłk dypl. Edward Łańcucki w ciągu rocznej pracy z moimi kolegami z trzeciej grupy, którym przewodził jako kierownik grupy pracował równocześnie nad swoją dysertacją. Może właśnie dlatego stykał się prawie wyłącznie ze słuchaczami swojej grupy, a my nie mieliśmy możliwości poznania jego zalet.

Mówiono o nim, że to oficer frontowy i odważny w swoich poczynaniach. Upatrywano w nim jednak raczej organizatora niż wielce skutecznego, a przede wszystkim wytrwałego i dociekliwego dydaktyka i naukowca.

## ZMIANY

Nowy komendant akademii po objęciu obowiązków przyglądał się uważnie, dyskutował z podwładnymi, wsłuchiwał się w ich wypowiedzi i uzasadnienia, poznawał kadrę kierowni-

czą, nauczycieli oraz słuchaczy wyrabiając sobie pogląd na to, co w uczelni zastał, na sposób jej funkcjonowania, a równocześnie tworzył zupełnie nową koncepcję procesu kształcenia słuchaczy - przyszyłych dowódców i oficerów sztabu.

Następnie przystąpił do zmiany programu studiów i struktury organizacyjnej akademii. Zmiany zmierzały ku temu, aby proces studiów ożywić, wyrwać go z murów i wyprowadzić w teren, w Polskę. Chodziło mu o to, aby nie tylko uczyć rzemiosła operacyjno-taktycznego, ale również pokazać kadrze i słuchaczom nasz kraj jego gospodarkę, rubieżę o znaczeniu operacyjno-strategicznym i taktycznym. Uważał również za konieczne, pokazanie walorów taktyczno-operacyjnych terenu, sposobów jego wykorzystania do prowadzenia działań bojowych. Chodziło również o stwarzanie warunków i sprzyjających okoliczności do prowadzenia tam, w terenie, przemysła taktyczno-operacyjnych. Także i o to, by przy tej okazji słuchacze akademii mogli poznać bogactwo zabytków naszej kultury, miejsca i przebieg walk oraz bitew toczonych na naszych ziemiach ojczystych w przeszłości, zarówno przez wojska regularne, jak i oddziały partyzanckie.

Wybiegając nieco w przyszłość, trzeba powiedzieć, że jego zamierzenia w pełni się udały.

Zmiany dotyczyły przede wszystkim wymienionego wyżej I Kursu Ogólnowojskowego. Natomiast na naszym drugim kursie, podobnie zresztą na trzecim, owe zmiany wyglądały zupełnie niewinnie. Jednakże ta niewinność była tylko pozorna, a w rzeczywistości zmiany były bardzo głębokie. Przede wszystkim pojawiły się czynniki wywierające dużo większy wpływ na efekty kształcenia niż dotychczas.

Można do nich zaliczyć takie, jak:

- zwiększenie wymagań;
- zmniejszenie stanu słuchaczy w grupach szkoleniowych;
- lepszy dobór nauczycieli;
- lepszy dobór kandydatów na studia;

-zwiększenie pensum godzinowego na ćwiczenia taktyczno-operacyjne;

- wykorzystanie pociągu do prowadzenia ćwiczeń.

Zwiększenie wymagań zostało narzucone przez komentanta, a objawiło się już pod koniec naszego pierwszego roku studiów, to jest tuż po jego przybyciu do akademii, w formie wydalenia kilku kolegów na zakończenie roku akademickiego. Fakt zwolnienia podziałał na wszystkich słuchaczy akademii. Zostaliśmy zmobilizowani tym faktem do znacznie większego wysiłku nad zdobywaniem wiedzy i umiejętności. Teraz nasze „obroty” były wysokie. Zdaliśmy sobie bowiem sprawę, że jest to początek odpowiedniej praktyki.

Od tej pory nikt nie chciał pozostawać w ogonie swojej grupy. Stanowiło to groźbę odpadania. Nastąpiła więc zmiana motywacji, przy równoczesnym zwiększeniu wymagań przez naszych nauczycieli. Zbiegło się to co prawda ze zmianą zespołu nauczającego, którego wymagania okazały się zgoła odmiennie niż zespołu poprzedniego, zwłaszcza zaś naszego kierownika grupy.

Nowy kierownik grupy na przykład nie tylko nie wymagał odczytywania konspektów przy odpowiedzi, przygotowywanych na nauce własnej, ale wręcz nie pozwalał z nich korzystać. Wymagał referowania z pamięci, przy wykorzystywaniu mapy.

- No, nareszcie możemy odpowiadać, a nie odczytywać - mówiłem do kolegów.

Bardzo byłem zadowolony z takiego obrotu sprawy. Ba, od razu zacząłem być znacznie wyżej notowany, zwłaszcza u kierownika grupy. W odpowiadaniu z pamięci miałem dużo więcej wprawy niż inni koledzy, zwłaszcza ci, którzy dotąd tylko odczytywali wypracowania. Przy takim podejściu kierownika grupy wielu z kolegów, uchodzących poprzednio za dobrych, obniżyło swoje loty. Kompletnie nie mogli sobie na przykład poradzić z referowaniem przy mapie z pamięci, a to przecież z rysunku, odzwierciedlającego sytuację taktyczno-operacyjną.

Najgorzej było jednak z tymi, którzy zdążyli się przyzwyczaić do tego, że w czasie kolokwium mogli „oderżnąć” całe akapity ze skryptu. Teraz było to niemożliwe.

Jakież było rozczarowanie jednego z kolegów, kiedy licząc na to, że tak jak to bywało poprzednio, znowu odpisze, nie przygotował się do pisemnej części kolokwium. Tymczasem ppłk Bidziński sformułował temat w taki sposób, tak wymyślnie, że odpisać się nie dało, a do tego jeszcze doskonale nas przypilnował. Oczywiście mój „uczony” kolega napisał na ocenę niedostateczną. Na domiar złego, ustna część tego kolokwium odbyła się już następnego dnia. Było więc niemożliwe aby mógł się należycie przygotować, gdyby nawet bardzo tego pragnął. Tym bardziej, że dotąd jakoś się tym nie przejmował. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak dalece jest niedouczony. Dlatego też ze spokojem i pewnością siebie wkroczył do sali, w której oczekiwał go przyjmujący kolokwium ppłk Bidziński.

Tu powoli, ale konsekwentnie był obnażany ze swojej niewiedzy. Udowodnione mu zostało, że nic nie umie i zmarnował bezpowrotnie czas. Kierownik grupy zarysował przed nim perspektywę rozwoju wydarzeń, z których wynikało, że z takimi postępami akademii nie ukończy.

Po półgodzinie wyskoczył z sali jak z ukropu, z mocnymi wypiekami na twarzy i nie miał ochoty z nami rozmawiać. Odkrycie tego nieróbstwa zostało omówione na konferencji pedagogicznej i każdy z naszych wykładowców miał w swoim dzienniku następujący zapis: „inteligentny leń”. Zwiększyć w stosunku do niego wymagania. Niczego nie przepuszczać. Jeśli w dalszym ciągu będzie tylko obijał „gruchy”, trzeba go będzie „wyczepić”.

Delikwent, przeczuwając co w trawie piszczy, na przerwach polował na pozostawione na stole wykładowcy dzienniczki i u wszystkich, do których dotarł, wyczytał przytoczoną wyżej treść. Zabrał się więc solidnie do roboty, zaczynając od kilkakrotnego podejścia do kolokwium z taktyki.

- Co ty Jasiu tak krążysz i krążysz po orbicie?... Czas zejść na ziemię. Daj spokój, bo zapomnisz o innych sprawach przyziemnych... - powiadam kiedyś do niego.

- A żebyś wiedział, że można zapomnieć, bo ten Boguś tak się na mnie zawziął, że zupełnie nie mogę odetchnąć - odpowiada z rozbijającym uśmiechem Janek.

Przez dłuższy czas bardzo się pilnował i systematycznie przygotowywał do bieżących zajęć. Ponieważ był równocześnie skrupulatnie kontrolowany, to stosunkowo szybko zdążył poprawić swoją reputację u nauczycieli i tym samym „pofolgowano” mu z kontrolowaniem, a on natychmiast z tego skorzystał i znowu sobie odpuścił. Tylko z taktyki musiał się w dalszym ciągu bardzo pilnować.

Przed zwiększonymi wymaganiami broniliśmy się w różny sposób. Tak na przykład kiedy nadchodził czas pisania rozkazu bojowego w ramach służby sztabów, który był równocześnie sprawdzianem, przygotowywaliśmy sobie ściągawy („kości”). Tymczasem mój kolega z grupy został zaproszony przez innego kolegę z KBW na imieniny. Biedził się więc, że nie ma czasu na przygotowanie się do owego pisania, bo przecież powinien pojechać i uczcić imieniny przyjaciela.

Nagle, tuż po obiedzie i w dzień przed pisaniem owego rozkazu, wpada do pokoju i z radością zaciera ręce, mówiąc:

- Lucjan! Zdobyłem rozkaz, gotowy, tylko żeby się udało przepisać. Ponieważ mam tak znakomite „kości”, to zupełnie spokojnie mogę jechać na imieniny - mówił w dalszym ciągu zacierając ręce.

- No tak, a jeśli ci się nie uda go wykorzystać, to co będzie?... - pytam zaniepokojony jego pewnością.

- Zdzichu, ja bym ci radził dobrze go przeczytać i uczynić to natychmiast, bo wydaje się, że przy tym skrupulatnym Poznaniaku jakim jest Maksiu Kasprovicz, tego rozkazu jutro na zajęciu nie odpiszesz - radziłem.

- Nie da rady Lucjan, nie mam już czasu, bo po drodze muszę jeszcze gdzieś wpaść. Mam gotowy rozkaz, to jutro mu-

szę zrobić wszystko aby go wykorzystać. Pozostawię go, abys sobie odpisał. Musisz mi go oddać jak wrócę. Chciałbym go jeszcze dokładnie przeczytać po powrocie - wyjaśnił kolega, bardzo się śpiesząc.

Rozkaz położył na moim stoliku i przygotowywał się do wyjścia.

- No dobrze, zostaw. Chętnie go nie tylko przejrzę, ale i przestudiuję - przytaknąłem zadowolony.

- Raczej jednak nie będę go przepisywał, bo to za obszerny dokument, aby przepisywać. Szkoda na to czasu - dodałem po chwili.

- Tym bardziej, że jak powiedziałem, nie wierzę, aby Maksiu - jak nazywaliśmy wykładowcę - pozwolił na jego odpisywanie - dodałem.

Po chwili wziąłem dokument i zacząłem czytać. Studiowałem go dokładnie. Niektóre punkty nawet kilkakrotnie i skonfrontowałem z „Regulaminem taktyki” i „Regulaminem służby polowej sztabów”.

Następnego dnia Kasprowicz zapowiedział na wstępie, że można korzystać jedynie z mapy rozłożonej na stole, na której mamy wrysowaną decyzję dowódcy dywizji. Poza mapą i zarejestrowanymi kartkami papieru do pisania rozkazu, na stole niczego więcej nie powinno być.

Po tym wprowadzeniu ustawił się przy tylnej ścianie naszej sali grupowej, akurat obok tego kolegi i bacznie nas obserwował. Mój szacowny kolega zdążył jednak ułożyć na stole zdobyty od kogoś rozkaz, przykrył go starannie kartkami papieru, przyłożył je lewą ręką, przytrzymując jednocześnie ich brzeg palcami w gotowości uchylania i zagląдания do dokumentu.

Niestety, nie udawało się tego przepisywać.

Czasem Maksiu przesunął się nieco w prawo, to znaczy oddalił nieco od niego, ale kolega zdążył złapać jedynie zdanie i napisał, ale kiedy trzeba było znowu zaglądać Maksiu był już z powrotem przy nim. Denerwował się jedynie, rozpraszał

uwagę, niewiele napisał i to, też było złe, bo rwane ze ściągi i z własnych myśli, po prostu źle powiązane.

Ja natomiast, po tak dokładnym przestudiowaniu wzorcowego dokumentu, bo prawdopodobnie pochodzącego z opracowania metodycznego, miałem pełną swobodę pisania. Jako jeden z nielicznych napisałem go w całości i poprawnie, jak to podkreślił potem, na omówieniu ppłk Kasprowicz.

W miarę jak wzrastały wymagania, zwłaszcza po zwolnieniu kolegów po I roku, a jeszcze bardziej po pierwszej konferencji pedagogicznej na II roku, kiedy kierownik grupy zapowiedział możliwe kolejne zwolnienia tych, którzy będą odstawać i tworzyć tak zwany balast, nasze niepokoje wzrosły. Co prawda nie czułem się zagrożony, bo przecież nie odstawałem, ale wielu z nas „przekładało” uszami i bardzo wydajnie pracowało. Niebawem doszło jednak do takiego momentu, że smak tego zagrożenia poczułem na własnej skórze.

Przebieg wydarzenia był następujący. W maju 1965 r. wyjeżdżaliśmy na ćwiczenie z wykorzystaniem pociągu (o którym szerzej nieco później). Mapy i założenia zostały nam wydane dopiero w pociągu, który stał na stacji w Rembertowie. Wydano je tuż po naszym załadowaniu się do pociągu. Trudno dziś powiedzieć, ile utworzono z nas ćwiczących zespołów, ale nasz sztab dywizji był wyjątkowo skromny. Każda z ćwiczonych funkcji była obsadzona przez pojedynczego słuchacza, a takie jak szef sztabu dywizji, zastępcy dowódcy dywizji wcale nie były obsadzone.

Na początku przypadła mi funkcja dowódcy dywizji. Rozpoznawczego „grał” Jasiu Stychno na ćwiczenie pożyczony z pierwszej grupy.

Szefem wydziału operacyjnego był Karolus, a szefem wojsk raketowych i artylerii – M. Krzyżaniak. Obsady pozostałych funkcji nie pamiętam, aczkolwiek cały mój zespół uwidocznił się na jednym ze zdjęć (Chęciny).

Ledwie przystąpiliśmy do studiowania dokumentów, zwłaszcza założenia oraz podkolorowywania mapy roboczej

dowódcy i zdążyliśmy zapoznać się z położeniem wojsk, któryś z kolegów półgłosem zasygnalizował mi: – Komendant!...

Odwrociłem głowę w stronę skąd dochodził odgłos kroków i zobaczyłem komendanta oraz towarzyszącą mu świtę przełożonych i autora ćwiczenia mjr dypl. Kulkę. „Wlewali” się jak gdyby do naszego wagonu pocztowego z ustawionymi do pracy stołami, przytwierdzonymi w odpowiedni sposób do podłogi.

– Obywatele oficerowie!... – zakomenderowałem.

Potem zrobiłem dwa, może trzy kroki w kierunku zbliżającego się komendanta i przyjmując postawę zasadniczą zameldowałem: „Obywatelu generale, major Zapala melduje ćwiczący sztab 25 DZ przy wypracowaniu decyzji”.

– Dziękuję – powiedział generał, podając mi jednocześnie rękę, a następnie ruszył w kierunku stołu, wokół którego stali moi koledzy.

– No to zameldujcie zamiar...

– Jaki zamiar? – pomyślałem sobie.

– Przecież jeszcze nie doczytałem do końca założenia. Ledwie się orientuję w położeniu wojsk własnych i nieprzyjaciela. No, ale nie powiem teraz, że nie jestem gotów do zameldowania zamiaru myślałem błyskawicznie.

– Kierownictwo ćwiczenia zapewne uważa, iż do tej pory powinniśmy się uporać i dlatego żądają ode mnie zamiaru.

Sprężyłem się, koncentrując swoją uwagę na zarysie sytuacji na mapie, którą miałem rozpostartą przed sobą na stole, i po chwili, przerywając panujące milczenie, meldowałem;

„Oceniam: że przeciwnik wojskami w styczności dąży do załamania natarcia „Wschodnich” w oparciu o rubież A, B, C oraz stworzenia warunków wprowadzenia do walki sił maszerujących z rejonu południowy zachód Kielce. Liczę się z możliwością podejścia tych odwodów w późnych godzinach wieczornych, a wprowadzenia ich do walki z rubieży: A, B, C, jutro w godzinach rannych i uderzenia w kierunku: D-E.

Zamierzam, siłami lewoskrzydłowego pułku odeprzeć kontratak przeciwnika z kierunku: F-G i pod jego osłoną wprowadzić do walki 25 pcz, potęgując nim natarcie 22 pz w kierunku południowo-zachodnim, przerwać się w ten sposób poza rubież A, B, C i w następnej kolejności, wykorzystując skutki uderzeń jądrowych na siły podchodzące z głębi, w boju spotkaniowym rozbić jedną z tych dywizji i do rana uchwycić Chęciny."

Generał mi podziękował i o nic więcej nie pytał. Zażądał natomiast wyjaśnienia wielu kwestii od szefa wydziału rozpoznawczego, potem od szefa wydziału operacyjnego i podobnie - od szefa artylerii.

Stychno, Karolus i Krzyżaniak tak odpowiadali na pytania i wyjaśniali, aby wesprzeć moją koncepcję działania. Po wysłuchaniu ich wyjaśnień komendant nam podziękował i ruszył w kierunku przejścia między wagonami. Ruszyli z nim towarzyszący mu oficerowie. Pozostał natomiast kierownik ćwiczenia, którym był ówczesny zastępca szefa Katedry Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej ppłk dr Zenon Klonowski, z autorem ćwiczenia ppłk. Kulką. Klonowski powiada:

- Panie majorze, to był zamiar?... A gdzie kierunek głównego uderzenia, a gdzie ugrupowanie dywizji?...

Nic na to nie odpowiedziałem, a on się odwrócił i ruszył za komendantem. Pozostał jeszcze autor ćwiczenia i mówi:

- Panie, po cholere panu ta walka z odwodami? Za mało panu wojsk przeciwnika w styczności?... Tu się trzeba uporać z siłami, które wykonują kontratak. Po to została wam przesunięta linia rozgraniczenia.

- Gdzie i jaka linia rozgraniczenia została przesunięta? - pytam.

- W założeniu, w wiadomościach dodatkowych jest w tej sprawie informacja - odpowiada autor ćwiczenia.

- Nie zdążyliśmy się tego doczytać i o tym jeszcze nie wiemy- wyjaśniam kolejną naszą niewiadomą.

- No to dobrze, studujcie i pracujcie dalej - skwitował i również ruszył za kierownictwem ćwiczenia.

Nie pamiętam dlaczego, ale na tym ćwiczeniu nie było naszego kierownika grupy. Zastępował go i był przy zespole rozjemcą głównym mjr dypl. Wincenty Lech, ale się nie orientował, bo nie zabierał głosu w czasie poruszania tych wszystkich kwestii. W następnych dniach naszym rozjemcą głównym był M. Kasprowicz.

Stałem po tym wysłuchaniu przez chwilę kompletnie oszołomiony i nawet obezwładniony wypowiedziami Klonowskiego i autora ćwiczenia. Zastanawiałem się nawet, czy warto zabierać się do dalszej pracy nad wypracowaniem decyzji. Wszak jutro, a może nawet jeszcze dzisiaj, Kuropieska poleci odesłać mnie do akademii i rozliczyć, a następnie skierować do dyspozycji Departamentu Kadr MON. Taki wypadek miał miejsce tydzień wcześniej, w czasie ćwiczenia pociągowego z pierwszym rocznikiem, gdzie nastąpiło odesłanie słuchacza do Rembertowa celem rozliczenia go z akademią.

. . - Nie, tak nie wolno - zreflektowałem się.

- Nie mogę się tak rozklejać i poddawać obezwładnieniu - zdecydowałem i zabrałem się do roboty.

Jak się potem okazało, mój zamiar, mimo że został oceniony według dawniejszych poglądów i, muszę tu przyznać samokrytycznie, sformułowany intuicyjnie, wcale nie był taki zły jeśli idzie o samą koncepcję działania. Bowiem dalsze rozgrywki w ćwiczeniu prowadzono właśnie według tej mojej koncepcji, jakkolwiek opartej na intuicji, a nie na wnikliwych przemyśleniach i kalkulacjach.

Bardzo istotnym czynnikiem, przyczyniającym się do wyraźnego podniesienia efektów nauczania było zmniejszenie liczby słuchaczy w grupach szkoleniowych. W miejsce dwóch grup na pierwszym kursie, liczących 18 i 17 słuchaczy, stworzono z nas trzy grupy, w dwóch pierwszych po 12 słuchaczy,

a w trzeciej 13. Aby moje kalkulacje nie budziły zastrzeżeń i wątpliwości, trzeba dodać, że na drugi rok studiów zostali przyjęci oficerowie z dużym doświadczeniem, ze stanowisk dowódców pułków oraz dowódców brygad i równorzędnych, a więc z pewnymi zasługami. Byli to:

- ppłk Stanisław Majewski - dowódca pułku czołgów,
- ppłk Zbigniew Merkułowski - dowódca brygady saperów

ŚOW,

- płk Michałowski z Szefostwa Wojsk Inżynieryjnych,
- ppłk Zbigniew Olewiński - dowódca pułku czołgów,
- ppłk Stanisław Seroczyński - dowódca brygady saperów

WOW,

- ppłk Bolesław Wysocki z Szefostwa Wojsk Inżynieryjnych

ŚOW,

- ppłk Marian Jankowiak zastępca szefa kadr MON.

Po dwóch - trzech zostali oni włączeni do naszych grup.

O większych możliwościach uzyskiwania wyższych efektów szkoleniowych, przy mniejszych liczebnie grupach nie muszę czytelnika przekonywać. Są one bowiem oczywiste. Wspomnę choćby fakt, że w czasie sześciogodzinnego seminarium, każdy z nas był zmuszony do co najmniej dwukrotnego referowania. A przecież tak długie seminaria, zwłaszcza z taktyki ogólnej, wcale nie należały do rzadkości. Podobnie bywało na zajęciach z taktyki w ćwiczeniach grupowych. Po prostu, do każdego zajęcia, z dnia na dzień, trzeba było być przygotowanym.

Taka organizacja studiów i stosowanie takich metod nauczania na uczelni wyższej miała wielu przeciwników, zwłaszcza wśród słuchaczy, ale to wszystko zmuszało jednocześnie do systematycznej pracy i przynosiło doskonałe efekty.

Należy do tego dodać, nieco awansem, że w następnym roku studiów, to jest na trzecim roku, nasze grupy stały się jeszcze mniejsze. Nie dość bowiem, że kolejnych czterech słuchaczy nie otrzymało promocji na kolejny rok, to jeszcze zorganizowano z nas czwartą grupę.

W ten sposób w pierwszych trzech grupach było po ośmiu a w czwartej tylko siedmiu słuchaczy. Wtedy trzeba było jeszcze wydajniej pracować, bo całymi dniami na naszych lekcjach musieliśmy referować i referować. To była duża intensyfikacja nauczania i samokształcenia.

Kolejnym nowym elementem był – jak wspomniałem wcześniej – lepszy dobór kandydatów na studia. Był on bezsprzecznie lepszy od doboru prowadzonego przed laty. Wystarczy tu wskazać, że wśród nas nie było słuchaczy bez średniego wykształcenia, a przecież dawniej takie zjawisko występowało często, by nie powiedzieć – powszechnie.

W stosunku do naszego rocznika, jak i naszych poprzedników, dobór był trzyetapowy: w jednostkach wojskowych, okręgach wojskowych oraz na egzaminie wstępnym. Nie uwzględniał on jednak kryteriów, którym hołdował gen. Kuropieska.

Dlatego wobec nas zastosowany został znacznie większy „odsiew” w czasie pierwszego i drugiego roku studiów. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że na pierwszy rok kursu ogólnowojskowego przyjęto trzydziestu pięciu, to selekcja w toku studiów sięgnęła 29% i była ewenementem.

Komendant selekcje uważał za zjawisko normalne w procesie studiów, a zwłaszcza w kształceniu kadr dowódczo-sztabowych. Nie odstępował od takiego założenia, mimo że przeciw temu wypowiedziało się wielu nauczycieli łącznie z pokazaną częścią profesury i, a może przede wszystkim, wielu pracowników z instytucji centralnych MON. Nie mówmy już o tym, jak czuli się „wyczepieni”.

Dla nas, słuchaczy, był to czynnik najbardziej szokujący, a jednocześnie najbardziej mobilizujący do wysiłku i starań, aby zajmować dobre miejsce, nie pozostawać w tyle, w końcówce. Chociaż takie motywy w teorii dydaktyki nie są wysoko cenione, to musimy przyznać, że przynosiły znakomite efekty.

Co prawda zdarzały się również pomyłki i czasem „wylęwano dziecko z kąpielą” jak choćby przykład naszego wspomnianego kolegi z mojej grupy – Kawęckiego.

W sumie, tym bardziej oceniane z perspektywy czasu, dla poziomu kształcenia było to zjawisko korzystne.

Nawet wtedy, my jako słuchacze, do zwolnienia kolegi Józefa K. – spadochroniarza odnieśliśmy się z obojętnością. Był to bowiem oficer, który do akademii przybył ze stanowiska dowódcy kompanii wsparcia w batalionie desantowym. Był niewielkiego wzrostu, ale o dużej sprawności fizycznej i zaprawiony do znoszenia trudów życia wojskowego. Miał też duże zasługi w tworzeniu zrębów nowej władzy po wojnie.

Od najmłodszych lat bowiem był działaczem partyjno-politycznym w Kieleckiem, z którego pochodził. W 1946 r. został wyznaczony na pełnomocnika rządu do spraw referendum na Rzeszowszczyźnie.

Z tego co nam relacjonował, wynikało, że doskonale sobie z tym radził, mimo młodego wieku. Na przykład pewnego razu, kiedy musiał dotrzeć do wsi znajdującej się na terenie działania UPA, gdzie właśnie miał przeprowadzić agitację, poprosił o przygotowanie mu do podróży konia z chłopskim wozem, na którym polecił umieścić beczkę ze smołą.

Do podróży ubrał się w chłopskie odzienie i przewiązał powrósem. Tak zamaskowany dotarł na miejsce, przeprowadził zebranie i wrócił bez jakichkolwiek zakłóceń i szwanku. W czasie referendum doskonale potrafił współpracować z duchowieństwem. Właściwie wykorzystywał fundusze wydane mu na cele związane z tym przedsięwzięciem. Troskliwie opiekował się rodzinami poszkodowanymi przez opozycję.

Opowiadał na przykład, że dowiedziawszy się o zamordowaniu przez UPA komendanta wiejskiego posterunku milicji, pojechał do jego żony, sprawdził jak się mają wdowa i jej drobna dziatwa. Ponieważ dostrzegł duży niedostatek, zabrał ich do pobliskiego miasteczka, obkupił od stóp do głów, odwiózł z powrotem do domu, a na koniec wręczył wdowie sumę

pieniędzy, która według niego, powinna im zabezpieczyć bytowanie na jeden rok. Nie tylko dziatwa, ale i młoda wdowa usiłowała ucałować mu za to ręce.

Wielkie zdziwienie wywołał jednak u swoich mocodawców, kiedy po zakończeniu tej działalności oddawał im teczkę wypchaną pieniędzmi pozostałymi po przeprowadzonej akcji. Zaniemówili z zaskoczenia, przyznając, iż nie wiedzą co z tym zrobić, bo był to jedyny tego typu przypadek.

W owym czasie był on również świadkiem wykonania wyroku na oskarżonym o działalność antypaństwową i pogrzebania go na terenie tamtejszego więzienia. Po latach, kiedy był już oficerem i dowiedział się o niewinności owego człowieka, pojechał do tego zakładu odosobnienia. U komendanta w gabinecie domagał się przeprowadzenia ekshumacji zwłok.

- Panie poruczniku! - odezwał się na to komendant.

- Uważa pan, że powinienem dokonać ekshumacji?... A skąd ja mam wiedzieć, gdzie ten człowiek został pochowany, jeśli to nawet jest prawdą co pan mi tu opowiada - odrzekł na to, nieco podniecony komendant.

- A ponadto, czy to moja sprawa aby dochodzić czyjejs sprawiedliwości, która jeśli nawet została nadwerżona to, bez mojej wiedzy i bez mojego udziału.

- Ja wam towarzyszu mogę wskazać miejsce tego pochówku. Widać go nawet z waszego gabinetu. O! Tam jest pogrzebany, gdzie teraz akurat, przechodzi tych dwóch więźniów z konwojentem - wyjaśniał K. wskazując jednocześnie miejsce ręką.

- Może towarzysz natychmiast rozkazać odkopywanie... Niepokojony krzywdą, jaka została wyrządzona temu człowiekowi, przyjechałem tu, przywiozłem dokumenty wyjaśniające, że był niewinny, a że działo się to w mojej obecności, chciałem być świadkiem tej ekshumacji i uczestniczyć w częściowym naprawieniu wyrządzonej mu wtedy krzywdy - dodał kolega spadochroniarz.

Nie doszli do porozumienia. Toteż zdenerwowany kolega wymyślał komendanta zakładu karnego od tchórzy i rozstali się.

Jako oficer niskiego stopnia, będący na stosunkowo niskim szczeblu w hierarchii wojskowej, pracował dobrze, aczkolwiek dawał o sobie wyraźnie znać jego upór pasujący jak ulał do nazwiska - mówili o nim w desancie. Przełożeni miewali kłopoty z jego uporem. Lubił bowiem dociekać swego - szukać sprawiedliwości. Nie przeszkodziło to jednak wytypować go na studia. Tu pomyślnie zdał egzamin i został przyjęty.

Kiedy wraz z nim przypadło nam się uczyć, dyskutować, a przede wszystkim rozwiązywać zadania taktyczne, gdzie należało wykazać swoje możliwości intelektualne, to, po poznaniu jego barwnej przeszłości, nie chciało się wierzyć, że w młodym wieku potrafił wykazywać tyle sprytu, inwencji i mądrości życiowej, a teraz ich zabrakło. Zamiast się jeszcze bardziej rozwinąć przez lata służby w dywizji spadochronowej, to on się zatrzymał w rozwoju. Nie radził sobie z zawilościami matematyki. Natomiast w taktyce za najważniejsze uważał postanowienia regulaminu walki. Najgorzej, że nie mógł sobie wyobrazić rozwoju sytuacji w czasie i przestrzeni. Dlatego też, według nauczycieli akademickich, nie rokował nadziei sprostania wymogom oficera dyplomowanego. Musiał odejść.

Zupełnie inny był, również zwolniony po pierwszym roku, mjr Henryk K., dowódca kompanii czołgów z Braniewa. Był on wysokim blondynem, niedbale uczesany na prawy bok, o słowiańskich rysach, dość szerokich zuchwach, powłóczystym kroku i jakby nieskoordynowanych ruchach. Bardzo prosty w obejściu i kontaktach z ludźmi, wesoły, nie stroniący od kielicha i doskonale grający w brydża. Mimo słabego przygotowania ogólnego (kurs chorążych i średnie wykształcenie dopiero w stopniu oficerskim) wykazywał niemałe zdolności do matematyki oraz trzeźwy rozsądek i poprawność myślenia. Zbyt wiele czasu poświęcił jednak grze w brydża, zaniedbał bieżący program w przyswajaniu wiedzy i umiejętności, zwłaszcza

w zakresie taktyki. Dała również o sobie znać ogólna niedbałość, zwłaszcza w pracy na mapie. Przy zwolnieniu koledzy byli przekonani, że sam sobie zaszkodził, bo jego zaniedbania były ewidentne.

Kolejną zmianą w toku trwania naszych studiów był lepszy dobór nauczycieli. Wymiana kadry dydaktycznej zachodziła w tym czasie znacznie częściej niż kiedykolwiek wcześniej. Każdego roku część kadry odchodziła, a na jej miejsce przychodzili inni, nowi nauczyciele. Czy byli oni lepsi, o większych predyspozycjach dydaktyczno-wychowawczych?... Nie mnie było oceniać.

Na podstawie tego, co mogłem zaobserwować w naszej grupie, wypada powiedzieć, że ci, których spotkaliśmy na II roku, więcej wymagali niż poprzednicy, a więc i lepiej uczyli. W każdym razie uważaliśmy to za zmianę na lepsze.

Efekt tego był widoczny, bo ze znacznie większą swobodą poruszaliśmy się w problematyce taktycznej. Słuszne wydaje się też przyjęcie takiego punktu widzenia, że wyższe efekty nauczania wynikały nie tyle ze zmian kadrowych, ile z wydajniejszej pracy wszystkich nauczycieli, zarówno tych dotychczasowych jak i nowo sprowadzonych do akademii. Owa wymiana kadry w podobny sposób podniosła wydajność pracy jak „wyczepianie” słuchaczy.

Nie każda zamiana nauczycieli na oficerów z wojsk przynosiła zamierzony skutek, to jest radykalne korzyści. Bywało bowiem, że nawet najzdolniejszemu dowódcy czy oficerowi sztabu praca dydaktyczna nie odpowiadała, a bywało, że po prostu nie posiadali oni takich predyspozycji.

Z takim przypadkiem miałem możliwość zetknięcia się już na drugim roku przy opracowywaniu pracy indywidualnej.

Otóż, tematem mojej pracy było ćwiczenie taktyczne: „Przejdźcie do obrony DZ w początkowym okresie wojny”. Kierownik grupy, przydzielając mi temat, poinformował równo-

cześnie, że konsultantem mojej pracy będzie major, nazwijmy go, Xiński.

Przez długi czas nosiłem się z tematem, dyskutowałem z kolegami - bez rezultatu. Nie mogłem sobie poradzić z ustawieniem dywizji w zarysie sytuacji operacyjnej. Szkopuł bowiem był w tym, że byliśmy na początku drugiego roku i rozpoczęliśmy dopiero szczebel dywizji. Natomiast zupełnie jeszcze obca była nam problematyka szczebla operacyjnego - armii. Tymczasem opracowanie takiego ćwiczenia wymagało dobrej orientacji w problematyce operacyjnej. Podobnie surowi w tej materii byli moi koledzy, z którymi dyskutowałem, aby się jakoś do tej problematyki zbliżyć.

Nie mogąc rozwiązać samodzielnie, ani przy udziale kolegów, niektórych kwestii, wybrałem się do konsultanta. Po zameldowaniu się, wyluszczyłem temat i rodzaj ćwiczenia oraz fakt, że nie potrafię sobie poradzić ze stworzeniem zamiaru.

Próbowałem, powiadam, stworzyć sytuację, w której ćwicząca dywizja znalazła się za Odrą, maszerując na zachód w początkowym okresie wojny, ale nie mogę znaleźć odpowiedzi, a właściwie przyczyny, dla której musi ona przejść do obrony, znajdując się jednocześnie w znacznym oddaleniu od Łaby. Tak naprawdę, to jakoś nie widzę warunków, w których ma ona przejść do działań obronnych.

- To dobrze, że jest ona na przykład w ruchu i kończy przeprawę przez Odrę - powiada na to konsultant.

Jednakże natychmiast dodaje: - Ale w pewnym momencie, trzeba ją u...dolić, u...dolić, u...dolić i to tak, żeby nie mogła nic innego, tylko się bronić.

Tak mnie ta jego rubaszność obezwładniła, że o nic więcej nie pytałem ani nie próbowałem czegokolwiek jeszcze wyjaśnić. Odmeldowałem się i wyszedłem. Po drodze do sali grupowej rozważałem: jak to jest, że ten nasz kierownik grupy taki grzeczny i delikatny oraz sympatyczny, że mógłby zostać świętym, a tymczasem jego kolega z zespołu taki ordynus?...

Więcej już do niego nie chodziłem na konsultacje. Zameldowałem się dopiero z gotową pracą tuż przed końcem roku. Przyczyny tak późnego jej przedstawienia były dwie. Jedną to fakt, że wymagała ode mnie nie byle wysiłku i dobrego rozeznania się w problematyce wyższego szczebla, a to nastąpiło dopiero w drugiej połowie roku akademickiego. Drugą przyczyną były popełnione przeze mnie błędy, których naprawienie wymagało dużego nakładu pracy. Usterki może nie były aż tak wielkie, ale praca nad ich usunięciem wymagała opracowania nowych map, a więc dużego nakładu pracy. Gdyby więc usterki w mojej pracy zostały dostrzeżone, z czym się poważnie liczyłem, i w dodatku na ich usuwanie byłoby jeszcze dość czasu, to prawdopodobnie musiałbym tę pracę wykonać, to jest ćwiczenie poprawiać. Jeśli je oddam późno, to będzie może słabsza ocena, ale uniknę dodatkowej pracy. Takie było moje studenckie rozumowanie.

Kiedy się z pracą zameldowałem, to zamiast burzy, jak się spodziewałem, dostrzegłem uśmiech na twarzy mojego konsultanta i usłyszałem:

- Tak, masz gotowe ćwiczenie?... No to dawaj je tu, rozkładaj mapę tu, na tym stole - mówi i jednocześnie wskazuje stół.

Kiedy mapa była już rozłożona, przyglądał się przez chwilę, dumiał chwytając się za podbródek, nie chciał moich wyjaśnień, aczkolwiek wcale się z nimi nie napraszałem, a byłem jedynie w gotowości do ich udzielania. Byłem już nawet zaniepokojony takim jego milczeniem, gdy tymczasem on pyta:

- Czy to już wszystko? A miał przed sobą zamiar stron.

- Nie, obywatelu majorze, mam jeszcze położenie do rozegrania kontrataku na przeciwnika, który włamał się w ugrupowanie dywizji - odpowiedziałem.

- No to dawaj je, zobaczymy jak to drugie dzieło wygląda.

Rozłożyłem więc kolejną mapę, a mój konsultant znowu się przyglądał, o nic nie pytając. Kiedy się już napatrzył i zrozumiał, a ja w niepokoju oczekiwałem, kiedy zacznie mi wyliczać błędy autorskie i równocześnie szkolarskie niedoróbki, powiada:

- No widzisz, zupełnie dobrze sobie z tym poradziłeś. Mało tego, mogę powiedzieć, że to całkiem dobre ćwiczenie. Chodźcie no tu, zobaczcie! - zawołał na pozostałych dwóch kolegów w tym pokoju.

Zbliżyli się, a ja zgodnie z życzeniem konsultanta znowu pokazywałem mapę zamiaru, oni zaś bacznie jej się przyglądali. Potem oglądali kolejną mapę, a na koniec jeden z nich zapowiedział, że jak będę chciał się rozliczyć z map, to mam mu o tym powiedzieć. Pójdzie wtedy ze mną do magazynu i mapy przepisze na siebie. Miały im się - jak oświadczył - przydać przy opracowywaniu ćwiczenia dla słuchaczy.

Kilka dni później, kiedy moja praca indywidualna otrzymała ocenę wystawioną przez kierownika grupy, a jej zaliczenie było wpisane do indeksu, powiadomiłem tego oficera oraz przekazałem w magazynie map swoje ćwiczenie.

Napracowałem się przy nim niemało. Bardzo mi się to jednak przydało, bo zdobyte w nim umiejętności przez wiele lat procentowały. Wtedy, gdy zostało mi zaliczone, nie wiedziałem jeszcze, że to, co zdobyłem będzie takie przydatne. Byłem szczęśliwy, że mam je poza sobą, że zostało przyjęte bez poprawek i uzupełnień, mimo że, jak wspomniałem, nie chodziłem i nie ustalałem właściwie niczego z konsultantem w toku jego opracowywania. Ba, kiedy się do niego udawałem z gotowym ćwiczeniem miałem po prostu pietra. Sam przecież dostrzegłem w nim szereg usterek.

Moje obawy były tym większe, że nie tak dawno nasłuchałem się jak to kpt. Habdas, spadochroniarz ze starszego rocznika, poszedł przed rokiem do swojego konsultanta, aby mu ten zaakceptował zamiar do ćwiczenia opracowywanego jako praca indywidualna.

Otóż, kiedy się u niego zameldował i po chwili rozłożył przyniesioną mapę z zamiarem, konsultant spojrzął, popatrzył i po chwili powiada:

- To jest zamiar do takiego ćwiczenia?... A gdzie jest to, a tamto?... A dlaczego brakuje w nim tego i owego, a zwłaszcza zarysu dynamiki?...

- Melduję obywatelu pułkownikowi, że te elementy, zgodnie zresztą z teorią zagadnienia, opracowałbym na innej mapie. Natomiast w zamiarze do tego rodzaju ćwiczenia, jakim jest ćwiczenie grupowe, opracowuje się mapę dynamiki jako oddzielny i niezbędny dokument. Dlatego zarysu dynamiki walki w zamiarze do owego ćwiczenia nie uwzględniłem - odpowiada Habdas.

- Nie, mój drogi, to wszystko trzeba zrobić na tej mapie. I będziesz musiał mój kochany kapitanie jeszcze sporo popracować - tłumaczy podniesionym głosem konsultant.

- Obywatelu pułkownikowi, w mojej pracy wcale nie trzeba opracowywać całego ćwiczenia - jak mi wskazał w wytycznych mój kierownik grupy. Dlatego też nie myślę na tej mapie niczego uzupełniać.

- Co wy mówicie?... Na takie g...no, to ja tu więcej patrzeć nie będę! - wyrzucił z siebie zdenerwowany konsultant. Następnie pochwycił mapę i wyrzucił ją przez okno na tyły bloku 101.

Tymczasem ów zamiar opracowany na mapie był dokumentem niejawnym.

- Melduję, że ja tej mapy stamtąd nie zabiorę!.. - prawie wyksztusił Habdas siląc się na spokój. Potem trzasnął obcasami, wykonał w tył zwrot i wyszedł.

Do końca dnia (pracy) konsultant stał przy oknie i z mapy nie spuszczał wzroku. Kiedy był koniec pracy zamknął już okno i zamierzał wyjść, aby ją zabrać do siebie, ale nagle zauważył jak do mapy zbliża się Habdas, zapewne przekonany, że jego konsultant już pojechał do domu i mapą trzeba się zająć.

Następnego dnia konsultant po przybyciu do pracy, natychmiast spojrzął przez okno, a mapa leżała tak samo jak w dniu wczorajszym.

- Co do cholery?... Przecież Habdas ją zabierał wczoraj. Śniłem czy co?... - martwił się konsultant, nie wierząc własnym oczom.

Uprzytomnił sobie, że słuchacz zabrał ją i przechowywał przez noc, a teraz dalej się z nim bawi w kotka i myszkę. Nie było jednak rady, trzeba było jej znowu pilnować przez cały dzień.

Zabawa trwała przez kilka dni. Wreszcie Habdas się złamał. Mapę uzupełnił, ale jedynie zarysem dynamiki walki. Doszedł bowiem do przekonania, że swoimi racjami do niczego nie dojdzie i ponownie zameldował się u konsultanta.

Rozwiązanie było połowiczne, aczkolwiek satysfakcjonowało obu krewkich oficerów. Jeśli idzie o nauczycieli, to moim zdaniem najbardziej troskliwie dobierani byli kierownicy grup, zwłaszcza na kursach ogólnowojskowych, bo tu odgrywali oni główną rolę w nauczaniu i wychowaniu słuchaczy.

Swojego konsultanta miałem również okazję obserwować w roli nauczyciela, w toku prowadzenia zajęcia. Zastąpił wtedy naszego kierownika grupy. Zajęcie było wizytowane przez gen. Kuropieskę. Muszę przyznać, że nie okazał tremy, a nawet podniecenia. Przynajmniej nie było tego widać. Wręcz przeciwnie, wykazywał zbyt dużo odwagi i swobody, bo tak dalece i długo wyjaśniał rozpatrywany problem, iż się komendantowi wydało, że z ćwiczenia zrobił wykład. Przerwał mu, mówiąc:

- Kochany majorze ja wiem, a oni przypuszczają, że wy to wszystko wiecie, ale dajcie im się pochwalić. Niech oni to przedstawią, a jeśli nie potrafią, to im pomożecie.

Niewiele jednak mogliśmy już wyjaśnić, bo niedługo zrobił przerwę.

- No no, patrzcie jaki on odważny. Nie ustępował, robił po swojemu - mówiliśmy między sobą.

Jednakże w następnym roku akademickim już go w akademii nie było.

Zmiany w pensum godzinowym na przedmioty taktyczno-operacyjne na naszym kursie nie były duże. Dotychczasowy wymiar godzin na taktykę i sztukę operacyjną w 1964 r. został powiększony o 60 godzin. Zważywszy jednak, że w tym czasie można przeprowadzić jedno ćwiczenie dziesięciodniowe lub dwa, trwające po pięć dni, to jest ono wcale nie takie małe. Tego rodzaju zmiany dokonane zostały w programie na lata 1963-1966, a program na lata 1964-1967 został skonstruowany w ten sposób, że na przedmiot taktyki i sztuki operacyjnej przeznaczono o dalsze 100 godzin więcej, co w stosunku do poprzedniego programu, to jest na lata 1963-1966 wynosiło o 160 godzin więcej.

Było to wyraźne przeniesienie ciężaru studiów na problematykę taktyczno-operacyjną i to dla wszystkich specjalności wojsk lądowych.

W programie nowym, zwłaszcza na lata 1964-1967, który rozpoczął I Kurs Ogólnowojskowy, wymiar godzin na zajęcia grupowe, zwłaszcza na ćwiczenia, został znacznie ograniczony. Ograniczono również liczbę godzin na wykłady, a pokaznie powiększono pensum na ćwiczenia dowódczo-sztabowe w terenie oraz ćwiczenia szkieletowe.

Niezależnie od tego, na korzyść ćwiczeń ograniczono godziny na wiele innych przedmiotów, jak na przykład na szkolenie techniczne i radiotechniczne oraz topografię. Niektóre przedmioty zostały w ogóle wyeliminowane z programu studiów. Do takich należały na przykład „Studium techniki i strzelań czołgowych”, przez co, moim zdaniem, nie ucierpiało przygotowanie absolwentów.

Mimo że tego rodzaju ingerencja napotykała sprzeciw znacznej części kadry, zwłaszcza przywykłej do tradycyjnych i utartych form nauczania i, co tu ukrywać, zapożyczonych od przemożnego sąsiada zza miedzy, to z całą stanowczością należy przyznać, że był to ogromny postęp, zwłaszcza w nauczaniu taktyki i sztuki operacyjnej. Znalazła tu bowiem zastosowanie jedna z podstawowych zasad nauczania – zasada realizmu.

Żadna inna z dotychczasowych form i metod nauczania tych przedmiotów tak nie zbliżała do naturalnych form i metod pracy dowódcy i sztabu nad organizacją działań bojowych jak ćwiczenia dowódczo-sztabowe.

Zmiany polegały jeszcze i na tym, że zwiększono liczbę tematów teoretycznych, których nie głoszono, jak dawniej, na wykładach. Słuchacze zmuszeni byli sami je przestudiować w czasie nauki własnej. Bywało nawet tak, że udając się autokarami na ćwiczenie z operacji powietrzno-morskiej do Dziwnowa, dopiero w czasie drogi studiowaliśmy odpowiednie materiały. Trzeba dodać, że doskonalono też organizację ćwiczeń szkieletowych, które w warunkach akademii stanowiły najwyższą formę nauczania taktyki i sztuki operacyjnej.

Pociąg „WIDMO” (tak żartobliwie nazywano skład wagonów przeznaczonych do przemieszczania się po kraju dla prowadzenia niektórych ćwiczeń) obejmował: wagony pierwszej klasy (z podnoszonymi oparciami, bo dawały kolejne miejsce do spania) przeznaczone na hotel dla ćwiczących słuchaczy oraz dla kadry jako rozjemców, wagony pocztowe, które po zainstalowaniu w nich stołów stanowiły miejsca pracy ćwiczącego sztabu (sztabów), wagony KL (kryte ludzkie) przeznaczone na kasyno, wagon kuchnie do przygotowywania posiłków, wagon KL jako magazyn żywnościowy, wagon salonkę do zakwaterowania i pracy kierownictwa ćwiczenia, platformy do przewożenia samochodów ciężarowych i autokarów.

Przykładowy skład takiego pociągu przedstawia załącznik nr 3. W transporcie zawsze znajdowała się elektrownia połowa, która, niezależnie od etatowego oświetlenia w wagonach, uzupełniała oświetlenie w miejscach, gdzie pracowały ćwiczące sztaby.

Postój pociągu planowany był przeważnie na stacjach małych i zacisznych oraz w rejonie, gdzie rozgrywano sytuacje taktyczne. Autor ćwiczenia wybierał stacje, które oprócz za-

pewnienia spokoju ćwiczącym, musiały posiadać rampę do rozładowania transportu kołowego oraz bocznice, na których można było ustawić składy naszych wagonów. Było to więc kilka elementów, które autor uwzględnił w swojej pracy przy opracowywaniu takiego ćwiczenia.

Od miejsca postoju pociągu do punktów pracy w terenie ćwiczący byli przewożeni autokarami albo samochodami ciężarowymi.

Bardzo ważnym zabiegiem organizacyjnym był właściwy podział i rozmieszczenie ćwiczących zespołów w odpowiednich wagonach sypialnych oraz przeznaczonych do pracy dowódców. Cały eszelon był podzielony na strony „WSCHODNIA” i „ZACHODNIA”. W ten sposób strony były od siebie oddzielone zarówno w toku pracy, jak i spożywania posiłków i odpoczynku. Takie rozdzielanie miało uchronić strony przed wzajemnym podglądaniem swoich rozwiązań przez strony przeciwne. Niezależnie od takiego rozdzielania, „ZACHODNI” nosili niebieskie opaski na lewym rękawie.

Wykorzystanie pociągu do prowadzenia ćwiczeń miało wiele aspektów. Był to bowiem nie tylko środek transportu umożliwiający poruszanie się po kraju, ale zapewniał – jak wspomniano wyżej – miejsce pracy, przygotowanie i wydawanie posiłków oraz odpoczynek. Zapewniał również przewożenie transportu kołowego, a więc i oszczędne wykorzystanie pojazdów mechanicznych. Można powiedzieć, że czynił ćwiczący kurs samowystarczalny w warunkach terenowych.

Oderwanie się od rejonu stałego zakwaterowania na czas trwania ćwiczenia, pozwalało intensywnie pracować zarówno słuchaczom, jak i nauczycielom akademickim. Mogli się bowiem przez kilka, a niekiedy i kilkanaście dni oddać pracy dowódczo-sztabowej i prowadzić rozważania natury operacyjno-taktycznej w czasie ciągłym, co również było wyrazem zastosowania zasady realizmu szkolenia.

Kolejnym aspektem wykorzystania pociągu była możliwość zademonstrowania słuchaczom, których przecież czekało

jeszcze wiele lat służby, wysokiej organizacji takiego przedsięwzięcia, jakim jest ćwiczenie taktyczne czy operacyjne. Przypominam sobie, że podziwialiśmy zarówno pomysłowość w urządzeniu wagonów przeznaczonych do pracy sztabów, które zapewniały, bądź co bądź, niemal komfort pracy, zwłaszcza w czasie postoju pociągu i pozwalały prowadzić ją również w czasie jego przejazdów. Co prawda kiedy pociąg był w ruchu, to nasze dokumenty nie wyglądały najlepiej, ale i wtedy były one wykonywane.

Trzeba tu dodać, że przy dobrym planowaniu oraz sprawności kolei udawało się dokonywać przesunięcia pociągu na kolejne miejsce postoju w czasie, kiedy ćwiczący pracowali na punktach pracy w terenie. W takich warunkach ćwiczące zespoły po spożyciu śniadania jak zwykle opuszczały pociąg i odjeżdżały samochodami ciężarowymi lub autokarami w teren na przewidziane planem punkty pracy. Natomiast po zakończeniu pracy w polu zespoły te powracały na obiad do pociągu na nowe miejsce jego postoju.

Wysoki stopień organizacji znajdował również swój wyraz w tak przyziemnym zabiegu jak ustawianie na stołach kasyna waz z gorącą zupą, podczas naszego zbliżania się do pociągu oraz w tym, że przy naszych wagonach sypialnych oczekiwały nas rzędy ustawionych w ordynku miednic i wiader z czystą wodą.

Zaraz mogliśmy oczyścić z kurzu nasze obuwie, obmyć się po ośmio-dziesięciogodzinnym utrudzeniu i natychmiast udać na posiłek.

Na poobiednią sjęstę nie było czasu, a jeśli, to była bardzo krótka. Bowiem tuż po posiłku pobieraliśmy nowe materiały i przystępowaliśmy do pracy w wagonowych pomieszczeniach. Trzeba się było bardzo zwijać, by około 22.00–23.00 można było rozpocząć nocne odpoczywanie. Taka okoliczność zdarzała się tylko przy wyjątkowo dobrze zorganizowanej pracy, jednakże nie każdego wyznaczonego z nas wodza było stać na tak wysoki kunszt organizacyjny. Trzeba jednak gwoli sprawiedliwości

przyznać, że w tej dziedzinie również były sukcesy godne odnotowania.

Wypada tu powiedzieć, że tak intensywnej pracy i psychicznego obciążenia my, jako słuchacze, nie znieslibyśmy w klasach. Natomiast w terenie, w otoczeniu zieleni, przy stosunkowo częstych zmianach punktów pracy, a tym samym i otoczenia, następowało odprężenie, mogliśmy szybko zregenerować siły, odprężyć się i odpocząć, aby na kolejnym punkcie nauczania ponownie wyęźać umysł przy rozważaniach nad kolejną sytuacją.

Zupełnie innym aspektem wykorzystania pociągu, wcale nie mniej ważnym od wymienionych dotąd, stała się możliwość wielokrotnego (ciągłego) topograficznego i taktycznego orientowania się oraz prowadzenia rozważań nad możliwością wykorzystania danego terenu do prowadzenia działań bojowych.

Znakomicie wpływały na naszą edukację taktyczną, poznawanie naszej przeszłości i poszerzanie naszych horyzontów taktyczno-operacyjnych informacje wygłaszane przez wykładowców Katedry Historii Sztuki Wojennej. Odbywały się one w miejscach walk i bitew prowadzonych zarówno przez nasze, rodzime siły zbrojne, jak i armie: Prus, carskiej Rosji, armię Napoleona, a także hitlerowskich Niemiec oraz pododdziały partyzanckie. Stanowiły one swego rodzaju „przerywniki” w rozważaniach taktyczno-operacyjnych, dawały zmianę i wytchnienie, a jednocześnie wzbogacały naszą wiedzę i poszerzały horyzonty myślowe.

Do bardzo interesujących i podobnie cenionych przez nas należało zwiedzanie zakładów przemysłowych, zwłaszcza takich, jak: Nowa Huta, kopalnie węgla na Śląsku, kopalnia soli w Wieliczce, Huta Stalowa Wola, zakłady porcelany w Ćmielowie i Chodzieży oraz wiele innych.

Przy okazji ćwiczenia mieliśmy także możliwość zwiedzania niektórych zabytkowych budowli świeckich i sakralnych. To właśnie przy okazji ćwiczeń oraz dzięki dobrej woli naszego komendanta zwiedziliśmy Świętą Lipkę, Chęciny, św. Krzyż

i św. Katarzynę. Zwiedziliśmy również takie ciekawostki turystyczne, jak: Pustynię Błędowską, Ojców, Szlak Orlich Gniazd, Górę św. Anny oraz Karkonosze, a także Mazury, Pomorze, Pas Wielkich Dolin, a szczególnie Dolinę Wisły i Odry.

Można więc powiedzieć, że tak prowadzonym ćwiczeniom towarzyszyła podróż studyjna na dużym obszarze kraju. Bardzo często bowiem zaplanowane ćwiczenie sięgało od wschodniej granicy do Odry. Podróż dotyczyła więc ciekawego terenu, z operacyjno-taktycznego, historycznego i gospodarczego punktu widzenia, a także jego ukształtowania pionowego.

Wykorzystanie pociągu „WIDMA” miało więc wyjątkowe znaczenie w procesie kształcenia kadr dowódczo-sztabowych. Wraz z przeprowadzonymi zmianami tak bardzo podniosło efekty nauczania, że okres ich wprowadzenia śmiało można nazwać PRZEŁOMOWYM w rozwoju ASG WP.

## ĆWICZENIA, ĆWICZENIA I ĆWICZENIA

Liczba, a przy tym i częstotliwość ćwiczeń taktycznych na II roku studiów wzrosła. Jeśli na I roku było ich sześć, to w czasie II roku odbyliśmy ich aż dziewiętnaście. Niektóre, jak na przykład ćwiczenie wprowadzające oraz trening w posługiwaniu się tabelami sygnałowymi, zostały zlikwidowane. Pierwsze miało wprowadzać w problematykę szczebla związku taktycznego, a drugie – przygotowywać do wykorzystania środków łączności i dokumentów dowodzenia w ćwiczeniu szkieletowym. Uznano je bowiem za mniej efektywne niż ćwiczenie dowódczo-sztabowe.

Jeśli idzie o rodzaje ćwiczeń, to w dalszym ciągu mieliśmy ćwiczenia główne, prowadzone metodą grupową, oraz ćwiczenia doskonalące – jako dowódczo-sztabowe i sprawdzające.

Do głównych należały: organizacja przegrupowania DZ na dużą odległość; natarcie DZ w pierwszej operacji zaczepnej

armii; organizacja i prowadzenie działań nocnych przez DZ; organizacja i prowadzenie obrony przez DZ.

Tematyka tych ćwiczeń jak i występujących w nich zajęć oraz problematyka rozważanych tam zagadnień, w stosunku do prowadzonych w ramach programu poprzedniego, nie uległa zmianie. Radykalnej natomiast zmianie, uległo podejście do rozwiązywanych zagadnień oraz metoda prowadzenia zajęć. Został on bowiem bardzo ożywiony. Nad rozwiązaniami prowadzone były ożywione dyskusje, wymagano od nas uzasadnień przyjętych rozwiązań, a równocześnie, przynajmniej w naszej grupie, u Bidzińskiego, dużą wagę przywiązywano do zwięzłości wyrażania myśli.

Atmosfera zajęć sprzyjała pogłębianiu wiedzy słuchaczy. Jeśli o mnie idzie, to wysiłek w roku poprzednim, aczkolwiek był niedoceniany przez kierownika grupy, teraz bardzo dobrze owocował. Chociaż w poprzednim roku byłem potępiany za to, że nie korzystam z konspektów, że nie odczytywałem ich i moje wypowiedzi były zwykle dużo skromniejsze, teraz wcale więcej nie pracowałem, a było dużo lepiej niż wtedy. Po prostu poczułem dużo większą swobodę przy poruszaniu się w problematyce taktycznej.

Mimo wspomnianego ożywienia, ćwiczenia główne na II roku, w dalszym ciągu zabierały dużo czasu. Zwłaszcza „natarcie dywizji”, bo się ciągnęło od połowy grudnia do połowy marca.

Ćwiczenia doskonalące prowadzone były zarówno w formie ćwiczeń grupowych, jak i dowódczo-sztabowych. Jako grupowe, występowały: organizacja i prowadzenie działań bojowych przez DPD; organizacja desantowania i prowadzenie działań bojowych przez DD; organizacja i prowadzenie obrony wybrzeża morskiego przez DZ; organizacja i prowadzenie forsowania przeszkody wodnej przez DZ.

To ostatnie odbyliśmy w formie ćwiczenia grupowego, a umiejscowione zostało w rejonie Magnuszewa. Z tego ćwiczenia odbyliśmy dwa, a może nawet trzy zajęcia w terenie.

Jedno z nich dotyczyło rekonesansu dowódcy z grupą operacyjną i kończyło się postawieniem zadań wykonawcom. Drugie dotyczyło dynamiki forsowania, a kolejne odpierania kontrataku nieprzyjaciela na opanowanym przyczółku. Być może, iż dwa ostatnie tematy objęte były jednym wyjazdem w teren. Te ćwiczenia były znacznie krótsze od głównych i przez to nie odczuwaliśmy tak dużej ich uciążliwości.

Doskonalące ćwiczenia prowadzone były jako dowódczo-sztabowe z wykorzystaniem pociągu, a więc w terenie. Wymagały nie tylko psychicznego, ale i fizycznego wysiłku. Stanowiły jednak dużą atrakcję, dlatego zupełnie lekko znosiło się związane z nimi niewygody. Należały tu takie jak: bój spotkaniowy DZ; działanie DPanc na tyłach nieprzyjaciela w oderwaniu od sił głównych armii; natarcie DZ w początkowym okresie wojny, bez użycia broni jądrowej; obrona DZ bez użycia broni jądrowej; organizacja i prowadzenie przez DPanc działań opóźniających; natarcie DZ z bezpośredniej styczności z nieprzyjacielem.

Ćwiczenia dowódczo-sztabowe prowadzone były jako dwustronne i odbyły się w czasie dwóch wyjazdów pociągiem „WIDMO”. Ćwiczyłem na nich różne funkcje: dowódcy, szefa wydziału operacyjnego, szefa wydziału rozpoznawczego, szefa artylerii, szefa saperów, szefa OPL, szefa zabezpieczenia chemicznego, a także kwatermistrza dywizji. Szczerze mówiąc, dopiero po „przećwiczeniu” odpowiedniej funkcji można było poczuć się dobrze w danym przedmiocie, to jest w problematyce odpowiedniej specjalności. Do każdego z tych ćwiczeń tworzony był nowy skład, czyli zmieniano nam funkcje. Na początku w odpowiedniej funkcji ćwiczyliśmy po kilka dni, potem zmiany następowały częściej, a nawet każdego dnia.

Kiedy po raz pierwszy dokonano zmiany funkcji byliśmy ogromnie niezadowoleni, bo na przykład dobrze się już poczułem w ćwiczonej funkcji, a tu zmiana i znowu nie wiadomo za co się brać i jak sobie z tym radzić. Byłem na przykład artylerzystą, wiedziałem co dalej, choć jeszcze rozpalony, a tu trzeba

objąć funkcję na przykład saperską, i znowu nieszczęście. Łączyło się to z koniecznością wchodzenia w zupełnie inną problematykę.

Wchodzić to wchodzić, ale trzeba było w tej nowej roli publicznie referować, uzasadniać i bronić przyjętego rozwiązania. Spośród tych wielu funkcji jakie „przećwiczyłem”, najbardziej utkwiły mi w pamięci dwie. Dowódcy dywizji, o której wspominałem wcześniej, oraz funkcja kwatermistrza dywizji.

W tej drugiej roli wystąpiłem po stronie „zachodniej” i za pomocnika miałem „rasowego” kwatermistrza kpt. Reszela, który przed studiami był kwatermistrzem akademii. Był to oficer zdolny i bardzo dobry słuchacz. To on był głównym inspiratorem wszystkich naszych przedsięwzięć i zarazem moim nauczycielem. Zapewne taka myśl przyświecała temu, który nas w tych rolach obsadzał. Do mnie jako szefa należało przedstawianie naszych wspólnych opracowań i za wszystko odpowiadałem. Dlatego musiałem być we wszystkim zorientowany.

Do kiedy tej funkcji nie „zagrałem”, to, mimo że jakoś zdawałem kolokwia i odpowiadałem na przeróżne pytania w toku zajęć grupowych i to nawet niezłe, to jednak problematyka tyłowa wydawała mi się enigmatyczna. Na domiar złego, było to po stronie „zachodniej”. Na moje szczęście miałem przy boku znakomitego kwatermistrza, a przy nim wydawało mi się, że sobie zupełnie dobrze radzę. Tak mi się wydawało po opracowaniu danych do decyzji dowódcy, na miejscu w wagonie. Ba, poczułem się nawet ogromnie zadowolony, kiedy zupełnie dobrze sobie radziłem z przedstawieniem naszego opracowania późnym wieczorem naszemu rozjemcy od spraw kwatermistrzowskich. Wysłuchał mnie, zadał kilka dodatkowych pytań, które znowu wyjaśniałem, a jeśli napotykałem na problemy wymagające większego wtajemniczenia, uzupełniał moją wypowiedź pomocnik. Nasze rozwiązanie zostało przyjęte, aczkolwiek niektóre szczegóły mieliśmy jeszcze uzupełnić, a co najważniejsze w następnym dniu, w terenie być w gotowości do przedstawienia tej problematyki przed całym zespołem.

Jak się okazało w polu, na wysłuchanie kwatermistrza, do którego byłem bardzo dobrze przygotowany, nie starczyło czasu. Główny rozjemca przystąpił w pewnym momencie do przekazania nam (dyktowania) kolejnego położenia, dynamicznego, które miało być rozegrane tam na punkcie pracy.

Po nakreśleniu sytuacji ogólnej rozjemca z katedry tyłów zabrał nas na bok i wprowadził w sytuację tyłową. Donosił mi więc, że jako jeden z moich oficerów odebrał meldunek, iż lotnictwo nieprzyjaciela zniszczyło zapasy jednej z podległych brygad i potrzebuje ona pilnie amunicji. Tyły drugiej brygady kończyły przekazywanie zapasu amunicji batalionom. Na duże trudności napotymano przy ewakuacji rannych. Było też wiele innych informacji; niektóre poparte liczbami.

Sam zrozumiałem, że moje rozdzielenie całego zapasu amunicji i przekazanie jej w całości do brygad, o czym meldowałem w decyzji, było fatalnym błędem i teraz mam tego opłakane skutki.

Postanowiłem to naprawić i zwróciłem się do mojego pomocnika.

- Proszę przekazać zadanie, aby 2BZ skierowała swój zapas amunicji do rejonu x, y, z i przekazała go 1BZ. Jednocześnie należy z tyłów dywizji, skierować transport do bazy w celu pozyskania dodatkowego zapasu amunicji.

Wydałem jeszcze kilka poleceń dotyczących odtworzenia tyłów w 1 BZ. Wysłuchał tego z uwagą rozjemca i powiada:

- W roli oficera waszego kwatermistrzostwa odebrałem meldunek od kwatermistrza 2 BZ.

- Melduje on, że rozdzielił i oddał całość zapasu amunicji do pododdziałów i w swoich tyłach wcale jej nie posiada.

- To cóż z niego za kwatermistrz, że cały zapas amunicji rozdzielił i we własnych tyłach nie pozostawił żadnych rezerw?... To taki sam z niego baran jak i ze mnie?... Ze mną to inna sprawa, bo przecież nie byłem nigdy kwatermistrzem, ale on, cieszący się taką renomą i czyni takie głupstwa? - wyrzuciłem niejako z rozpędu, niby żartem.

Moja odzywka tak bardzo rozbawiła rozjemcę, że nie wystarczyło mu siedząc obok mapy wyśmiać się „do syta”, tylko się pokładał na trawie.

- Ma facet duże poczucie humoru, bo przecież mógł mnie nie tylko przywołać do porządku, ale i zrugać jak trzeba - pomyślałem sobie.

Tymczasem on właśnie na tym zakończył nas przepytywać i w rozbawieniu odesłał do zespołu. Tu trafiliśmy akurat na zbiórkę zespołu po wypracowaniu decyzji z podegranej sytuacji. Znowu rozpoczęło się przepytywanie, a my, obaj z Reszelem nie byliśmy zorientowani nie tylko w powziętej decyzji, ale położenie wojsk zdążyliśmy poznać w bardzo ogólnym zarysie. Ledwo stanąłem w szyku, a już słyszę:

- Z decyzją dowódcy dywizji zapozna nas mjr Zapała.

Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Natychmiast minęła moja wesołość przyniesiona z problematyki tyłowej. Powątpiewałem nawet, czy aby dobrze usłyszałem, że mam przedstawić decyzję dowódcy.

- A może to nie o mnie chodzi?...

Kiedy jednak spostrzegłem, że wzrok rozjemcy spoczywa właśnie na mojej osobie, nie było wątpliwości. Wystąpiłem więc przed szyk, wykonałem w tył zwrot, rozłożyłem trzymaną pod pachą mapę i zastanawiałem się przez chwilę jak z tego wybrnąć. Po prostu, co tu zameldować. Wtedy, Bidziński prawdopodobnie zauważył moje zmytygowanie, że coś tu jest nie tak i pyta.

- W czym problem majorze Zapała?...

- Melduję obywatelu pułkowniku, że potrzebuję maleńką pauzę na zastanowienie się, gdyż nie byłem przy wypracowaniu decyzji, meldowałem bowiem swoją decyzję rozjemcy przy kwatermistrzostwie.

- To przepraszam i proszę wstąpić!...

Wywołał teraz następnego do referowania, a ja odetchnąłem z ulgą nieco głębiej niż zwykle i zadowolony wysłuchiwałem jak kolega melduje.

- Całe szczęście, że ten mój kierownik grupy zauważył moje zakłopotanie i dał mi spokój, bo przecież niczego mądrego nie mogłem w tej sytuacji zameldować...

Dla jasności muszę wspomnieć, że zdaniem komendanta każdy oficer sztabu powinien w każdej sytuacji znać decyzję dowódcy. Każdy z nas pamiętał o tej zasadzie i sam był zmuszony zabiegać o to, by poznać decyzję dowódcy. W moim przypadku nie mogło więc być żadnego tłumaczenia, iż nie zdążyłem jej jeszcze poznać.

Ćwiczenie szkieletowe odbywało się na kierunku Warszawa-Opoczno, przy stosunkowo skromnym wyposażeniu w środki łączności. Mieliśmy bowiem do dyspozycji łączność radiową i przewodową. Przy radiowej było tyle obostrzeń w zakresie przestrzegania tajemnicy, że unikaliśmy jej, wykorzystując sporadycznie.

Stanowiska dowodzenia (SD) dla każdego zespołu ćwiczącego zarządzane były pod namiotami. W rejonie SD były więc namioty do pracy, namioty kasynowe oraz namioty hotelowe, przewidziane do odpoczynku, oddzielnie dla ćwiczących i oddzielnie dla kierownictwa i rozjemców.

Zmiana SD odbywała się dwukrotnie w ciągu doby. Wybór miejsca przyszłego SD w zasadzie należał do ćwiczącego sztabu (komendanta SD), ale przewidywane miejsce wymagało akceptacji przez głównego rozjemcę. Chodziło bowiem o to, że dla sprawności kierowania ćwiczeniem jego kierownictwo już wcześniej miało wybrane miejsca na przyszłe SD i ekipa zabezpieczająca rozwijała dwa komplety namiotów. W ten sposób przy zmianie SD ćwiczący na nowym miejscu zastawali gotowe miejsca pracy. Jedna część ekipy zabezpieczającej rozwijała namioty w nowym miejscu, a druga pozostając na dotychczasowym miejscu likwidowała namioty i wszystkie urządzenia po opuszczeniu tego miejsca przez ćwiczących. W ten sposób udawało się zachować ciągłość pracy ćwiczących zespołów. Dlatego właśnie decyzje ćwiczących co do wyboru miejsca na przyszłe SD wymagały akceptacji. Zdarzało się, nawet dość

często, że te miejsca nie odpowiadały zamierzeniom ćwiczących.

Wydarzeniem, które z tego ćwiczenia pozostało na długo w naszej pamięci był niezwykle styl dowodzenia zaprezentowany przez ppłk. Stanisława M., oficera, którego poznałem jeszcze w Warcisławiu, kiedy w stopniu kapitana był zastępcą dowódcy 12 ciężkiego pułku czołgów i artylerii pancernej (cp-czap) do spraw szkolenia. Wtedy to właśnie, co prawda przez bardzo krótki okres, byłem jego podwładnym i prowadziłem wraz z nim kurs instruktorsko-metodyczny na szczeblu pułku. Było to po moim powrocie z KDO, a przed odejściem do 9 pcz.

Choć miałem z nim niewiele do czynienia, zdążyłem go poznać jako wyjątkowo energicznego i zdecydowanego. Już wtedy zauważyłem, że był impulsywny. Mówiono też o jego wielkim powodzeniu u kobiet.

Do akademii przyszedł ze stanowiska dowódcy pułku czołgów. Jego dowodzenie pułkiem wywoływało mieszane uczucia u przełożonych, bardzo natomiast źle u znacznej części podległej mu kadry. Tak na przykład gotowość bojowa pułku, stań wyszkolenia oraz utrzymanie porządku wojskowego i dyscypliny zasługiwały na wyróżnienie. Równocześnie z tym, w pewnym okresie, gwałtownie rozwijały się plotki na temat jego spraw męsko-damskich. Ponoć, jak to określano, „w tych sprawach zaszedł za daleko z żonami niektórych podwładnych”. Oceniając to wszystko, przełożeni doszli do wniosku, że należy go odsunąć od tamtejszego środowiska. W ocenie zasług i win przeważyły te pierwsze.

Zdecydowano więc, że zostanie wysłany na studia, które miały stanowić swego rodzaju antidotum na plotkarskie wrzenie i ochłodzić miłosne zapędy krewkiego wodza. Przysłużyła się tu również okoliczność dodatkowego naboru na studia w ASG oficerów wyróżniających się w służbie, a spóźnionych wiekiem.

W taki sposób został on przyjęty na drugi rok studiów wraz z oficerami wymienionymi wcześniej. Jako słuchacz oka-

zał się przeciętny w niczym nie wyróżniającym się. W ćwiczeniu szkieletowym został jednak wyznaczony na dowódcę dywizji, bo liczono na jego dużą praktykę i doświadczenie w dowodzeniu pułkiem. Płk Bidziński liczył zapewne na to, że od niego wiele się w tym ćwiczeniu nauczymy, że będziemy mogli się na jego kierowaniu pracą sztabu wzorować. Tymczasem M. wraz z objęciem tej funkcji poczuł się tak wielkim wodzem, że zarezerwował jeden namiot do pracy tylko dla siebie, do własnej dyspozycji. Mało, że tylko sam w nim pracował, ale pozwolił do tego namiotu wchodzić jedynie swoim zastępcom na czele z szefem sztabu. Mogli również tam wejść szefowie rodzajów wojsk i służb. Inni oficerowie ze składu ćwiczącego mogli się stawić przed oblicze dowódcy tylko na wezwanie.

Od pierwszej chwili swego dowodzenia dał się więc poznać jako człowiek apodyktyczny i autokratyczny. Nie rozumieliśmy skąd bierze się u niego taka wyniosłość, kiedy jednocześnie rysowały się wyraźne luki w jego wiedzy merytorycznej. W takich warunkach nawet ci, którym udzielił dyspensy na dostęp do siebie, wyraźnie unikali obcowania z nim. Wytworzyła się, jak na warunki akademickie, bardzo niezdrowa atmosfera. Ponieważ nie wyróżniał się błyskotliwością umysłu, dobrą pamięcią ani też poprawnością rozumowania, a i wyciąganie wniosków nie było jego najmocniejszą stroną, to jego dowodzenie wyglądało fatalnie.

Bacznie obserwowali to rozjemcy, a szczególne zainteresowanie jego osobą wykazał komendant. Nikt z przełożonych nie próbował jednak wpływać na zmianę jego postępowania. Ponieważ styl jego dowodzenia nie tylko niczego nas nie uczył, a wręcz przeciwnie, przynosił szkodę, a dodatkowo bardzo niekorzystnie wpływał na przebieg ćwiczenia, po dwóch dniach został zastąpiony przez ppłk. Stanisława Seroczyńskiego. Ten energiczny, zdecydowany oficer był równocześnie taktowny i posiadał praktykę w dowodzeniu brygadą saperów. Natychmiast odmienił nastrój panujący na ćwiczeniu, zwłaszcza w cwi-

czącym zespole. Zupełnie dobrze radził sobie także z problematyką taktyczno-operacyjną.

Odetchnęliśmy wszyscy. Przede wszystkim my, ćwiczący, a pewnie nie mniej od nas ulżyło to naszym rozjemcom, bo nowy dowódca okazał się zgoła innym człowiekiem i dowódcą niż jego poprzednik.

- Tu, jak widzicie, mamy przykład, na którym łatwo zrozumieć, „co oznacza dla podwładnego, że jest on dobrze lub źle dowodzony i kierowany” - powiedział jeden z naszych kolegów.

Do wymienionych wyżej ćwiczeń trzeba dodać jeszcze dwa ćwiczenia sprawdzające:

- „Działania zaczepne dywizji” i „Działania obronne dywizji”.

Każde z nich było prowadzone po odbyciu całego cyklu nauczania z odpowiedniego rodzaju działań, to jest wykładu, repetycji, ćwiczenia głównego oraz seminarium. Tak więc jedno po cyklu z natarcia, a drugie po cyklu z obrony. Jak wynika z przedstawionej wylizczanki, ćwiczeń było wiele. Wtedy odczuwaliśmy to po prostu jako ciągłe pasmo ćwiczeń. Wydawało się, że mamy ćwiczenia, ćwiczenia i jeszcze raz ćwiczenia.

## **MAŁO CZY DUŻO CZASU?**

Chociaż taktyka ogólna i taktyka rodzajów wojsk, zwłaszcza ćwiczenia, zabierały gros naszego czasu, to przecież trzeba było również uczestniczyć w zajęciach z innych przedmiotów i to obowiązkowo, brać czynny udział w repetycjach, seminarjach i zdawać z nich egzaminy.

Na drugim roku nie było już matematyki, która jakkolwiek stanowiła obrzeża zainteresowań przyszłych dowódców i oficerów sztabu, to trzeba było ją zaliczyć. Bez uzyskania zaliczenia

również odchodziło się z akademii. Niektórzy z kolegów, dla których była ona istną udręką, mogli wziąć głębszy oddech.

O skali wypełnienia nam czasu dowodzą, poza omówionymi ćwiczeniami, następujące powinności: dwa kolokwia z taktyki ogólnej i po jednym kolokwium z taktyki każdego rodzaju wojsk. W sumie było ich dziewięć. Ponadto kolokwium ze służby sztabów, z historii sztuki wojennej i z języka obcego, z filozofii i socjologii oraz z ekonomii politycznej. Do tego należy jeszcze dodać trzy egzaminy i cztery zaliczenia.

Na przygotowanie się do kolokwiów ani do egzaminów, nie wydzielano dodatkowego czasu w rozkładzie zajęć. Jedynie ich zdawanie znajdowało czas w planie zajęć. Kolokwia i egzaminy były rozłożone w ciągu roku, ale egzamin z taktyki ogólnej i rodzajów wojsk odbywał się dopiero pod koniec każdego roku. Intensywność zajęć, zwłaszcza ćwiczeń taktycznych i konieczność systematycznego przygotowywania się do nich wypełniała nam czas, można powiedzieć, bez reszty. Tym bardziej, że od drugiego roku począwszy, wiele tematów i zagadnień musieliśmy uzupełniać, a nawet poznawać od podstaw w ramach samokształcenia. Do tego trzeba jeszcze dodać, że zaczęto nam zalecać zapoznawanie się z literaturą pamiętnikarską. Przykład takiego czytania i znajomości historii wojen, zwłaszcza decyzji wielkich wodzów i dowódców czasów późniejszych, a także ich charakterów dawał nam sam komendant. Omal na każdym omówieniu ćwiczenia w terenie przytaczał najciekawsze ich rozwiązania, dając dowody doskonałej znajomości przebiegu wielu walk i bitew.

Ćwiczenia w terenie - jak wspomniałem - wymagały wyjątkowego wysiłku i to zarówno umysłowego, jak i fizycznego. Owa intensywność nie da się porównać z wysiłkiem na jakimkolwiek innym zajęciu dydaktycznym. Przygotowując się bowiem do zajęć w terenie, pracowaliśmy zwykle do późnych godzin wieczornych, a bardzo często nawet do późnych godzin nocnych w klasie lub w wagonie kolejowym, jeśli to było na przykład ćwiczenie z wykorzystaniem pociągu. Potem w tere-

nie trzeba było się sprężyć i skupiać swoją uwagę, niezależnie od pogody, zarówno na chłodzie i mrozie zimą, jak i podczas wielkiego upału czy nawet deszczu w okresie letnim.

Nasze podróżowanie w terenie w czasie pierwszych dwóch lat odbywało się przeważnie na samochodach ciężarowych co, zwłaszcza zimą było dodatkową uciążliwością. Dopiero na trzecim roku, i to nie zawsze, korzystaliśmy z autokarów, które akademia otrzymała po wielkich staraniach komendanta. Można więc powiedzieć, że odczuwaliśmy chroniczny brak czasu. Towarzyszyła nam natomiast nieustanna krzątanina przy mapach oraz ślęczenie nad podręcznikami, skryptami i innymi opracowaniami.

Na nasze studia warto spojrzeć od innej strony - naszego wieku. Mieliśmy bowiem po 30-35 lat, nie licząc tych, który do nas dołączyli na drugim roku, a którzy byli jeszcze starsi. Każdy z nas był obciążony większą lub mniejszą rodziną, która przebywała w znacznym oddaleniu. Ciężały więc na nas obowiązki rodzinne nie tylko w kwestii socjalno-bytowej, ale i wychowawczej, którymi z oddali trudno było skutecznie kierować. Tymczasem odwiedzanie rodziny stanowiło swego rodzaju wyprawę. W moim przypadku, do Trzebiatowa nad Regą, sam przejazd przez Poznań, Szczecin Dąbie, trwał do 15-16 godzin razem z przesiadką w Szczecinie Dąbiu (od godz.16.00 do 8.00 rano następnego dnia). Tylko niektórzy z nas byli w tym względzie uprzywilejowani, mieszkając w Modlinie, jak na przykład Podgrodzki i Szyfers, czy w Skierniewicach jak Stychno, nie mówiąc o takich jak: Antoszkiewicz, Tomaszewski, Kaliski oraz Grzana, których rodziny mieszkały w Warszawie. Oprócz tego i koszty studiowania były tu różne, a których nigdy nie brano pod uwagę. Wracając z takiej wyprawy do rodziny, bywaliśmy nie tylko zmęczeni samą podróżą, ale też bardzo często z głowami zaprzątniętymi kłopotami, jakie te rodziny przeżywały. Tymczasem niemal wprost z przepelnionego pociągu trafialiśmy na zajęcia i od razu przeżywaliśmy stres, bo najczęściej słabo byliśmy przygotowani do zajęć.

Reasumując, można powiedzieć, że dla żyjących na dwa domy, czas naszych studiów był bardzo długi. Jeśli natomiast spojrzymy na trzyletnie studia od strony programu, który był wielce przeładowany, trudny do opanowania, to czasu mieliśmy bardzo mało.

Mając na uwadze podróże do Trzebiatowa, szukałem w Rembertowie jakiegoś skromnego mieszkania z zamiarem sprowadzenia do niego żony z dzieckiem. Legenda głosiła, że kilka lat wstecz tym słuchaczom, których rodziny mieszkaly w dużym oddaleniu od Warszawy przydzielano mieszkania i do których sprowadzali na czas studiów swoje rodziny. W tym celu na terenie akademii wybudowano dwa bloki, tuż obok kasyna o numerach 111 i 115. Jednakże w czasie naszych studiów zajmowane były przez kadrę i ani jeden słuchacz w nich nie mieszkał. Jeśli idzie o małe mieszkanie dla mojej rodziniki, byłem już bliski celu, ale ktoś mnie podkupił, mając większe przebicie. Potem kpt. Kukliński, ten sam co przed stanem wojennym wywędrował do USA, a w owym czasie słuchacz o jeden rok starszy ode mnie, kiedy kończył akademię zaproponował mi wynajęcie opuszczanego przez niego mieszkania. Zrezygnowałem z oferty, bo akurat moja żona przeniosła się do swojej mamy do Słupska i teraz moja podróż trwała znacznie krócej, bo niecałe dziewięć godzin pociągiem bezpośrednim.

Jeździłem więc do Słupska i w czasie jednej z takich wypraw znalazłem się w jednym przedziale z komandorem podporucznikiem. Ucieliśmy sobie pogawędkę, która trwała aż do Gdyni. Kiedy mój towarzysz podróży dowiedział się, że jestem studentem ASG, to jego zachwytem naszym komendantem nie było końca.

- Szanowny panie! - powiada.

- Można wam pozazdrościć takiego przełożonego. Jest to bowiem nieprzeciętny facet, doskonały dowódca i żołnierz. Zna się na wojsku, a co tu dużo mówić, posiada ciekawą i nietuzinkową przeszłość. - Był bowiem w armii przedwrześniowej,

zaliczył, i to przez całą wojnę, oflag, potem służba zagraniczna w Wielkiej Brytanii. Po powrocie do kraju kierowanie sztabem okręgu wojskowego, a następnie odsiadanie w naszej „kocizie” przez pięć lat z wyrokiem śmierci. Panie majorze, inni tego nie wytrzymywali, a on przetrwał. Już choćby tylko to dowodzi jego nieprzeciętności. A przecież jeszcze nie koniec na tym, bo po uwolnieniu z więzienia dowodził okręgiem wojskowym. Zaś obecnie kieruje taką uczelnią... - wymieniał marynarz zaśluga naszego komendanta, wykazując jednocześnie znajomość jego drogi służbowej oraz jego niewątpliwych zasług.

- Uważam, że to wielki zaszczyt i równocześnie szczęście dla uczelni mieć tak znakomitego komendanta - mówił z niekłamana szczerością.

- Miałem zaszczyt być w grupie oficerów wydelegowanych z dowództwa Marynarki Wojennej na odbywające się w ASG WP ćwiczenie dla jej kadry. Z przebiegu ćwiczenia generał był zadowolony i po jego omówieniu zaprosił nas na uroczystą kolację. Uczestniczyła w niej również wasza akademicka profesura - ciągnął marynarz.

Kolacja, jak się okazało, była mocno zakrapiana, a wznosząc pierwszy toast Kuropieska powiedział między innymi:

- Gościmy wilków morskich na skromnej kolacji. Uczestnicząc w naszym ćwiczeniu dzielnie się spisali dowodząc, że są znakomitymi pracownikami sztabu, posiadają wiedzę i umiejętności, a więc są wytrawnymi marynarzami. Jak przystało na wilków morskich, potrafią pewnie wypić. Dlatego też zwracam się z apelem do naszej profesury, aby starała się dotrzymać im miejsca przy stole i kielichu. Za zdrowie naszych wspaniałych marynarzy!... - niemal wykrzyknął i wychylił kielich.

- Zerknęliśmy po sobie z przerażeniem - powiada marynarz.

- Bo akurat tak się złożyło, że wszyscy byliśmy słabi w kwestii trunkowej. Trzech z nas cierpiało na chorobę wrzodową. Ale jakże się tu do tego przyznać po takim wprowadze-

niu i wzniesieniu toastu – myśleliśmy w skrytości, ciągnie swoją opowieść marynarz.

- Wypiliśmy więc wszyscy – dodaje z zadowoleniem.

- Pomyślałem sobie jednak, że przy następnym toaście poczną się oszczędzać – dodał.

Tymczasem, po wypiciu, generał postawił kieliszek i jakby przewidując moje zamiary mówi: Sądzę, że będzie najlepiej jeśli się umówimy, że nikt z nas nie będzie próbował się maskować, na przykład upijał odrobinę itp. Po prostu, jeśli ktokolwiek poczuje, że ma dość, nie zamierza więcej pić, to odstawia kieliszek do góry dnem i od tej pory nikt nie powinien go zachęcać do wypicia alkoholu.

- Masz babo placek, pomyślałem sobie – mówi marynarz.

- Jak tu z tego wybrnąć? Odstawić? Nie. Tego nie wolno robić. Cóż by ten wspaniały generał o mnie pomyślał i nie tylko on sam, a wszyscy pozostali w zielonych mundurach. Tym bardziej po takiej oracji i wprowadzeniu do uroczystej kolacji – wspominał tak obrazowo i z emocją jakby to było zaledwie wczoraj.

Jak się potem okazało, koledzy mojego współtowarzysza podróży postąpili podobnie. Nie chcieli po prostu dać „plamy”.

Kolacja trwała długo, a w jej toku komendant wykazywał ogromną aktywność, bawiąc uczestników dowcipami oraz wspomnieniami z przeszłości. Słuchali wszyscy, ale marynarze czynili to wyjątkowo uważnie a jednocześnie z wielkim podziwem dla generała. Wreszcie, kiedy spodziewali się zakończenia biesiady i zaczęli myśleć o odpoczynku, komendant mówi, ku zaskoczeniu gości:

- No to co, moi drodzy?... Zjedliśmy i wypiliśmy, to może teraz zagramy w brydża?...

- Możemy – odpowiada mu natychmiast któryś z profesury.

Stoliki były już ustawione i czwórki bardzo szybko się dobrały. Gra trwała do szóstej z minutami. Przy niektórych stolikach nieco dłużej, a dyżurna kelnerka przynosiła już śniadanie do ogólnego stołu.

- Znowu były dowcipy i humoru nikomu nie brakowało - relacjonował marynarz.

- Kiedy posiłek dobiegł końca i marynarze oczekiwali na odpowiedni sygnał do rozejścia się i marzyli o choćby bardzo krótkim odpoczynku, usłyszeli bardzo energicznie wypowiedziane słowa generała:

- Idziemy chłopcy do roboty, a przedtem trzeba się jeszcze ogolić i porządnie odświeżyć.

- Wie pan, panie majorze, byliśmy nim wszyscy zauroczeni. Ocenialiśmy, że to człowiek wyjątkowy, o nieprzeciętnej żywotności, niespożytej energii i możliwościach psychofizycznych, wyjątkowej klasy przełożony.

## **INNI NAUCZYCIELE I PRZEDMIOTY NAUCZANIA**

Filozofii i socjologii, należących do nauk marksistowskich, nie można było zaniedbać. Miało to bowiem odpowiedni wydźwięk polityczny. Egzamin z tego przedmiotu przyjmowali, tak jak i prowadzili w odpowiednich grupach seminaria, dwaj pułkownicy Mazurowie, Emil i Kazimierz (nie spokrewnieni) oraz podpułkownik mgr Łaski. Wszyscy trzej wywodzili się z pionu oficerów politycznych. Obaj Mazurowie brali udział w wojnie.

Emil był człowiekiem wyjątkowo spokojnym, grzecznym i na wskroś uczciwym. Robił wrażenie niezaradnego, mało energicznego, nieobrotnego. Jednakże każdego roku tuż przed Wielkanocą, przyjeżdżało do niego dwóch byłych podwładnych żołnierzy z dobrą gorzałką i wędlinami własnej roboty. Przybywali do swojego porucznika Emila Mazura, aby się z nim napić z wdzięczności za to, że w 1945 r. podczas Wielkanocy, jako zastępca dowódcy kompanii do spraw politycznych, im obu uratował życie. Jakkolwiek ich dawny porucznik przechodził awansując, na kolejne stopnie wojskowe, aż do pułkownika, to

dla nich zawsze pozostał porucznikiem. Ten jego stopień najbardziej cenili i nigdy inaczej do niego się nie zwracali. Pułkownik o to się na nich nie obrażał.

Kazimierz Mazur również służył w armii w czasie wojny. Z tego tytułu nosił baretki prawie do samego naramiennika. Był oficerem o doskonałej prezencji, wysoki, z kędzierzawą czupryną. Dla odróżnienia od Emila, niskiego w okularach, mówiono na Kazimierza „przystojniak”. W pierwszej kolejności słuchacze, a potem i kadra powszechnie mówili Mazur „Przystojniak”. Kazimierz wyróżniał się nie tylko aparycją, ale i pięknie mówił. Te cechy prawdopodobnie przesądzały o tym, że przede wszystkim jemu powierzano prowadzenie wykładów z filozofii.

Wykłady z socjologii prowadził natomiast ppłk mgr Łuszczyna, który wcześniej był zastępcą dowódcy dywizji lotniczej w Słupsku. Ponieważ za jego czasów zwiął na Bornholm jeden z pilotów na samolocie, dowództwo tej dywizji zostało przeniesione na niższe stanowiska. W taki sposób Łuszczyna znalazł się w akademii i do emerytury pełnił funkcję nauczyciela akademickiego.

Kiedy odszedł z akademii Kaziu „Przystojniak” jego miejsce zajął Łuszczyna i wraz z Emilem prowadzili filozofię i socjologię. Łuszczyna okazał się nauczycielem nietuzinkowym. Jego wykłady budziły zainteresowanie. Działo się to jednak nie tyle za sprawą głoszonych treści, ile jego zachowania. Czasem tak podnosił głos i angażował się emocjonalnie, że można to było nazwać krzykiem. Trudno jednak powiedzieć czy tak emocjonalnie przeżywał głoszone treści i pragnął przelać je w umysły słuchaczy, czy też taki był z niego dobry aktor. Zdaniem słuchaczy jego wykłady były dobre. Bieda polegała na tym, że nie mogli notować. Nie sposób było się bowiem odebrać od ciągłej obserwacji jego zachowania. W każdym razie skupiał ich uwagę tak mocno na swojej osobie, że mieli trudności z notowaniem. Z dydaktycznego punktu widzenia takie

skupianie uwagi było zjawiskiem korzystnym, bo pośrednio wpływało na przyswajanie podawanych przez niego treści.

W mojej, drugiej grupie, seminaria, kolokwium i egzamin z filozofii i socjologii prowadził ppłk mgr Łaski. Nigdy nie słyszeliśmy jego wykładu. Podejrzewaliśmy, że przyczyną tego jest fakt, iż nie czuje się on najlepiej w roli nauczyciela i do wykładów jego przełożony nie chce go dopuścić. Ponadto robił wrażenie nieśmiałego, a nawet niezaradnego. Z jego kamiennego wyrazu twarzy nie dało się wyczuć, na przykład w toku kolokwium, czy z odpowiedzi słuchacza jest zadowolony. Dopiero po wpisaniu do indeksu formuły „zaliczono”, wiadomo było na czym się „stoi”.

Po kilku latach usłyszałem o pewnym zdarzeniu, mającym miejsce w Katedrze Nauk Społecznych, a które świadczy o jego osobowości. Otóż odbywało się tam zebranie, w czasie którego do odpowiednich władz wytypowano jego kolegę Emila Mazura. Kandydat, zgodnie z wymaganiami przedstawiał swój życiorys. Kiedy skończył, Łaski podniósł rękę, a po udzieleniu mu głosu powiada:

- Słuchając przedstawionego nam życiorysu, dopatrzyłem się pewnej luki czasowej u towarzysza Mazura. Nic nam nie powiedział co robił od 1941 do 1943 r.

- W tym czasie byłem w Związku Radzieckim - odpowiada Emil Mazur.

- No tak, ale w jakim charakterze towarzysz tam przebywał?...

- A cóż wy towarzyszu Łaski nie wiecie jak to było? - Przyszli o dwunastej w nocy, dali piętnaście minut na spakowanie się i wyprowadzili do transportu - odpowiada mu Bujniewicz.

- Nie, to było o pierwszej w nocy - poprawia sam Emil.

Łaski został zwolniony z wojska w 1968 r. Wydawało się dziwne, że taki cichy, spokojny i małomówny, a zwolniony za Syjonizm.

Kolejnym był egzamin z ekonomii politycznej. Przedmiot prowadziło dwóch nauczycieli akademickich z Katedry Nauk społecznych: ppłk mgr Czajor oraz ppłk mgr Kińczyk. W mojej grupie seminaria i kolokwium z tego przedmiotu prowadził ppłk Kińczyk, który był nietypowym nauczycielem w tych przedmiotach jako nie wywodzący się z korpusu oficerów politycznych. Ukończył bowiem Oficerską Szkołę Artylerii i służył w jednostkach artyleryjskich. W pewnym okresie podjął studia zaoczne w SGPiS i po ich ukończeniu został przeniesiony do ASG WP na wykładowcę ekonomii. Jako nauczyciel był wymagający i bardzo akuratywny. Ponieważ ekonomię uważaliśmy również za jeden z przedmiotów natury politycznej, to przy wymaganiach ppłk Kińczyka trzeba było solidnie pracować.

Co prawda myśmy o tym zupełnie nie wiedzieli, ale podobno nasz wspaniały nauczyciel tak dalece zagłębiał się w tajniki tego przedmiotu i tak bardzo je zgłębiał, iż w końcu nie mógł się pogodzić z oficjalnym podejściem do wielu kwestii w ekonomii socjalistycznej. Ba, mało że dociekał prawdy, to jeszcze jako zdecydowany i otwarty, zbyt mocno obstawał przy swoich poglądach. W wyniku tego typu nieporozumień oraz pod wpływem emocji napisał raport o przeniesieniu do rezerwy. Biorąc pod uwagę jego wiek, można powiedzieć, że zbyt wcześniej odszedł z wojska.

Niem mało czasu zajmował nam język obcy. Na kursie występowały trzy grupy językowe: angielski, niemiecki i rosyjski. Do grup ogólnowojskowych naszego kursu włączeni zostali także słuchacze kursu OPL oraz kursu kwatermistrzowskiego. Najliczniejszą grupę stanowili „Rosjanie”, a najmniejszą, bo zaledwie dziesięcioosobową grupę stanowili ci, którym tak jak i mnie przypadło uczyć się angielskiego. Przynależność do tak nielicznej grupy miała zalety i wady. Do wad, jako małostkowi i bardzo przyziemnie myślący, niektórzy z kolegów zaliczali to, że wiecznie trzeba było być przygotowanym do zajęć, bo często byliśmy przepytywani. Zaletą był natomiast fakt, że w tak nie-

licznej grupie zawsze można się więcej nauczyć niż w grupie liczniejszej.

Języka niemieckiego uczył ówczesny kierownik Studium Języków Obcych płk mgr Liberman. Należał do nauczycieli bardzo wymagających. Człowiek o wiecznie marmurowej twarzy i małomówny. Na przerwie nigdy nie wychodził z klasy i nie pozwalał, aby ktokolwiek ze słuchaczy wchodził tam choćby tylko na moment. Prawdopodobnie poświęcał ten czas na przemyślenie planu dalszego toku lekcji, albo też miał swoisty sposób zrelaksowania się i dlatego nie dopuszczał do zakłócania mu tego odpoczynku. Nigdy w ciągu trzyletniego nauczania nie pozwolił sobie zmienić tego obyczaju. Podczas zajęć (lekcji) był oschły i niedostępny. Współczuliśmy kolegom, którzy na ten język uczęszczali, jakkolwiek czynili niezłe postępy.

Mnie się udało, jak wspomniałem na początku, wybrać do studiowania język angielski. Prowadziła go niewiele od nas młodsza, przystojna niebieskooka brunetka, o pulchnych kształtach, ogromnie sympatyczna, aczkolwiek konsekwentnie egzekwująca przyswajanie odpowiednich porcji materiału z lekcji na lekcję, pani mgr Eleonora Wodzyńska.

W czasie wojny pani Eleonora przebywała w Kanadzie, skąd tata, będący dyplomatą nie wrócił po wybuchu drugiej wojny. Tam zdobyła średnie wykształcenie. Kiedy skończyła się wojna, wróciła do kraju i w Warszawie ukończyła studia. Potem przez pewien czas była spikerką naszego radia dla zagranicy, w języku angielskim. Wreszcie trafiła do ASG WP i uczyła dorosłych studentów oficerów. Mieliśmy z nią tych zajęć, zaledwie raz w tygodniu po dwie godziny, ale pani Eleonora prowadziła je tak wartko i tyle wymagała, a przy tym tak sprytnie egzekwując, że robiło to wrażenie ogromnej intensywności nauczania. Uchodziłem u niej, za jednego z najlepszych studentów i to mnie jeszcze bardziej zobowiązywało i wymagało nie małego wysiłku oraz czasu. Wprawdzie uczyłem się angielski.

skiego w szkole średniej, ale od tej pory miałem czternaście lat przerwy i z tego, co się kiedyś nauczyłem, niewiele pozostało.

Ponieważ nasza nauczycielka była kobietą i do tego jeszcze przystojną, robiliśmy wszystko, aby z nas była zadowolona. Dlatego też według mojej oceny, jak na taką częstotliwość zajęć, nasze postępy były imponujące. Radziłem sobie na przykład z czytaniem News Weeka, a także Herald Tribune, które w owym czasie były dostępne w kiosku obok bloku 101. Na ogół nasze zajęcia z języka angielskiego przebiegały w przyjemnej atmosferze.

Na imieniny nasza pani otrzymywała kwiaty i przy tej okazji nikogo nie pytała, tylko sama mówiła, mówiła i mówiła, oczywiście po angielsku. Pytała tylko, czy wszystko rozumiemy. Jeśli się okazało, że nie, to powtarzała to kilkakrotnie. Jeśli i tym razem było niezrozumiałe, tłumaczyła po polsku.

Zdarzały się jednak momenty nieprzyjemne, spowodowane obcesowym zachowaniem niektórych z kolegów. Tak na przykład pewnego razu Król, będąc przy tablicy, nie mógł się wykazać znajomością zagadnienia w zakresie składni czy idiomów i wtedy pani Eleonora mówi:

- Myślałam panie K., że pan zna trochę angielski.

- Najgorzej, że ja w to wierzyłem - odpowiada Włodek, nie odrywając wzroku od tablicy.

Później swoje mizerne przygotowanie się do zajęć tłumaczył uganianiem za dziewczynami i wielkim u nich powodzeniem. Miało to mniej więcej następujący przebieg:

- Panie K., widzę, że dzisiaj jest pan nieprzygotowany.

- Pracowałem nad tym na przystanku tramwajowym, ale przeszkadzał mi brak zdecydowania, czym jechać: 31, 32, czy też 9 lub 22, a może 24?... co miało odpowiadać: Krysia, Agatka, Florentyna czy Zosia. Każda z nich dobra, zgrabna i powabna powiada i co tu mówić o nauce angielskiego w takiej sytuacji.

Musiało zdenerwować panią Eleonorę to zachowanie jej studenta, aczkolwiek zawsze wykazywała duże poczucie humoru, bo powiedziała niezbyt poprawną polszczyzną:

- Panie K., ta krowa co dużo ryczy to mało mleko daje.

- Pani mnie i tak nie sprowokuje - odrzekł z przekąsem, co nie tylko u niej wywołało nieprzyjemne wrażenie.

Natarliśmy potem porządnie uszu niesfornemu koledze, a dla jasności sprawy trzeba dodać, że nasz szacowny kolega w owym czasie rozwodził się z żoną i bardzo pilnie potrzebował nowej partnerki.

Największą grupę językową, to jest języka rosyjskiego uczyła pani mgr Zoja Kurek. Była rodowitą Rosjanką i pozyskanie jej do nauki języka w ASG WP uważano za wielki sukces. Dlatego nie żałowano wielkiego, bo ponad sto metrów kwadratowych liczącego mieszkania, w willi na terenie akademii. Nie żałowano, mimo że zamieszkali w nim tylko we dwoje z mężem, Polakiem, który do końca drugiej wojny światowej mieszkał na terenie Związku Radzieckiego. Trzeba dodać, że w owym czasie kiedy uczyła moich kolegów z rocznika, była już wdową, a mimo to pozwolono jej korzystać z tak obszernego mieszkania.

Choć pani profesor była osobą wykształconą i doskonale znającą język rosyjski, to współczuliśmy kolegom, bo mieli z nią istne urwanie głowy. Kiedy na przykład nadeszły jej imieniny grupa wydelegowała dwóch kolegów, którzy z bukietem kwiatów i potężnych rozmiarów bombonierką mieli złożyć życzenia w imieniu całej grupy w jej mieszkaniu. Rozwiązanie może nie było zbyt szczęśliwe, ale znając kaprysy starszej pani, obawiali się, że odkładanie złożenia życzeń na kilka dni, kiedy zjawi się u nich na lekcji, może być źle przyjęte. Tymczasem, jak się okazało, kłopoty rozpoczęły się już od wejścia do mieszkania. Pani Zoja zatrzymała ich bowiem w przedpokoju i nakazała nie ruszać się zanim nie przygotuje im miejsca. Nie bardzo rozumieli, o co jej idzie, ale stali grzecznie w przedpokoju. Natomiast pani profesor przynosiła i rozkładała gazety, po których stąpając mieli przejść do jednego z pokoi.

- Poczekajcie - mówiła - bo mi pewnie tak nabrudzicie, że musiałabym dużo sprzątać.

Nie pomogło nawet to, że usiłowali recytować przemyślane dla niej niecodzienne życzenia. Musieli z tym poczekać, aż z gazet został ułożony swoisty dywanik. Potem zostali zaproszeni do saloniku i natychmiast złożyli życzenia od grupy, wręczyli kwiaty oraz skromny upominek w postaci bombonierki. Prosiła, aby usiedli, mówiła, że zaparzy herbaty, ale jakoś, choć z trudem, udało im się od tego wymówić koniecznością przygotowania się do jutrzejszych zajęć.

W delegacji był Kurkiewicz i opowiadał, że już następnego dnia doznał nieprzyjemności z jej strony. Przyszła bowiem na korytarz, zatrzymała się przed ich klasą i czekała, kiedy wyjdą na przerwę. Jak tylko zobaczyła Kurkiewicza:

- Pozwólcie tu do mnie - powiedziała.

Podszedł więc, a ona:

- To wyście mi składali życzenia i wręczyli tę bombonierkę?...

- Tak to ja byłem u pani z kolegą.

- No to weźcie sobie ją i zjedzcie takie stare czekoladki - mówiła, wyciągając jednocześnie spod pachy bombonierę a następnie wręczając ją Kurkiewiczowi.

Gniewek miał innej natury problem z panią Zoją. Ten biedak w czasie śniadania poplamił sobie spodnie mleczną zupą. Zamiast iść do toalety i porządnie przemyć ciepłą, a nawet zimną wodą i pójść na zajęcia, wtedy plama, po drodze byłaby akurat wyschła, to on wycierał serwetkami prawie na sucho. Obawiał się, że będzie głupio maszerować z mokrymi spodniami do bloku szkoleniowego. Tymczasem plama była widoczna. Na pierwszej godzinie zajęć został wywołany do tablicy. Podejrzaną plamę oczywiście zauważyła pani Zoja i jak też nie zaczęła wykrzykiwać na delikwenta, że na zajęcia przyszedł wprost od „baby” - jak to określiła.

Koledzy próbowali go bronić, usprawiedliwiając wypadkiem przy śniadaniu, ale to wiele nie pomogło i mjr Gniewek został odesłany do ławy.

Na drugim roku mieliśmy również przedmioty zaliczane na podstawie odbytych ćwiczeń, strzelań, udziału w wykładach, w ćwiczeniach i seminariach. Przypadała na nie bowiem niewielka ilość godzin i z tych właśnie względów nie mogły być objęte egzaminami. Było ich znacznie mniej niż na pierwszym roku bo zaledwie cztery. Należały do nich: praca partyjno-polityczna, badania operacyjne, wychowanie fizyczne oraz wyszkolenie ogniowe.

Pracę partyjno-polityczną prowadził ppłk Antoni Melcer, powszechnie nazywany Tośkiem. Przedmiot wywoływał u nas mieszane uczucia. Dotyczył bowiem tak prostych przedsięwzięć, że wielkie zdziwienie wywoływało nauczanie go w uczelni wyższej. Zagadkowy był również sam nauczyciel tego przedmiotu. Nie posiadał bowiem wyższego wykształcenia. Co prawda służył w armii w czasie wojny, jednakże uważaliśmy, że powinien był ukończyć na przykład Wojskową Akademię Polityczną wieczorowo lub zaocznie, bo takie kursy tam były prowadzone. Dziwiło nas i to, że jego przełożeni taki stan rzeczy tolerują. Ponieważ Melcer był oficerem frontowym, to wśród oficerów aparatu partyjno-politycznego cieszył się dużym uznaniem. Niezależnie od tego należy przyznać, że był człowiekiem inteligentnym. Można przypuszczać, że należał do ludzi wyjątkowo leniwych i pewnie dlatego nawet nie próbował podjąć studiów i zadbać o swoje przygotowanie fachowe. Oprócz wymienionej przywary, to jest wielkiego lenistwa miał jeszcze jedną i wcale nie mniejszą od poprzednio wymienionej – lubił dużo zjeść.

Od kiedy go zapamiętałem, zawsze nosił ze sobą dużych rozmiarów teczkę wypakowaną przeróżnymi wiktuałami. Można było w niej znaleźć kiełbasę, cebulę, chleb, a także kilka konserw mięsnych i rybnych, a na dodatek termos z herbatą. Wyjątkowo obficie wyładowana bywała jego teka w okresie kiedy mięso i wędliny były u nas racjonowane. Wtedy Tosiek wiele czasu poświęcał na wędrowanie od jednego sklepu mięsnego do

drugiego i w każdym z nich zdobywał odpowiednią porcję poszukiwanego asortymentu żywności.

Treści przedmiotu, jaki prowadził Melcer, nazywaliśmy żużlem, któremu nie chcieliśmy poświęcać zbyt wiele czasu. Dlatego też notatki do seminariów (według niepisanej umowy) miała przygotowywać ta grupa, która miała je mieć w pierwszej kolejności. Następne grupy przejmowały te notatki od kolegów i mając gotowy materiał odczytywały na kolejnym, swoim seminarium.

Po pewnym czasie Melcer się zorientował, że go „wprowadzamy w maliny” i udało mu się zanotować treść referowaną przez jednego z kolegów. Kiedy na następnym seminarium, to jest z kolejną grupą, usłyszał, bodaj od Janka Brochwicz – Raduchowskiego, treść swego zapisu, przerwał mu, mówiąc:

- Dość towarzyszu kapitanie. Teraz ja wam odczytam to, co macie zapisane u siebie, a co za moment byłoby nam tu odczytane.

Następnie zacytował treść zanotowaną w swoim konspekcie, stanowiącą przedłużenie słów z referatu Brochwicza Raduchowskiego i zapytał:

- No co, zgadza się?... A po chwili dodał:

- Owszem, tak, zgadza się na pewno, bo właśnie taką treść zanotowałem w grupie pierwszej, jak referował mjr Stychno. No ale nic, zobaczmy co nam tu przedstawiacie dalej. - Proszę referować!...

W tych warunkach Brochwicz poddenerwowany, a przy tym nie znający dobrze materiału, przede wszystkim zaś zakłopotany faktem, że korzysta z zeszytu, na którym widnieje nazwisko kolegi i obawiający się by Melcer nie zechciał sprawdzić tego zeszytu, zaczął zmieniać treść w czym zupełnie się pogubił. Znowu Melcer przerwał tę wypowiedź, a raczej dukanie, i zaproponował, by niczego nie zmieniał w notatkach majora Stychny, bo są one zupełnie dobre. Ten jednak nie posłuchał. Wychodziły dziwolągi.

Kiedy referował następny i sytuacja się powtórzyła, z tym że inny był autor przygotowanego konspektu, i którego wypowiedź Melcer również miał zanotowaną, przerwał referowanie i zrobił nam piekielną awanturę. Groził złożeniem meldunku o zajściu swoim przełożonym, którzy zapoznają z tym komentanta akademii. Mając pietra, że może się to bardzo źle skończyć, nie tylko dla kolegów z naszej, ale i z sąsiedniej grupy, to jest dla tych, którzy notatek użyczyli, zaczęliśmy go przeproszać za powstały incydent, usprawiedliwiając to ogromnym nawałem pracy oraz przyrzekać, że podobna sytuacja z przygotowaniem się do seminarium nigdy się już nie powtórzy. W taki to sposób Melcer odniósł ogromny sukces dydaktyczno-wychowawczy, bo jakkolwiek w dalszym ciągu jedni od drugich wykorzystywali notatki, to musieli nad nimi znacznie więcej pracować.

Kolejnym z takich przedmiotów były badania operacyjne stanowiące zaczątki późniejszej informatyki. Miały one nam dać podstawowe pojęcia z tej dziedziny i zwiastowały nową dziedzinę nauki. Prowadził je ppłk dypl. Ciechanowicz, późniejszy kierownik Ośrodka Maszyn Obliczeniowych w ASG WP.

Wychowanie fizyczne prowadziło kilku oficerów Cyklu Fizyczno-Ogniowego pod wodzą płk. Misztala. Ten przedmiot chwaliliśmy sobie najbardziej ze wszystkich zaliczanych. Przez wszystkie lata studiów mieliśmy po dwie godziny zajęć z WF tygodniowo, w tym: gimnastykę przyrządową i ogólnorozwojową, pływanie, gry sportowe oraz lekkoatletykę terenową. Dochodził do tego jeszcze sprawdzian sprawności fizycznej.

Do zaliczenia przedmiotu trzeba było odbyć wszystkie ćwiczenia gimnastyczne, po prostu należało w nich uczestniczyć, a jeśli komuś się zdarzyło nie być na zajęciu, to taka nieobecność musiała być usprawiedliwiona. Ponadto należało osiągnąć normy wyznaczone regulaminem sprawdzianu.

Gimnastyka przyrządowa obejmowała ćwiczenia na drążku i poręczach oraz skoki przez konia i przez skrzynię.

Gimnastyka ogólnorozwojowa natomiast miała wiele wymyślnych ćwiczeń stosowanych przed każdym zajęciem z WF, traktowanych jako rozgrzewka, a ponadto ćwiczenia z piłką lekarską, ćwiczenia na równoważni, rwanie i wyciskanie ciężarków.

Pływanie w okresie letnim odbywaliśmy w basenie otwartym (basen kryty pod koniec naszych studiów znajdował się w końcowym etapie budowy). Dlatego w okresie zimy dowozono nas na basen Legii (o godz. 6.00 następował wyjazd). Pływanie obejmowało zarówno nauczanie, to jest instruowanie, jak również i sprawdziany. Gdyby ktoś z nas nie potrafił wykonać skoku do wody ze słupka oraz przepłynąć 50 m, a w tym 5 m pod wodą, nie otrzymałby zaliczenia przedmiotu.

Gry sportowe obejmowały: siatkówkę, piłkę nożną i piłkę ręczną. Najczęściej uprawianą przez nas grą była siatkówka, w którą grywaliśmy bardzo często poza godzinami lekcyjnymi. Chętnie grywaliśmy również w piłkę ręczną (szczypiorniaka). Natomiast piłka nożna nie miała wśród nas wielu chętnych do jej uprawiania, raczej kibiców było wielu.

Miały również miejsce rozgrywki między wydzielonymi zespołami z innych kursów. Byłem w reprezentacji ASG WP do rozgrywki w piłkę ręczną z reprezentacją Wojskowej Akademii Politycznej. W reprezentacji do tego spotkania miałem zaszczyt być wraz z takimi kolegami jak Zdzisław Ostrowski – uchodzący na kursie za najlepiej wysportowanego oraz niewiele mu ustępujący sprawnością fizyczną Jerzy Podgrodzki – znakomicie grającymi w szczypiorniaka. Według naszego instruktora mjr. mgr. Dąbrowskiego miałem predyspozycje do siłowego wchodzenia do strzału na bramkę.

Jeśli będziesz zdecydowanie szedł do strzału, to przeciwnicy się nie odważą ciebie, przy takiej posturze, atakować. Masz zarówno wagę jak i siłę, przed którą będą ustępować – dawał mi ostatnie wskazówki przed meczem.

Uwierzyłem w te jego spostrzeżenia i przy którymś z kolei zwarciu z przeciwnikiem bardzo to dotkliwie odczułem. Co

prawda przyniosło to określony skutek, bo mój przeciwnik musiał zejść z boiska i więcej już nie grał, a inni raczej unikali spotkania ze mną. Jednakże mimo takiego poświęcenia z mojej strony, przegraliśmy mecz, bo jak się okazało nasi koledzy z Wojskowej Akademii Politycznej byli od nas lepsi.

Lekkoatletyka terenowa polegała na, powiedziałbym, biegu w lekkim ubraniu (dresie) po terenie przylegającym do akademii, najczęściej po lesie, poza ogrodzeniem. Po prostu brał nas na swoją komendę, jeden z instruktorów, wyprowadzał z hali sportowej i ruszał biegiem na przełaj, a my za nim. Każdy z nich wykazywał niesamowitą kondycję, bo mieli zaprawę w tego rodzaju wysiłku, a my ledwie mogliśmy za nimi nadążyć, zdyszani i z językami na brodzie. Ba, musieliśmy nadążyć. Po drodze były bowiem zatrzymania dla wyrównania oddechu i w tym czasie prowadzono z nami odpowiednie ćwiczenia. Bardzo źle było widziane spóźnianie się czyli dołączanie. Przy tej okazji instruktor widział, kto odstaje i z jakich powodów, z braku kondycji czy też z lenistwa i opieszałości. Wyłamanie się z takiego biegu było niemożliwe.

Trzeba dodać, że na pierwszym roku raczej nie mieliśmy kłopotów z kondycją. Jej brak dało się zauważyć w następnym roku, zwłaszcza u tych nieco od nas starszych kolegów, którzy do nas dołączyli. Na ogół nikt się od wychowania fizycznego nie uchylał, wręcz zabiegaliśmy o podtrzymywanie swojej formy. Ci, co na studia przybyli ze słabą kondycją, bardzo się tego wstydzili i usiłowali ją poprawić różnymi sposobami, zwłaszcza codziennymi ćwiczeniami gimnastycznymi na korytarzu.

Sprawdziany miały miejsce dwa razy w roku. W okresie zimy zaliczaliśmy sprawdzian z gimnastyki, to jest na hali sportowej, który obejmował odpowiedni test, między innymi bieg zygzakiem i rwanie ciężarka.

W okresie letnim musieliśmy zaliczyć marszobieg na trzy tysiące metrów w umundurowaniu polowym i z maską przeciwgazową, a niedługo potem biegi na tysiąc metrów. Był rów-

niez bieg na sto metrów, skok w dal oraz wspomniany wcześniej sprawdzian z pływania.

Jeśli idzie o skok w dal, wzwyż i bieg, to najlepszym nie tylko na kursie ale i w całej populacji słuchaczy naszego trzyletniego pobytu w ASG był Zdzichu Ostrowski. Do rzadkości należały przypadki, aby któryś z kolegów jakiegoś sprawdzianu nie zaliczył. Jeśli jednak taki przypadek miał miejsce, to delikwent dostawał czas na poprawienie swojej sprawności i ponownie przyjmowano go do zaliczenia.

Mimo pewnych utrudnień i konieczności przechodzenia z bloku 101 lub z internatu do hali sportowej i z powrotem, w tym również odbycia kąpieli po takich zajęciach, co zabierało czas, na zajęcia z WF nie było z naszej strony narzekań i utyskiwania. Chętnie poświęcaliśmy go więcej od wyznaczonego rozkładem zajęć. Grywaliśmy w siatkówkę jeszcze w czasie obiadu, zaniedbując punktualność. Tylko wtedy bowiem mogliśmy korzystać z hali bo w przerwie obiadowej bywała ona pusta. Zajęcia z WF prowadziło z nami trzech oficerów po studiach w Akademii Wychowania Fizycznego. Jednym z nich był wymieniony już mjr mgr Dąbrowski. Był to oficer ogromnie wymagający, zdecydowany i operatywny. Ponadto oszczędny w słowach, ale precyzyjnie wyrażający swoje myśli. Najbardziej otwarty, bezpośredni, a nawet koleżeński w stosunku do słuchaczy był mjr mgr Krzysztof Kiwerski.

Ten wspaniały oficer po latach pracy, w ślad za swoimi kolegami, czynił starania o przyjęcie go do partii. Jednakże Komitet Uczelniany, nie nadając sprawie rozgłosu oraz uwzględniając w tej kwestii opinie szefa Wydziału Politycznego ASG płk. Jarosińskiego, postanowił odmówić przyjęcia, co mogłoby się wydać ewenementem. Stało się tak dlatego, że w pochodzeniu Krzysztofa dopatrzonego się hrabiowskiego rodowodu i uznano, iż się nie godzi przyjmować w szeregi partii robotniczej człowieka z takim pochodzeniem. W taki sposób pan Krzysiu, jak go powszechnie nazywano, pozostał bezpartyjny, podobnie jak jeszcze jeden przedstawiciel kadry dydaktycznej akademii

ppłk dypl. Sielecki i nikt nie tylko nie miał do nich pretensji, ale cieszą się możliwością przedstawiania argumentu, że i w armii istnieją bezpartyjni wśród kadry oficerskiej.

Wyszkolenie ogniowe polegało na odbywaniu co pewien czas, dla podtrzymania kondycji strzeleckiej, obowiązkowych strzelań. Było ich kilka w ciągu roku. Odbywaliśmy je przede wszystkim z pistoletu, ale jedno trzeba było odbyć z karabinka. Strzelania prowadził, bardzo dokładnie przestrzegając porządku i zachowania warunków bezpieczeństwa na strzelnicy, ogromnie skrupulatny mjr Pasternak.

Trzeba powiedzieć, że na drugim roku przedmiotów zaliczanych było o wiele mniej niż na pierwszym. Niektóre z nich wywoływały u nas zniechęcenie. Osobiście nie mogłem się na przykład pogodzić z faktem, że w czasie studiów akademickich prowadzono z nami budowę czołgu i to z czołgistami. Był to ewidentny anachronizm.

Podobnie można potraktować radiotechnikę, w której na początku wiele czasu poświęcano fizyce, zwłaszcza wszystkiemu, co dotyczyło powstawania i rozchodzenia się fal elektromagnetycznych, a potem budowy kilku radiostacji.

Nie inaczej można by się odnieść do radiolokacji, aczkolwiek w tym czasie wydawało się, że stanowi ona swego rodzaju novum, bo przecież nigdy przedtem z tą problematyką oficerowie ogólnowojskowi raczej się nie spotykali. Prowadził ten przedmiot absolwent jednego z instytutów w ZSRR, który po powrocie do kraju został powołany do wojska jako specjalista. Nadano mu stopień porucznika i zatrudniono na etacie wykładowcy w ASG WP.

W latach późniejszych miałem możliwość bliżej go poznać, bo poza pracą służbową zajmował się remontem odbiorników TV. Ponieważ mieszkaliśmy w tym samym bloku, dość często prosiłem go o wykonanie usługi. Był nie tylko „w zasięgu ręki”, ale i stosunkowo tanim wykonawcą. Chętnie przychodził. Stawiałem mu wtedy kawę, której nigdy nie odmawiał i lampkę

koniaku, od którego również nie stronił. Popijał po maleńkim łyyczku napoje na przemian i pracował, absolutnie nic nie mówiąc. Nawet na pytania, wtedy kiedy pracował, odpowiadał niechętnie. Dopiero po zakończonej pracy trochę bardziej stawał się gadatliwy i po podaniu ceny za wykonaną usługę wypijał jeszcze jedną lampkę koniaczku, do czego został przeze mnie zachęcony. Jego małowówność nadrabiała, może nawet w nadmiarze, jego bardzo sympatyczna małżonka. Rodziców tej pani rozstrzelali Niemcy w czasie okupacji. Wtedy zaopiekował się nią oraz jej siostrą proboszcz miejscowej parafii i przez wiele lat wychowywał, umożliwiając jej równocześnie zdobycie średniego wykształcenia. Potem dziewczęta powychodziły za mąż. Były wdzięczne księżułkowi, może i przywiązane do niego. Dlatego przez następne lata utrzymywały z nim kontakty.

Ksiądz w tym czasie awansował i z proboszcza wyrósł na biskupa. Utrzymywanie kontaktów przez panią Siwicką z tak wysokim dostojnikiem kościoła zostało niebawem odkryte przez oficera „gumowe ucho”. Powstał problem szerzenia się na terenie ASG WP klerykalizmu, zwłaszcza na Wydziale Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej Kraju, gdzie Siwicki pracował. Zastępca komendanta wydziału do spraw politycznych płk mgr Szaroszyk miał pełne ręce roboty. Zwołano zebranie partyjne dla omówienia powstałego problemu, a właściwie to dla przedstawienia i przeforsowania wniosku o wydalenie delikwenta z organizacji jako wielce niepożądanego. Wniosek jednak nie przeszedł. Po kilku dniach i lepszym przygotowaniu towarzyszy do ostrzejszych wystąpień w sprawie, zwołano kolejne zebranie. Tym razem również nie zdołano wniosku o wydalenie przegłosować. Dopiero za trzecim razem udało się tego dokonać. Za ledwie w kilka dni po wydaleniu z partii nastąpiło zwolnienie Siwickiego ze służby wojskowej. Jedni mu współczuli, była ich większość, drudzy okazywali zadowolenie. Atmosfera na osiedlu „POLANKA” stała się dla tej rodziny uciążliwa. W tych warunkach Siwicki rozpoczął

starania o zmianę mieszkania. Bardzo chciał tego on, a jeszcze bardziej jego małżonka. Chodziło o zmianę otoczenia. Udało im się to osiągnąć, ale niedługo przyszedł zawał, którego nie przeżył.

Większość z wymienionych wyżej przedmiotów zaliczanych za „panowania” gen. Kuropieski została z programu studiów wyeliminowana. Znalazło to również odbicie w naszym programie. To właśnie stąd, między innymi, znalazło się więcej godzin lekcyjnych na ćwiczenia.

W naszym odczuciu, musieliśmy pracować na „większych obrotach”, po prostu intensywniej. Robiło to wrażenie, że czasu na naukę, zwłaszcza na naukę własną, mamy znacznie mniej niż przedtem, to jest na pierwszym roku studiów.

## *ZYLIŚMY NIE TYLKO ĆWICZENIAMI*

Do akademii trafiłem zbyt późno. Ledwie zdążyłem wiekowi. Statut przewidywał bowiem możliwość rozpoczęcia studiów najwyżej do 35 lat. Właśnie taki miałem wiek i byłem jednym z najstarszych na kursie. Tylko w grupie tyłowej byli jeszcze starsi. Dopiero na drugim roku zdystansowali mnie wiekowo pułkownicy przysłani w drodze wyróżnienia i to od razu na drugi rok. Kiedy komendantem akademii był gen. Bień, to mieszkającym daleko, od czasu do czasu, dawał jeden dwa dni zwolnienia dodatkowo. Natomiast gen. Kuropieska absolutnie nie chciał słyszeć o urlopach dla słuchaczy. Zakomunikował nam o tym na jednym ze spotkań, które prowadził ze słuchaczami od czasu do czasu. Jego zdaniem, słuchacze przychodzili do akademii po to, aby się uczyć, a nie rozjeżdżać po urlopach. Był w tym względzie konsekwentny. Pewnego razu, na samym początku kierowania akademią, po wysłuchaniu meldunku oficera dyżurnego akademii, który to oficer zarówno

meldunkiem, jak i swoją dziarskością i wyglądem zwrócił jego uwagę zapytał:

- A co wy kapitanie robicie w tej akademii na co dzień?...

- Melduję obywatelu generale, że jestem słuchaczem na drugim roku w grupie ogólnowojskowej - odpowiedział rezydentnie oficer dyżurny.

- Tak, to wy jesteście słuchaczem?... - A często pełnicie służbę?...

Jeszcze o coś zapytał i dziękując mu za meldunek zwolnił słuchacza - oficera dyżurnego.

Tylko wszedł do swojego gabinetu, natychmiast wezwał szefa Oddziału Szkolenia płk. dypl. Hendrysa oraz szefa Oddziału Ogólnoliniowego i wydał polecenie, aby od następnego dnia nie wykorzystywano słuchaczy do pełnienia służby.

- Słuchacze przychodzą tu na studia, a nie do pełnienia służby dodał.

- Ależ obywatelu generale, jeśli służbę będą pełnili sami wykładowcy, to będzie to utrudniało realizację procesu dydaktycznego. Bardzo trudno bowiem będzie zgrać ich zajęcia ze słuchaczami i pełnienie przez nich służby. W znacznym stopniu będzie to zakłócało proces dydaktyczny - mówił szef wydziału.

- A dlaczego to służbę mają pełnić i wykładowcy?... Macie przecież tak liczną kadrę administracyjną oraz wszelkiego rodzaju zabezpieczenia i nie ma kto w akademii pełnić służby?... To jakieś nieporozumienie pułkownika. Od jutra nie chcę widzieć na służbie ani słuchaczy ani wykładowców. Ci ostatni powinni się przygotowywać do zajęć i prowadzić je ze słuchaczami, a nie pełnić służby. To tak być nie może. Tu każdy ma robić to, co do niego należy, i powinien robić to dobrze - zakończył komendant.

Mimo takiego stosunku do zwolnień i urlopowania słuchaczy znalazło się dwóch śmiałków, którzy domagali się przedstawienia ich do raportu z prośbą o kilka dni zwolnienia.

- Co to znaczy, że - jak mówią - komendant nie udziela zwolnień. A jeśli zaistnieje uzasadniona potrzeba, to też nie

udzieli mi urlopu mówili, domagając się, aby ich przedstawił dowódca kursu.

Komendant, mimo że był temu niechętny postanowił ich przyjąć. Pragnął zobaczyć, co to za jedni tak się potrafią domagać, aby stanąć przed jego obliczem. Przedstawiano ich pojedynczo. Pierwszego poprosił, aby usiadł i pyta:

- No, coś to takiego wydarzyło się u Was, że tak bardzo i pilnie potrzebujecie tam pojechać?...

- Obywatelu generale, moja żona została odwieziona do szpitala, a w domu zostało dwoje małych dzieci. Pewnie tam obgryzają meble z głodu. Muszę pojechać i zaopiekować się dziećmi. Jeśli żona będzie musiała przebywać w szpitalu przez dłuższy czas, to chciałbym te dzieciaki odwieźć do rodziny, to jest może do siostry mojej żony. Muszę po prostu coś z tymi dziećmi zrobić.

- No dobrze, a gdzie wy mieszkacie kapitanie?...

- W Słubicach - odpowiada słuchacz (może był to Sulechów, nie pamiętam).

- Tak, tak, ale jest to dom wielorodzinny, w którym zamieszkujecie, czy mieszkanie w domu jednorodzinym na przykład na jakiejś wysepce?... - wypytywał dalej komendant zaciekawiony i z odrobiną ironii.

- Nie, żaden dom jednorodzinny, a po prostu blok mieszkalny, w którym zamieszkuje kilkanaście rodzin - wyjaśniał słuchacz.

- Co wy mówicie i nikt się tymi dziećmi nie zaopiekował?...

- Ktoś tam nad nimi pieczę trzyma, ale nawet nie wiem kto. Dlatego tak tego nie mogę pozostawić.

- No tak, rozumiem teraz wasz kłopot - mówi generał sięgając jednocześnie po słuchawkę telefonu, a następnie prosił o połączenie go z dowódcą pułku. Potem jeszcze o coś wypytywał słuchacza, ale nie zostało to wyjaśnione do końca, bo już zgłaszał się dowódca pułku.

- Mówi Kuropieska. Majorze, uczy się tu u mnie w akademii wasz oficer kapitan Xiński, znacie go?...

- Tak jest obywatelu generale. Znam go bardzo dobrze. Był tu przecież dowódcą kompanii.

- A cóż możecie o nim powiedzieć, co to za oficer?...

- Melduję, że był to bardzo dobry oficer. Był przodującym dowódcą kompanii i dlatego, w pewnym sensie w nagrodę, został skierowany na studia w ASG WP. Dodam, że jest on jednocześnie bardzo zdolnym oficerem i bardzo ambitnym. Przewiduję, że w toku studiów będzie uzyskiwał wysokie oceny.

- A wiecie, że ma on wielki kłopot w domu? Jego żona została zabrana do szpitala i pozostały dzieci bez opieki.

- Nie, nic mi o tym obywatelu generale nie wiadomo - meldował dowódca pułku.

- Tymi dziećmi należałoby się zaopiekować. Sam nie wiem, co by tam można było zrobić. Czy macie tam izbę chorych, a w niej jakąś pielęgniarkę czy siostrę. A może dałoby się wynająć jakąś niewiastę do opieki nad tymi dziećmi?... Przedstawiłem wam kilka propozycji, ale na koniec chcę zapytać, czy jesteście w stanie załatwić to w swoim zakresie, czy należy wam pomóc?... Mógłbym na przykład zwrócić się do szefa Służby Zdrowia WP o pomoc w tym zakresie. No to co, sami to załatwicie majorze, czy należy wam udzielić pomocy?...

- Melduję obywatelu generale, że ja to załatwię we własnym zakresie, nie trzeba mi pomocy.

- To bardzo was proszę, powiedzcie to temu waszemu oficerowi, bo właśnie mam go tu przy sobie. Jest ogromnie zmartwiony. Zamiast się uczyć, to się martwi i chciał jechać opiekować się tymi maluchami. Cieszę się, że mu to załatwicie i że nie będzie tam musiał jechać. Bardzo wam majorze dziękuję i oddaję mu słuchawkę.

Słuchacz, odebrawszy słuchawkę od generała, energicznie się zameldował swojemu dowódcy pułku i przez chwilę słuchał uważnie. Potakiwał jedynie żołnierskim - tak jest!..., tak jest!..., a na zakończenie telefonicznej rozmowy podziękował dowódcy oraz zapowiedział, że następnego dnia zadzwoni do niego albo

do szefa sztabu, tak jak sobie życzy dowódca, by się dowiedzieć jak sprawy wyglądają.

- No to co, zadowoleni jesteście kapitanie?... - pytał generał.

- Tak jest obywatelu generale!...

- Maszerujcie teraz na zajęcia i nie traćcie czasu. - Uczcie się - dodał.

Słuchacz wstał, przyjął postawę zasadniczą, potem wystąpił krok w prawo, dostawił krzesło do podłużnego stołu, przy którym dotąd siedział wraz ze swoim kierownikiem kursu, a który krótszym bokiem przystawał do biurka komendanta, trzasnął obcasami i wykonując zwrot w prawo, ruszył do wyjścia. Tuż za nim podążył kierownik kursu, ale nie przekraczając progu wychylił się do poczekalni i zwrócił się do następnego słuchacza oczekującego w poczekalni:

- Proszę kapitanie Igrekowski!...

Ten wstał, ale nie ruszał z miejsca, a patrząc w kierunku swojego kolegi pytał ściszym głosem:

- No i co, dostałeś?...

- Coś ty, nie dał! Bądź pewien, że ten stary piernik i tobie nie da...

- Nie da?... - A zobaczysz. Ja go zażyję z innej strony - wyrokował półgłosem, zbliżając się jednocześnie do gabinetu komendanta kolejny słuchacz.

- Obywatelu generale, przedstawiam do raportu z prośbą o udzielenie urlopu kapitana Igrekowskiego - meldował znowu kierownik kursu.

- Siadajcie!... - prosił generał i mówił dalej:

- A cóż to takiego znowu wam się przydarzyło, że prosicie o urlop?...

- Obywatelu generale, powiem wprost, nie będę owijał w bawełnę, bo przecież obywatel generał także jest mężczyzną. Chcę pojechać i porządnie sobie po.....ć - odpowiada dość obcesowo słuchacz.

- A dokąd to wy chcecie jechać, gdzie mieszkanie?...

- W Szczecinie, obywatelu generale! - odpowiadał wartko energiczny słuchacz.

- Widzę, że z was dzielny oficer... - powiedział komendant, zawieszając na moment głos, a słuchaczowi aż oczy zabłyśły z pewnością, że jak przewidywał i zapowiadał koledze, urlop ma już w kieszeni.

Tymczasem generał po niewielkiej pauzie ciągnął dalej.

- Ale dla tak obrotnego oficera, po to, aby sobie pochędożyć, czy jak to mówicie po.....ć, trzeba aż jechać do Szczecina?... A tak przy okazji, wiecie, że ja siedziałem w kozie przez pięć lat i obchodziłem się bez tego. Być może, że u innych osobników te potrzeby są większe. O to muszę zapytać lekarzy. Tymczasem urlopu nie dostaniecie. Tak jak wam to zapowiedziałem na ostatnim spotkaniu. Dziękuję wam. Możecie odejść.

Słuchacz, kiedy wychodząc z gabinetu komendanta spotkał wzrok oczekującego kolegi, nawet nie przemówił do niego, tylko machnął ręką, co oznaczało: „nic z tego”.

Prawdopodobnie ów raport słuchaczy spowodował, że komendant przeniósł dzień naszego samokształcenia z środy na sobotę. W ten sposób rozwiązał problem wyjazdów słuchaczy do domu. Od tej pory, każdy, kto miał ochotę pojechać do domu, mógł to zrobić, aby tylko zdążył wrócić i w poniedziałek uczestniczył w zajęciach i był do nich przygotowany. Kto miał jakieś zaległości, nie zdążył się uporać z zadaniami w ciągu tygodnia, sam wiedział, że musi pozostać i w wolną sobotę pracować. W tym wypadku wybór należał do nas, pojedynczych słuchaczy. Taki system trwał do końca „panowania” w akademii gen. Kuropieski. Kiedy odszedł, znowu przeniesiono dla słuchaczy dzień wolny z soboty na środę.

## NASZE ŻYCIE KULTURALNE, ZWYCZAJE I OBYCZAJE

Wydaje się, że na czas mojego studiowania przypada największa aktywność naszego klubu akademickiego. Taka jest moja skromna ocena. Dawało się bowiem zauważyć wielką zaradność i dużą dbałość o dobry zestaw imprez kulturalnych, które były w nim organizowane. Bardzo często odbywały się w akademickiej sali kinowej koncerty i recitale, także repertuar naszego kina był ciekawy. Trudno mi powiedzieć, czyja to była zasługa. Zastępcy komendanta do spraw politycznych, którym był płk mgr Worwa, i o którym słyszałem, że to oficer inteligentny i kulturalny, czy może była to zasługa Rady Klubu. Jej przewodniczącym był w owym czasie ppłk dypl. Mieczysław Urbański, doskonały organizator, późniejszy generał i dowódca dywizji, a następnie komendant CDO, a jeszcze później pracownik GISZ. Może to on potrafił tak inspirować kierownika klubu mjr. Zarasia.

W każdym razie, w moim odczuciu, imprez kulturalnych było wiele i bardzo dobrych. Uważam, że wtedy wyglądało to o wiele lepiej niż kilka lat później. Co prawda moje oceny są subiektywne i bez dokonania badań w tej kwestii trudno wystawić tu ostateczną ocenę. Jednakże wydaje mi się, że klub w owym czasie dysponował nieco większymi funduszami i dlatego stać go było na dużo więcej niż w latach późniejszych. Miałem więc wtedy możliwość oglądania i słuchania Zespołu Pieśni i Tańca Domu Wojska Polskiego, który kilkakrotnie uświetniał odbywające się w ASG WP uroczystości z okazji świąt państwowych, a także wiele zespołów młodzieżowych oraz tak znakomitych solistów, jak Połomski, Santor, German oraz całą plejadę artystów scen warszawskich.

Większość z nas czyniła wysiłki, aby nawet przy dużym nawale pracy znaleźć czas na korzystanie z owych imprez. Jako niedzielny wypoczynek i pożyteczny relaks traktowane było przez nas zwiedzanie Warszawy, zwłaszcza jej zabytków. Osobiście uważałem, że tak dobra ku temu okazja nigdy się może

w moim życiu nie powtórzyć. Ponadto korzystałem również ze spektakli teatralnych, oczywiście w miarę możliwości czasowych, bo z punktu widzenia finansowego nie stanowiło to bardzo dużego obciążenia. Do tego trzeba dodać, że wielkim udogodnieniem w tej kwestii było załatwianie przez klub biletów oraz zapewnienie środka transportu w postaci autokaru, którym byliśmy dowożeni do teatru i przywożeni z powrotem pod nasz internat. Wystarczyło zgłosić w klubie chęć udania się do teatru i opłacenie biletu, a resztą zajmował się klub.

Było jednakże kilku kolegów, którzy nie przepadali za rozrywkami, zwłaszcza za imprezami kulturalnymi. Nawet zabytków Warszawy nie zdążyli poznać. Stolicę oglądali jedynie z okien pociągu, to jest jej obraz od najgorszej strony, od tyłu, od bardzo niekorzystnie prezentujących się zakamarków.

Wspomniani koledzy zasługiwali jednocześnie na miano tytanów pracy. W dzisiejszym ujęciu nazwalibyśmy ich „pracocholikami”. Dla przykładu wspomnę, że jeden z nich, którego miałem okazję poznać bliżej i obserwować jego pracę, poza snem, spożywaniem posiłków oraz wysłuchiwaniami dziennika radiowego z naszych „kołchoźników”, zajmował się bez reszty nauką. Było w tym również rysowanie sytuacji na mapie. Tę ostatnią czynność wykonywał bardzo poprawnie. Zasługuje to o tyle na uwagę, że do rysowania na mapach służyły jedynie kredki „TAKTYKA”. Były bardzo dobre, wymagały jednak dużych umiejętności, a praca nimi była mało wydajna. Mimo to, jak wspomniałem wcześniej, byli wśród nas tacy, którzy przy ich użyciu potrafili wydobyć dużą plastyczność sytuacji operacyjno-taktycznej. W tym względzie zasługiwali na miano artystów.

Nasz wspomniany kolega posiadał bardzo przeciętne zdolności umysłowe. Był jednak tak pracowity i obowiązkowy, że w nauce uzyskiwał zadawalające rezultaty. Podziwialiśmy u niego nie tyle upór i niewątpliwą pracowitość, ile wytrzymałość i odporność psychiczną. Kilkakrotnie widziałem go u kresu sił. Radziłem, aby dał sobie spokój na dzisiaj z nauką, aby rzucił

w kącie te pękające objętością i poryte podkreśleniami skrypty, bo już umie dobrze, potrafi jutro przedstawić, a dzisiaj należy odpocząć. Nie pomagało. Pracował dalej, powtarzając odpowiednie partie materiału po raz któryś z kolei.

- Może z niego będzie niezły wykonawca - mówiliśmy w takich wypadkach o koledze, widząc jaki jest obowiązkowy.

- Ale wy mi powiedzcie, czy warto w tak opornego na wiedzę oficera inwestować - zauważał kolejny.

- Mówicie, że z niego dobry wykonawca, bo obowiązkowy. Ale to dopiero jedna z cech, bardzo potrzebnych oficerowi sztabu, ale to chyba nie wszystko - dodał jeszcze inny.

- Wiecie co, zastanawia mnie fakt, że znacznie lepsi od niego zostali zwolnieni, a on się jakoś uchował - mówili dalej o nim koledzy.

- Można powiedzieć, że upór naszego kolegi oraz wytrzymałość w dążeniu do ukończenia studiów były tak nieprzeciętne, że zdołał ten cel osiągnąć. Był przykładem osobnika, który sobie kompletnie nie zdaje sprawy ze swoich słabości oraz z tego, że jego odporność ma swoje granice, że trzeba odpocząć, dawać organizmowi wytchnienie, że korzystanie z imprez kulturalnych da mu wytchnienie, a jednocześnie poszerzy horyzonty myślowe, korzystnie wpłynie na jego osobowość.

Po studiach pozostał obowiązkowym pracusiem, ale przełożeni nie mieli z niego wielkiej pociechy. Na szczęście nie miał nigdy tak dużego pola działania, aby jego praca mogła przynosić szkodę.

Inny kolega również, a może jeszcze bardziej stroniący od imprez kulturalnych był bardzo zdolny, zorganizowany i systematyczny w pracy, jednakże nie odczuwał potrzeby uczestniczenia w takich imprezach i korzystania z rozrywek. Jedyne, co uznawał, to wypicie kielicha w spokoju, cichutko, bo nie lubił również hałasu. Do akademii przyszedł z dobrym przygotowaniem teoretycznym, bo po odbyciu KDOPiech oraz z dużą praktyką w jednostkach i sztabie dywizji. Tak dalece doceniał

fakt skierowania go na studia, że poczuł się w obowiązku całkowitego oddania się nauce. Popadł jednak w dużych rozmiarów przesadę w tej kwestii i przez to zaniedbał swoją kulturę osobistą. Gdyby nie to, zaszedłby prawdopodobnie daleko w swojej karierze wojskowej.

Pracował samodzielnie, planowo i z dużym wyprzedzeniem w stosunku do zbliżających się seminariów, kolokwii, a tym bardziej egzaminów. Nawet w przygotowaniu się do zajęć grupowych w toku ćwiczeń taktycznych nigdy nie zabrakło mu czasu. Konspekty do seminariów miał już gotowe, kiedy jego koledzy nawet jeszcze o tym nie pomyśleli. Systematycznie przygotowywał także konspekty do zajęć taktycznych, jakkolwiek nie potrzebował i nie korzystał z nich w toku referowania ocen, zamiarów czy decyzji. Mimo owych niewątpliwych zdolności umysłowych i wielkiej akurataści w pracy i nauce, należał do mało kulturalnych. Na bakier był z literaturą piękną i, jak wspomniałem, unikał wszelkich imprez kulturalnych, chyba że były częścią artystyczną uroczystości państwowych. W tym wypadku większą rolę odgrywało poczucie obowiązku służbowego niż miłość do kultury. Do miasta, to jest do centrum stolicy, to nawet na zakupy nigdy się nie wybrał, a cóż dopiero do filharmonii, do teatru, czy do muzeum. Dlatego też kiedy po ukończeniu akademii wrócił do swojej dywizji, której dowództwo bardzo chciało go widzieć i do tego powrotu bardzo go zachęcało, tylko przez pewien czas pracował znakomicie i osiągał bardzo dobre efekty. Doskonale się zapowiadał, stosunkowo szybko osiągnął wysokie stanowisko służbowe, ale po pewnym czasie podwładni zaczęli o nim mówić niezbyt pochlebnie. Podobno oprócz rozkazów, regulaminów i instrukcji niczego nie czytał w owym czasie.

Można powiedzieć, że chyba nigdy nie odczuł potrzeby, a przede wszystkim korzyści z obcowania z kulturą, nie zamakował jej oraz nie czuł takiej potrzeby. Jałowiał duchowo.

Nasza materialna strona podczas studiowania nie przedstawiała się najlepiej. Może o tym świadczyć choćby fakt, że tylko jeden słuchacz w akademii posiadał samochód. Był nim ppłk Ładoń, który wracając z kilkuletniego pobytu na placówce w USA, przywiózł sobie pięknego Forda z przyczepą i żaglówką. Był to jednak jedyny przypadek, że słuchacz kursu o rok starszego od nas posiadał samochód. Ale stare przysłowie mówi, że „krawiec tak kraje jak mu materiału staje”. Każdy z nas gospodarzył więc tym, co posiadał, na co było go stać.

Już od pierwszego roku studiów, a nawet od kursu przygotowawczego zawiązały się przyjaźnie między poszczególnymi kolegami i potem utrzymywały. Tak nieformalnie utworzone grupy bardzo ściśle współpracowały, zwłaszcza w toku przygotowywania się do bieżących zajęć, a przede wszystkim do seminariów, kolokwiiów i egzaminów. W takich gronach spędzało się również krótkie chwile wolnego czasu.

Utarł się na przykład zwyczaj obchodzenia naszych imienin, dla których uczczenia zbierały się takie właśnie zespoły. Solenizant musiał wtedy postawić. Najczęściej zapraszał na ową uroczystość, na „Górkę” jak nazywano kawiarnię – restaurację nad akademickim kasynem. Zamawiał tam butelkę i dobrą zakąskę, a potem dla zaspokojenia powstałych chęci, niedosyt uzupełniali koledzy w drodze koleżeńskej składki. Porcje konsumowanego alkoholu zależały od naszej zamożności, doraźnych chęci, a także, może nawet przede wszystkim, od czasu, jaki mogliśmy na to poświęcić.

Podczas jednego z takich spotkań na „Górcie”, zauważyliśmy komendanta. Jak się dowiedzieliśmy od kelnerki, grał w brydża w jednym z pomieszczeń kasynowych. Trochę nas to zbiło z pantałyku, ale po chwili postanowiliśmy nic sobie z tego nie robić. Tym bardziej, że komendant załatwił coś w bufecie i wrócił do swoich graczy. Po pewnym czasie znowu znalazł się na sali ogólnej i nie tylko nas zauważył, ale podszedł, do zajmowanego przez nas boks, jak nazywaliśmy miejsca oddzie-

lone drewnianymi przegrodami wraz ze stolikami z krzesłami, i pyta:

- Wy pewnie nie macie jutro zajęć, albo też macie takie, do których nie trzeba się przygotowywać, co?...

- Mamy, obywatelu generale i to nawet bardzo ważne, ale mamy też imieniny kolegi, których nie sposób nie uczcić - odpowiada Zbyszek Sawicki, jak zwykle bez cienia zakłopotania.

- A a a a, chyba, że tak... - odpowiada na to generał i zaraz odszedł, dając nam spokój.

- No, poszedł, jestem jednak pewien, że jutro przyjdzie do nas na zajęcia - „kracze” jeden z kolegów.

- No to niech przyjdzie, i cóż z tego. Tyle on już chodzi, że powinienęś mój drogi zdążyć się do tego przyzwyczaić. Najwyżej, przyjdzie, posłucha i pójdzie. Przecież nie będzie nas z tego powodu, że nas tu widział, przepytywał - wyjaśnia Sawa.

- Taki to on już jest, że i tym się zainteresował, co my tu robimy i z jakiego powodu - dodaje następny z kolegów.

- Dajcie już spokój tej sprawie. Zbyszek mu to powiedział bardzo dobrze. Niech wie, że żyjemy tu normalnie i wszystko musimy godzić - dodałem, chcąc zakończyć problem.

Mimo owych oświadczeń i manifestowania odwagi, wizyta komendanta przy naszym stoliku wywarła określone wrażenie. Nasze rozmowy nie były już tak żywe i cała nasza skromna uroczystość zakończyła się znacznie wcześniej niż można było się tego spodziewać na początku spotkania.

Następnego dnia komendant na naszych zajęciach się nie zjawił. Jak się potem okazało, wcale nam tego nie brał za złe. Zdarzyło się bowiem, że pewnego razu, przy porannym wejściu do bloku 101, oficer dyżurny akademii meldował: „W czasie pełnienia mej służby, jeden ze słuchaczy o nazwisku (...) upił się na „Górcie”. Poza tym nic ważnego nie zaszło.”

- No to dobrze, że się upił na „Górcie”. Bo gdzież on się miał upić?... Takimi głupstwami, wy mi głowy nie zawracajcie - skwitował komendant i poszedł do swojego gabinetu.

Zanim jednak do naszej świadomości taki wypadek dotarł, to o naszym spotkaniu w czasie imienin kolegi sądziliśmy różnie. Wtedy wydawało się nam, że w dużym stopniu pozostawienie nas w spokoju należy zawdzięczać odpowiedzi Sawickiego. Ten należał bowiem do ludzi, którzy potrafią powiedzieć, co myślą. Zawsze to robią w taki sposób, że jeśli nawet jest to nieprzyjemne dla rozmówcy, to nie wypada mu się obrazić. Ponadto, w naszym środowisku uchodził Zbyszek Sawicki za oficera zdolnego i dobrze notowanego u przełożonych. Na studia do akademii Sawa, jak go powszechnie nazywano, przyszedł z Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu. Był tam wykładowcą szkolenia ogniowego i miał opinię bardzo dobrego wykładowcy. W toku pierwszego i drugiego roku wykazywał wielką swobodę, bo nie napotykał na trudności z przyswajaniem materiału. Kiedy w czasie drugiego roku, niedługo przed jego zakończeniem, wybieraliśmy tematy prac dyplomowych, on się podjął tematu związanego z opanowywaniem albo obroną lotnisk (nie pamiętam). Wybrał go prawdopodobnie z tego względu, że podobnym problemem zajmował się jego kierownik grupy ppłk Łańcucki w swojej dysertacji. Szacowny kolega wychodził prawdopodobnie z założenia, że będzie miał łatwiejszy dostęp nie tylko do pracy swojego kierownika grupy, ale i do literatury z której korzystał doktorant. Liczył prawdopodobnie i na to, że kierownikiem jego pracy dyplomowej zostanie autor wspomnianej dysertacji, dawny jego kierownik grupy. Tymczasem Łańcucki, jak wspomniałem wcześniej, po zakończeniu roku akademickiego został skierowany do wojsk. Niby miał w dalszym ciągu kierować pracą dyplomową Sawickiego, ale okazało się, że na nowym miejscu pracy był tak zajęty, że na kierowanie pracą dyplomową nie starczyło czasu, a przede wszystkim troski o dawnego podopiecznego studenta.

Starania Zbyszka o nawiązanie kontaktu z kierownikiem pracy dyplomowej okazały się bezskuteczne. Minął nie tylko grudzień, kiedy należało przedstawić plan pracy dyplomowej,

ale styczeń i luty, a Zbyszek niczego jeszcze nie miał. Jego nowy kierownik grupy problemu nie tylko nie dostrzegł, ale go po prostu zaniedbał, a tymczasem dyplomant natrafiał na coraz większe trudności. Ogarniał go coraz większy niepokój, czy zdąży pracę dyplomową napisać. Na szczęście dowiedział się o kłopotach jego niepisany opiekun, ppłk dypl. Jan Grzelecki, który znał Zbyszka, kiedy był on jeszcze podchorążym, a Grzelecki w OSWPanc wykładowcą. Dawny znajomy zajął się sprawą i kierowanie pracą powierzono płk dr Antoniemu Runiewiczowi. Ten zacny i doświadczony nauczyciel akademicki potrafił tak pokierować przerażonym dyplomantem, że udało mu się zdążyć z napisaniem pracy, która w toku obrony została oceniona na czwórkę.

Tak więc wszystko zakończyło się pomyślnie. Jednakże nie chciało się wierzyć, iż ten, tak bezpośredni i taki pewny siebie oficer, by nie powiedzieć ryzykant, a na dodatek oficer o tak wielkiej swobodzie w wypowiedaniu myśli, tak szybko zwątpił w swoje możliwości. Taką niepewnością byliśmy wszyscy podszyci. Poddawali jej się nawet ci najodporniejsi.

Niektórzy z kolegów, żyjąc z dala od rodziny, napytali sobie biedy w pożyciu rodzinnym i małżeńskim. Jeden, na przykład, poznał kobietę i zaszedł tak daleko, że omal nie doszło do rozpadu, bardzo dotąd dobrego małżeństwa. Owa kobieta była przystojna, przede wszystkim jednak bardzo obrotna w pozyskiwaniu płci odmiennej. Stanowiła doskonałą partnerkę do zabawy, ale nie materiał na żonę oficera, która bardzo często zmuszona była samodzielnie, bo przy małym udziale męża, wychowywać swoje potomstwo.

Tak mu ta brunetka o zgrabnej figurce zamąciła w głowie, że zupełnie stracił poczucie rzeczywistości. Pewnego razu, kiedy delikwent pojechał na ferie do domu, czarnulka wybrała się za nim. W niewielkim garnizonie odszukała go bez trudu. Kontakt nie dało się ukryć. Jego żona, kobieta poczciwa z wyż-

szym wykształceniem, amory męża przyjęła za swoją klęskę życiową. Przeżywała tragedię. Sytuacja była tym bardziej przykra, że wkrótce spodziewała się dziecka. W miasteczku wrzało. Po feriach czarnulka wróciła do Warszawy razem z naszym kolegą. Była pewna siebie i cieszyła się odniesionym sukcesem. Często dzwoniła, zapraszając kolegę do siebie, ciągnęła po lokalach, bez których nie wyobrażała sobie życia, jak również odwiedzała ukochanego...

Przy jakiejś okazji przedstawił mi ową piękność. Owszem, niebrzydka i pewnie doskonała do zabawy - pomyślałem sobie.

Ale już po kilku zdaniach rozmowy dało się zauważyć, że podobnie jak w swojej obyczajowości, lekko miała i w głowie.

Umizgi i zaloty zabierały koledze czas, a przede wszystkim odwracały jego uwagę i zainteresowania od istoty rzeczy, od studiów. Poważnie zaniedbał się w nauce. Jego myśli koncentrowały się wokół czarnulki. Widziałem, że kolega wpadł po same uszy. Następnego dnia po zapoznaniu mnie ze swoim „szczęściem”, sam kolega poruszył temat czarnulki. Tym samym umożliwił mi zabranie głosu na ich temat. Tłumaczyłem, że tak bardzo zafascynowała go jej powierzchowność, iż kompletnie nie dostrzega jej prymitywizmu intelektualnego.

- Nie znam twojej żony i nie mogę tu dokonać jakichkolwiek porównań, jednakże, wyobrażając ją sobie na podstawie twoich wcześniejszych relacji, mam wrażenie, że jest to kobieta wartościowa. Ponadto odnosiłem wrażenie, że dotąd wszystko było w twoim małżeństwie dobrze, aż raptem ta czarna laleczka tak bardzo zawróciła ci w głowie, że kompletnie nie dostrzegasz jej wad?

- Lucjan, kiedy byłem młody, niedoświadczony, dokonałem moim zdaniem, nie najlepszego wyboru. Dzisiaj już rozumiem, że jeszcze jestem młody i że mogę sobie na nowo ułożyć życie - odpowiada mi mój przyjaciel i kolega.

Moja perswazja trwała jeszcze długo, ale szacowny kolega wyciągał coraz większego kalibru argumenty na obronę swoich poczynań. Był przekonany o słuszności swojego postępowania.

U czarnuszki, oczywiście, nie dostrzegając żadnych wad i ułomności. W końcu tak mnie zdenerwował jego upór w przekonywaniu mnie o poprawności swojego postępowania, że mu wy-  
palilem:

- Słuchaj no mój kochany kolego, dochodzę do wniosku, że masz większe jądra od mózgu, one to bowiem wraz z „fujarą” kierują tobą, niczym igłą magnetyczną. Zaprowadziły cię do tej laleczki, a ona tak przesłoniła świat, że niczego nie dostrzegasz i żadne perswazyje do ciebie nie docierają. Rób więc to, co uważasz za słuszne, ale według mojej oceny robisz wielką głupotę. Wybacz mi wobec tego moją szczerą i pozostawmy temat w spokoju, więcej do niego nie wracajmy.

O dziwo, już następnego dnia wieczorem kolega mi zakomunikował:

- Lucjan!.. Przyznaję ci rację. Rozważyłem sprawę dogłębnie i doszedłem do wniosku, że muszę z (...) zerwać. Ba, podjąłem ostateczną decyzję i powiadomiłem ją o tym telefonicznie. Miała do mnie żal, że czynię to przez telefon i pytała, co się takiego stało, dlaczego tak nagle. Odpowiedziałem, że tak będzie lepiej i zapowiedziałem, aby nie zabiegała o nasze spotkanie, że nie będę nawet do niej dzwonił. Doszedłem do wniosku, że nie powinienem niszczyć swojego małżeństwa, a przede wszystkim rodziny. To jest moja ostateczna decyzja! Zakomunikowałem jej - wyrzucił jakby z wyraźną ulgą mój kolega.

Słuchałem tego z zapartym tchem, nie dowierzając uszom, i dopiero po chwili powiedziałem:

- Uważam, że zrobiłeś dobrze.

Potem rozmyślałem, jaki to argument z mojej strony potrafił go tak głęboko poruszyć i przekonać? Czyżby zarzut o małości jego mózgu?...

Poczucia satysfakcji oraz pewności, że uratowałem od rozpadu, małżeństwo, a tym samym i rodzinę z dwojgiem dzieci doznałem dopiero wtedy, gdy mi kolega przedstawił swoją małżonkę. Miało to miejsce w półtora roku po naszej rozmowie, przy okazji przyjazdu jego małżonki na naszą promocję, na

którą przybyła z dwoma zdrowymi synkami. Do dziś żyją szczęśliwie, bo nie tylko wychowali wspaniałych synów, ale i sami osiągnęli zaszczyty i wysokie miejsca w hierarchii służbowej na swoich odcinkach pracy.

Inny z kolegów, oficer o wysokim stopniu inteligencji, energiczny, wysoki i przystojny mężczyzna, również zdawał sobie sprawę z walorów swojej osobowości a przede wszystkim swojej młodości. Należał do osobników o wyjątkowej pobudliwości płciowej i nie małych potrzebach seksualnych. Brak zaspokojenia swych potrzeb tak go dręczył, że nic mu te nauki nie szły do głowy. Nie mógł zaznać spokoju. Raptem się uspokoił. Okazało się, że znalazł sobie młodą i całkiem niezłą Marysię, która w pełni te potrzeby potrafiła zaspokajać przez okres studiów. Wpadał do niej wieczorem, załatwiał sprawę, nie ponosząc podobno kosztów, a przede wszystkim straty czasu, bo miała mieszkanie w pobliżu akademii. Domyślać się można, że nawet na gry miłosne nie tracił czasu, bo szybko wracał do dalszej pracy, ale jakby odświeżony i odpężony psychicznie. Koledzy „wykapowali” te jego eskapady miłosne, a z czasem zauważyli, że ilekroć udawał się do Marysi, nie omieszkał zadzwonić do żony. Porozmawiał wypytujac jak się czuje, o postępy syna w nauce, o zdrowie teściowej, przypomniał również, że ją kocha, cmoknął do słuchawki i jak gdyby bardziej uspokojony, że za chwilę nie zadzwoni, ruszał pędem do oczekującej go dziewczyny. Po powrocie, jakkolwiek nie bezpośrednio, a raczej przed udaniem się do łóżka, znowu zamawiał telefon i rozmawiał z żoną.

Maniera kolegi z telefonem do żony była powszechnie znana. Jednakże jednego z kolegów, przykładnego i wiernego małżonka oraz troskliwego ojca, głowę rodziny, pewnego razu bardzo musiała zeźlić, bo będąc przypadkowym świadkiem takiej rozmowy, powiada do delikwenta:

- Słuchaj no drogi kolego!... Postępujesz niczym fałszywy kundel, co się łąsi do swojego pana, merdając ogonem i ocierając o jego nogi, aby potem bardzo brzydko mu napsocić. Nieco później, znowu liże mu buty i głaszcze tydki ogonem, aby jego pan nie wymierzył mu sprawiedliwej kary.

Drugi z kolei kolega, przysłuchujący się rozmowie, miał na ten temat odmienne zdanie. Mówi więc:

- Daj mu spokój, bo z niego nieprzeciętny artysta. Żeby tak fajnie załatwić sprawę. Żona jest pocieszona, lewa babeczka zadowolona, on odświeżony, zwłaszcza umysłowo i może intensywnie pracować. Oryginał z niego.

Najwidoczniej i Marysi taki stan rzeczy, że miała dochodzącego na chwilę chłopaka, nie przeszkadzał. Być może, iż w skrytości liczyła na trwalszy związek, ale nie dawała tego po sobie poznać lub też tylko nasz kolega tego nie zauważał. W każdym razie znosiła jego zachowanie i traktowanie jej - bez wykazywania roszczeń. Nie tylko go znosiła, ale okazywała zadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, bo po zakończeniu studiów, przy rozstaniu, ponoć nie miała pretensji.

Nie długo też „odłogowała”. W następnym roku akademickim, w kolejnej populacji słuchaczy, znowu znalazła odpowiedniego osobnika i w podobny sposób zaspokajali swoje wzajemne potrzeby, aczkolwiek nie do końca, bo dostała podobno wylewu i zmarła przedwcześnie, w wieku 30 lat.

Niektórzy, mając kolegów, studiujących w WAT, utrzymywali z nimi kontakty. W taki właśnie sposób, od czasu do czasu, przeważnie z soboty na niedzielę, zjawiał się u mojego kolegi Raduchowskiego „WAT-owiec”, a niekiedy nawet dwóch i maszerowali na „Górkę”, aby zjeść godziwą, jak to nazywali, kolację. Było tak dlatego, że jak mówili tam studiujący, w WAT istniała raczej stołówka studencka, a nie kasyno oficerskie. Zazdrościli nam kasyna, a przede wszystkim restauracji - kawiarni, w której można zjeść i wypić, a nawet nieźle się zabawić i, trzeba jeszcze do tego dodać, za niewielkie pieniądze

jak na stosunki warszawskie. Dlatego to właśnie tak chętnie do nas przyjeżdżali na tak zwane „gościnne występy”.

Przy okazji takich „przedgórkowych” odwiedzin w naszym pokoju, jeden z nich, w ramach plotkowania o panujących tam, w WAT stosunkach, oficer przystojny, brunet i bardzo zdolny słuchacz, doświadczony w linii, relacjonował:

- U nas nie ma warunków, aby uczcić jako tako imieniny kolegi. Odbywaliśmy właśnie taką uroczystość w ubiegłym miesiącu. Ponieważ w naszej stołówce nie ma alkoholu, kolega poczynił odpowiednie zakupy i poprosił nas do swojego pokoju. W takich warunkach wiadomo, nawet oka nie ma na czym zawiesić - mam oczywiście na uwadze choćby niewielkiej urody dziewczynę. Popijaliśmy więc przy niewybrednej zakąsce, rozmawiali i znowu popijali. Kolega zgromadził niemałe zapasy, a kiedy się wyczerpały, to drugi kolega przytargał jeszcze od siebie zapas przechowywany na czarną godzinę - powiada.

- „Napompowaliśmy się” jak trzeba, a tymczasem następnego dnia trzeba uczestniczyć w zajęciach. Na domiar złego, w czasie zajęć podchodzi do mnie wykładowca, pragnie oglądać moje rozwiązanie i nie dość, że się wpatruje, czyta, to jeszcze prosi o wyjaśnienia. Prawdopodobnie przy odpowiedzi na zadane pytania chuchnąłem mu odpowiednim fermentem, bo się natychmiast wyprostował, odszedł ode mnie i o nic więcej nie pytał. Nawet do mnie już nie podchodził. Pomyślałem więc, że porządne musi być z niego chłopisko, bo rozumiał moją dolę - wyjaśniał nasz kolega „WAT-owiec”, późniejszy generał i to bardzo ceniony.

Mój kolega sublokator, chętnie i ochoczo spotykał się z kolegami starszych roczników. Jednym z nich był mjr Piątkowski, który dość często wpadał do naszego pokoju, aby pogawędzić z Jankiem i umówić się na jakiś wypad. Był to oficer o niewątpliwych zdolnościach umysłowych, doskonałej kondycji fizycznej, wysoki ciemny blondyn o rumianych policzkach. Równocześnie operatywny i zdecydowany. Tupetem przewyższał

znacznie mojego kolegę, chociaż i temu nie brakowało sprytu i zaradności. Janek był jednak delikatny.

Piątkowski lubił wypić i nie stronił od kobiet, a jego wyjątkowo zdrowy organizm potrafił wchłaniać pokaźne porcje alkoholu bez wyraźnych i niekorzystnych skutków działania.

W jeden z sobotnich wieczorów mój współlokator wybrał się z Piątkowskim do lokalu w mieście. Zabawili się, a następnego dnia Piątkowski wpadł do nas na pogawędkę i dla wspomnień z poprzedniego wieczoru. Z wielką lubością wspominali uroczy wieczór i miłe towarzystwo. W pewnym momencie Janek zwraca się do niego:

- Wiesz, musimy się rozliczyć bo regulując rachunki wydałem wszystkie swoje forsiaki i pozostaję bez grosza przy duszy.

- Co ja słyszę?... Ty się chcesz ze mną rozliczać, czyżbyś oczekiwał ode mnie jakichś należności?... Uważasz widocznie, że to ja jestem tobie winien?... - pyta bez zażenowania Piątkowski.

- Dawaj więc kartkę papieru, ołówek i już się rozliczamy.

Kolega wszystko podał, a ten wypisywał kolejne pozycje. W pierwszej kolejności uwidoczniał, co wypili i skonsumowali, siedząc przy stoliku w dwójkę, a następnie dopisał zamówienia dokonane przez jegomości, tak zwanych jeleni, doprowadzonych przez Piątkowskiego do stolika w toku trwania libacji. Podliczył to wszystko, skonfrontował z rachunkiem wyciągniętym przez mojego sublokatora z kieszeni i na koniec powiada:

- Oto suma wydana na nasze ucztowanie. Było nas czterech. Dlatego podzieliłem ją na cztery. Jak z tego wynika, zapłaciłeś mniej niż przypada na głowę. Musisz mi więc dopłacić. To ty jesteś mi winien, a nie ja tobie.

Okazało się, że Piątkowski, wybierając się z kolegą, był bez grosza. Natomiast ten dysponował poważną sumką. Oceniali, że to im wystarczy na wieczór, a w następnym tygodniu, kiedy miała nastąpić wypłata uposażenia, dokonają rozliczenia, to jest, że Piątkowski zwróci należność koledze. Tymczasem ten

zabawiał się przez cały wieczór i jeszcze oczekiwał zwrotu należności od kolegi.

Wysłuchałem tego w spokoju. Nie mieszałem się do toczącego się sporu uważając, że to nie moja sprawa. Pomyślałem sobie jedynie, że ten mój kolega, taki inteligentny, a jednocześnie taki naiwny. Kiedy Piątkowski odszedł, Jasiu powiada:

- Popatrz, ten Piątkowski jest niemożliwy!...

- Dlaczego?...

- No bo, nie dość, że nie mając grosza bawił się przy mnie, to jeszcze chce, abym mu dopłacił.

- To po co z nim trzymasz?...

- No wiesz,... kolega z dawnych czasów.

- No to nie narzekaj...

- Narzekam, bo się ostatnio zmienił, a jeszcze do niedawna taki nie był...

- Nic mi do tego, bo to wasze koleżeńskie sprawy. Widzę jednak, że ty, człowiek z ogładą i delikatny, trzymasz z takim gruboskórnym tupeciarzem, a nawet, powiedziałbym, chami-dłem.

- Masz rację. Ja to już widzę od pewnego czasu, ale wciąż mi się wydaje, że to chwilowe niedobory finansowe wpływają na takie zachowanie - wyjaśnia Jasiu.

- A ja widzę, że on cię nie traktuje po koleżeńsku, a tylko podobnie jak tamtych „jeleni” chce wykorzystywać. Tymczasem ty na to mu pozwalasz - wygarniałem koledze jego słabości, zwłaszcza uległość w stosunku do kolegi.

Jak się okazało po latach, moje słowa były niemal prorocze. Bowiem Piątkowski skończywszy studia, rok przed nami, odbywał służbę nie zagrzewając jednego miejsca zbyt długo. Wyszło na to, że nigdzie go nie chcieli. Przyjechał nawet do akademii i usiłował zaangażować się do pracy dydaktycznej. Był na rozmowie u komendanta, potem u generała Wasilewskiego, szefa Katedry Taktyki Ogólnej, ale ten nie przyjął jego oferty. Musiał więc odejść do rezerwy.

Warto tu zauważyć, że wspomniane wyżej libacje, jak również obchodzenie imienin na „Górcie” były wydarzeniami sporadycznymi. Na ogół nie stać nas było na tego rodzaju uroczystości. Najczęściej uczczenie imienin odbywało się, podobnie jak u kolegów z WAT, w naszych pokojach. Wypijało się wtedy po kilka „głębszych”, zjadło po kilka kanapek i było po „ptokach”, jak to zwykł mówić nasz kolega Kurkiewicz.

Taka to właśnie skromna uroczystość odbywała się pewnej soboty w pobliżu mojego pokoju, kiedy mieszkaliśmy pojedynczo na trzecim roku. Nie był to jednak sąsiedni pokój, przez ścianę, a kolejny, u Jasia Stychno. Oprócz Jasia był tam jeszcze bliski jego kolega Karolus oraz Pietroń. Być może, iż był tam jeszcze jeden kolega z pierwszej grupy (nie pamiętam).

Z pośród wymienionej trójki najbardziej ruchliwy i gadatliwy był Stychno. Natomiast dwaj pozostali uchodzili za mało mównych. Zwłaszcza Pietroń zasługiwał na miano mało mównego. Byłem w głębokim śnie, kiedy mnie zbudził jakiś niesamowity rumor, ale natychmiast potem zapanował spokój. Ponieważ nic więcej się nie działo, pomyślałem, że to z jakiegoś mi nieznanego powodu nastąpiło moje zbudzenie się. Odwróciłem się więc na drugi bok i natychmiast zasnąłem. Dopiero rano, kiedy wstałem, spostrzegłem na podłodze obok swojego łóżka szkło i butelkę z niewielką zawartością cieczy, która się okazała alkoholem. Oniemiałem ze zdziwienia.

- Co robi w moim pokoju szkło oraz butelka po alkoholu? - zachodziłem w głowę. Niczego nie pamiętam co mogło by wyjaśnić powstały przede mną obraz. Czy ja jestem zupełnie zdrowy, jeśli nie wiem co działo się w moim pokoju? - rozważałem.

Sprawdziłem drzwi. Były zamknięte od wewnątrz. Nie ma mowy aby tu był ktokolwiek bez otwarcia drzwi przeze mnie - myślałem.

Obejrzałem więc okno, i okazało się, że jest całe i zamknięte jak zwykle tylko lufcik otwarty i zabezpieczony haczykiem, na

szywno, aby się nie zamknął. Dostrzegłem jednak, że szyba w otwartym lufciku jest wybita.

Analizując położenie lufcika, widniejące na nim ślady uderzenia butelki, zrozumiałem, że uderzenie nie pochodziło z dołu, a z boku, to jest z sąsiednich pokoi. Kolegi w pokoju sąsiednim nie było, bo wyjechał do domu. Dopiero z następnego, na moje walenie do drzwi, szybko je otworzył i wyskoczył na korytarz Jasiu Stychno.

Rzut oka na stół, na którym pozostały resztki nocnego biesiadowania potwierdził, że stąd mogło pochodzić uderzenie butelki.

- Chodź do mnie na moment - zaproponowałem Jankowi.

Po przekroczeniu drzwi mówię do niego, wskazując równocześnie ręką na szkło i butelkę na podłodze.

- Co ty Jasiu wyrabiasz? Popatrz, coście tu narobili.

- Jak to?... Co myśmy, twoim zdaniem narobili?... - pyta zaskoczony Stychno.

- Nie widzisz szkła i butelki na podłodze?...

- Widzę, no i co z tego?

- A no to, że to jest sprawką twoją i twoich kolegów - oświadczyłem.

- Ach, to ten Pietroń tak się wygłupił. Dobrze, zaraz ci to sprzątnę.

- Daj spokój, ja sobie to już sprzątnę, bo to niewielka sprawa, ale pomyśl o tym, by wprawić szybę i nie pozwalaj następnym razem na tego rodzaju wygłupy swoim gościom - dodałem.

Taki to właśnie był nasz Pietroń. Cichy, spokojny i mało-mówny, ale jak wypił to dawał upust swojej energii, którą od czasu do czasu musiał jakoś wyładować.

Pewną odmianę spokojnego i milczkowatego zachowania prezentował jeszcze inny kolega. Zdarzyło się, że przy jakiejś naszej wewnętrznej uroczystości wypił nieco więcej niż powinien. Porządnie musiał wypić, jak należało sądzić, bo chłopisko było z niego potężne i na takiej masie ciała byle jaka porcja al-

koholu nie spowodowałaby takiego skutku... Tymczasem zachowywał się tak pociesznie, że niedużo brakowało, a byłby nam zademonstrował męski striptiz. Nikt z nas tego nie pragnął, toteż robiliśmy wszystko, aby do tego nie doszło. Był to właśnie jeszcze jeden z dowodów, że ci, zbyt spokojni i mało mówni, dopiero po wypiciu w taki właśnie sposób odreagowują swoje milczenie.

Byli też wśród nas nieprzeciętni uwodziciele. Zdarzyło się na przykład, że jeden z takich przemycił do pokoju dziewczynę. Tylko on wie jakim sposobem. Prawdopodobnie przez okno, co dla dziewczyny było nie lada wyczynem. Tak czy owak, dziewczyna znalazła się w pokoju naszego kolegi.

Tymczasem drugi z kolegów w sąsiednim pokoju, za ścianą, solidny student i wierny mążzonek oraz przykładny ojciec, pewnego razu pograżony bez reszty w studiowaniu jakiegoś dzieła, w pewnym momencie musiał tę czynność przerwać. Posłyszał bowiem niecodzienne odgłosy pochodzące zza ściany.

- Kobieta i w dodatku o znanym mu skądinąd głosie, w pokoju u kolegi, gdzie nie mają wstępu kobiety?...- myślał zgorzsony.

Rozmowy się nasilały. Były coraz weselsze, a u kolegi zwiększała się trudność skupienia uwagi, na annałach, które dotąd z takim zacięciem „przegryzał”. Z wesołości dwojga ludzi oraz treści toczącej się rozmowy, która z coraz większą siłą wdzierała się do jego pokoju, mógł wywnioskować, że powstały animusz pochodzi z podniecenia oraz wypitego alkoholu.

Po pewnym czasie w pokoju uwodziciela powstał nieprzeciętny hałas. Słyszać było goniwę, rumor potrąconych krzesel, to znowu gwałtownie przesuwanego stołu, ponowną goniwę i znowu rumor.

- A cóż to, zwariował ten S. czy co?... - myślał zaniepokojony sąsiad.

- Sprowadził dziewczynę, pewnie podstępem, bo teraz kiedy się zorientowała, o co mu chodzi i czego od niej oczekiwał kolega S., wyraźnie mu ucieka, bo tego nie chce - analizował nasz pilny student, całkiem zgorszony zachowaniem kolegi.

Potem zapanował spokój, z czego pilny student wnioskował, że tamten nareszcie dał dziewczynie spokój. Podejrzał nawet, że dziewczyna opuściła pomieszczenie sąsiada. Znowu przystąpił do pracy, aczkolwiek ze znacznie mniejszym skutkiem niż przed hałasowaniem w sąsiednim pokoju. Po pewnym czasie dotarły do niego odgłosy kroków, pluskania wody i rozmowy, ale tym razem już nie tak głośne.

Następnego dnia miał zamiar sprawić „wygawor”, koledze z sąsiedniego pokoju. Jednakże, kiedy się spotkali nie był w nastroju do czynienia uwag. Zapytał tylko:

- Mój drogi S. czy ty musisz po nocy czynić w swoim pokoju tak wielki hałas i rumor, że nie podobna się uczyć? A swoją drogą to, czy ta pani nie wiedziała po co do ciebie idzie, po co ją tam przeszwarzowujesz?

... - E tam. Co by miała nie wiedzieć, czy nie zdawać sobie sprawy. A niby po czym tak sądzisz?...

- No bo tak przed tobą uciekała i tyle robiliście hałasu.

- Nie, to żadna ucieczka, to były tak zwane jelenie skoki, którymi ta dziewczyna lubi poprzedzić akt kochania. No widzisz, ona tak lubi... - wyjaśniał kolega S.

Nasz podrywacz był wyjątkowo kochliwy, a na dodatek, mimo że był jeszcze młody wykazywał skłonności do dziewcząt - małolatek, co powszechnie uważane jest za domenę starszych panów.

Tych niechlubnych doświadczeń było więcej. Może dwa trzy miesiące później dokonał na przykład solowego wypadu do miasta i znalazł tak nieodpowiednie towarzystwo, że kiedy sobie porządnie popił, prawdopodobnie wyprowadzono go w ciemny zaułek, zabrano zegarek, pieniądze, a nawet marynarkę. Nie przyznał się do szczegółów tego wydarzenia.

Całe szczęście, że mu pozostawiono dokumenty. Ponieważ pozostał w koszuli i spodniach, a była późna jesień, nie mógł podróżować z Warszawy do Rembertowa w takim stroju. Udało mu się jakoś uprosić taksówkarza, który go dowiózł do akademii. Będąc już na miejscu udał się do Włodka K. i prosząc o pożyczkę, wyjawiał, na co jest ona potrzebna. Obydwa te wydarzenia przez wiele lat pozostały w tajemnicy. Może właśnie dlatego nasz kolega nie wyciągnął wniosków na przyszłość i niczego się z owych błędów nie nauczył.

Po ukończeniu studiów trafił do dużego garnizonu i pracował na różnych stanowiskach służbowych. Wywiązywał się z powierzonych zadań dobrze.

Tak dobre wyniki pracy utwierdziły jego przełożonych w przekonaniu, że można mu powierzyć bardziej odpowiedzialną funkcję. W taki sposób został szefem instytucji, w której pracowało wiele kobiet, a naszemu delikwentowi co prawda przybywało lat, ale trzymał się rzeško i ciągoty w uganianiu się za spódniczkami pozostały i to niemałe. Poderwał więc żonę oficera, swoją pracownicę, doszło do zbliżenia, które spostrzegła druga nieprzychylna tamtej pracownica. W instytucji zawrzało od plotek, które dotarły do zdradzonego męża. Był skandal. Wkroczyli przełożeni z decyzjami i przeniesiono naszego, już wcale niemłodego, podrywacza do innego garnizonu, a przy okazji na niższe stanowisko.

Chcąc dosłużyć wieku emerytalnego, kolega S. przez kilka lat dojeżdżał do domu z miejsca pracy raz w tygodniu i nie mógł narzekać, bo sam sobie taki los zgotował. Pokutował kilka lat za swoje grzeszki.

## **KONIEC BEZPARTYJNOŚCI**

Byłem jedynym słuchaczem na kursie, a może i w akademii, który nie należał do partii. Sekretarz POP naszego kursu

zastanawiał się wraz z komitetem, jak to się stało, że znalazł się słuchacz nie upartyjniony i psuje im statystykę. Postanowiono więc spróbować wprowadzić mnie do tej organizacji. Zadanie zachęcenia mnie do tego otrzymał mój bardzo dobry kolega, przedstawiany tu nieco wcześniej – Sawicki. Być może, iż sam zgłosił taką inicjatywę. Nie wiem, bo nigdy tego nie dochodziłem. Zbyszek przystąpił do dzieła niezwłocznie. Zaraz po naradzie przyszedł do mnie i mówi:

– Dzisiaj na posiedzeniu komitetu poruszona została sprawa twojej przynależności do partii. Wszyscy stwierdzali, że jesteś swój chłop, bardzo dobry słuchacz, doskonały kolega i porządny oficer. Skoro tak wszyscy uważają, to musi tak być i chyba nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy podobnie jak jesteścieś tu dobrymi kolegami, razem byli i w organizacji partyjnej. Powierzono mi nawet odpowiedzialne zadanie, abym z tobą porozmawiał i zachęcił cię do podjęcia takiej decyzji. Ponieważ jesteścieś dobrymi kumplami, postanowiłem tego nie odkładać. Tym bardziej, że i czasu niewiele pozostało. Byłoby bowiem niedobrze, a może nawet niezręcznie, abyś mury akademii opuścił jako bezpartyjny oficer dyplomowany. Mam wrażenie, że nie zamierzasz pozostawać wiecznie jako bezpartyjny, bo w końcu co będziesz robił, jakie będą mogli ci powierzyć stanowisko służbowe? Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, co?... Jeśli nawet zechcesz potem wstąpić do partii, to kto wystawi ci rekomendację, kto będzie i gdzie cię przyjmował? Byłaby to duża niezręczność, aby cię wprowadzali do organizacji twoi podwładni. Najlepiej dla ciebie, aby cię przyjęli koledzy i to właśnie tu w akademii – wyjaśniał w wielkim uniesieniu.

– No to, co ty na to?... – pyta na koniec.

– Jesteś zdecydowany?...

– Zbyszek, to taka ważna decyzja, a ty natychmiast chcesz odpowiedzi, mojej decyzji i na dodatek w warunkach, kiedy mnie swoją propozycją, a jednocześnie informacją, że rozważyliście moją osobę na posiedzeniu, zaskoczyłeś. Uważam, że nad tym trzeba się nieco zastanowić, przespacerować się z tematem i do-

piero potem podjąć ostateczną decyzję. Wcale nie widzę potrzeby, aby się decydować tak od razu, z marszu. Poczekaj do jutra – tłumaczyłem, odwołując się do ostatecznej decyzji, aczkolwiek podzielałem w duchu jego racje.

- Jestem ci jednocześnie wdzięczny za tę otwartość i koleżeńskie podejście do sprawy – dodałem, wyjaśniając.

Szczerze mówiąc, miałem dość bezpartyjności. Taki stan rzeczy, kiedy służyłem w linii, sprawiał mi wiele kłopotu. Zarówno bowiem podlegli mi oficerowie, jak i żołnierze zbierali się na swoich zebraniach, omawiali wiele różnych spraw, a ja nie zawsze mogłem w nich uczestniczyć i nie wszystko, o czym tam rozprawiano wiedziałem, jakkolwiek mój zastępca do spraw politycznych, albo szef sztabu, starali się mnie o tym informować. Nigdy jednak takie informacje z drugiej ręki nie były dokładne. Ponadto zdawałem sobie sprawę z faktu, że w najbliższej przyszłości mogą wystąpić znacznie większe kłopoty, zwłaszcza w kwestii wyznaczenia mnie na wyższe stanowiska służbowe i dopuszczanie do tajemnicy państwowej i służbowej. Jeśli mam do końca swojej sprawności fizycznej i psychicznej pozostać w wojsku, to muszę jednak wstąpić do partii. Bez tego do niczego nie zostanę dopuszczony. Nie mogłem jednakże gwałtownie i usilnie rozwinąć starań o przyjęcie mnie do tej organizacji. Wyglądałoby to, zwłaszcza w oczach najbliższego otoczenia, na gwałtowny i pewnie zakłamany zwrot w przekonaniach, podporządkowany robieniu kariery.

Chciałem uniknąć powstania takich opinii i dlatego próbowałem odłożyć tę ostateczną decyzję. Takie były przyczyny mojej ociężałości i zwlekania. Tymczasem Zbyszek Sawicki stawał się natarczywy.

- Słuchaj, ja im przyrzekłem, że tę sprawę załatwię. Byłem bowiem pewien, że i tobie bardzo na tym zależy i to znacznie więcej niż komukolwiek innemu – mówił jakby zniecierpliwiony.

- Już ci powiedziałem, że takiej decyzji nie należy podejmować bez zastanowienia, więc nie bądź w gorącej wodzie ką-

pany - dodałem, kiedy mnie przekonywał, zatrzymawszy się w drzwiach.

- No, ale ja muszę zameldować co załatwiłem. Więc co, wstępujesz?...

- A cóż to taki pośpiech?... Musisz już dzisiaj meldować? No to powiedz, że jeszcze na ten temat ze mną nie rozmawiałeś - dodałem w krótkiej wymianie zdań, zanim opuścił mój pokój ostatecznie.

- No dobrze, odłożmy temat do jutra - zdecydował Zbyszek i niedługo potem wyszedł z mojego pokoju.

Już następnego dnia zniecierpliwiony wrócił do tematu i nie dawał mi spokoju. Dlatego, nie zwlekając dłużej oświadczyłem, że jestem gotów i zdecydowany do wstąpienia. Od tej pory uczęszczałem na zebrania, które odbywały się przeważnie jeden raz w miesiącu. Oczywiście musiałem wypełnić odpowiednie kwestionariusze i napisać podanie. Byłem kandydatem partii.

Członkiem zostałem dopiero pod koniec trzeciego roku. Przyjęto mnie na jednym z zebrań. Zanim jednak do tego doszło, nasz sekretarz Roman Tomaszewski poprosił mnie i poprowadził do Komitetu Uczelnianego. Tam wskazano mi krzesło, które było ustawione przed długim stołem, za którym siedziało kilka osób, oficerów, przeważnie w stopniach pułkowników. Wypytywali mnie o wiele przeróżnych spraw. Po prostu zadawano pytania, a ja odpowiadałem. Dotyczyły one zarówno mojej pracy w jednostkach liniowych, przyczyn, dla których nie wstępowałem tak długo do partii, jak i oceny procesu nauczania w akademii, a także oceny organizacji imprez kulturalnych w akademii itp.

Moje wypowiedzi zostały prawdopodobnie bardzo dobrze przyjęte, bo Tomaszewski w powrotnej drodze, a potem także w czasie przyjmowania mnie na zebraniu wykazywał zadowolenie.

## ZAKOŃCZENIE II ROKU

Od początku maja mieliśmy ogromne nasilenie ćwiczeń. Ledwie bowiem wróciliśmy z ćwiczenia z wykorzystaniem pościgu, a już w dniu następnym trzeba było pobierać materiały do następnego, tym razem grupowego z „Forsowania przeszkody wodnej przez DZ”.

Natychmiast po jego zakończeniu odbyliśmy ćwiczenie na temat „Organizacja i prowadzenie przez DZ obrony wybrzeża morskiego”. Jeszcze to ćwiczenie trwało, a już prowadzono instruktaż do ćwiczenia szkieletowego.

Tymczasem dokonaliśmy wyboru tematów prac dyplomowych. Wybrałem temat historyczny, a na taką decyzję, mimo że nigdy przedtem o historycznej nie myślałem, wpłynął patriotyzm lokalny i przywiązanie do 8 DZ, w której przesłużyłem wiele lat. W taki sposób trafił mi do opracowania temat: „Analiza i ocena działań bojowych 8 DP w walce z ukraińskim reakcyjnym podziemiem w południowo-wschodniej Rzeszowszczyźnie w latach 1945-1947”.

Przed odbyciem ćwiczenia szkieletowego zaaplikowano nam jedno czy dwudniowe, tak zwane ćwiczenie praktyczne na atrapach wozów dowodzenia (transporterów opancerzonych) z radiostacjami. Transportery były ustawione w kilku salach i właśnie na nich odbywaliśmy trening.

Przez tydzień, na początku lipca, trwało ćwiczenie szkieletowe. Po nim było kilka dni przerwy, bez zajęć programowych (lekcji). Były one przeznaczone na przygotowanie się do egzaminów z taktyki ogólnej i taktyki rodzajów wojsk.

Znowu zbieraliśmy się w nieformalnych grupach samokształceniowych, najczęściej na polanie i rozebrani do spodenek powtarzaliśmy materiał. Czekaliśmy bowiem wielką niewiadomą, bo po raz pierwszy egzamin roczny z taktyki miał się odbywać w polu, to jest w czasie ćwiczenia. Nie wiadomo było, jak on będzie wyglądał. Nawet dla naszych nauczycieli była to zupełna nowość. Pytani przez nas o procedurę egzaminu, od-

powiadali, że wyobrażają go sobie podobnie jak ćwiczenie z wykorzystaniem pociągu.

Znowu odbył się wyjazd na dworzec w Rembertowie, zajmowanie miejsc w pociągu, pobieranie materiałów, to jest map i założeń według wyznaczonych funkcji i praca. To prawda, że ćwiczyliśmy jak poprzednio, ale nasi rozjemcy nie tylko baczniej sprawdzali opracowane przez nas dokumenty, ale i więcej przy tym sprawdzaniu przepytawali. Tak na przykład przy sprawdzaniu opracowanego dokumentu, żądali wyjaśnień i uzasadnienia - dlaczego przyjęto taki a nie inny odcinek przełamania, czym była podyktowana przyjęta w rozwiązaniu głębokość zadania itp. Należało się również wykazywać znajomością teorii zagadnienia. Po prostu nie objaśniali nam zażytych problemów, jak to bywało w dotychczas odbywanych ćwiczeniach, a przeciwnie - należało je wyjaśniać nauczycielom.

Podobnie było w polu, na punktach pracy. Jednakże w terenie pytań teoretycznych zadawano mniej. Tu należało raczej uzasadniać zapewnienie powodzenia w działaniu wojsk stworzeniem przewagi, dążeniem do zaskoczenia przeciwnika, aby uzyskać przewagę, a przede wszystkim poprawnie wykorzystywać warunki terenowe.

W toku egzaminu przebywał z nami i przysłuchiwał się naszym wypowiedziom, tak samo jak na poprzednich ćwiczeniach, komendant akademii.

Jakkolwiek w czasie trwania ćwiczenia wysłuchiwaliliśmy kilku prelekcji historycznych i geograficznych, które były swego rodzaju „przerywnikami”, ćwiczenie dało nam w kość. Dlatego też z jego zakończenia byliśmy ogromnie radzi. Tak bardzo jak jeszcze nigdy dotąd.

W polu odbyła się również konferencja pedagogiczna, a może tylko jej część, ale już wtedy było wiadomo, kto nie uzyskał promocji na następny rok studiów. Po powrocie do Rembertowa zbieraliśmy ostatnie podpisy do indeksów i rozliczaliśmy się z dokumentów. Ostatnim akcentem było odczytanie

rozkazu komendanta o zakończeniu roku oraz wspólny obiad na „Górcie” z udziałem naszych nauczycieli akademickich i komendanta. Do obiadu zostało podane wino, a komendant, jako gospodarz, wzniósł toast.

Podczas obiadu stosunkowo dużo rozmawiał z nami nasz kierownik kursu ppłk dr Myszlón. Bardzo się zdziwiłem, kiedy kilka ciepłych zdań wyraził pod moim adresem. Podkreślił, że się ogromnie rozwinąłem taktycznie i korzystnie zmieniłem od poprzedniego roku. Dziwiły mnie te jego spostrzeżenia, bo nigdy ze mną przecież nie rozmawiał. Prawdopodobnie jednak opierał swoje sądy na zasłyszanych na konferencjach opiniach, a przede wszystkim na podstawie przysłuchiwania się głoszonym przeze mnie decyzjom. Bardzo mi to jednak schlebiało.

Po uroczystym obiedzie wszystkie grupy, jak by się zmówiły, pozostały na miejscu ze swoimi kierownikami grup i uczciły zakończenie roku po męsku, przy alkoholu i zimnych zakąskach.

Lokal opuściliśmy w późnych godzinach popołudniowych. Wszyscy byli w doskonałym nastroju i kiedy byliśmy przed kasynem, ktoś wpadł na pomysł, aby ppłk. Bidzińskiego odprowadzić całą grupą na „Polankę”, gdzie mieszkał.

Kierownik grupy nie był zadowolony z tego pomysłu i bardzo się temu sprzeciwiał. W efekcie doprowadziliśmy go do mostku, gdzie zaczynało się to osiedle, i pożegnaliśmy.

Dopiero następnego dnia oceniliśmy, że kierownik grupy miał rację nie chcąc takiego defilowania po „Polance” i to jeszcze przed samym wieczorem. Cóż by to miała być dla niego za „radocha”, przemaszerować w gronie bardzo rozbawionych oficerów przez całe osiedle, w którym prawie wszyscy mieszkańcy go znają. Wyglądaliśmy bowiem na dobrą ferajnę, aczkolwiek w mundurach oficerskich. Porcje spożytego alkoholu poważnie zatary nam poczucie umiaru.

Sierpień był przeznaczony na urlopy. Cieszyłem się, bo dostałem karty wczasowe do Sezonowego WDW w Żegiestowie. Spędziłem tam dwa tygodnie beztrąsko z żoną i córką przy

wspaniałej pogodzie. Poznałem przy tej okazji wielu ciekawych ludzi z komendantem WAT prof. Kaliskim włącznie.

## **KOLEJNA PRAKTYKA**

Po urlopie odbywałem praktykę w swojej rodzinnej 8 DZ w Koszalinie. I tym razem pociągnął mnie patriotyzm lokalny. Wolałem bowiem odbywać praktykę między swoimi, jakkolwiek w sztabie dywizji przecież nie pracowałem przed pójściem do akademii. Liczyłem jednak na to, że spotkam dawnych znajomych, między którymi będzie mi łatwiej, bo mi przecież nie będą szczędzić rad i swoich doświadczeń. Przede wszystkim liczyłem, że przy tej okazji przewertuję kronikę dywizji i znajdę materiały dotyczące wydarzeń z okresu działań dywizji w Bieszczadach, co bardzo mogło się przydać do mojej pracy dyplomowej. W tym czasie bowiem zbierałem już materiały do pracy. Bardzo się jednak zawiodłem, bo informacje w kronice były bardzo ogólne, a przede wszystkim skromne.

Dywizją dowodził w tym czasie generał, którego pamiętałem jako wysokiej rangi pracownika POW. Przewodniczył wtedy komisji kontrolującej całokształt życia wojskowego oraz szkolenia w naszym pułku w Trzebiatowie. Kiedy omawiał wyniki kontroli, wydał mi się taki mądry, dostoyny i rzeczowy, jakkolwiek bezpośrednio nie miałem możliwości ani zaszczytu z nim się kontaktować. On bowiem nie miał zamiaru zniżać się tak dalece, aby poznawać praktykanta z ASG WP w stopniu majora. Miałem jednak wiele okazji przyjrzeć się jego poczynaniom, zwłaszcza w czasie ćwiczenia dywizji.

W czasie praktyki byłem osamotniony, bo nie było więcej chętnych do tej dywizji, mimo że wpłynęło do ASG WP odpowiednie zapotrzebowanie na praktykantów. Koledzy woleli odbywać ją w innych związkach taktycznych na przykład w 20 DPanc.

Już w uczelni wyznaczono mi funkcję na praktyce – szefa wydziału rozpoznawczego dywizji. Byłem z tego rad, bo w tej kwestii, a zwłaszcza w praktycznym działaniu organów rozpoznawczych miałem pewien niedosyt po dwóch latach studiowania. Tuż po moim przybyciu do dywizji rozpoczęły się przygotowania do mającego się odbyć ćwiczenia z wojskami. Okres ten trwał co najmniej tydzień, a może nieco więcej. Sztab dywizji miał pełne ręce roboty.

W miarę jak narastało zagrożenie podgrywane przez kierownictwo ćwiczenia, powiększał się zakres wykonywanej pracy.

Każdego dnia w sztabie przeprowadzano informowanie operacyjne. Dowódca wydawał nowe wytyczne i stawiał zadania do wykonania. Wciąż jednak nie przychodziło zadanie, na które sztab wyczekiwał z niecierpliwością. Mimo więc, że zadania nie było, sztab dywizji pracował na wysokich obrotach. Byłem tam postronnym obserwatorem, bardzo niedoświadczonym, bo z tego rodzaju praktyką w akademii raczej nie można było się spotkać. Dostrzegałem jednak te nedorzeczości, a zwłaszcza nie najlepszy styl dowodzenia. Nie zgadzało się to z moimi wyobrażeniami o kierowaniu i dowodzeniu, nabytymi w ciągu dwóch lat studiów.

Ponieważ jedynie partycypowałem w wykonywaniu tych, nikomu niepotrzebnych, zadań – jak to powszechnie oceniano – a tym bardziej, że byłem „nieopierzonym” praktykantem, nie mogłem oceniać, a tym bardziej – negatywnie.

W miarę upływających na przygotowaniach dni rodzima kadra coraz bardziej utyskiwała. Przysłuchiwałem się temu uważnie i wyciągałem wnioski dla siebie.

Niektórzy, zwłaszcza ci, których znałem z lat poprzednich, mówili wprost, że z obecnym wodzem trudno wytrzymać, że bardzo często zachowuje się tak jakby wielu spraw zupełnie nie rozumiał.

Wróćmy do omawianego ćwiczenia. Otóż po otrzymanym sygnale ogłoszono alarm. Sztab i wojska wyszły w rejony alarmowe. Tuż po ich zajęciu wpłynęło do sztabu zadanie, które

dotyczyło wykonania marszu do wskazanego rejonu, w sąsiedztwie poligonu, a który to rejon niedługo potem okazał się rejonem wyjściowym do ćwiczenia.

Ćwiczenie było dwustronne, a jako przeciwnik ćwiczyła 20 DPanc. W rejonie wyjściowym nasza dywizja otrzymała kolejne zadanie. Sztab pracował intensywnie. Z moich obserwacji wynikało, że praca przebiega bardzo dobrze, że się poprawiło samopoczucie oficerów i że pracują wydajnie. Jednakże, jak się później okazało, sztab i dowództwo 20 DPanc pracowały jeszcze lepiej, bo w czasie omówienia ćwiczenia ich praca i zgranie zostały znacznie lepiej ocenione przez kierownictwo ćwiczenia. Znacznie lepiej zostały również ocenione decyzje wypracowane przez tamto dowództwo, a przede wszystkim działanie wojsk tamtej strony. Najlepiej o tym świadczy fakt, że w toku ćwiczenia stanowisko dowodzenia 8 DZ zostało okrążone przez wojska strony przeciwnej i dowództwu dywizji ledwo udało się wyjść z tej opresji. Jak się okazało tamten sztab nie zużył tyle energii i wysiłku na próżno, jeszcze przed ćwiczeniem i teraz, kiedy było trzeba, pracował sprawniej niż sztab 8 DZ.

W czasie ćwiczenia zetknąłem się z wieloma dokumentami, których dotąd nie miałem okazji opracowywać. W pierwszej fazie ćwiczenia, na przykład, opracowywałem mapę decyzji, która niby przez przypadek miała się dostać w ręce przeciwnika i w ten sposób wprowadzić go w błąd. Zabieg nie przyniósł jednak spodziewanego efektu, bo dowódca 20 DPanc nie dał się nabrać na taką „plewę”, mimo że nasz dowódca bardzo na to liczył.

Potem pisałem zarządzenia bojowe do rozpoznania, na specjalnie przygotowanych blankietach. Był to rodzaj tak zwanych dokumentów sformalizowanych, które bardzo łatwo i prosto można było wypełnić. W akademii byliśmy zapoznani z tego rodzaju dokumentami, jednakże te znacznie się różniły od tamtych. Jak się okazało, w każdym okręgu wojskowym stosowano inne, opracowane dla siebie dokumenty i tylko te były tam uznawane.

Nie podobała mi się ta zaściankowość okręgowa i swoją wątpliwość o słuszności takiego podejścia przedstawiłem w rozmowie z szefem wydziału rozpoznawczego. Nie przyznał mi jednak racji i był przekonany, że dokumenty sformalizowane, opracowane i stosowane w POW są najbardziej użyteczne.

Co do tego, że te dokumenty bardzo ułatwiają pracę, nie miałem wątpliwości. Uważam jednak, że są nieprecyzyjne i niekiedy mogą nie zdać egzaminu. Kiedy ów problem usiłowałem przedyskutować z innymi oficerami, to jeden z nich powiedział:

- Człowieku, my i z tymi blankietami nie możemy się wyrobić, a ty chcesz jeszcze dokładniej?

Przypadło mi także pełnić służbę oficera dyżurnego SD w czasie odbywanego ćwiczenia. Obowiązki były tu podobne jak w garnizonie, ale musiałem się także orientować w sytuacji taktycznej. Moim miejscem był namiot, który dzieliłem z wartą przeznaczoną do ochrony samochodów, urządzeń łączności oraz pozostałych urządzeń na stanowisku dowodzenia łącznie z kasynem, którego należało strzec z nie mniejszą pieczołowitością od innych.

Po raz pierwszy w życiu przypadło mi na tej służbie włożyć hełm stalowy. Został mi on dostarczony do namiotu dopiero po rozpoczęciu pełnienia służby, to jest niedługo po tym jak objąłem służbę od poprzedniego oficera i wraz z nim zameldowałem się u płk. dypl. Popiela, zastępcy dowódcy dywizji do spraw szkolenia. Pułkownik Popiel, którego znałem sprzed lat jako dowódcę 9 pcz, zorientowawszy się, że owego nakrycia głowy nie posiadam, nakazał dostarczyć mi go natychmiast. Zakładałem go w obecności żołnierzy i zauważyłem, że oni - wartownicy uśmiechają się pod wąsem. Pytam więc:

- Czy coś nie tak, moi drodzy?

- Obywatelu majorze, to nie tak nosi się hełm! - odpowiada jeden z nich.

- Trzeba odwrotnie, tą wygiętą stroną - okapem, do tyłu.

Natychmiast usterkę poprawiłem, tłumacząc jednocześnie, iż tak się jakoś, może i niefortunnie złożyło, że nigdy dotąd nie miałem tego urządzenia na głowie. Nawet nie miałem okazji przymierzyć, a tu po zaglądnięciu w lusterko, stwierdzam, że nawet mi w nim do twarzy. Nie wiedziałem o tym, bo w dotychczasowej służbie nigdy nie miałem go w swoim wyposażeniu jako czołgista. Przysługiwał mi natomiast hełmofon czołgowy.

Żołnierze słuchali tego z niedowierzaniem, jeden z nich wykazał nawet swego rodzaju zadowolenie z owego spostrzeżenia, mówiąc:

- Nie do wiary, żeby oficer w stopniu majora nigdy nie miał na głowie hełmu stalowego. No popatrz, uwierzyłybyś? - zwracał się w stronę drugiego.

Fakt, że tak otwarcie się przyznałem do niewinnie popełnionego błędu, podniósł - jak mi się wydawało - szacunek nie tylko do pełnionej przeze mnie funkcji ale i mojej osoby. Z wielką uwagą słuchali bowiem moich wytycznych przy zmianie SD.

Po zakończeniu ćwiczenia i jego omówienia, w czasie którego padło wiele cierpkich uwag pod adresem mojej dywizji, a które jeszcze bardziej podnosili i oczywiście wyolbrzymiali koledzy odbywający praktykę u ćwiczącego przeciwnika, zwłaszcza Urbańczyk, sztab dywizji wrócił do garnizonu. Bodaj następnego dnia podziękowano mi za pracę, wpisano pochlebną opinię do mojego indeksu i zwolniono nieco wcześniej, abym mógł jeszcze przed zameldowaniem się w ASG odwiedzić rodzinę.

Moim skromnym zdaniem była to praktyka bardzo udana. Uczestniczyłem w pracy autentycznego sztabu w czasie ćwiczenia, poznałem realia, których nie sposób odczuć w ćwiczeniu akademickim. Ponadto zetknąłem się z bliska z wieloma sprawami, których dotąd nie znałem.

## TRZECI ROK STUDIÓW

Wróciłem do akademii podniesiony na duchu. Pocieszał mnie bowiem fakt, że pozostała jedynie trzecia część ciągłego pozostawania poza domem. Na miejscu spotkała mnie natomiast bardzo miła niespodzianka. Otrzymałem bowiem samodzielny pokój, podobnie zresztą jak i pozostali koledzy mojego rocznika. Co prawda przeniesiono nas na drugie piętro, gdzie pokoje były z wykuszami, ale co za znaczenie miały tu wykusze, kiedy na każdego przypadał cały pokój, który zapewniał spokój i swobodę przy pracy. Rokowało to dużą wydajność, zwłaszcza przy opracowywaniu pracy dyplomowej, która w moim przypadku była jawna i mogłem nad nią pracować w pokoju internatowym.

Inauguracja roku akademickiego odbyła się podobnie uroczyście jak w roku poprzednim. Bardzo ciekawy wykład z pamięci wygłosił szef Katedry Obrony Przeciwlotniczej płk dr Kostrzewski. Wysoko został oceniony zarówno wykład, jak i wykładowca. Wysoki i przystojny oficer, który wydał się nam bardzo energicznym, posiadającym wiedzę merytoryczną oraz wysoki stopień inteligencji.

Tuż po wykładzie odbyło się nasze spotkanie z kadrą zespołu operacyjnego wraz z kierownikiem trzeciego kursu na czele, płk. dr. Zenonem Klonowskim – dotychczasowym zastępcą szefa katedry.

Naszymi kierownikami grup na trzecim kursie zostali:

- płk dypl. Tadeusz Szpakowski,
- płk dypl. Walerian Lewonowski,
- ppłk dypl. Jerzy Gawłowski,
- ppłk dypl. Witold Janda.

Znalazłem się w grupie u ppłk dypl. Witolda Jandy. Bardzo nas to wszystkich zaskoczyło, zwłaszcza słuchaczy czwartej grupy.

- Jak to jest, kierownikiem grupy ogólnowojskowej artylerzysta? To już w tej akademii nie mają na tyle przygotowanych oficerów ogólnowojskowych? - pytaliśmy jeden drugiego.

Janda jako artylerzysta bardzo nam się podobał, bo prowadząc jedno z zajęć na drugim roku, za płk. dypl. Wójcika, naskikcował kolorami na tablicy sytuację taktyczną i dopiero na jej tle rysował i omawiał powstającą lub zmieniającą się sytuację artyleryjską. W ten sposób stworzył bardzo sugestywny obraz przekazywanych treści, które głęboko zapadały w pamięć, a co jeszcze istotniejsze, trafiały do przekonania, były jasne.

Przenoszenie specjalistów z katedr rodzajów wojsk na kierowników grup ogólnowojskowych było oryginalnym pomysłem gen. Kuropieski. Jego zdaniem, powinni oni spełniać rolę swego rodzaju łącznika z katedrami specjalistycznymi i jednocześnie być żywym źródłem informacji specjalistycznej na miejscu, wtedy kiedy nastąpi zapotrzebowanie na owe informacje (wiedzę). Była to więc dalsza integracja procesu kształcenia słuchaczy, dążenie do tego, aby w miarę możliwości, wszystko było jak najbliżej słuchacza. Ażeby proces integrowania prowadzić również w gronie nauczycieli akademickich.

Był jeszcze inny aspekt owego przenoszenia oficerów specjalistów. Chodziło tu bowiem także o wykorzystanie oficerów, których był nadmiar w Oddziale Wojsk Rakietowych i Artylerii po skróceniu tam studiów z czterech lat do trzech. Podobny nadmiar był w katedrze OPL.

Janda jako kierownik taktyczny grupy jawił się nam jako oficer inteligentny, oczytany, o szerokich horyzontach. Zauważaliśmy, że się dobrze orientuje zarówno w problematyce operacyjno-taktycznej, jak i politycznej, w geografii wojennej, ekonomii, a nawet - co mnie bardzo pewnego razu zaskoczyło - w problematyce nauk przyrodniczych, zwłaszcza w botanice. Wyrażał się zwięźle i jasno.

Jak się niebawem okazało, owa wiedza oraz nietypowe zainteresowania przyrodnicze tego oficera wynikały nie tylko

z wyjątkowych zdolności umysłowych, ale również stąd, że pochodził z rodziny przyrodników.

Braliśmy go za człowieka pochodzącego ze wschodu. Był przecież na wojnie jako oficer. Można było przypuszczać, że z tamtych terenów był wywieziony, albo zamieszkiwał na terenach wschodnich, a następnie trafił, jak wielu innych, do 1 A WP. Tymczasem on, urodził się w Krakowie, ale kiedy był jeszcze pacholęciem, ojciec wraz z rodziną przeniósł się do Poznania, gdzie początkowo był profesorem gimnazjalnym, następnie nauczycielem akademickim, a jeszcze później Komisarzem Ziemiąskim na województwo poznańskie. Tak więc Witold Janda wychowywał się w kręgu przyrodników.

W 1939 r. czternastoletni Witek Janda z mamą i młodszym o dwa lata braciszkiem spędzali wakacje u wujostwa w Buczaczu na Kresach. Mama, Witek i jego braciszek chcieli wracać do Poznania po wybuchu wojny, ale nie dostali biletów, bo pociągami odjeżdżali zmobilizowani do wojska. Miejscowi doradzali, aby się nie śpieszyć, bo tam będzie łatwiej przetrwać tę okropną, ale pewnie bardzo krótko trwającą wojnę. Jak się wkrótce okazało, do Buczacza wkroczyli Rosjanie. Jandowie pojechali do Lwowa, gdzie pracowała komisja radziecko-niemiecka, która miała umożliwić łączenie się rodzin. Pozostali we Lwowie, do którego ostatecznie wkroczyli Rosjanie i w następnym roku (29 czerwca 1940 r.) wywieźli ich w rejon Archangielska. Witek pracował przy wyrębie lasów. To nic, że miał dopiero czternaście lat.

Po umowie Stalin – Sikorski poprawiły się warunki bytowania. Został bowiem przetransportowany do Uzbekistanu i zbierał tam, w klimacie łagodniejszym, cieplejszym – bawełnę.

Niezbyt długo cieszył się ciepłem, bo znowu musiał wędrować. Tym razem do zachodniego Kazachstanu.

Do polskiego wojska trafił w Sumach i natychmiast skierowano go do Oficerskiej Szkoły w Riazaniu, do artylerii, a miało to miejsce w 1944 r. Szkołę ukończył w Chełmie Lubelskim, dokąd została przeniesiona z Riazania. Tam 5 stycznia

1945 r. Janda został promowany na pierwszy stopień oficerski – podporucznika, z bardzo dobrym wynikiem i skierowany na front, z przydziałem do 2 Brygady Artylerii Haubic. Jego szlak bojowy prowadził od Góry Kalwarii, przez Wał Pomorski do Berlina.

Do ASG WP przybył ze stanowiska szefa sztabu brygady artylerii ciężkiej w celu odbycia Wyższego Akademickiego Kursu (WAK) w 1957 r. Po ukończeniu przeszkolenia, jako jednego z najlepszych pozostawiono w uczelni jako wykładowcę. Pracując, odbywał równocześnie wieczorowe studia o kierunku ogólnowojskowym, które ukończył w 1962 r.

Przy jakiejś okazji ppłk Janda zabłysnął swoją inteligencją oraz lotnością operacyjno-taktyczną w oczach gen. Kuropieski. Przy kolejnej okazji wykazał się znakomitą orientacją w terenie. Następne kontakty z tym oficerem potwierdziły opinię komendanta, że Janda to znakomity materiał na kierownika grupy ogólnowojskowej. W taki sposób został on w 1965 r. naszym kierownikiem grupy.

Janda okazał się człowiekiem rzetelnym, bardzo szczerym i otwartym. Dla nas, słuchaczy, był wyrozumiały, sprawiedliwy i dlatego bardzo lubiany.

Wydaje się, że przede wszystkim pozostał on w swojej profesji rasowym artylerzystą. Dawało się to odczuć w formułowaniu ocen, wniosków, a tym bardziej w formułowaniu decyzji.

Był oficerem bardzo wydajnym w pracy. Będąc kierownikiem taktycznym grupy opracował jednocześnie wiele ćwiczeń szczebla operacyjno-strategicznego. Były w tym i takie, w których uczestniczyli wspólnie słuchacze akademii oraz dowództwo i sztab POW.

Z uwagi na stan zdrowia nadwerężony wojenną tułaczką stosunkowo wcześniej przeszedł w stan spoczynku.

Dużym doświadczeniem dydaktycznym oraz praktyką liniową w jednostkach legitymował się płk dypł. Tadeusz Szpakowski. Zazdrościliśmy tej grupie, że dostała tak wytrawnego liniowca, posiadającego też doświadczenie dydaktyczne. W prze-

szłości był bowiem wykładowcą w Centrum Wyszkożenia Piechoty i w 1954 r. w ramach wyróżnienia został skierowany na studia w ASG WP, bezpośrednio na drugi rok.

Po ukończeniu studiów w 1956 r. pracował w Głównym Inspektoracie Szkolenia Bojowego. Następnie służył w 12 DZ na stanowisku szefa Wydziału Operacyjnego, dowódcy pułku zmechanizowanego oraz szefa sztabu tej dywizji i z tego stanowiska został ściągnięty do pracy w akademii przez gen. Kuropieskę.

Nam, słuchaczom, jawił się jako oficer bardzo zdolny i pracowity, o dużym poczuciu odpowiedzialności, wymagający od siebie i podległych mu słuchaczy.

O następnym kierowniku grupy, płk Lewonowskim, powiemy nieco później, przy okazji ćwiczeń.

Kolejnym kierownikiem grupy na naszym kursie został ogromnie sympatyczny oficer, nieco młodszej generacji, szczupłutki i niewielkiego wzrostu, jednakże bardzo ruchliwy, operatywny i o dużych uzdolnieniach taktyczno-operacyjnych - ppłk dypl. Jerzy Gawłowski. Posiadał co prawda nieco mniejszy staż w linii niż jego koledzy kierownicy grup, ale i inną drogę rozwoju.

Był synem kapitana armii przedwrześniowej, który zginął w Ostaszku. Młodziutki Jerzy w czasie okupacji mieszkał u rodziny w Krakowie i w czasie okupacji na tajnych kompletach zdał małą maturę. Po wojnie wrócił do Sosnowca, do matki, i uczęszczał do liceum ogólnokształcącego. Po maturze studiował na pierwszym roku medycyny. Ponieważ matce było ciężko, a na dodatek zemdlął w prosektorium, rzucił medycynę i wstąpił do Oficerskiej Szkoły Piechoty. Informację dotyczącą ojca kwitował - „zginął na wojnie”. Jako rzadki przypadek w szkole podchorążych osoby ze średnim wykształceniem, przyjęty został na drugi rok.

Po promocji na pierwszy stopień oficerski w 1949 r. został skierowany do Nysy na dowódcę plutonu, a niedługo potem przeniesiony do Przemyśla na dowódcę plutonu w SKOR.

Już po dwóch latach pracy został skierowany na studia w ASG WP, a po ich ukończeniu w 1954 r. do pracy na stanowisku szefa sztabu pułku w Szczecinku. W następnym roku wrócił do swojej Alma Mater na wykładowcę. Pracował w służbie sztabów.

Pewnego razu jego zajęcia hospitował komendant akademii gen. Kuropieska, a potem jeszcze kilka razy go wysłuchał. W wyniku tego został uznany za znakomitego wykładowcę i wyznaczony na kierownika grupy. Na wielu ćwiczeniach kadry dał się poznać jako bardzo dobry oficer sztabu. Poza tym zdał egzamin u kilku kolejnych komendantów akademii.

Oprócz kierowników grup, którzy prowadzili z nami zajęcia ze sztuki operacyjnej, spotykaliśmy też innych oficerów tej katedry – specjalistów, na przykład od desantu morskiego ppłk. dypl. Golińskiego i mjr. dypl. Władysława Kisiela. Natomiast specjalistą od desantu powietrznego był, niedawno przeniesiony do akademii z dywizji powietrznodesantowej, za staraniem komendanta, ppłk dypl. Franciszek Januszewski.

Było jeszcze kilku innych oficerów ogólnowojskowych jak na przykład wyjątkowo uczynny mjr dypl. Niebudkowski, mjr dypl. Eugeniusz Wierzbicki, ogromny dowcipniś, i inni prowadzący zajęcia z grupami specjalistycznymi.

Nad całością procesu dydaktyczno-wychowawczego, zwłaszcza zaś z zakresu sztuki operacyjnej, czuwał dowódca-kierownik kursu płk dr Zenon Klonowski, który dał nam się poznać jako oficer wyjątkowej kultury i taktu, doskonale przygotowany merytorycznie i metodycznie do kształcenia oficerów dyplomowanych.

## ĆWICZENIA SZCZEBŁA OPERACYJNEGO

Na trzecim roku, jako pierwsze, odbyliśmy ćwiczenie z obrony terytorium kraju (OTK). Było ono poprzedzone wykładem, a następnie repetycjami. Mimo to stanowiło dla większości z nas zupełne novum. Tylko bowiem nieliczni, na przykład koledzy z KBW, zetknęli się z tymi nowymi w owym czasie problemami. Pozostali byli w tym względzie zupełnie surowi.

Wykłady, repetycje i zajęcia w ramach ćwiczenia grupowego prowadzili wykładowcy z niedawno utworzonej w ASG WP katedry OTK, kierowanej przez płk. prof. dr. Andrzeja Madejskiego. Już wtedy ów szef katedry cieszył się dużą popularnością i wysokim autorytetem wśród kadry akademickiej.

W składzie katedry pracowali tacy wykładowcy, jak: płk dypl. Wajda, płk dypl. Dranczewski, ppłk dypl. Karolak, ppłk dypl. Wołyniak, ppłk dypl. Łabędź, ppłk dypl. Jagliński i jeszcze kilku innych.

Z moją grupą wszystkie zajęcia oprócz wykładu, który wygłosił osobiście szef katedry, prowadził ppłk dypl. Łabędź. Był to oficer średniego wzrostu, silnej postury i bardzo dobrej kondycji fizycznej. Kondycję zawdzięczał między innymi myśliwstwu, które stało się niemal jego drugą profesją. Trzymał nas krótko. Nie wdając się w wielkie teorie, wymagał konkretów i zwięzłego wyrażania myśli oraz przedstawiania istoty zagadnienia.

Laborantem ich katedry był stosunkowo młody wiekiem oficer w stopniu majora, który zaocznie ukończył studia na Politechnice Warszawskiej. Mając wtedy sporo czasu, a przede wszystkim duże poczucie humoru, robił kawały swoim kolegom w katedrze, starszym stopniem i wiekiem.

Na przykład w pewnym okresie dzwonił do Łabędzia o nocnej porze i kiedy ten podnosił słuchawkę, będąc zasnym, pytał:

- Czy pani Łabędziowa zniosła już jajko?...

Teraz następowała chwila ciszy, a następnie pytanie:

- Kto mówi?... A wtedy ten pierwszy bez odpowiedzi odkładał słuchawkę.

Na początku dzwonił do Łabędzia co kilkanaście, potem co kilka, aż w końcu prawie każdej nocy. W końcu niepokojony Łabędź, zdenerwowany nie tyle niemądrym dowcipem - jak to określili - ile wybijaniem go ze snu, postanowił dociec, kto jest jego prześladowcą. Załatwił z kim należało i doszedł.

- Poczekaj no, ty mój dowcipnisiu! Odplącę ci pięknym za nadobne - przyrzekł sobie.

Już następnej nocy zadzwonił. Odebrała małżonka dowcipnisia. Nie przedstawiając się, oznajmił, że pragnie rozmawiać z Xińskim. Kiedy w słuchawce zabrzmiał teraz głos delikwenta - oznajmił:

- Pani Łabędziowa już zniosła jajko!... Odkładał słuchawkę, nie czekając na reakcję.

W ten sposób odwzajemniał się pan Łabędź wybijając tamtego ze snu prawie przez okres dwóch miesięcy. Mimo że w pracy spotykali się każdego dnia, żaden nie próbował składać jakichkolwiek wyjaśnień ani przeprosin. Owszem, nawet rozmawiali ze sobą jednakże tego problemu nie dotykali. Jakby nigdy i nic między nimi się nie wydarzyło.

Równocześnie z ćwiczeniem OTK trwały wykłady ze sztuki operacyjnej na temat operacji zaczepnej armii. Po cyklu wykładów i przeprowadzonych z nami - jak zwykle - repetycjach odbyło się ćwiczenie praktyczne, które w późniejszym czasie nazywano ćwiczeniem wprowadzającym.

Metodą prowadzenia było ono podobne do ćwiczenia wprowadzającego na pierwszym roku. Na drugim roku takie ćwiczenie nie występowało, było już niepotrzebne, a tymczasem teraz stało się niezbędne. Otrzymaliśmy do niego sklejone mapy z wydrukowaną sytuacją, to jest z położeniem wojsk własnych i nieprzyjaciela, założenie, do którego załącznikiem było

rozwiązanie, to jest analiza zadania, ocena sytuacji oraz kalkulacja czasu osobistego dowódcy, jego zamiar oraz treść informowania operacyjnego.

Był to więc rozpisany przykład metody i treści pracy dowódcy armii nad wypracowaniem decyzji w początkowej fazie, to jest bezpośrednio po otrzymaniu dyrektywy (zadania).

Nasze zadanie polegało na zapoznaniu się z przedstawionymi treściami i takim przyswojeniu sobie ich, aby potem, na zajęciu, można było występować w roli poszczególnych oficerów sztabu.

Podobnie do następnych zajęć otrzymaliśmy na przykład mapy z wrysowaną decyzją dowódcy oraz jej treść na piśmie, z którymi należało się zapoznać i przyswoić w ramach nauki własnej, a następnie w czasie zajęć zreferować w odpowiedniej roli.

Wszystko było gotowe, ale okazało się jednak bardzo trudne do takiego przyswojenia, aby można było swobodnie przedstawić. W toku zajęć natrafialiśmy - jak to się powszechnie w naszym żargonie nazywało - na sęki.

Ćwiczenie trwało krótko. Natomiast po jego zakończeniu przyszło ogromnie „kobylaste” i długo trwające ćwiczenie główne: „Operacja zaczepna armii”. Mimo że - jak to było w zwyczaju akademickim - zostało ono poprzedzone wykładem i repetycjami, a potem jeszcze ćwiczeniem wprowadzającym, szło nam to ćwiczenie „jak po grudzie”. Na dodatek, nie dość, że się okazało takie trudne, to jeszcze nasze grupy, a moja w szczególności, były tak nieliczne. Dlatego kierownik grupy przepytywał nas po kilka razy w ciągu jednego zajęcia. Nikomu nie udawało się uchylić od odpowiedzi. Codziennie i systematycznie trzeba się było przygotowywać i być w gotowości do odpowiedzi.

Trzeba jednakże stwierdzić, że w miarę jak upływały zajęcia i coraz głębiej wchodziliśmy w tajniki prowadzenia operacji, czuliśmy się podczas wystąpień coraz swobodniej i coraz pewniej. Zaczynaliśmy nawet czuć satysfakcję z rozważań nad licz-

nymi siłami oraz sytuacjami na dużych przestrzeniach. Coraz bardziej przydawała się, była niezbędna, wyobraźnia i umiejętność kojarzenia zjawisk.

Zdarzały się jednakże wyjątki, że koledzy, którym żadnych trudności nie nastręczała problematyka taktyczna, teraz z dużymi siłami i przestrzeniami nie dawali sobie rady. Problematyka operacyjna ogromnie ich krępowała. Oni by woleli trzymać się ustalonych norm i zasad niż przewidywać daleko w przód rozwój wytworzonej sytuacji.

Ja należałem do tych, którym przestrzeżeń, brak ścisłych zasad i norm, a więc większa swoboda i fantazja, bardziej odpowiadały przy pisaniu listu operacyjnego, to jest prawie koleżeńskie i prywatnej formy zwracania się do sąsiada o współudział w ważnym działaniu. Moi koledzy w większości wypadków przyjęli formę imperatywu i żądania, co według Jandy było nie do przyjęcia. Ja za przyjętą formę zostałem przez niego wyróżniony.

Pod koniec zimy mieliśmy kolejne ćwiczenie z operacji zaczepnej armii, ale doskonalsze, w formie ćwiczenia dowódczo-sztabowego. Odbywaliśmy je na Mazurach, a kwatrowaliśmy w Giżycku, Mrągowie, Olsztynie i Ostródzie.

W jednostkach wojskowych przygotowano nam zakwaterowanie, wyżywienie oraz miejsca do pracy. W pomieszczeniach przygotowywaliśmy oceny oraz wypracowywaliśmy decyzje i dokumenty, co odbywało się w godzinach popołudniowych i wieczorami, a następnego dnia na punktach pracy w terenie wiązaliśmy sytuację operacyjno-taktyczną z terenem i meldowaliśmy decyzje naszym rozjemcom, którzy stanowili liczny zespół na czele z komendantem akademii.

Przed wyprawą na zimowe ćwiczenie na Mazurach akademii zakupiła narty oraz buty narciarskie w ilości pokrywającej stan słuchaczy jednego, ale największego kursu uczestniczącego w ćwiczeniu oraz kadry. Zostały one zabrane na ćwiczenie

w przewidywaniu, że w toku trwania ćwiczenia pewną część czasu wykorzystamy na jazdę na nartach. Tymczasem zima na Mazurach w 1965/1966 r. była bezśnieżna i nasze narty jeździły przez cały czas za nami na samochodach, absolutnie nie wykorzystane.

Większość kolegów była zadowolona z takiego stanu rzeczy i mówili:

- Dobrze, że nie ma śniegu, bo ten stary pieron Kuropieska jeszcze by nam nogi połamał nartami.

- Ja bym tam chętnie pojeździł na nartach - odpowiedziałem na to.

- A ty jeździsz na nartach?...

- Owszem, trochę jeżdżę, a przynajmniej jeździłem na nich w swojej wczesnej młodości. Dlatego uważam, że jakoś bym sobie z nimi poradził. Tym bardziej, że tu górki nie takie wielkie.

- A ja nigdy w życiu nart nie miałem na nogach i wcale nie mam ochoty tego sportu kosztować, zwłaszcza w tym wieku. To chyba już za późno na takie nauki - powiada następny przeciwnik jazdy na nartach.

- A ciekawe czy „stary” jeździ na nartach?...- pytał jeszcze inny z kolegów.

- Musi jeździć, kiedy tak bardzo zabiegał o ich zakup i wydebił od przełożonych tak pokaźne fundusze.

- Całe szczęście, że tej dyskusji nie słyszy Kuropieska, bo tym razem, to pewnie usuwałby z akademii, nie za słabe osiągnięcia, a za prymitywne podejście do kultury fizycznej, moi drodzy - zauważył ktoś bardziej rozsądny.

- Masz rację - dodał jeszcze inny- bo po pierwsze, to przydałoby się trochę rozruszać, a po drugie, to i każdy z nas, potrafi czy nie, mógłby popróbować swoich sił. Zawsze jednak coś by z tego zostało.

- Jeśli idzie o połamanie nóg to chyba lekka przesada.  
- Gdzie ty tu widzisz takie góry, na których mógłbyś tego dokonać - mówię do tego z największymi obawami.

- Ja sędzę, moi drodzy, że gdyby była jazda na nartach, to czas naszego ćwiczenia przeszedłby znacznie szybciej, przynajmniej pozornie. Znacznie mniej w takich warunkach byłoby tego naszego dukania na górkach - dodał Ostrowski.

- Tak, tu się z wami zgadzam, że tego dukania, to by, tyle nie było i wtedy nie dostalibyśmy tak „w kość” - odezwał się milczący dotąd Walinowicz.

Takich dyskusji nie było jednak zbyt wiele, bo czas naglił i trzeba było śpieszyć z robotą, aby się wyrobić przed północą.

Warto dodać, że komendant akademii przed nastaniem pierwszej zimy, za czasów jego „panowania” wystarał się w dowództwie WOP o przyjęcie na każdy zimowy turnus, w ich domu wczasowym w Dusznikach, kilkunastoosobowej grupy wykładowców. Mieli oni tam odbywać obóz narciarski w ramach podnoszenia swojej kondycji. Grupa wykorzystywała samochód do codziennego wyjazdu na Zieleniec, gdzie odbywały się jazdy. W pierwszym roku brak umiejętności jazdy odbił się fatalnie na zdrowiu obozowiczów, jako że wielu z nich połamało kończyny. W następnych latach owe złamania nie zdarzały się.

W zamian za udostępnienie domu wczasowego wopiści korzystali z naszej hali gimnastycznej a potem, od kiedy został oddany do użytku kryty basen, także i z niego. Tak więc ćwiczenie trwało, a jazdy na nartach nie było.

Po zakończeniu pracy na jednym z punktów w terenie usłyszeliśmy od komendanta:

- Teraz pojedziemy zwiedzić św. Lipkę, dobrze się opatrzcie i zapoznajcie z tym obiektem, bo identyczna świątynia stoi w Wilnie.

Jak się okazało, znakomita większość z nas nigdy przedtem tego zabytku i równocześnie ewenementu o tak potężnych rozmiarach w istnym pustkowiu, nie widziała.

Oprowadzał nas sędziwy księżulo, który bardzo ładnie mówił. Dało się zauważyć, że ten starowina doznaje wielkiej

satysfakcji i łaski Bożej, że w owych bardzo trudnych dla kościoła czasach może oprowadzać tak szacowne grono oficerów.

Zwiedzenie zabytku sakralnego było dla nas miłym zaskoczeniem. Tym bardziej, że poprzedniego dnia zwiedziliśmy dawną kwaterę Hitlera koło Kętrzyna, a więc był to już drugi przerywnik w naszym ćwiczeniu.

Pewnego dnia pracowaliśmy do późnej nocy nad przygotowaniem decyzji. Nakazano nam przygotować wiele bardzo trudnych, a przede wszystkim pracochłonnych, dokumentów. Przy jednym z nich stanowiącym duet z Januszem Szyfersem. Kiedy po zakończonej pracy, udając się na spoczynek, wpadliśmy do bufetu aby się czegoś napić, zauważyliśmy naszych rozjemców przy obszernym stole z wódeczką i zakąskami. Janda podszedł do nas i wypytywał o efekty naszego trudu oraz jak dużo pozostało nam jeszcze do zrobienia.

- Myśmy już swoje zrobili. Natomiast kolegom zejdzie jeszcze godzina, do półtorej - odpowiedziałem.

- To chodźcie do stolika. Jak wypijecie po jednym, to szybciej zaśniecie - powiada zadowolony nasz kierownik grupy.

Dziękowaliśmy za dobre chęci, ale jednocześnie wymawiali się zmęczeniem, tłumacząc, że jedynie pragniemy zwilżyć gardło jakimś łagodnym płynem. Nie przynosiło to skutku. Zaciągnął nas tam niemal siłą. Ledwo zajęliśmy miejsca przy stoliku, a płk Walerian Lewonowski, autor odbywanego ćwiczenia, kierownik drugiej grupy zwraca się do Jandy z pytaniem:

- Kim są ci dwaj oficerowie? Nie znam ich. To pewno słuchacze? A ja wam mówiłem, i to nie tak dawno, że ze słuchaczami nie piję.

Wypowiedział jeszcze kilka podobnych zdań, po których zrobiło się nam ogromnie głupio. Janda próbował coś tłumaczyć, ale bardzo niezręcznie. Dlatego pomyśleliśmy o nim nie najlepiej, zwłaszcza że podeszliśmy do grona tych oficerów z taką niechęcią. Podziękowaliśmy więc i odeszliśmy od stołu.

Ppłk Janda był zarówno szczery, jak i towarzyski, ale jego tolerancja i skłonność do ustępowania nie popłacały. Przy spo-

tkaniach towarzyskich, w których najczęściej towarzyszyło mu dwóch innych nauczycieli, nie stronił od kielicha. Jeden z jego nieodłącznych kolegów był również bardzo zdolnym oficerem, długo pozostającym w stanie wolnym, miał tendencje do wszczynania awantur pod wpływem alkoholu. Dlatego Janda był jego mężem opacznościowym skutecznie go hamującym.

Zdarzyło się na przykład, że jedna z grup zdała u niego kolokwium i po zakończeniu usiadła z nim przy stole ustawionym w jednym z pokoi internatu. Po kilku głębszych rozwinęła się dyskusja. Roztrząsano jakiś uboczny temat i mjr Kurkiewicz, będąc pewnym wykładanych przez siebie racji, a tym bardziej, że to góral, zbyt mocno upierał się przy swoim. Wtedy krewki nauczyciel, nie znajdując bardziej przekonujących argumentów, a jako zaproszony gość uważający, że to do niego powinno należeć ostatecznie zdanie, wymierzył mu policzek. Powstał problem. Nawet ci, co mieli już chwiejne głowy, natychmiast wytrzeźwieli. Wszyscy, na czele ze starszym grupy usiłowali sprawę wyciszyć, bo się zanosilo na skandal. Udało się, bo nawet ów góral, jakkolwiek został znieważony, zacisnął zęby i potrafił się opanować.

Choć sprawa - jak zwykło się mówić w takich wypadkach - została zatuszowana, autorytet, nie tylko tego nauczyciela, został tym incydentem poważnie nadwyrężony.

Wydarzenie nie przyniosło żadnych następstw, bo nie wyszło poza krąg słuchaczy. Pozostawiło jednak bardzo przykry „osad” w naszych opiniach o nauczycielach. Mnie przypadło pracować przez długie lata z delikwentem w jednej katedrze i mimo przekonania się o jego niewątpliwych zdolnościach operacyjno-taktycznych, nigdy nie odzyskałem dla niego sympatii.

Zupełnie inny był Waldek Lewonowski - jak na niego wolano, mimo że był to Walerian. Zdolny dydaktyk i metodyk, a przede wszystkim oficer o fantazji operacyjno-taktycznej, posiadający doskonałe pomysły przy budowaniu sytuacji w opracowywanych ćwiczeniach. Bardzo wcześnie, bo w 1950 r. do-

wodził samodzielnym batalionem szkolnym w Braniewie, potem pułkiem ciężkich czołgów w Chojnicach. Po ukończeniu akademii został nauczycielem akademickim. Był powszechnie lubiany, ale na skutek niepowodzenia w małżeństwie począł zaglądać do kielicha.

Za czasów rektorowania generała Kuropieski zdarzyło się, że przeoczył termin zatwierdzenia zamiaru do ćwiczenia, a tu na kilka dni wcześniej pyta go szef katedry:

- Waldek, czy ty pamiętasz o terminie przedstawienia do zatwierdzenia zamiaru?...

- Tak, tak, o zamiarze pamiętam tylko terminu zapomniałem, a kiedy go trzeba przedstawić?...

- W poniedziałek. - Ale czy jest już gotowy? - pyta szef katedry.

- Gotowy to on jeszcze nie jest, ale będzie na czas - odpowiada Waldek.

Kiedy z pomieszczenia wyszedł szef katedry, koledzy z pokoju zdziwieni reakcją Waldka, mówią do niego z wyrzutem:

- Co ty Waldek wyrabiasz? Nie mogłeś prosić o przedłużenie terminu?

- Przecież do poniedziałku nie zrobisz zamiaru.

- Jak to nie zrobię, a ja mówię, że zrobię - odpowiada Waldek.

Natychmiast udał się do magazynu map, obcałował rączki dziewczynom i zaraz był z powrotem z odpowiednim kompletem arkuszy map. Teraz poprosił kolegów o pomoc, a oni nie odmówili klejenia. Potem długo patrzył na obszerną mapę. Nie tylko jej się przyglądał, ale układał na niej kolorowe ołówki, przesuwiał, przekładał, burzył to wszystko i wychodził. Po powrocie znowu układał. Wreszcie zwinął wszystko. Mapę skreślił w rulon i postawił za szafą, aby była niewidoczna. Następnego dnia rozwinął mapę, ponownie poukładał na niej kolorowe kredki „TAKTYKA” i ze skonstruowaną w ten sposób koncepcją ćwiczenia zapoznał kolegów.

Mieli kilka zastrzeżeń, aczkolwiek przyznali, że choć to bardzo ogólne przedstawienie jej przy pomocy kredek nie daje pełnego obrazu, to sama myśl przewodnia tego działania – ich zdaniem – jest poprawna.

Resztę dnia Waldek poświęcił na rysowanie zamiaru na mapie. Kiedy pod koniec dnia pokazał kolegom swoje dzieło, jeden z nich bardzo krytycznie odniósł się do sposobu wyrażenia owej koncepcji.

- A czym żeś ty to, do cholery robił, rękoma czy nogami?...  
- Nogami to może i dobrze zrobiłeś, ale ręką, to powinno być wykonane lepiej – zawyrokował jeden z nich.

- Tak wykonanego zamiaru Kuropieska ci raczej nie zatwierdzi -powiada następny.

- Nie wiem czy szef katedry, widząc taki twój malunek, zechce pójść z tobą do komendanta, bo przy okazji to i on może wysłuchać nieprzyjemności, a tego raczej on nie pragnie – zawyrokował ten pierwszy.

Waldek na to nic nie odpowiedział, tylko znowu zwinął mapę w rulonik i postawił za szafą. Kiedy w poniedziałkowy poranek udawał się do szefa katedry, aby wraz z nim udać się do komendanta, koledzy z pokoju byli przekonani, że natychmiast wróci i to już z burą od szefa za podprowadzenie go. I rzeczywiście wrócił po niedługiej chwili. Minę miał poważną, a koledzy poczytali to za przewidywane niepowodzenie.

- No i co, nie chciał wcale oglądać?

- A dziwisz się? Przecież mówiliśmy wszyscy, że tego „stary” nie zatwierdzi – dodaje następny.

Na to, nie zmieniając wyrazu twarzy, nasz Walerian powiada:

- Podejdźcie tu wszyscy, stawajcie na baczność i patrzcie, co tu jest napisane. Rozwijaj jednocześnie swoją mapę zwiniętą – jak poprzednio – w rulon i wskazuje jej górny lewy róg, gdzie widnieje napis: ZATWIERDZAM – Kuropieska.

- No i co? A tyle żeście krakali. I po co?... – „odgryzł się” Lewonowski.

Potem opowiedział kolegom, jaki był przebieg zatwierdzenia, mówiąc:

- Kiedy znaleźliśmy się w gabinecie komendanta, szef zameldował, że przedstawia autora ćwiczenia dowódczo-sztabowego z projektem zamiaru do owego ćwiczenia.

- No to pokażcie, co tam takiego ciekawego macie - miał powiedzieć komendant.

Podszedłem wtedy do stołu, rozłożyłem mapę i przedstawiłem zamiar stron - mówi Lewonowski.

W czasie meldowania śledził sytuację stworzoną na mapie i robił to bardzo uważnie.

Kiedy skończyłem, wypytywał: co będą robili słuchacze w czasie popołudniowym i co będzie się odbywało w terenie, co będzie do rozwiązania dla słuchaczy jednej i drugiej strony, w każdym z kolejnych dni.

Potem musiałem wyjaśniać, w jaki sposób będzie się odbywało kierowanie ćwiczeniem, ile dni będzie trwało i dlaczego nie biorą w nim udziału lotnicy.

Jak wynika z dalszej dyskusji z szefem katedry, trzeba będzie jednak również uwzględnić lotników, bo oni także będą uczestniczyć - wyjaśniał.

- Kiedy już wszystko zostało wyjaśnione, komendant pooglądał mój rysunek na mapie i ocenił, że wielki artysta to ze mnie, jak z tego wynika, nie jest, wziął jednak pióro i tu właśnie podpisał.

Od następnych dni Waldek pracował pilnie nad ćwiczeniem. Tworzył położenia, szukał ich akceptacji u przełożonych, wzywał współautorów i zapoznawał ich z położeniem, dogrywał, uzgadniał, wyjaśniał, opracowywał odpowiednie dokumenty ćwiczenia.

Oddawanie do druku następowało niekiedy z „poślizgiem”. Kiedy groziło opóźnienie, Waldek zjawiał się w wydziale wydawniczym, obcałowywał rączki pracującym, tam paniom czasem wręczał bombonierkę i prosił:

- Moje kochane, pomóżcie, bo nawaliłem z terminem.

Nie odmawiały pomocy i termin wydrukowania ćwiczenia był dotrzymany.

Kiedy zaś przyszło do prowadzenia, ćwiczenie przebiegało sprawnie, a kadra i słuchacze podkreślali, że było ciekawe, oraz że przyniosło wymierne korzyści dydaktyczne. Oczywiście, zanim doszło do prowadzenia, Waldek z kilkoma współautorami pojechał w teren, sprawdził, czy wyznaczone z mapy punkty pracy w terenie odpowiadają wymogom, a jeszcze ważniejsze było ustalenie możliwości wykorzystania stacji kolejowych na postój pociągu.

Należy tu dodać, że nie zawsze opracowane ćwiczenia przebiegały tak gładko. Pamiętam na przykład, że kiedy pobraliśmy z „mapiarni” oraz z biblioteki jedno z ćwiczeń, opracowane przez wyjątkowo uzdolnionego wykładowcę ppłk dypl. Rejsona, to długo nie mogliśmy się połapać, o co w nim chodzi. Po prostu, nie mogliśmy doścignąć intelektu tego oficera. Operował bowiem wyszukaną terminologią tak górnolotnie, że nie rozumieliśmy jego ujęcia problemów.

Na jednym z ćwiczeń szczebla operacyjnego, w jakimś epizodzie grałem dowódcę armii i przy inspiracji Lewonowskiego stworzono mi sytuację, w której na tyłach zgrupowania operacyjnego pozostały w okrążeniu pokaźne siły przeciwnika i wiązały część sił armii. Tymczasem tempo natarcie pierwszorzutowych związków taktycznych spadało i nie było czym go podtrzymywać. Tę dynamiczną sytuację podano nam w polu na punkcie pracy i należało natychmiast na nią reagować.

Miałem więc do wyboru: kontynuowanie natarcia licząc się, że może się ono na którymś z kierunków załamać, zwłaszcza u schyłku dnia, a co najmniej w dniu następnym, lub też wycofać z walki jeden z pierwszorzutowych związków, rozbić siły w okrążeniu, a następnie potęgować, a według moich przewidywań, od nowa rozpocząć operację. Zdecydowałem się na wariant pierwszy, to znaczy nacierać...

- A co z tymi siłami przeciwnika pozostającymi na tyłach własnego ugrupowania?... pytał główny rozjemca.

W miarę rozwijania operacji szansa wyjścia tych sił z okrążenia i przebicia się do wojsk własnych maleje. Aby decyzję dowódcy o poddaniu się przyśpieszyć, dowódca wojsk rakietowych i artylerii wystrzelił na to zgrupowanie odpowiednią ilość amunicji z makulaturą propagandową. Natomiast mój zastępca do spraw politycznych, przy pomocy swego aparatu, przekazał przez posiadaną aparaturę nagłaśniającą moje wezwanie tych sił do poddania się – wyjaśniłem.

- Jak to, mówi towarzysz - „wystrzelić amunicję z makulaturą propagandową?” - podchwycił ppłk Melcer, rozjemca i równocześnie podgrywający pracę partyjno-polityczną na naszym ćwiczeniu.

- Przepraszam! Z materiałami propagandowymi oraz ulotkami - mówię wtedy, starając się naprawić swoje przejęzyczenie.

Po zakończeniu pracy na tym punkcie terenowym, w czasie przechodzenia do autokarów, usłyszałem:

- No to, jak wy to tych słuchaczy uczycie pułkownika Melcer, że oni materiały propagandowe nazywają makulaturą? - mówił do niego gen. Kuropieska.

- Nie najlepiej ich widocznie przekonujecie do takich przedsięwzięć i nie utrwalacie takich przekonań, kiedy w ich podświadomości siedzi zupełnie co innego - dodał.

- Oj niedobrze, a nawet bardzo niedobrze zostało odebrane moje powiedzenie. Teraz, pewnie ten Melcer będzie chciał dobrać mi się do skóry, zwłaszcza za takie dokuczanie przez „starego” - myślałem sobie i próbowałem znaleźć dla siebie jakąś rozsądną linię obrony.

Moje uchybienie można było tłumaczyć zmęczeniem, jednakże nic nie mogło zmienić faktu, że w mojej podświadomości utkwiło przekonanie, że jest to po prostu makulatura.

Do końca tego ćwiczenia, a podobnie w następnych, wciąż żyłem obawą przed Melcerem. Jednakże nigdy do tego nie wracał, nawet nie próbował tej kwestii wykorzystywać lub do mojego przejęzyczenia nawiązywać. Bardzo byłem mu wdzięczny,

a on widocznie doskonale zdawał sobie sprawę, że tematyka jego zajęć nie wywołuje u nas entuzjazmu.

Wróćmy jeszcze do Waldka, z którym kilka lat później miałem okazję współpracować. Był on kierownikiem taktycznym grupy, a więc należał do tych, który w pojęciu gen. Kuropieski odgrywali główną rolę w kształceniu słuchaczy. Tak to bowiem wyglądało w nowym programie nauczania oraz nowo przyjętej strukturze organizacyjnej akademii. Jego zdolności umysłowe, doświadczenie dydaktyczne oraz przygotowanie operacyjno-taktyczne były wysoko oceniane. Trzeba również dodać, że Lewonowski stosunkowo wcześniej opracował i obronił pracę doktorską, co również zasługiwało na uwagę i podnosiło jego walory jako pracownika dydaktyczno-naukowego. Mankament stanowiła jego choroba – alkoholizm.

Ten fakt nie pozwalał mu być kierownikiem grupy. Został więc zdjęty z tego stanowiska i skierowany na leczenie odwykowe. Po powrocie nie pił. Adoptował chłopca i poprawiło się życie małżeńskie i rodzinne. Przełożeni zadbali nawet o to, aby mu zmienić otoczenie, przenosząc go do katedry OTK. Szybko się tam zaadaptował, wszedł w nową problematykę, której dotąd nie znał i bardzo szybko został uznany za bardzo dobrego pracownika w nowej katedrze.

Po kilku latach wrócił do Katedry Sztuki Operacyjnej, ale tym razem na zastępcę szefa. Również uchodził za bardzo dobrego pracownika. Po pewnym czasie wrócił jednak do nałogu i z tych względów musiał odejść w stan spoczynku.

W cywilu podjął pracę i znowu stał się solidnym pracownikiem. Ogromnie się zmienił jego wygląd zewnętrzny. Jakby wyprzystojniał. Nosił dobrze skrojone garnitury, a siwizna fryzury jeszcze bardziej uwypuklała jego dostojność. Zapraszał mnie i bywałem u niego na nowym miejscu pracy i w skrytości podziwiałem jego rzeczowość oraz znajomość nowej problematyki. Znowu nie pił, a ja podejrzewałem, iż to przeniesienie

w stan spoczynku spowodowało taką, jakże pocieszającą i korzystną, zmianę. Nic z tych rzeczy, to kobieta, z którą się związał nasz Waldek, tak mocno potrafiła go odmienić.

To nowe życie oraz praca u wojewody na stanowisku sekretarza Wojewódzkiego Komitetu Obrony trwała zaledwie kilka lat, bo w czasie pracy przy biurku powalił go zawał, którego nie przeżył.

Po odbyciu ćwiczenia głównego z operacji zaczepnej armii „staliśmy” nieco lepiej w kwestiach operacyjnych. Jednakże dopiero po ćwiczeniu na Mazurach staliśmy zupełnie dobrze. Potem przyszły kolejne ćwiczenia, które powodowały, że niektórzy z nas poczuli się bardzo dobrze, a nawet stali się w problematyce sztuki operacyjnej klasą dla siebie. Dawaliśmy sobie radę nie tylko z funkcjami operacyjnymi, ale zupełnie dobrze z funkcjami specjalistycznymi.

Wszystkich ćwiczeń na III roku studiów odbyliśmy trzynaście, a do tego jeszcze dodatkowo ćwiczenie egzaminacyjne. W tym wspomniana już operacja zaczepna i obronna armii, jako ćwiczenia główne. Dwie gry wojenne, siedem ćwiczeń dwustronnych w terenie oraz ćwiczenie szkieletowe. Nic więc dziwnego, że po ich odbyciu mogliśmy czuć swobodę. Po prostu, radziliśmy sobie z każdą sytuacją i potrafiliśmy się wywiązać z zasadniczych zadań na każdej z wyznaczonych nam funkcji. Oczywiście, jedni czynili to z wielkim powodzeniem, a inni z mniejszym, co wcale nie oznacza, że byli wśród nas słabeusze. Tacy raczej odeszli po pierwszym i drugim roku, aczkolwiek i między nimi znaleźli się zupełnie dobrzy.

Na pewne trudności mogli natomiast napotykać ci, którym w ćwiczeniach dowódczo-sztabowych nie powierzano odpowiedzialnych funkcji, na przykład dowódcy, szefów wydziałów czy oddziałów oraz szefów i dowódców rodzajów wojsk, a występowali najczęściej na podrzędnych stanowiskach. Pozostawali więc w cieniu tamtych. Oni nie przeżywali stresów, bo na

ogół nie występowali publicznie, ale też i nie nabywali wprawy w takich wystąpieniach, a tym samym niepomrotnie mniej z owych ćwiczeń korzystali. Nie mieli więc sposobności, aby nie tylko przełożeni widzieli u nich dobre strony i zdolności, ale nawet i koledzy.

Natomiast uważani za uzdolnionych mieli zwykle do pokonania znacznie więcej trudności i przeszkód, musieli się więcej angażować emocjonalnie, wkładać więcej trudu i mozołu, ale wynosili z tak odbytych ćwiczeń znacznie większe korzyści. Zdobywali bowiem wprawę w formułowaniu myśli, rozwijali odwagę i śmiałość poczynań w rozwiązywaniu zadań, znacznie głębiej wchodzili w rozważane problemy. Stanowili oni równocześnie dla pozostałych słuchaczy wzór do naśladowania, przecierali dla nich ścieżki i w ten sposób wpływali na rozwój swojej grupy.

U ćwiczących dowódców nie brakowało ciekawych i oryginalnych pomysłów w rozwiązywaniu zadań. Niektóre z nich wywoływały mieszane uczucia u kadry dydaktycznej. Tak na przykład w czasie gry wojennej Urbańczyk siłami swojej armii miał przejść do obrony na opanowanej przez jego wojska rubieży. Zwrócił się jednak z prośbą do przełożonego, w którego roli występował gen. Pióro, aby mu pozwolił dalej działać zaczepnie. Wykazał jednocześnie, że takie możliwości posiada, oraz że przez to działanie cel główny operacji zostanie osiągnięty wcześniej i przy mniejszych stratach. O swoich racjach przekonał zarówno występującego w roli przełożonego gen. Pióro, zastępcę komendanta do spraw naukowych, jak i przysłuchującego się komendanta.

Pomysł został zaakceptowany, ale autorzy ćwiczenia nie bardzo byli temu radzi. Mieli przez to bowiem pełne ręce roboty. Musieli opracowywać nową sytuację do podgrywania, aby ćwiczenie przebiegało w myśl zasady, że prowadzi się go według decyzji ćwiczącego dowódcy.

Po stronie „zachodniej” w roli dowódcy partnerował wtedy Urbańczykowi – Ostrowski. W dalszym rozwoju sytuacji,

kiedy armada Urbańczyka zbliżała się do Łaby na południe od Hamburga i przygotowywała się do jej sforsowania, wytworzyła się arcyciekawa sytuacja i to dla obu stron.

Ostrowski miał bronić przeszkody. Wykonał to jednak nietypowo. Na zachodnim brzegu organizowały ją bowiem dywizje zmechanizowane bez czołgów. Natomiast czołgi tych dywizji zostały wyprowadzone z ich podporządkowania, przerwane przez istniejące jeszcze mosty na wschodni brzeg Łaby i w ręku jednego wodza, jako silne zgrupowanie pancerne, wymierzyły uderzenie w południowe (lewe) skrzydło armii „wschodnich” rozpoczynających forsowanie.

„Wschodni” dostali więc niesamowitego łupnia, bo zaniebdali rozpoznanie tego kierunku. W tych warunkach nie udało się sforsować przeszkody wodnej z marszu, jak tego zamierzał dokonać Urbańczyk. Oceniono bowiem, że duże straty poniosły zarówno siły, które w tym czasie znalazły się na przeszkodzie, jak również te, które podchodziły w tym czasie do Łaby, to jest znajdowały się na jej wschodnim brzegu.

Urbańczyk był tak wściekły, że omal nie pobił swojego szefa Oddziału Rozpoznawczego, Ostrowski chodził z wysoko podniesioną głową, kierownictwo ćwiczenia na czele z kornielem miało znakomitą pożywkę i materiał do omówienia ćwiczenia, a autorzy znowu pełne ręce roboty, bo zmuszeni zostali do głębokiej rekonstrukcji dotychczasowych założeń.

Z wyjątkowymi pomysłami występował Włodzimierz Marek Król. O jednym z nich wspomniałem przy okazji II roku. Jeszcze więcej miał tych pomysłów w problematyce operacyjnej. Tak na przykład jako szef sztabu u Urbańczyka w sytuacji, kiedy broniąc się zmuszeni byli odchodzić na kolejną rubież, a znaczne ich siły znalazły się w okrążeniu, do rejonu bitwy podchodziła jeszcze jedna dywizja przeciwnika.

Wtedy Włodek zaproponował, aby częścią sił uderzyć w kierunku sił znajdujących się w okrążeniu, a odblokowując je dostarczyć im zaopatrzenia i wówczas całością tych sił znajdujących się na tyłach przeciwnika uderzyć na podchodzącą dy-

wizję, rozbić i dopiero wtedy, kolejnym uderzeniem, przebić się do wojsk własnych.

Urbańczyk na propozycję nie przystał, natomiast zdecydował zaopatrzyć w materiały siły znajdujące się w okrążeniu drogą powietrzną i dopiero wtedy miały one przebijać się do wojsk własnych.

Tak się złożyło, że decyzję, pod chwilową nieobecność dowódcy, meldował interesującemu się tym problemem komendantowi, szef sztabu. Wywiązała się dyskusja, z której wynikało, że komendant widziałby raczej, jako skuteczniejsze rozwiązanie podobne do proponowanego wcześniej przez Króla. Tymczasem Król obstawał niewzruszenie i dogłębnie argumentował decyzję Urbańczyka i uzasadniał poprawność decyzji dowódcy, przyjętej do realizacji. Zjawił się Urbańczyk, a komendant prawie oburzony powiada:

- Cóż to ten wasz szef sztabu tak mnie przekonuje. Jakby całkiem nie rozumiał co w tej sytuacji jest korzystniejsze. Czy wy również uważacie, że korzystniejsze będzie zaopatrywanie sił, które są w okrążeniu drogą powietrzną?...

- Melduję obywatelu generale, że właśnie taką decyzję powziąłem i widzę, że to właśnie moją decyzję uzasadnia szef sztabu. Szef sztabu proponował inne rozwiązanie, a mianowicie odblokowanie sił w okrążeniu, dostarczenie im równocześnie zapasów, a następnie uderzenie nimi w całości na podchodzące siły i przebicie się do wojsk własnych.

Oburzony początkowo komendant natychmiast się uspokoił. Nic już nie mówił, tylko lekko się uśmiechał. Cieszyła go lojalność szefa sztabu wobec swojego przełożonego - słuchacza.

Podobnych sytuacji oraz oryginalnych pomysłów i zawziętych dyskusji było na naszych ćwiczeniach wiele. Bardzo ochoczo brał w nich udział komendant, a na podkreślenie zasługuje fakt, że nikt się nie krępował wysuwania własnych pomysłów. Byliśmy zawsze do końca wysłuchani. Jeżeli nawet generał nie brał udziału w dyskusji, to bacznie się przysłuchiwał naszym sporom. Obserwował nie tylko nas, ale i kadrę dy-

daktyczną, analizował i oceniał wszystkie wypowiedzi. Poznał nas.

Czasem stwarzał, albo nakazywał stworzyć warunki ekstremalne i obserwował naszą wytrzymałość i odporność na znoszenie wysiłku i niewygody.

Na jednym z ćwiczeń, gdzieś na Pomorzu, zostaliśmy tak dociążeni pracą, że niewiele czasu pozostało na nocny odpoczynek. Następnego dnia pracowaliśmy w terenie dłużej niż zwykle, a wieczorem wpłynęły tak rozliczne zadania, że nie tylko świt ale i dzionek zastał nas przy pracy. Potem spożyliśmy śniadanko i przez cały dzień praca w terenie. Podobno takie było życzenie komendanta, aby nas bardzo zmęczyć i obserwować, jaka jest nasza kondycja psychofizyczna. Na dodatek tego dnia panował wyjątkowy upał. Toteż nie dało się ukryć zmęczenia. Za to tego dnia powróciliśmy do pociągu i spożyli obiad nieco wcześniej.

Przy obiedzie ogłoszono komunikat, że o „entej” godzinie odbędzie się wyjazd nad jezioro, na kąpielisko. Owszem pojechaliliśmy, ale nastąpiło jakieś niedomówienie i znaleźliśmy się nie nad tym jeziorem, co trzeba. Pod właściwy adres trafił tylko komendant ze swoim zastępcą do spraw szkolenia prof. płk. Brochem. Tymczasem dowódca garnizonu, mając na uwadze tak liczny zespół szacownych i chętnych do kąpeli oraz w trosce o zapewnienie dobrych warunków na pływalni, wysłał oficera z kilkoma żołnierzami, którzy tak się zakrzętnęli, że na kąpielisku znalazł się tylko komendant ze swoim zastępcą. Wyproszeni stamtąd ludzie cywilni i wojskowi stali poza kąpieliskiem, obserwowali i narzekali na panujące porządki.

Komendant był wielce niezadowolony z takiego obrotu sprawy, ale niczego nie zmieniał wobec ustaleń dowódcy garnizonu, a ponadto przez pewien czas liczył na nasze opóźnione przybycie. Wreszcie popływał nieco w tym duecie i znacznie wcześniej niż planował wrócił do pociągu. Słuchacze również byli już na miejscu i wtedy wyszła na jaw pomyłka. Jak zwykle w takich przypadkach, za całe nieporozumienie kierownik cwi-

czenia dostał reprimendę, a tymczasem miejsce wskazywał, o ile dobrze pamiętam, nasz komendant transportu, jako organizator wyjazdu.

Wieczorem nie wydano nam kolejnych dokumentów. Mieliśmy odpoczynek. Jedni ucinali drzemkę chcąc odespać zaległości, drudzy zagrali w karty a jeszcze inni powędrowali zwiedzić miasteczko i wypić kawę, piwo lub porządnego kielicha, bo ponoć to dawało najlepsze odprężenie.

- Co ten „stary” znowu wymyśla. Nie dość, że dzisiaj mamy tyle luzu to podobno i jutrzejszy dzień ma być wolny? - padały pytania.

- Tak, to coś do niego niepodobne - powątpiewali inni.

- Słuchajcie, a może on coś w nocy kombinuje nam wyciąć?

- Masz rację mój drogi. Poderwie nas alarmem i dadzą nam zadanie.

- Nie wygłupiajcie się do cholery. Dał nam po prostu w kość a teraz daje odpocząć - mówił kolejny.

Takie były domysły, ale nic takiego się nie wydarzyło. Następnego dnia także panowała piękna pogoda. Po śniadaniu zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią ustawiliśmy się na zbiórce. Zapoznanie z programem dnia odbyło się wieczorem i wiadomo nam było, że będziemy odpoczywać. Teraz wydawano nam jakieś drobne wskazówki i uzupełnienia. Przemówił do nas również komendant. Opowiedział nam przede wszystkim, że kiedy był jeszcze chłopcem, do miejscowości na Kielecczyźnie, gdzie mieszkał, przyjechał kosiarz. Kosił przez cały tydzień, a w niedzielę porządnie się wyszorował, ubrał czystą koszulę. Potem wyszedł na jedyny peron miejscowej stacyjki kolejowej, usiadł na ławie i popadł w błogi nastrój. Pociągi przychodziły i odchodziły, ludzie z nich wysiadali i wsiadali. On jednak niczego nie widział, nie zwracał uwagi na kogokolwiek i cokolwiek. Odpoczywał.

- Takiego odpoczynku i wam życzę! - powiedział na zakończenie.

Mieliśmy więc dzień wolny, mimo że nie była to niedziela ani inne święto. Odpoczywaliśmy nad jeziorem z pływalniami zagrodzonymi przez porządnie wykonane i liczne pomosty. To właśnie tu nie dotarliśmy w dniu poprzednim. Tym razem także nikt obcy nam nie przeszkadzał. Można było się spokojnie kąpać i opalać, zwłaszcza na mocno zbudowanych pomostach.

Raduchowski miał ze sobą radio tranzystorowe. Postawił je więc obok siebie na jednym z pomostów i po pływaniu opalał się, a równocześnie drzemiąc, słuchał radia. Usłyszał to komendant. Podeszedł i nie przeszkadzając w drzemce wyłączył odbiornik. Właściciel natychmiast otworzył oczy, a zauważywszy położonego chciał wstać.

- Nie wstawajcie! - usłyszał.

- Chciałbym tylko, abyście odpoczywali bez muzyki, bo to innym przeszkadza - odpowiedział i odszedł.

- Czemuś mu nie odpowiedział, że właśnie przy muzyce lepiej ci się odpoczywa - odezwał się nieopodal odpoczywający sąsiad obserwując zdarzenie.

- No wiesz... A ty byś powiedział?...

- A co, pewnie że bym powiedział. Cóż go to obchodzi, że masz ochotę posłuchać radia? A ponadto są jeszcze inni pośród nas, którzy chętnie tego słuchali.

- To czemuś tego nie powiedział, zwłaszcza kiedy mówił, że to innym przeszkadza? - odparł Raduchowski.

- Ja tam na przykład wolałem ze „starym” nie dyskutować na ten temat - dodał jeszcze Raduchowski.

Słońce wyjątkowo operowało, a ponieważ nad wodą, a tym bardziej na pomostach chłodził leciutki zefirek, słonecznego prażenia wcale się nie odczuwało. Jeden tak sobie mocno przysnął, że się przypiekl i dostał porażenia słonecznego.

- Co to za przyszły dowódca i oficer sztabu będzie z niego, kiedy on się nie potrafi nawet opalać - wykrzyknął komendant, kiedy mu o tym zameldowano.

Podobno nawet niewiele brakowało a byłby nasz kolega „wyleciał” z akademii. Na jego szczęście lekarz zameldował, iż

doznał delikwent tylko lekkiego porażenia i będzie mógł w ćwiczeniu dalej uczestniczyć.

## **PODRÓŻE HISTORYCZNE**

Odbyliśmy dwie w czasie naszych studiów. Jedną na drugim, a drugą na trzecim roku. Pierwsza trwała tylko jeden dzień i rozpatrywaliśmy w niej przeciwuderzenie Armii „Poznań”, rozpoczęte wieczorem 8 września 1939 r. znad Bzury w rejonie Łęczycy i Piątku na skrzydło 8 A niemieckiej. Uderzenie na Łódź miało stworzyć swobodę odchodzenia naszych wojsk w kierunku Warszawy.

Na kilka dni przed ową podróżą wydano nam materiały. Nasze zadanie polegało na gruntownym zapoznaniu się z nimi, to jest z położeniem wojsk niemieckich i własnych w wytworzonej sytuacji przed przeciwuderzeniem, z decyzjami dowódców walczących stron oraz przeprowadzeniu analizy i oceny tych decyzji.

Na miejscu w terenie, w rejonie Uniejowa, Piątku i Łęczycy, dokonywaliśmy oceny warunków terenowych, powziętych decyzji, a następnie oceny działania wojsk oraz osiągniętych rezultatów. Jakkolwiek z dużym zainteresowaniem studiowaliśmy otrzymane materiały, to jednak wiele niuansów związanych z położeniem stron oraz panującymi warunkami terenowymi bardzo trudno było nam z owych dokumentów dostrzec. Indywidualne zapoznawanie się z terenem również nie oddało pełnego obrazu sytuacji.

Dopiero uzupełnianie naszych wystąpień przez wykładownicę, ppłk. Raźnikiewicza dawało pełny obraz sytuacji oraz czynników, które wpływały na wybór wariantu działania przez dowódcę armii gen. Kutrzebę.

Przez cały czas naszych rozważań towarzyszył nam pułkownik armii NRD i nie odstępował nas ani na krok. Nie wzru-

szalo to nikogo z nas. Niech sobie słucha, nic nie mamy do ukrycia, a przebieg tych działań pewnie i on zna bardzo dobrze. Najdziwniejszy wydał się nam fakt, że jakkolwiek tak bardzo pilnie i wytrwale nas słuchał, to nie dał głosu ani słowem przez calusieńki dzień. Wędrował z nami z jednego punktu na drugi, stał i pilnie słuchał.

- Czy to możliwe, żeby nie rozumiejąc o czym mowa, stać i słuchać tego, czego się nie rozumie? - pytaliśmy jeden drugiego.

- Nie, raczej to niemożliwe. - On musi rozumieć naszą mowę, ale się do tego nie przyznaje - wtrącił ktoś z kolegów.

- No właśnie, popatrzcie jacy to są ci „Niemiaszki”. I jak im tu wierzyć? - dodaje kolejny.

- Nie mamy się czego wstydzić, jeśli nawet nas rozumie ten niemiecki towarzysz. - Jesteście bardzo dobrze przygotowani, referujecie jasno i zrozumiale, a jeśli się przydarzy jakaś niejasność czy pomyłka, to właśnie ja jestem od tego by wszystko wyprostować - dodał do tych naszych dygresji Raźnikiewicz.

Kolejną podróż historyczną, na trzecim roku, odbyliśmy we wschodniej części Polski, śladami 2 APanc wojsk radzieckich, działań naszej partyzantki ludowej oraz 1 A WP. Od Chełma poprzez Lublin, Sandomierz, Kazimierz Dolny i Puławę, Dęblin, aż po prawobrzeżną Warszawę. Odbyła się wczesną wiosną i trwała około tygodnia. Panowały jeszcze chłody.

Przy okazji tej podróży zostało przeprowadzone również studium terenowe doliny Wisły na odcinku Sandomierz-Warszawa.

Podróżą kierowała Katedra Historii Sztuki Wojennej ze swoim szefem gen. bryg. Okęckim na czele. Towarzyszył nam też gen. Kuropieska oraz nasi kierownicy taktyczni grup, odpowiedzialni za prowadzenie studium terenowego.

Tym razem również zostały nam wydane materiały, z których mieliśmy się przygotować do referowania i rozpatrywania w terenie problematyki działań wojsk oraz decyzji powziętych

przez dowódców określonych szczebli. Jednakże w czasie tej podróży przyswojony przez nas materiał w wielu wypadkach był poszerzany informacjami wykładowców.

Celem podróży było nie tyle sprawdzenie znajomości oraz analiza i ocena działań, a raczej zapoznanie nas z owymi działaniami, a to działo się w większości przypadków w drodze wystąpień i przedstawienia nam tych działań przez wykładowców z Katedry HSzW. Materiał był obszerny i dotyczył nie tylko działań z ostatniej wojny. Dotyczył bowiem także okresu powstań narodowych, rozbiorów Polski oraz czasów Kazimierza Wielkiego.

Tak więc w wielu wypadkach wysłuchiwalismy prelekcji oficerów tej katedry. Bardzo nam się podobały informacje wygłaszane przez ppłk. dypl. Raźnikiewicza, chociaż i informacje innych oficerów były bardzo ciekawe. Raźnikiewicz miał wyjątkowy dar zwięzłego i ogromnie sugestywnego przedstawiania przebiegu działań. Ponadto potrafił zawsze dostrzec istotę zagadnienia i przedstawiał problemy wprost – nawet bardzo przykre i drażliwe. Dlatego jego wystąpienia bardzo sobie cenili słuchacze.

Nie zapomnę przedstawionego przez niego przykładu działania wojsk radzieckich pod Annopolem. Otóż jeden z korpusów piechoty zadziałał tam ogromnie niepoprawnie. Zwłaszcza po przekroczeniu Wisły w tym rejonie, bo trudno to nawet nazwać forsowaniem. Kiedy całość sił tego korpusu znalazła się w szerokiej dolinie na zachodnim brzegu rzeki, okazało się, że Niemcy bronią się dopiero na zachodnim skraju tej doliny w oparciu o wysoką skarpe, dominującą nad doliną. Wojska tego korpusu stłoczone w dolinie były bite przez siły jednej brygady, która dopiero w dniu następnym została wzmocniona szkolną baterią artylerii.

Korpus w tych warunkach działał tak ślamazarnie i poniósł tak wielkie straty, że jego dowódca, nie widząc dla siebie usprawiedliwienia, popełnił samobójstwo.

Wykładowca przedstawił to w tak otwarty sposób, że nie było potrzeby nad tym dyskutować, dalej roztrząsać. Wnioski nasuwały się same – oto skutki zaniedbania rozpoznania, braku prężnego dowodzenia i działania na oślep. Sami potrafilismy sobie dośpiewać, że ten dowódca wraz ze swoim sztabem zapewne nie byli trzeźwi i w obawie przed odpowiedzialnością wolał popełnić samobójstwo.

Inni wykładowcy nie wypadali aż tak dobrze, a tym bardziej nie mogli się zdobyć na tak odważne przedstawianie wydarzeń. Czasem dało się zauważyć ich potknięcia. Tak na przykład jeden z nich, występując przed naszym gremium z komendantem na czele, był tak spięty, że posługując się schematem przechodził z jednej jego strony na drugą, zmieniając swoje położenie kilkakrotnie zupełnie bez potrzeby. Popęłnił też szereg błędów językowych mówiąc na przykład – „przez to uderzenie osiągnęli zaskoczynie”.

Tego rodzaju błędy nie tylko naszej uwadze nie uszły. Były potem powtarzane przez nas i łączone z różnego rodzaju dowcipami. Wybaczyliśmy mu to wszystko, bo w czasie prowadzonych seminariów dawał równocześnie dowody doskonałej znajomości problemów. Bardzo się pewnie nie spodobały te potknięcia językowe naszemu komendantowi, a on mu już tego nie wybaczył, tak jak my słuchacze, bo go wkrótce usunął z akademii.

W rejonie Kazimierza Dolnego inny, bardzo dobrze prezentujący się oficer z tej katedry, jeszcze w stopniu kapitana, po studiach na wydziale historii UW przedstawiał wydarzenia z czasów Kazimierza Wielkiego. Musiał być także spięty, a przede wszystkim brakowało mu pewnie doświadczenia dydaktycznego, bo w toku przedstawienia wydarzeń w konkluzji wyszła zupełnie inna jego wersja. Nasze zmęczenie nie pozwoliło dostrzec tej różnicy, ale komendant zwrócił mu uwagę odpowiednimi pytaniami.

Doszliśmy do wniosku, że najbardziej uważnie słucha tych wystąpień komendant. Prawdopodobnie liczyli się z tym nasi

wykładowcy, wiedzieli o tym, i dlatego bywali tak spięci w jego obecności, a przynajmniej niektórzy z nich.

Potknięcia wykładowcy stały się prawdopodobnie poważnym ostrzeżeniem i przestrogą na przyszłość. Trudno powiedzieć, kto o tym zdecydował, że rola nauczyciela w ASG WP, jest raczej nie dla niego. Dlatego nie zagrzał długo miejsca w tej katedrze. Pozostał dalej w akademii, ale nie był już pracownikiem dydaktyczno-naukowym.

Będąc w Kazimierzu, zwiedziliśmy jego zabytki, wysłuchaliśmy prelekcji na temat jego architektury oraz historii, a naszymi przewodnikami byli i tu wykładowcy Katedry HSzW.

W Janowcu, to jest na zachodnim brzegu Wisły, prawie na przeciw Kazimierza Dolnego, pracowaliśmy na punkcie obok zamczyska. Miejsce dominowało nad doliną rzeki i zapewniało głęboki wgląd w teren. Mnie przypadło prowadzić taktyczno-operacyjną ocenę terenu. Miałem o czym mówić. Komendant bardzo uważnie słuchał mojej oceny.

Po zakończeniu wystąpienia dostałem jeszcze kilka pytań. Mając jednak za sobą wiele tego rodzaju ocen, a przede wszystkim dobrą znajomość zasad prowadzenia ognia z czołgów, zwłaszcza ogniem bezpośrednim, jak również zasady organizowania przepraw przez przeszkody wodne, nie miałem z tym większych trudności.

Komendant wydał mi się zadowolony z mojej odpowiedzi, a Janda nieco później nawet mi tego gratulował.

Tuż po mojej ocenie zabrał głos komendant i podkreślił jak wielkie znaczenie posiada umiejętność prowadzenia takich ocen. Jeszcze ważniejsza, jego zdaniem, jest tu umiejętność wyciągania wniosków dla prowadzenia działań bojowych przez wojska.

Tego rodzaju ocen prowadziliśmy wiele przy każdej nadarzającej się okazji. Niektórzy co prawda, po cichu, wyrażali opinie, że tej ocenie terenu, podobnie jak i orientacji topograficznej i taktycznej, poświęca się zbyt wiele czasu. Mimo to zda-

rzali się między nami tacy, którzy nie potrafili tego robić dobrze. Okazuje się bowiem, że dobre prowadzenie orientacji, zwłaszcza taktycznej, jest wielką sztuką i tylko niektórzy wykazują w tym talent. Robią to ciekawie, w sposób plastyczny i sugestywny.

## NASZE KOLEJNE PODRÓŻE PO KRAJU

W maju odbyliśmy ćwiczenie z wykorzystaniem pociągu, w południowej części Polski. Trwało około 10 dni, a obejmowało bardzo ciekawą - z punktu widzenia krajobrazowego, a równocześnie i operacyjnego - Kielecczyznę, Górnośląski Okręg Przemysłowy, południowe obszary opolskiego i wrocławskiego łącznie z Karkonoszami.

Na Kielecczyźnie, oprócz bardzo intensywnych rozważań operacyjnych, mieliśmy możliwość zwiedzenia dawnego opactwa na Świętym Krzyżu i oglądania krypty Jaremy Wiśniowieckiego. Wysłuchaliśmy też prelekcji historycznej, a ponadto, i niejako przy okazji, rozkoszowali się widokami Gór Świętokrzyskich i Puszczy Jodłowej oraz Łysicy, najwyższego wzniesienia w tym terenie.

W następnych dniach, podczas pracy w terenie, uświadomiliśmy sobie, że zadania wyznaczone dywizjom obejmowały obiekty na szlaku Orlich Gniazd, jednego z najpiękniejszych szlaków turystycznych.

W ramach tego ćwiczenia zorganizowano nam pokaz skoków spadochronowych w wykonaniu krakowskiej dywizji powietrznodesantowej na Pustyni Błędowskiej. Zupełnie przypadkowo byliśmy świadkami jak jeden ze spadochroniarzy zawisł nieszczęśliwie na drzewie. Bardzo ciekawie zaprezentowano nam również działanie grupy specjalnej.

W owym czasie do działań powietrznodesantowych przywiązywano w naszej armii dużą wagę. Pokaz był relacjonowa-

ny i komentowany przez ppłk. dypl. Franciszka Januszewskiego, niedawno przeniesionego do akademii z dywizji powietrznodesantowej.

Bardzo aktywnie zachowywał się w czasie pokazu nasz komendant, stawiając wiele pytań, a Januszewski, odpowiadając na nie, wyjaśnił wiele kwestii dotąd nam nieznanych.

- Nic dziwnego, że komendant zadawał tyle pytań i tyle wyjaśnień sprowokował - mówiliśmy między sobą - wszak ta dywizja jest jego „dzieckiem”. On ją przecież organizował.

Pustynia Błędownska była dla nas kolejnym odkryciem jako polodowcowy relik. Lotne piaski o średniej miąższości 25 m. Jedyna, nie tylko w Polsce, ale i w Europie Środkowej miniatura pustyni.

Niewielu z nas zdawało sobie z tego sprawę. Jeszcze ważniejszy stał się fakt uświadomienia sobie, że to właśnie tu Niemcy hitlerowskie przygotowywały swoje pododdziały do działań w Afryce podczas drugiej wojny światowej.

Po przerwie operacyjnej na pokaz zmieniono nam „ćwiczebne” funkcje. Dowódcą armii został po raz pierwszy kolega Janek R. Śmiałyśmy się, że nareszcie poderwał odpowiedzialną fuchę. Dotychczas bowiem pozostawał na uboczu od może i szacowanych, ale równocześnie ciężkich i odpowiedzialnych funkcji. Zawsze mu wypadało być pomocnikiem jakiegoś szefa. Niby to dobrze, ale pełniąc jedynie funkcje uboczne, niewiele mógł się nauczyć. Nic więc dziwnego, że teraz, choć był oficerem zdolnym, inteligentnym, nie mógł sobie poradzić z ogromem problemów, którym musiał stawić czoło.

Gdyby tylko chodziło o niego, to pał go sześć, niech się martwi i łamie sobie głowę, jeśli tak długo się objął. Tymczasem wszyscy podlegaliśmy surowej ocenie. Pośrednio i na nas spadała odpowiedzialność za organizację działań, nie mówiąc już o tym, że to przecież kolega.

Kłopot polegał na tym, że on do późnych godzin wieczornych nie mógł się zdecydować na przyjęcie koncepcji, spośród wielu, jakie mu zostały przedstawione. Po prostu nie ogłaszał

zamiaru, a podlegli mu szefowie oraz ich podwładni nie wiedzieli, który z przedstawionych wariantów mają realizować i zabezpieczać.

Wreszcie, kiedy w kilku deliberovaliśmy z nim przy mapie i nie mogliśmy go namówić na przyjęcie koncepcji, zdenerwowany powiadam:

- Jasiu, idź spać. Zbudzimy cię o 4.30 i zapoznamy z tym co zrobione.

Trochę się opierał, ale pozostali nie tylko poparli moją propozycję, ale zagrozili, że nic więcej nie będą w takich warunkach robić, bo później to i tak nie zdążą wykonać tego, co trzeba, pójdą więc do swoich rozjemców i przedstawią sprawę.

Jasiu ustąpił i poszedł odpoczywać, a kierownictwo przejął Stychno, który był u niego szefem sztabu, i praca ruszyła. Byłem zadowolony, bo jako szef oddziału operacyjnego mogłem wreszcie pracować, a nie tłumaczyć bez rezultatu. Zbudziłem go wcześniej niż zaproponowałem, mówiąc:

- Jasiu! Wszystko prawie gotowe, chodź objaśnię ci wszystko, co zostało zrobione. Ty się będziesz zapoznawał z dalszymi szczegółami i przygotowywał do referowania, a ja trochę odpocznę.

- To już jest 4.30?... - pyta Jasiu zdziwiony.

- Jest dopiero 3.00, ale ja też chcę odpocząć.

- Dobrze to idź odpoczywać, a ja sam się z tym zapoznam - odparł wielkodusznie Jasiu.

Wypracowaną decyzję przyjął za swoją i niby wszystko wykapawał, o co idzie w rysunku na mapie. Jednakże kiedy przyszło do meldowania, wszystko pokręcił. Ponieważ jednak komendant znał go raczej jako fotografa, który po każdym powrocie z takiego wyjazdu, meldował się w gabinecie komendanta ze zdjęciami, tak dalece zainteresował się przedstawioną decyzją i znalazł dla niego tyle wyrozumiałości, że sam podchodząc do rozwieszanej mapy, usiłował się zapoznać z jej szczegółami i zrozumieć istotę.

Byliśmy akurat, niedaleko Śląska, kiedy na stadion w Chorzowie miał wjechać Wyścig Pokoju.

Nasze „WIDMO” z Zawiercia w ciągu naszej pracy w terenie zostało przesunięte do Tarnowskich Gór, a my z okolic Sosnowca mieliśmy do niego dotrzeć po konfrontacji naszych decyzji.

Mieliśmy ruszać do samochodów, gdy komendant skierował do nas pytanie:

- Kto z was nie zna i nie widział Śląska?

W odpowiedzi podniósł się las rąk. Okazało się bowiem, że znaczna część moich kolegów nigdy na tych terenach nie była. Wtedy komendant zaproponował kierownikowi ćwiczenia, aby nas przewieźć w powrotnej drodze przez Śląsk.

Wysłuchaliśmy tych wytycznych z wielkim zadowoleniem, ale znalazł się między nami taki, który widocznie uznał, iż tego, na co poszedł generał, jeszcze za mało i postanowił zgłosić swoją inicjatywę. Wystąpił więc przed szyk, a zapytany przez komendanta, o co idzie, powiada:

- Obywatelu generale, na stadionie w Chorzowie jest dzisiaj mecz piłki nożnej, a ponadto wjeżdża tam peleton Wyścigu Pokoju. Czy nie moglibyśmy tam pojechać i zobaczyć jedno i drugie? Jest to przecież impreza godna uwagi.

Komendant na taką propozycję słuchacza wpadł w szewską pasję i prawie krzyczał:

- To ja, uważając, że tak liczne grono oficerów, słuchaczy ASG WP, którzy niedługo mają zostać oficerami dyplomowanymi, powinni poznać Śląsk nakazuję waszym przełożonym zmienić drogę powrotu do pociągu, poświęcić czas, abyście choć trochę ten region zobaczyli zwłaszcza jego wielką aglomerację. Abyście mieli pojęcie o jego znaczeniu ekonomicznym i militarnym, a wy chcecie, aby to dostojne grono, zamiast tego, oglądało przez dwie godziny jedenastu facetów ganiających po boisku za piłką?

Podnosząc głos jeszcze bardziej, komendant mówił dalej:

- Mówicie również o wyścigu. A cóż to za kolarze tam jadą? Tacy, a nawet dużo słabsi od naszego mistrza sprzed kilku lat - Królaka. Przypomnę wam, że ten nasz najlepszy kolarz, kiedy następnego roku pojechał ścigać się we Włoszech, to zajął jedno z ostatnich miejsc. Tacy to są ci kolarze jadący w Wyścigu Pokoju - ciągnął komendant nie zmniejszając nasilenia głosu.

- To ja, w kompanii cyklistów miałem kiedyś dużo lepszych kolarzy od tego Królaka, bo na przykład mój Xiński wysłany na zawody, jakie się odbywały na szczeblu wojska w 19... roku, byłby zajął pierwsze miejsce. Tylko mu się pedał urwał.

Ten ostatni fragment wypowiedzi komendanta tak nas rozbawił, że mimo powagi chwili i wielkiego oburzenia komendanta na nasze prostactwo zaprezentowane przez kolegę, ledwo zdołaliśmy powstrzymać wybuch śmiechu. Udało się jednak, a komendant perorował dalej z wielką energią.

Wstyd nam było za kolegę, sportowego kibica, że tak bardzo brakowało mu wyczucia i że tak niekorzystne światło rzucił na naszą zbiorowość. Nie był to widocznie oficer wysokich lotów, bo nawet nie pamiętam jego nazwiska, a być może, iż to nie był słuchacz kursu ogólnowojskowego. Zgadzałiśmy się natomiast i podzielali w tym względzie zdanie komendanta.

Po obszernej relacji komendanta kierownik ćwiczenia przedstawił publicznie plan przejazdu, który w naszej obecności został zaakceptowany, a następnie, w sposób oficjalny, jeszcze raz podany do naszej wiadomości.

Wsiadliśmy więc do samochodów i pojechaliśmy. Na czele kolumny, w gaziku, na tylnym siedzeniu jechał komendant, który połową czapkę założył daszkiem do tyłu. Na przednim siedzeniu w gaziku komendanta zajął miejsce, jako prowadzący kolumnę, autor ćwiczenia.

Dla mnie Śląsk nie był obcy. Bywałem tu, a przede wszystkim dość często przejeżdżałem przez tę aglomerację pociągami, do i z Krakowa na Wybrzeże, gdzie służyłem.

Ta znajomość była jednak powierzchowna i teraz z dużą ciekawością oglądałem go z samochodu.

Koledzy, którzy widzieli Śląsk po raz pierwszy, byli zaszkokowani. Nie wyobrażali sobie, że granice miast są po prostu niewidoczne. Zadymione i pociemniałe od sadzy domy oraz liczne kopalnie, huty i inne zakłady przemysłowe również wywoływały podziw.

Na to wszystko mieliśmy patrzeć oczyma dowódców i oficerów sztabu. Przed wyruszeniem do samochodów polecono nam zwrócić uwagę na ewentualny sposób działania wojsk w tej aglomeracji. Czekala nas bowiem dyskusja na ten temat.

Następnego dnia w ćwiczeniu była kolejna przerwa operacyjna. Została wykorzystana na zwiedzanie kopalni węgla oraz huty żelaza i stali szlachetnej.

Wszystkich uczestniczących w ćwiczeniu – kadrę i słuchaczy – podzielono na trzy grupy i każdą skierowano do innej kopalni tego samego zjednoczenia. Mniejsza liczebność grup zapewniała w większym stopniu nasze bezpieczeństwo, a równocześnie polepszała kontakt ze zwiedzanym obiektem oraz zwiększała możliwości poznawcze.

Zwiedzanie poprzedziło spotkanie z dyrekcją kopalni, w ramach którego zostaliśmy poinformowani o historii owego obiektu, osiągnięciach w wydobywaniu węgla, liczbie zatrudnionych oraz średnich zarobkach.

Przed zjazdem pod ziemię wydano nam ubrania, buty gumowe, kaski ochronne i latarki. Przebraliśmy się więc w odpowiedniej szatni i, jak górnicy, zawiesili swoje mundury na odpowiednich hakach, a potem podciągnęli je na dużą wysokość, by do nich nikt niepowołany nie mógł dotrzeć.

Na dole wędrowaliśmy szerokimi a potem coraz węższymi korytarzami, oglądając górnicze budownictwo. Potem były wyrobiska oraz linie transportowe. Widzieliśmy więc nie tylko transport podziemny węgla, ale również pracę przy urobku. Transport węgla z urobku odbywał się zarówno za pomocą taśmociągów, jak i zestawami wózków i wagoników.

Była to więc wyjątkowa wyprawa w podziemną część życia i mozolnej pracy górników, dla znakomitej większości z nas – nowość.

Po wyjeździe na powierzchnię, kąpiel pod prysznicem w obszernej łaźni i przebieranie się z powrotem w nasze polowe uniformy.

- Zwiedzanie kopalni, to wspaniała sprawa, odpowiada mi bardziej niż to ciągle referowanie, chociaż na słońcu i świeżym powietrzu – mówił ktoś w czasie przebierania się.

- To duża przesada z tym niby lepszym przebywaniem pod ziemią niż na słońcu i referowanie – dodał następny.

- Ale przyznaję, że odbyliśmy doskonałą lekcję pod ziemią – kontynuował inny.

- Tego byśmy się nie nauczyli w czasie wykładu, a tym bardziej z przeczytanych książek i skryptów – wtrącił jeszcze inny.

- Tak, tak. To trzeba zobaczyć, widzieć i tak sobie pochodzić tymi mrocznymi korytarzami – dodał jeszcze inny z kolegów.

- Ja wam powiem, że ten nasz stary, jaki jest to jest, i chociaż często się słyszy utyskiwanie na niego, to jednak to wielka jego zasługa, że tego rodzaju pokazy i zwiedzanie zostały nam zorganizowane – wtrącił swoje spostrzeżenie ktoś nowy.

- A to przecież jeszcze nie wszystko, będziemy zaraz zwiedzać hutę – wtrącił jeden z dyskutantów.

Rzeczywiście, przewieziono nas potem do Huty Ferrum. W pierwszej kolejności jeden z członków dyrekcji wygłosił nam informację, zapoznając z historią huty oraz jej produkcją, a potem zwiedzanie w takich samych grupach jak w kopalni. To nie było aż tak frapujące jak kopalnia. Może dlatego, że dla mnie nie była to wielka nowość. Zwiedzałem hutę, i to akurat tę samą, z wycieczką ze szkoły średniej, aczkolwiek przypomnienie sobie tego, co wtedy widziałem, nie poszło na marne. Najgorzej, że, oprócz niebezpieczeństwa, panował tu ogromny łomot świdrujący w uszach.

Huta, jak nas informowano w czasie prelekcji, stanowiła swego rodzaju relik. Należała do najstarszych, ale produkowała bardzo dobrą stal.

Zwiedzanie trwało cały dzień, dostarczyło nie tylko pokaznej porcji wiedzy, ale również niezapomnianych wrażeń. Z niepokojem nasłuchiwalismy, czy czasem nasz kolega, inicjator wyjazdu na mecz, nie zostanie odesłany do Rembertowa za swój niecodzienny pomysł. Na szczęście tak się nie stało.

Po tym, jakże miłym i bardzo pożytecznym przerywniku w ćwiczeniu, to jest zwiedzeniu kopalni i huty, wróciliśmy do naszego pociągu. Przed obiadem rozdzielono nam nowe funkcje i w ten sposób po smacznym obiadku przystąpiliśmy do dalszych rozważań natury operacyjno-taktycznej.

W nocy pociąg znalazł się z nami w Ząbkowicach Śląskich skąd znowu wyjechaliśmy w teren w celu prowadzenia rozważań. Następnie osiągnęliśmy w tej wędrówce Świdnicę, aby niedługo znaleźć się gdzieś w rejonie Jeleniej Góry. Między tymi postojami penetrowaliśmy teren i snuliśmy nasze operacyjne rozważania.

Na zakończenie odbyliśmy wyprawę na Śnieżkę. Od pociągu samochodami przez Szklarską Porębę do Jakuszyca. Stąd prowadził nas szlak turystyczny.

- Obserwujcie dokładnie teren, bo to właśnie tędy Niemcy wkraczali do Czechosłowacji w 1939 r. - polecił nam generał przy wymarszu.

Pierwszy, jak baca, maszerował generał. Za nim potężna gromada kadry dydaktycznej i słuchaczy w rozciągniętym szyku wycieczkowym. Po drodze spotykaliśmy małe grupki turystów. Komendant wymieniał z nimi pozdrowienia, a oni tym jakby zachęceni, idąc wzdłuż naszego szyku, nie szczędzili słów podziwu dla tak potężnej wycieczki i do tego wycieczkowiczów w takich stopniach.

Trafiali się i obcokrajowcy, zwłaszcza Niemcy byli tu dość licznie reprezentowani. Owszem ich także zawsze nie tylko

pozdrawiał komendant, ale i zagadnął, wymieniając z nimi choćby kilka zdań.

W miarę jak osiągnęliśmy coraz większą wysokość pogoda się pogarszała. Dlatego też bardzo chętnie zatrzymaliśmy się w schronisku i z wielkim smakiem pałaszowali kanapki, w jakie zostaliśmy zaopatrzeni, na drogę przez pociągowe kasyno. Wypijaliśmy też herbatkę, która teraz smakowała znakomicie. Tymczasem na dworze padała gęsta mżawka. Było nieprzyjemnie.

Niektórzy przedstawiciele kadry nie byli radzi z owej wyprawy. Poczuli się zmęczeni. Dla nich takie wędrowanie po górach nawet przy dobrej pogodzie nie dawało odprężenia ani uciechy. Postanowili więc, zamiast schodzić oślizłym szlakiem, zjechać kolejką do Karpacza i tam poczekać na pozostałych wycieczkowiczów z komendantem na czele. Przewodził tej grupie odmieńców sam sekretarz uczelniany płk mgr Karol Maj. Dołączyło do nich także dwóch słuchaczy, również znużonych podchodzeniem na szczyt. Jednym z nich okazał się kpt. Ludwik Walinowicz. Tym ostatnim kierowało nie tyle zmęczenie, co chęć pozyskania ciekawych widokówek, napisanie ich i wysłanie do domu. Bardzo się obawiał, że przychodząc z całą grupą, może nie zdążyć tego uczynić.

Walinowicz miał bowiem taką niewojskową manierę, która polegała na tym, że z każdego miejsca pobytu, zatrzymania, wysyłał do domu pozdrowienia. Indagowany w tej kwestii przez kolegów, odpowiadał:

- To dla córki, bo zbiera widokówki.

Ponieważ z natury był impulsywny i ruchliwy, a na dodatek w Karpaczu zawieruszył mu się kolega, z niecierpliwością oczekiwał nadejścia naszej gromady wycieczkowiczów. Kręcił się jak na szpilkach w pobliżu stacji kolejki i na nieszczęście natknął się na gen. Kuropieskę, za którym podążała reszta uczestników wyprawy. Bardzo pragnął tego spotkania uniknąć, ale nie było już sposobu ani czasu. Nie mógł się już ani wycofać, ani ukryć, jakkolwiek czuł, że będzie z tego kłopot.

- Co wy tu robicie kapitanie? - zapytał generał zmitygowanego Walinowicza.

- Melduję obywatelu generale, że na szczycie zablądziłem w tej mżawce. Dołączyłem więc do grupy kadry i wraz z nią zjechałem w dół kolejką. - Zorientowałem się wtedy, że kurs jeszcze tu nie dotarł, bo samochody stoją puste. Dlatego oczekuję na spotkanie kursu.

- To wyście zblądzili?... stwierdził z powątpiewaniem generał, co jeszcze gorzej miało świadczyć o słuchaczu.

Zanościło się na kolejne zwolnienie i to tuż przed ukończeniem akademii.

Bronili go jednak, zarówno Klonowski - dowódca kursu, jak i kierownik grupy - Lewonowski. Po rozmowie z Walinowiczem mieli bowiem potężny atut, a mianowicie nie najlepszy przykład sekretarza partii, w ślad za którym poszedł chwilowo zdezorientowany słuchacz. W ten sposób upiekło się naszemu koledze, a jeszcze lepiej temu drugiemu, którego zjazdu kolejką nie wykryto.

Komendantowi niezręcznie było karać słuchacza, kiedy nie wyciąga wniosków w stosunku do sekretarza i pozostałych członków kadry, którzy również zjechali kolejką.

Płk mgr Maj prawdopodobnie już wtedy został uznany za oficera nieodpowiedzialnego i nieodpowiedniego na zajmowanym stanowisku. Kilka późniejszych „wpadek” jeszcze bardziej komendanta utwierdziło w takim przekonaniu. Kiedy więc przyszły kolejne wybory, zadbał on o to, aby Maj nie został sekretarzem. W konsekwencji Maj został zmuszony rozstać się z akademią.

Niedługo potem, pod koniec maja lub na początku czerwca, odbywaliśmy kolejne ćwiczenie dowódczo-sztabowe na temat: Operacja zaczepna armii pancerniej. Przypadło mi pełnić funkcję dowódcy armii.

Po wypracowaniu decyzji w pociągu, rano znaleźliśmy się na punktach nauczania w rejonie na zachód od Rózan. Na jednym z nich meldowałem decyzję. Kierownictwo ćwiczenia nie

było z niej zadowolone. Kiedy skończyłem, zadawano mi wiele pytań. Podobnie szefowi oddziału rozpoznawczego i szefowi oddziału operacyjnego. Byłyby prawdopodobnie także pytania do szefów rodzajów wojsk i służb, ale akurat podjechał generał Kuropieska. Kierownik ćwiczenia wyszedł na jego spotkanie i złożył meldunek. Podał nam komendę – spocznij i dalej coś wyjaśniał komendantowi. Dotarło do mnie jedynie zdanie generała:

- To niech on jeszcze raz zamelduje decyzję.

Komendant podszedł do swojego samochodu i przebierał się w mundur, a ja zostałem poinformowany o poleceniu. Powtórzyłem kiedy przyszedł komendant:

„Zamierzam, niszcząc przeprawy nieprzyjaciela w rejonie Nieszawy, hamować napływ jego sił na wschodni brzeg Wisły. Równocześnie zdecydowanie przeć na zachód w celu opanowania przyczółków na północ od Bydgoszczy. Przy podchodzeniu do Wisły mieć siły do odparcia ewentualnego przeciwuderzenia nieprzyjaciela na prawe skrzydło armii. Opanowany przyczółek wykorzystać na Odrę”.

Po wysłuchaniu zamiaru komendant przerwał mi referowanie oświadczając, że rozumie mój zamiar, ale chciałby pewne kwestie sobie wyjaśnić.

- Czego się najbardziej obawiacie w tej sytuacji? – zapytał.

- Najbardziej sił 1 KA, które zebrane między jeziorami na północnym moim skrzydle, mogą wykonać przeciwuderzenie na moje siły w czasie podchodzenia do Wisły, nie dopuszczając do opanowania przyczółka i przeniesienia działań na Pomorze i dotarcia do Odry.

Potem były jeszcze pytania do szefa oddziału rozpoznawczego. Wreszcie nam podziękował, a rozjemcy przystąpili do podgrywania nam rozwijającej się sytuacji. Powstawał obraz sytuacji wskazującej na to, że skutki uderzeń naszego lotnictwa na przeprawy nieprzyjaciela w rejonie Nieszawy nie przyczyniły się do zahamowania napływu jego sił za Wisłę. Natomiast zachodni brzeg Wisły w rejonie na północ od Bydgoszczy jest

już obsadzony siłami przeciwnika. Ruch oddziałów poszczególnych dywizji w kierunku zachodnim do Wisły jest utrudniony przez kolumny uciekinierów, to jest ludności cywilnej.

W tej sytuacji ktoś mi nawet proponował rozjechanie jednej z kolumn uciekinierów. Tylko Kurkiewicz wysunął propozycję, aby główne siły armii skierować na rozbitcie sił w rejonie na południe od Torunia.

- Jeśli się uda, wykorzystamy przeprawy nieprzyjaciela, a po opanowaniu głębokiego przyczółka powstanie możliwość dokonania manewru na Pomorze i rozwinięcia działań na Odrę - meldował.

Przystałem na to i zameldowałem kierownikowi ćwiczenia, zarazem naszemu głównemu rozjemcy, nową decyzję. Została ona zaakceptowana, z tym że przełożony nakazał działać na zachód, przekroczyć Noteć dopiero w rejonie na południe od Piły i działać na opanowanie przyczółków na Odrze pod Szczecinem.

Dopiero na konfrontacji decyzji zrozumiałem, że w ćwiczeniu chodziło o zmianę kierunku uderzenia APanc, bo taki był temat jednego z zagadnień owego ćwiczenia. Nie mogłem w tych warunkach uzyskać powodzenia na podejściach do Wisły na północ od Bydgoszczy, aczkolwiek posiadałem dane z rozpoznania, że tam zachodni brzeg tej przeszkody obsadzają niewielkie siły przeciwnika.

Mjr Wiejak, jako dowódca korpusu, wcale nie gromadził sił do przeciwuderzenia na moje prawe skrzydło przed Wisłą, a wraz ze swoim sztabem został przeniesiony na dowodzenie siłami w rejonie Nieszawy. Znowu biłem się z nim o przeprawy na Wiśle, a potem aż do Odry.

Przeżycia związane z meldowaniem, a przede wszystkim fakt niezaakceptowania pierwszej wersji mojej decyzji pozostały mi długo w pamięci. Jeszcze dziś pamiętam jej zamiar. Nic więc dziwnego, że tak bardzo zaskoczył mnie fakt, kiedy po latach będąc rozjemcą przy ćwiczącym zespole słuchaczy w tym samym ćwiczeniu, stwierdziłem, że moi podopieczni

wcale tych problemów nie mieli. Oni bowiem natychmiast, w podobnie wytworzonej sytuacji, poszli na Nieszawę, a nie na północ od Bydgoszczy.

Jak się okazało, ćwiczenie to, prowadzone od lat, było znane i przekazywane kolejnym pokoleniom słuchaczy przez starsze roczniki. Nawet jeśli tego nie czynili w stosunku do swoich młodszych kolegów, to jest w stosunku do drugiego rocznika, to uczestniczyli w nim zwykle słuchacze Podyplomowego Studium Operacyjno-Strategicznego, którzy przed laty jako słuchacze trzeciego roku studiów to ćwiczenie odbywali i dobrze je pamiętali. Oni więc również mogli być potencjalnymi przekazicielami tego typu rozwiązań.

Był to, niestety, niezdrowy objaw i wyrażałem opinię, że słuchacze owego Studium nie powinni w tym ćwiczeniu uczestniczyć i odbywać go po raz drugi. Moi adwersarze wytaczali argument, że na PSOS przybywają również oficerowie, którzy nie kończyli ASG WP, a na przykład WAT, niekiedy tylko uczelnie cywilne i dla nich wcale to ćwiczenie nie jest powtórką.

Nasz pociąg ze stacji Maków Mazowiecki został przemaszynowany do Aleksandrowa Kujawskiego, a wtedy nasze rozważania dotyczące forsowania Wisły prowadziliśmy na wysokiej skarpie, na skraju Nieszawy. Mój szef wojsk inżynieryjnych, mjr Janusz Szyfers, bardzo zdolny oficer, pragnął mnie zapoznać jak najdokładniej z wszelkiego rodzaju szczegółami forsowania, było to późnym wieczorem w wagonie. Zameldował więc nie tylko jakie przeprawy i kiedy będą gotowe, ale również co odbija od brzegu w pierwszej fali, a co w następnych, jakie siły każdą z owych przepraw zabezpieczają oraz ile i w jakim czasie możemy zorganizować przeprawy czołgów po dnie.

Przerwałem mu jednak w pewnym momencie, mówiąc:

- Mój drogi, tyle szczegółów to nie na moją głowę.
- Ja uważam, że dowódca powinien o tym wiedzieć i dla tego melduję - powiada Szyfers.

- Bardzo dobrze, że masz to wszystko przygotowane, bo jeśli zajdzie potrzeba to będę cię prosił o zreferowanie tych zagadnień - dodałem.

- Natomiast ja zachowuję w pamięci to, ile i jakich przepraw będzie zorganizowane. Nie będę zaś wchodził w tak dalekie szczegóły. Zresztą, po to ma kowal szczypce, żeby się nie parzył - zażartowałem.

Jednakże następnego dnia, właśnie na owej skarpie wiślanej, bardzo te szczegóły miały mi być przydatne. Tak się bowiem do mnie „przyssał” rozjemca przy Szyfersie, ppłk dypl. inż. Marian Koziarski i wymagał ode mnie przedstawienia szczegółów forsowania, że nie mogłem sobie z tym poradzić. Wszystkie te szczegółowe pytania próbowałem odbijać do Szyfersa, a rozjemca powtarzał niezmiennie:

- Chciałbym się tego dowiedzieć od dowódcy armii.

Wybawił mnie z tej opresji dopiero sam komendant, mówiąc delikatnie:

- Może będzie lepiej, jak o tego rodzaju szczegóły będziemy pytać specjalistów?

Potem usłyszałem jak Koziarski wziął na stronę Szyfersa i czynił mu wymówki, iż mnie nie zapoznał należycie z problemem i specyfiką forsowania.

- Pragnę wyjaśnić panie pułkowniku, że mój szef wojsk inżynieryjnych zrobił wszystko, co należało, i usiłował mi również wtłoczyć do głowy wszystko, co wiąże się z forsowaniem - starałem się wtedy wyjaśnić.

- Uważałem jednakże, iż po to mam doskonale przygotowanych specjalistów, aby można było z ich umiejętności korzystać. Nie czułem się na siłach i nie widziałem konieczności wchłaniania wszystkiego, czego w tym wypadku mogą mi dostarczyć specjaliści - broniłem Szyfersa.

Mój pogląd na tę kwestię nie podobał się naszemu rozjemcy, ale nic już więcej nie powiedział.

Następną stacją postoju pociągu „WIDMO” był Wałcz. Wędrowaliśmy po wyniosłościach terenowych w jego rejonie,

a po zakończeniu odpowiedniego etapu ćwiczenia właśnie tu mieliśmy jednodniową przerwę operacyjną, w ramach której po konfrontacji dotychczasowych decyzji odpoczywaliśmy fizycznie i psychicznie.

Po mozolnej pracy w terenie w upalny dzień wróciliśmy do pociągu na obiad. Czas poobiedni należało więc wykorzystać między innymi na przygotowanie naszych decyzji do konfrontowania. Tymczasem nasze mapy z owymi poprzednimi decyzjami zostały zdane do tajnej kancelarii i, jak można było się spodziewać, mocno sfatygowane. Trzeba je było odpowiednio przygotować, aby się jak najlepiej prezentowały w oczach nie tylko naszych przeciwników, ale i naszych nauczycieli – rozjemców.

Niezależnie od map należało się także przygotować do przedstawienia meldunków decyzji i być gotowym do odpowiadania na ewentualne pytania, zwłaszcza ze strony przeciwnej – naszych partnerów. Zwykle z jedną decyzją w czasie konfrontowania było niemało pracy i napięcia, a w tym przypadku były co najmniej dwie, a może nawet trzy.

- Zamiast odpocząć, to tyle pracy – myślałem sobie przegnębiony. Zauważyłem jednocześnie, jak mój szef Oddziału Operacyjnego zawiesił ręcznik na ramieniu, a w dłoni trzymając mydelniczkę ruszył w kierunku samochodów, którymi większość kolegów, będąc już na luzie, udawała się do łaźni w koszarach.

- Dokąd to Włodeczku?

- Melduję, że do łaźni, bo uważam, że trzeba się wykąpać – odpowiada spokojnie kolega.

- A mapy są już przygotowane?

- Nie, jeszcze nie.

- A przynajmniej odebrane z kancelarii tajnej i przeglądnięte?

- Także jeszcze nie.

- To bądź uprzejmy, odłóż ręcznik i przynieś je do naszego wagonu, to znaczy mapy z decyzjami, które będą konfrontowane. Uważam, że to do ciebie należy.

- Tak, ale może to uczynię po powrocie?

- Nie wiem, kogo będziesz jeszcze potrzebował, ale w podległym ci oddziale wystarczy oficerów do wykonania tej pracy. - Odpowiedzialność za to ponosisz jednak ty - dodałem.

Włodek odłożył ręcznik i zabrał się do roboty, aczkolwiek z wielką niechęcią. Był to bowiem oficer o nieprzeciętnych zdolnościach, jednakże rzadko kiedy robił to, co do niego należało. Najczęściej zajmował się tym, co lubił i co mu odpowiadało.

Moja uwaga poskutkowała i było bardzo dobrze, nawet nadzwyczajnie, tak samo jak do Wałcza.

Teraz zmobilizował w sobie siły, a przede wszystkim wolę na tyle, że zostało wszystko dobrze przygotowane i następnego dnia wypadło jak należy. Janda z przeprowadzonej konfrontacji był bardzo zadowolony, bo nasze wystąpienia podobno spodobały się komendantowi i Klonowskiemu, no i bardzo dobrze zostały przyjęte, przez naszych „zachodnich” przeciwników - partnerujących nam kolegów.

Po konfrontacji byliśmy w kilku punktach Wału Pomorskiego. Między innymi na cmentarzu w Wałczu, a także w Podgajach i Jastrowiu.

Po powrocie do pociągu i spożyciu obiadu wyznaczono nam nowe funkcje. Pobieraliśmy materiały i dalej prowadziliśmy działanie APanc i tak aż do Odry, na której zostaliśmy zmuszeni przejść do obrony.

Schedę po mnie w dowodzeniu przejął o ile pamiętam, właśnie Włodek. Dowodził znakomicie, ale przy podejściu do Odry chciał zniszczyć bronią jądrową Gorzów Wielkopolski, w którego rejonie przeciwnik posiadał znaczne siły, które mogły spowodować przeszkodę w opanowaniu Odry.

Wywołało to konsternację, bo dotychczas nigdy nie planowaliśmy uderzeń jądrowych na miasta. Bardzo mu to wytykano,

a w podsumowaniu ćwiczenia bardzo dobitnie podkreślił tę niefrasobliwość naszego kolegi komendant akademii.

W kilku ostatnich ćwiczeniach dowódczo-sztabowych z wykorzystaniem pociągu brali udział również lotnicy. Już pierwsze wspólne ćwiczenie przyniosło zadowolenie lotników i lądowców. Zwłaszcza lotnicy okazywali wielką satysfakcję, a nawet podziw dla naszych umiejętności taktyczno-operacyjnych. Oświadczali wręcz, że sobie nie wyobrażali tak wielkiego znanstwa tych problemów z naszej strony.

Nasze umiejętności i wiedza o użyciu i wykorzystaniu lotnictwa również zostały przez to wzbogacone. Poznaliśmy przy tej okazji ich nauczycieli, zwłaszcza takich jak ppłk dypl. Pasiewicz, którego niezmiennie, przy każdym odjeździe naszego pociągu żegnała małżonka.

Do ciekawych ludzi z ich grona należał wspomniany już płk Bejger, płk Malinowski, a także bardzo dobrze zapowiadający się mjr dyplomowany Wojciech Łepkowski. Zawiązały się przyjaźnie ze słuchaczami – lotnikami, które procentowały w późniejszych latach, na różnego rodzaju wspólnych ćwiczeniach.

W kwestii zainspirowania wspólnych ćwiczeń z lotnikami, również należy przyznać rację gen. Kuropiesce, jakkolwiek i one miały przeciwników i to, o dziwo, wśród znacznej części lotniczej kadry dydaktycznej. Dlatego też z biegiem lat lotnicy uczestniczyli w tych ćwiczeniach coraz rzadziej, a w latach osiemdziesiątych już w ogóle w nich nie brali udziału.

Bardzo ciekawe było ćwiczenie „Operacja powietrzno-morska”. Odbywaliśmy je w Dziwnowie. Przeprowadzone zostało w formie ćwiczenia dowódczo-sztabowego i uczestniczyli w nim również marynarze.

Dla zbliżenia nas do realiów działania z morza generał Kuropieska zaplanował nam dwie dodatkowe przyjemności. Pierwszą miało być załadowanie nas na okręty desantowe i wy-

sadzenie z nich na ląd, na jednym z naszych odcinków wybrzeża, najbardziej do tego dogodnym. Ta przyjemność miała nas spotkać w toku ćwiczenia. Najbardziej do tego przedsięwzięcia dogodnym, z dydaktycznego punktu widzenia, miał być czas po zaplanowaniu naszej operacji, a przed dynamiką.

Druga przyjemność, to jest opłynięcie wysp duńskich na szkolnym okręcie Gryf, miała się odbyć po zakończonym ćwiczeniu, w ramach rekonesansu wybrzeża morskiego, w którym mieliśmy się przekonać, na ile trafne były nasze oceny prowadzone na podstawie opisów geograficznych i map oraz jak realne było nasze planowanie operacyjne.

Ćwiczenie wypadło arcyciekawie. Spotkaliśmy się bowiem z zupełnie nową problematyką, a wielkiego realizmu i odpowiedniego smaczku dodawał udział przedstawicieli Marynarki Wojennej, których bez względu na posiadane stopnie nazywaliśmy ogólnie „matrosami”.

Na nasze szczęście, do desantowania nie doszło, bo marynarze, to jest dowództwo, nie wyrazili na to zgody. Po prostu nie chcieli za nas odpowiadać. Tym bardziej nie mogli takiej odpowiedzialności przyjąć na siebie, że w czasie naszego ćwiczenia przez kilka dni wiał silny wiatr. Nie był rad nasz generał z takiego obrotu sprawy, ale musiał się z tym pogodzić.

Po zakończeniu ćwiczenia w miejscowych koszarach wszelkie dokumenty związane z ćwiczeniem musieliśmy zdać do tajnej kancelarii, aby czasem jakiś „szpargał” nie znalazł się z nami na morzu gdzie, powiedzmy, porwany wiatrem mógł się dostać do strony zachodniej. Ponadto, nakazano nam zdjąć z naszych naramienników dystynkcje. Trzeba dodać, że w owym czasie na mundurach polowych oraz na płaszczach przeciwdeszczowych (zielonych podgumowanych) stosowane były dystynkcje metalowe.

Celem pozbawienia nas dystynkcji było swego rodzaju maskowanie operacyjne, aby obserwujący nas przedstawiciele armii należących do NATO nie byli zaskoczeni, a tym bardziej

wystraszeni, że tak liczne grono, w stosunkowo wysokich stopniach, porusza się po akwenach należących do ich układu.

Przewidywania kierownictwa naszego ćwiczenia były słuszne, bo ledwie opuściliśmy wody terytorialne NRD, a już towarzyszyły nam liczne okręty i samoloty. W pierwszej kolejności Niemiec zachodnich, a potem duńskie. Obserwowali nas z prawej, lewej burty, od strony dziobowej oraz rufy i z lotu ptaka. Zbliżali się prawie do samej naszej burty, płynęli z nami równolegle, to się oddalali, to znowu zbliżali. Po pewnym czasie towarzyszące nam okręty odchodziły, ale natychmiast były zastępowane przez inne, płynące dotąd w niedalekiej od nas odległości i dalej bacznie nas obserwowały.

Dopiero teraz uznawaliśmy za słuszny zabieg polegający na zdjęciu naszych dystynkcji. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy po powrocie do Rembertowa i po wywołaniu filmów oraz zrobieniu odbitek z przepływu morzem zauważyliśmy na naszych naramiennikach stopnie wojskowe.

Tyle starań i zabiegów zrobiliśmy, jak się okazało, na próżno. Należało przypuszczać, że ci co nas tak bacznie obserwowali i robili nam przez cały czas zdjęcia, mają teraz nasze stopnie jak na dłoni. Takie były bowiem wyraźne. Przyczyną takiego stanu rzeczy, jak się okazało, było zastosowanie metalowych pasków i gwiazdek jako dystynkcji. Spowodowały one tak trwałe i głębokie odciski, że na zdjęciach dawały obraz jakby wcale nie były zdejmowane.

Podczas rejsu, przyglądając się morskim falom, z wielkim zadowoleniem wspominaliśmy decyzje marynarzy, którzy się nie zgodzili na nasze desantowanie.

- No moi drodzy, przyszli oficerowie dyplomowani, chcecie w przyszłości planować, organizować i prowadzić tego typu operacje, dowodzić nimi, czy nie? - pyta Sujecki.

- Raczej tak - odpowiada i jednocześnie potwierdza.

- Po to przyszłiście, podobnie jak ja, na studia do ASG WP. A jeżeli tak, to należałoby doświadczyć tego praktycznie i wiedzieć, jak to jest, nie tylko teoretycznie. Teoretycznie albo na

papierze czy mapie, wszystko można zaplanować. Papier, jak powiadają, wszystko przyjmie i w takim teoretycznym planowaniu na ogół wszystko wychodzi. Znacznie gorzej jest wykonać tego typu przedsięwzięcie praktycznie. Najczęściej w takich wypadkach dochodzimy do wniosku, że to nie takie proste jak w teorii. Dlatego też miałbym nic przeciwko temu desantowaniu. Mimo że do Pomorskiego Okręgu Wojskowego, wcale się nie wybieram – zawyrokował nasz Sujecki.

- Tak, tak, ale należy przy tym pamiętać, że wszyscy ci, którzy desantują praktycznie, to zanim do tego dojdą poznają teorię, zasady wykonywania owych czynności – wtrącił Sawicki.

- Masz rację, bo w następnej kolejności prowadzi się treningi na sucho, potem treningi na spokojnej wodzie w porcie i dopiero w następnej kolejności dochodzi do desantowania – dodał kolejny dyskutant.

- No widzicie, a tymczasem my, choć niby wszystko wiemy, to jednak, o ile mi wiadomo, żaden z nas nigdy przedtem w takim desantowaniu nie uczestniczył. Nawet mało kto z nas takie desantowanie obserwował, uczestnicząc na przykład w pokazie – wyjaśniał jeszcze inny dyskutant.

- Trzeba do tego jeszcze dodać, że bardzo często w toku takiego desantowania dochodzi do wypadków – stwierdził następny.

- Co by więc było, gdyby u nas zdarzył się nieszczęśliwy wypadek? – pyta Sawicki.

- A co by miało być? Jesteś oficerem, odbyłeś nie tylko szkolenie w szkole oficerskiej, a potem KDO, masz za sobą wieloletnią praktykę w jednostkach liniowych, a teraz kończysz akademię, to powinieneś, do cholery być na wszystko przygotowany, nie? – Uważam, że z nami wszystko może się zdarzyć i to nie dopiero na wojnie – wtrącił, jakby nieco zdenerwowany Urbańczyk.

- Patrzcie, ten stary Kuropieska ma także wśród nas zwolenników – odezwał się nie zabierający dotąd głosu Majewski.

Widzę, że według niektórych kolegów, podobnie jak i Kuropieski, utopienie kogoś nie byłoby niczym nadzwyczajnym. Po prostu wypadek przy pracy. Ale tak naprawdę, to nikt nie bierze pod uwagę faktu, że akurat mogłoby to spotkać właśnie jego - dodał.

- Oczywiście, że nie biorę takiego przypadku pod uwagę - stwierdził Urbańczyk.

- Umieć pływać, wody się nie boję, a co najważniejsze, jestem sprawny fizycznie i rozumiem, że po wejściu do wody trzeba się kierować w stronę łądu, a nie odwrotnie - żartował.

- Otóż cała filozofia, którą trzeba znać. Chyba, że w grę wchodzi jeszcze dodatkowo niekorzystne warunki atmosferyczne, ale te zawsze są brane pod uwagę - wyjaśnił ostatecznie Urbańczyk.

- W naszym przypadku właśnie te warunki atmosferyczne zadecydowały ostatecznie o tym, że w końcu zrezygnowano z desantowania i tego możemy żałować - dodał jeszcze jeden amator desantowania.

Kilkakrotnie już wspomniałem tu Gierałtowskiego. Otóż był on jednym z najmłodszych słuchaczy na kursie. Do akademii przyszedł ze stanowiska dowódcy kompanii szkolnej, przy czym dowodził nią stosunkowo krótko. Całą swoją służbę zawodową odbył w warszawskim okręgu. Dlatego znacznie lepiej znał generała Kuropieskę niż wszyscy inni. Brak doświadczenia i praktyki w jednostkach liniowych powodowały, że był nieskazony działaniem na błysk, prostolinijny, szczery i niezakłamanym.

W niektórych okolicznościach wykazywał nawet dzieciinną naiwność. Prawdopodobnie dlatego dość często wydawał bardzo śmiałe opinie. Był bardzo prosty w obyciu, ale zdolny i o dużej wyobraźni taktyczno-operacyjnej.

W toku jednego z ćwiczeń, przy zmianie funkcji, został wyznaczony na dowódcę armii. Prawdopodobnie uczyniono to tytułem próby. Dotąd bowiem nie grał na takich funkcjach, bo

nie wierzono, że sobie z tym poradzi. Założono po prostu w tym epizodzie, że dowódca zginął.

W tych warunkach jego pierwszym pociągnięciem na wyznaczonym stanowisku stało się oświadczenie:

- „Odwołuję, ogłoszoną, a jeszcze nie wprowadzoną w życie, decyzję mojego poprzednika. Ogłaszam równocześnie swoją decyzję w tym względzie i nakazuję wprowadzenie jej w życie. Jest ona następująca”: tu, ogłosił swój zamiar i wskazówki wykonawcze.

Przysłuchujący się temu, siedzący pod sosną, zastępca komendanta akademii do spraw naukowych gen. Tadeusz Pióro, który dotychczas nie włączał się w tok naszych rozważań, tym razem nie wytrzymał mówiąc:

- I oto mamy typowe nasze zachowanie. Wszystko dotąd, co zrobił poprzednik jest nieważne, złe. Teraz moje. Ono będzie lepsze - powiedział głośno, ale nie adresował do niego bezpośrednio.

Gierałtowski natomiast, nie biorąc tego wcale pod uwagę, w dalszym ciągu zachowywał się nonszalancko, wprowadzając w życie swoją decyzję.

- Może i dobry byłby dowódca z tego Gierałtowskiego, postępuje bowiem bardzo odważnie. Ale czy to właśnie taki ma być dowódca?... - A jakież z niego będzie oficer sztabu, kiedy on taki bałaganiarz - myślało, jak się okazało, wielu z nas po takim jego zachowaniu.

Niezależnie od ocen wystawianych nam przez nauczycieli akademickich, znacznie surowsi w tej kwestii bywają koledzy. Obojętne, czy się występowało w roli przełożonego, czy podwładnego. W przełożonym każdy z nas pragnął widzieć dobrego organizatora i oficera taktownego, a w podwładnym wydajnego w pracy i uczciwego, godnego zaufania - kolegę wykonawcę.

Jeśli więc idzie o naszego kolegę, to mimo że rozjemcy bezpośrednio nie reagowali na jego poczynania to, poza tym epizodem, nie dopuszczano go do dowodzenia.

Biorąc pod uwagę całość naszych zachowań w czasie studiów, zwłaszcza zaś w toku odbywanych ćwiczeń, to na uwagę zasługuje Urbańczyk. Jako słuchacz i uczeń w ławce był przeciętny, za to na ćwiczeniach, a przede wszystkim na kierowniczych funkcjach zawsze się wyróżniał. Był dla nas autentycznym i niedoścignionym wzorem.

W ogóle to miał ciekawą przeszłość, bo tuż po wojnie znalazł się w kompanii małałatów w Łodzi, która wkrótce została przekształcona w Szkołę Kadetów. Otrzymał tam bardzo dobre przygotowanie do służby wojskowej. Bardzo dobrze to zaowocowało w późniejszej pracy. Przed studiami w ASG WP dowodził samodzielnym batalionem Podhalańczyków w Wadowicach. Jako słuchacz wyróżniał się jasnością przewidywań rozwoju sytuacji taktyczno-operacyjnych, kojarzeniem zjawisk, trafnymi ocenami i poprawnością wnioskowania. Wykazywał też nieprzeciętne zdolności organizacyjne i odwagę.

Jego śmiałe rozwiązania drażniły niektórych nauczycieli i dlatego patrzyli na nie „z ukosa”. Najbardziej jednak zapamiętano mu zabiegi o awans dla siebie i kolegów oraz o zapewnienie odpowiednich funkcji dla KBW-iaków po ukończeniu akademii. Co prawda jego troska była uzasadniona. Uważał bowiem, przy przejściu KBW w podporządkowanie MON (1965 r.), iż zostaną potraktowani po macoszemu, zwłaszcza w kwestii awansów, które akurat w następnym roku przypadły jemu i Kalskiemu. W porozumieniu z kolegami zabiegał więc o spotkanie z zastępcą dowódcy KBW ds. politycznych ppłk Czapłą. Starania zostały uwieńczone powodzeniem. Doszło bowiem nie tylko do spotkania ale i do awansu Urbańczyka.

Za owe zabiegi kadra akademicka, mimo bardzo dobrych wyników w nauce, dość sceptycznie oceniała perspektywy jego rozwoju.

Na przełomie czerwca i lipca 1966 r. odbyliśmy ćwiczenie szkioletowe, które było uważane za najwyższego rzędu przedsięwzięcie dydaktyczne w akademii, bo najbardziej zbliżało do wojsk oraz realiów współczesnego pola walki.

Po jego zakończeniu odbył się w lesie pod sosnami, uroczysty obiad. Stoły ustawione w podkowę, nakryte obrusami i platerami, przywiezionymi specjalnie na tę okoliczność z Warszawy.

- Takiej zastawy nie powstydziliby się niejeden, całkiem dobry lokal w Warszawie - mówiliśmy widząc oprawę naszego obiadu.

Menu obejmowało znakomitą przystawkę w postaci porcji śledzia po japońsku z maselkiem, potem zupa grochowa, o średniej gęstości z boczkiem i kiełbaską oraz majerankiem - pycha. A na drugie potężny kotlet schabowy z porcją ziemniaków i jarzynką. Podano także kompot, a na deser ciastko. Wszystko to zakrapiane wyborową, po sto gram na głowę.

Komendant w bardzo krótkim wystąpieniu podziękował nam za włożony wysiłek i życzył, aby całość naszych ćwiczebnych zmagani zapewniła nam w przyszłości swobodę działania na wyznaczonych stanowiskach, na które niebawem zostaniemy skierowani.

Dziękował również zespołowi autorskiemu za stworzenie nam wielu ciekawych sytuacji, jako pożywki dla naszych rozważań; kierownictwu ćwiczenia - za jego sprawne przeprowadzenie, a pododdziałom za zapewnienie nam, ćwiczącym, dobrych warunków pracy oraz bytowania w warunkach polowych.

Były toasty. Kilku wykładowców zabrało głos. Zapamiętałem jedynie ppłk. Burdzego, który opowiedział dowcip i wszystkich potrafił nim rozśmieszyć, z komendantem włącznie.

## NIE TYLKO SZTUKA OPERACYJNA

Z dotychczasowych rozważań o III roku studiów czytelnik może odnieść wrażenie, że oprócz ćwiczeń niczego w tym roku nie było. Ćwiczeniom poświęciłem wiele uwagi, bo pochłaniały one nie tylko lwią część naszego czasu, ale dostarczały tylu emocji, że głęboko zapadły w naszą pamięć.

Było również wiele innych przedmiotów, zarówno nowych, występujących na III roku, jak i kontynuowanych od I roku i absorbujących naszą uwagę. Do nich należy zaliczyć takie, jak: geografia wojenna, ekonomika wojenna, doktryny polityczno-militarne oraz wojskowe prawo administracyjne i wojenne.

Każdy z nich budził zainteresowanie, ale studiowanie go wymagało czasu, którego deficyt odczuwaliśmy. Za przykład może służyć geografia wojenna. Z tego przedmiotu odbywaliśmy przede wszystkim seminaria. Do każdego z nich należało przestudiować stertę skryptów. Zagadnienia do seminarium uzupełnione były zestawem skryptów obejmujących ów materiał.

Jeśli do zagadnień nie można mieć zastrzeżeń, to owe skrypty nie grzeszyły solidnością opracowania. Były przede wszystkim produkowane na „objętość”. Dlatego też kolejne pokolenia słuchaczy podkreślały w nich najbardziej istotne treści. Ponieważ jednak i zagadnienia seminaryjne ulegały zmianie i oceny ważności treści bywały różne, to prawie cały zawarty w skryptach materiał, po kilku latach był podkreślony.

W naszej grupie część tych seminariów prowadził ppłk dypl. Falkiewicz, a pozostałe ppłk dypl. Miękus (specjalizacja). Obaj wykładowcy byli doskonali, ale więcej emocji towarzyszyło zajęciom ppłk. Miękusa. Zauważyliśmy, że to oficer o bardzo szerokich zainteresowaniach. Z wielką swobodą poruszał się w problematyce polityczno-społecznej, sportowej, a nawet przyrodniczej. Potrafił na przykład znajdować w terenie rośliny endemiczne, swobodnie posługiwał się kluczem do

określania roślin Rostafińskiego. Znał się na sporcie i wielu innych dziedzinach nauki i kultury.

Ponadto posiadał dużą łatwość wymowy i był doskonałym gawędziarzem i przewodnikiem. Często w czasie przejazdów autokarami opowiadał ciekawostki geograficzne, historyczne i ekonomiczne związane z danym terenem.

W toku jednego z seminariów, które dotyczyło przejść w Alpach, jako pierwszy zabrał głos kolega Król, który przed akademią, pracując w naszym ataszacie w Jugosławii był również w Alpach. Jego referowanie stało się wyjątkowo ciekawe i słuchaliśmy tej wypowiedzi z wielką przyjemnością. Prowadzący seminarium nie przerywał mu. Tak doszło do przerwy, na której Miękus zagadnął Szyfersa, swojego znajomego sprzed lat:

- Nie będę pańskiemu koledze przerywał. Mówi ciekawie, ale chyba jest trochę zarozumiały, a co najmniej zbyt pewny siebie. Zobaczmy, na ile czasu starczy mu tych wiadomości.

- Może to robi takie wrażenie, ale uważam, że mój szanowny kolega Król nie jest zarozumiały. Jest po prostu bardzo zdolnym oficerem, posiadającym dużą wiedzę - wyjaśniał Szyfers.

- No dobrze, zobaczymy na ile tej wiedzy mu starczy? Jeśli się nie będzie powtarzał, a mówił tak ciekawie jak dotąd, to ja nie będę przeszkadzał i przerywał jego wypowiedzi. - Niech sam zakończy swoje wystąpienie.

Tymczasem Włodek ciekawie referował całą następną godzinę seminarium, a później jeszcze jedną i w ten sposób był jedynym referentem na trzygodzinnym seminarium. Podziwialiśmy wraz z Miękusem jego znajomość Alp, zwłaszcza bardzo ciekawie przedstawioną charakterystykę przełęczy, jakoś dróg, ich szerokość, kąty nachylenia wzniesień oraz długości odcinków tych wzniesień. Przede wszystkim przepustowość owych dróg zarówno w okresie zimy jak i latem. Ogromnie barwnie i plastycznie - „malując słowami” przedstawiał obraz ich oto-

czenia. Godne uwagi było również krasomówstwo naszego szacownego kolegi.

Na zakończenie, zamiast podsumowania, Miękus serdecznie mu podziękował, gratulując jednocześnie wspaniałego przedstawienia problematyki naszego seminarium i wyjątkowo ciekawie prowadzonej narracji.

- Ja się z tego wystąpienia także wiele dowiedziałem - oświadczył na zakończenie.

- Ależ ten Król jest zdolny - mówili niektórzy koledzy.

Ciekawym przedmiotem była ekonomika wojenna, w ramach której mieliśmy poznać zależności między gospodarką kraju a liczebnością i jakością sił zbrojnych oraz między potencjałem ekonomicznym a możliwościami prowadzenia wojny. Problematykę przedmiotu uważaliśmy za istotną dla naszej profesji i podchodziliśmy do niej z całą powagą, aczkolwiek przeznaczono na nią skąpą liczbę godzin.

Prowadziło ją z naszym kursem dwóch nauczycieli akademickich. Jednym był szef Katedry Ekonomii ppłk dr hab. Beczkiewicz, a drugim ppłk dr Bijak.

Wykłady, których bardzo chętnie się słuchało, prowadził tylko szef katedry. Było ich zaledwie kilka i stanowiły jedynie wprowadzenie do problematyki przedmiotu. Główną formą nauczania, podobnie jak geografii wojennej było więc samodzielne studiowanie oraz seminaria, które pogłębiały i utrwalały wiedzę zdobytą samodzielnie.

Owe seminaria prowadziło dwóch wyżej wymienionych wykładowców. W mojej, czwartej grupie, prowadził Bijak, którego główną profesją, podobnie jak ppłk. dr. Czajora, była ekonomia, ukończona na Uniwersytecie Warszawskim. Ekonomikę wojenną prowadził natomiast jako świeżo „ożeniony” z przedmiotem nowicjusz. Bardzo się starał być „akuratnym”, ale w wielu kwestiach wyczuwało się jego niepewność. Tak było na przykład przy dyskusowaniu kwestii „konwersji przemysłu hi-

tlerskich Niemiec oraz Związku Radzieckiego", w których nie potrafił zająć zdecydowanego stanowiska.

Bardzo nas jednak ujął szczerym przyznaniem się, że w tej materii nie siedzi jeszcze zbyt głęboko. Postanowił zarazem, że wrócimy do tej kwestii na kolejnym seminarium. Bywało i tak, że już na przerwie konsultował problem z przełożonym i potem wyjaśniał.

Szef katedry płk dr hab. Beczkiewicz był doskonałym dydaktykiem, nie mówiąc o merytorycznej stronie prezentowanego przedmiotu, w której tkwił i którą systematycznie zgłębiał. Dlatego też już od pierwszego wykładu zyskał naszą sympatię. Jeszcze większą zaskarbił sobie u tych, z którymi prowadził seminaia.

Należał do nauczycieli, którzy w skondensowanej formie potrafili przekazać duży ładunek wiedzy. Ponadto był otwarty i szczerzy w kwestii podejścia do słabości naszej ekonomii. Nie ukrywał jej niedostatków. Tym również sobie zaskarbił duże uznanie i wysoki autorytet wśród naszej zbiorowości.

Do ważnych należały też doktryny polityczno-militarne, które jako przyszli oficerowie dyplomowani pragnęliśmy poznać. Natomiast czasu było niewiele. Prowadził je ppłk mgr Bujniewicz – weteran ostatniej wojny, (frontowy kierowca 1 DP im. Tadeusza Kościuszki), który w późniejszej służbie awansował w stopniach i na stanowiskach. W międzyczasie zaocznie ukończył studia w Wojskowej Akademii Politycznej, po czym skierowano go do pracy dydaktycznej w ASG WP.

Był wysokim, potężnie zbudowanym i łysiejącym blondynem o niebieskich oczach. Na jego twarzy ciągle malował się uśmiech. Ponieważ w nasze nauczanie wkładał dużo serca i – według naszej oceny – był to „swój chłop” zarówno w toku prowadzonych wykładów jak i seminariów, a przede wszystkim w czasie egzaminu. Dlatego starszy kursu – Antoszkiewicz wraz z Tomaszewskim – naszym sekretarzem, postanowili za-

akcentować zrozumienie kolegów dla jego wysiłku. Zaprosili go na zakrapiany obiad.

O takim wyborze formy, najprawdopodobniej zdecydował fakt, że Bujniewicza często widywano na „Górcie”. Nawet ja znalazłem się pewnego razu z nim przy stoliku. Miałem wtedy okazję stwierdzić, że jest on oficerem pełnym wigoru i wesołości, dowcipnym i kontaktowym.

Jakkolwiek nie stronił od życia towarzyskiego i „nie wylewał za kołnierz”, to przyczyną częstego przebywania w naszej kawiarni był między innymi fakt, że jego żona, wyjątkowo urodziwa pani Jadzia, była tam kierowniczką.

Bardzo obszerną, a jednocześnie interesującą problematykę, obejmowała historia sztuki wojennej. Na ten przedmiot przeznaczono pokaźną liczbę godzin i zastosowano w nim całą gamę form nauczania. Od wykładów, poprzez seminaria, podróże polowo-historyczne, zajęcia grupowe, po końcowy egzamin włącznie.

Katedra Historii Sztuki Wojennej pod kierownictwem gen. bryg. Stanisława Okęckiego oraz jego zastępcy płk. dr. hab. Emila Jadziaka posiadała liczny zespół wykładowców. Wykłady prowadzili: gen. Okęcki, płk Jadziak oraz płk dr Antoni Karpiński. Pozostali – seminaria, a także zajęcia grupowe w toku podróży historyczno-polowych oraz prelekcje w miejscach bitew, przy okazji odbywanych ćwiczeń taktycznych i operacyjnych.

Do wymienionych wyżej form i metod nauczania należy dodać informacje historyczne wygłaszane przez kilku z oficerów tej katedry w autokarach w czasie przejazdów przez miejscowości upamiętnione w historii.

Czasu przeznaczano na historię sztuki wojennej dużo, ale znacznie więcej trzeba go było poświęcić na przygotowanie się do zajęć w ramach tego przedmiotu. Największą zaletą tych

zajęć było zaszczepienie nam chęci ciągłego poszukiwania wiedzy z tego zakresu po zakończeniu studiów.

Takich, którzy tę wiedzę zgłębiali po zakończeniu studiów było wielu, a dla przykładu można wymienić chociażby Urbańczyka, który zadziwiał swoich podwładnych w 7 DD, 8 DZ oraz w sztabie WOW, w toku odbywanych z nimi podróży, znajomością historii wojen, a przede wszystkim przebiegu bitew na terenie Polski. Wielką zasługą nauczycieli tego przedmiotu było również przekonanie nas, że znajomość historii wojen jest ogromnie przydatna zarówno w toku zdobywania wiedzy i umiejętności operacyjno-taktycznych, jak i przy planowaniu oraz realizacji zadań z tego zakresu. O podróżach polowo-historycznych mówiliśmy już wcześniej.

Kolejnym nowym przedmiotem, bo występującym dopiero na III roku, aczkolwiek zaliczanym, było wojskowe prawo administracyjne i wojenne. Nie trzeba było zdawać z niego egzaminu. Jednakże oprócz wykładów były tu również seminaria, do których przecież należało się przygotować. Choć nie tak wiele jak inne przedmioty, ale również zabierało sporo naszego czasu.

Do przedmiotów zaliczanych na trzecim roku należały jeszcze: armie obce, metodyka szkolenia, mobilizacja oraz podobnie jak w latach poprzednich - wychowanie fizyczne i wyszkolenie ogniowe.

Armii obcych uczyliśmy się od pierwszego roku, podobnie jak rozpoznania wojskowego, ale dopiero na trzecim roku był to przedmiot wyodrębniony i przeznaczony do zaliczenia.

Podstawowymi formami nauczania tego przedmiotu były wykłady, które zawsze wyprzedzały określone cykle tematyczne z taktyki i sztuki operacyjnej. Po wykładzie, ale jeszcze przed rozpoczęciem ćwiczenia, prowadzono z nami repetycje, a po ćwiczeniu - seminarium.

Na drugim roku w podobny sposób studiowaliśmy szczebel zachodnich dywizji zmechanizowanych i pancernych, a na trzecim – problematykę korpusu. Niezależnie od tego, na każdym ćwiczeniu trzeba było wykazać się nie tylko znajomością organizacji wojsk przeciwnika, ale i zasad jego działania. Dopiero oceny z repetycji oraz seminariów i odbytych ćwiczeń, zwłaszcza po stronie zachodniej, dawały podstawę do zaliczenia przedmiotu.

W moich grupach uczyli tacy wykładowcy, jak: na I roku mjr dypl. Kołodziejczak, na II – ppłk dypl. Szczerbowski i na III ppłk dypl. Szymański. Każdy z nich „przewinął” się przez II Zarząd Sztabu Generalnego, a niektórzy nawet przebywali za granicą. Katedrą kierował płk Piszczał.

Szymański wyróżniał się doskonałą pamięcią oraz precyzyjnym wyrażaniem myśli. Oficer średniego wzrostu, zawsze starannie ubrany, rudawy blondyn o niebieskich oczach z kędzierzawą czupryną zaczesaną w przedziałek na lewym boku. Podobnie jak precyzyjnie dobierał słowa, tak pewnie i precyzyjnie wymierzał kroki, przechodząc się po sali w czasie prowadzenia zajęć. Z owej trójki był najbardziej wymagający.

Metodykę szkolenia taktycznego prowadzili oficerowie z Zakładu Dydaktyki Wojskowej który został przekształcony w latach późniejszych w Instytut Dydaktyki Wojskowej. Kierował nim płk dr hab. Jerzy Zakrzewski. W podległym mu Zakładzie występowały dwie specjalności. Jedną z nich zajmowała się nauczaniem metodyki szkolenia taktyczno-operacyjnego, to jest na I i II roku. Natomiast w ciągu trzeciego roku zapoznawano nas z planowaniem szkolenia wojsk, od szczebla najwyższego aż do oddziału włącznie. Wykładowcami w tej specjalności byli: płk dypl. Roman Sielecki oraz mjr dypl. Stefan Drozd.

Kolejną specjalnością tego zakładu była wspomniana już wcześniej problematyka pedagogiki, dydaktyki oraz psycholo-

gii. Reprezentowali te dyscypliny tacy wykładowcy, jak: mjr mgr Sidor, mjr mgr Ruszel oraz ppłk dr Wasilewski. Pierwszy z nich, zdobywając tytuły naukowe i awansując w stopniach, po kilku latach został przeniesiony do Wojskowej Akademii Politycznej i po niedługim czasie mianowany zastępcą komendanta akademii do spraw naukowych.

W ramach „mobilizacji” poznawaliśmy system powoływania rezerw i uzupełniania stanów osobowych w oddziałach.

O wychowaniu fizycznym i wyszkoleniu ogniowym mówiliśmy wcześniej.

Oddzielnym problemem w naszych zajęciach, pochłaniającym czas, aczkolwiek dostarczającym niezbędnej wiedzy przyszłym oficerom dyplomowanym, była taktyka rodzajów wojsk i służb. Nie mniej ważna od taktyki i sztuki operacyjnej.

Każda z odnośnych katedr, podobnie jak na I i II roku, prowadziła wykłady potem repetycje, zajęcia grupowe w ćwiczeniach głównych, seminarium, jeśli nie było repetycji i wreszcie, rozłożone w pewnych odstępach czasu, w drugim półroczu trzeciego roku - kolokwium.

Kolokwium ze sztuki operacyjnej mieliśmy tylko jedno, a nie jak na szczeblu taktycznym - dwa w każdym roku. Obejmowało ono całość materiału przerabianego w ciągu roku; zarówno więc materiał dotyczący operacji zaczepnej, jak i operacji obronnej armii ogólnowojskowej, a także armii pancernej oraz powietrzno-morskiej operacji desantowej. Kolokwium było swego rodzaju podsumowaniem naszej pracy, a przede wszystkim sprawdzianem stopnia opanowania wiedzy i umiejętności z tego zakresu. Było też doskonałym przygotowaniem i treningiem do egzaminu państwowego.

Ponieważ było nas w grupie zaledwie siedmiu, to Janda, mimo że doskonale znał nasze możliwości, nie szczędził czasu i wysiłku na tak zwane „rzeźbienie”. To bardzo trafne określe-

nie na bardzo dokładne wymagania. Kształtowało bowiem nie tylko naszą wiedzę i umiejętności, ale i charaktery. Wychodziliśmy od niego niczym pościel z magła. Nikogo nie odesłał na tak zwany „krąg”, to jest do poprawki, bo nie dość, że mieliśmy „nabite” ręce i głowy, pracując solidnie nad każdorazowym przygotowaniem się do zajęć grupowych, to i na przygotowanie się do kolokwium poświęciliśmy niemało naszych starań. Niczym nas nie mógł zaskoczyć nasz Janda. Może dlatego, że jednocześnie bardzo się starał, aby w toku kolokwium, podobnie zresztą jak przy każdym innym spotkaniu, panowało między nami partnerstwo.

Bardzo dużo wymagali od nas wykładowcy z katedry WRiArt.

W terenie naszymi rozjemcami z tego zakresu byli przede wszystkim tacy wykładowcy, jak: mjr dr Tadeusz Krzemień, ppłk dr Julian Kaczmarek – przyszli profesorowie, ppłk dr Stanisław Lewandowski, ppłk dypl. Kazimierz Gocyla, ppłk dypl. Kaganiec, ppłk dr Siwiński, ppłk dypl. Majchrzak i mjr dypl. Moll.

- Że też to nie przypadło zdawać nam tego kolokwium u Krzemienia – mówiliśmy o tym nauczycielu w pewnym okresie.

- Taki z niego cichutki i grzeczny facet, a przede wszystkim bardzo rzeczowy. Zwraca uwagę na zagadnienia istotne, nie zajmuje się drobiazgami, które na pewno są także ważne, ale zwłaszcza dla „rasowych” artylerzystów – myślałem sobie.

Podstawą do takiego rozumowania był fakt, że na jednym z ćwiczeń dowódczo-sztabowych, gdzie wraz z Tadeuszem Urbańczykiem przypadło mi ćwiczyć na funkcji artylerzysty, mieliśmy za rozjemcę Krzemienia. Napracowaliśmy się ogromnie, dbając nie tylko o poprawne wykorzystanie wojsk rakietowych i artylerii ale i prowadząc niezbędną – jak nam się wydawało i jak nam poradzili koledzy artylerzyści – kalkulacje.

Tymczasem Krzemień, przyszedłszy do nas wieczorem, zapoznał się z dotychczas wykonaną przez nas pracą. Pochwalił za to, co zostało wykonane, ale jednocześnie wskazał, że następnego dnia w polu, nie będzie wymagał owych szczegółów i polecił skupić się na taktyczno-operacyjnym wykorzystaniu podległych nam wojsk. Następnego dnia zadawał bardzo konkretne i jasne pytania. Byliśmy więc z tego kierowania bardzo zadowoleni. Zyskał u nas duże uznanie.

Innym razem, kiedy grałem dowódcę armii, a rozjemcą przy wojskach raketowych i artylerii był płk dr Kaczmarek, doszło do pewnego zadrażnienia z podległym mi szefem WRiArt. Chodziło o jakieś przekroczenie normy zużycia amunicji do obezwładnienia nieprzyjaciela. Miał też inne niż ja zdanie co do użycia artylerii w określonym zadaniu. Dość długo mu wyluszczałem o co mi idzie, a ten z wielkim uporem przytaczał mi przepis odpowiedniej instrukcji. W końcu powiadam mu:

- Słuchaj no drogi kolego. To wojska raketowe i artyleria wspierają i zabezpieczają działanie wojsk armii, a nie odwrotnie. Tym bardziej, że w tej sytuacji nie mam innej możliwości rozbijania przeciwnika. W tym czasie i w tym miejscu jest mi potrzebne takie nasilenie ognia. Potem, być może, że nie będziecie mieli czym strzelać, ale tu, i teraz, trzeba dać go tyle, ile żądam.

Przysłuchiwał się temu, stojąc nieopodal za moimi plecami Kaczmarek i kiedy to wypowiedziałem, tak zdecydowanie obrócił się na pięcie - i jak mnie poinformowano - odszedł.

- No, mój drogi wodzu... Teraz uważaj... Dobierze ci się do skóry ten Kaczmarek za takie traktowanie artylerii i wojsk raketowych - oznajmił jeden z kolegów ogólnowojskowych.

- Właśnie tego wszystkiego, co wyjaśniałeś artylerzyście, wysłuchał, i nic nie mówiąc, odwrócił się i odszedł po tych twoich twardych żądaniach - dodał kolega.

Tak bardzo źle widocznie tego nie przyjął Kaczmarek, przyszedł profesor, bo nie tylko, że mnie nie napiętnował w cza-

sie omówienia, ale przeciwnie, podkreślił moje słuszne, aczkolwiek nietypowe żądanie.

Oddziałem, który powszechnie nazywano fakultetem - artylerii, kierował płk prof. Edward Petrykowski. Natomiast szefem katedry Wojsk Rakietowych i Artylerii był w owym czasie płk prof. Józef Stachowski.

Z Katedry OPL bardzo dobrze zapamiętaliśmy, aczkolwiek nie prowadził z nami zajęć, mjr dypl. Mirowskiego - kierownika grupy. Na ćwiczeniach dowódczo-sztabowych, w których również uczestniczyli słuchacze przeciwlotnicy, Mirowski zbierał od czasu do czasu swoich podopiecznych i rozwiązywał z nimi dodatkowo zagadnienia dotyczące ich specjalności. W tej grupie był między innymi Edward Gruszka, z którym byłem zaprzyjaźniony.

Najczęściej bywało tak, że po zakończeniu rozważań na punkcie pracy w terenie wracaliśmy do samochodów czy autokarów, aby odjechać, a oni w najlepsze prowadzili swoje dyskusje pod wodzą swojego kierownika grupy.

Dlatego też potem żartowałem i dokuczałem swojemu koledze, mówiąc:

- Powiedz mi, jak to jest, że kiedy my wracamy do swoich pojazdów, to wy jeszcze pracujecie? Czy ta wasza grupa jest tak ograniczona i odporna na wiedzę, że Mirowski musi nad wami tyle pracować, czy też on jest taki nadgorliwy i tyle was męczy?

Dokuczaliśmy także przeciwlotnikom z powodu stosowanych przez nich znaków taktycznych:

- Wam to dopiero dobrze. Do pracy na mapie to wy nawet linijki dowódczej nie potrzebujecie. Wystarczy wam dziesięciogroszówka i przy jej pomocy możecie całą mapę zamalować tymi swoimi bateriami.

Taktykę lotnictwa wsparcia prowadził z nami ppłk dypl. Sajak. Był oficerem, który się wywodził z wojsk lądowych (piechoty), a do lotnictwa na kurs nawigatorów trafił w latach 50., kiedy i w lotnictwie powstało wielkie zapotrzebowanie na kadry. Był to oficer ogromnie szlachetny, delikatny i spokojny. Posiadał równocześnie duże doświadczenie dydaktyczne, co pozwalało mu bardzo ciekawie prowadzić zajęcia. W wypowiedziach zwięzły i zwięzłości wymagał również od nas, słuchaczy. O ile pamiętam był jedynym, który kolokwium prowadził w formie pisemnej.

- Kto napisze słabo, będzie musiał poprawiać ustnie - powiedział nam, udzielając wytycznych do przygotowania się do kolokwium.

Taka forma prawdopodobnie znacznie mu ułatwiła i uprościła przyjęcie owego kolokwium na całym kursie. Czytał sobie nasze prace wieczorami i oceniał. Moja grupa zupełnie dobrze napisała, bo nikt nie musiał chodzić do poprawki.

Jak wspomniałem na ćwiczenia dowódczo-sztabowe w terenie jeździli z nami również nasi koledzy - słuchacze z wydziału lotniczego. Bardzo nas to zbliżało, a przede wszystkim umożliwiało głębsze, dokładniejsze poznanie reprezentowanej przez obie strony profesji oraz swoich indywidualnych umiejętności. Przy tej okazji mieliśmy możliwość poznania wielu ich przełożonych i nauczycieli, którzy nierzadko bywali i naszymi rozjemcami.

Taktyka tyłów występowała w naszym programie przez całe trzy lata, ale kolokwium zdawaliśmy z niego tylko na drugim i trzecim roku. Na drugim roku przyjmował go od naszej grupy, bo i prowadził zajęcia grupowe w ćwiczeniach głównych - ppłk dypl. Dawidowicz. Był to oficer spokojny, średniego wzrostu o semickich rysach twarzy oraz bardzo ciemnym zarostie. Zarost był tak silny, że nawet tuż po starannym wygoleniu jego twarz była ciemnosina.

W naszym pojęciu Dawidowicz był nauczycielem bardzo wymagającym, małomównym i zamkniętym. Nigdy z nami nie rozmawiał – nazwijmy to – prywatnie, nie wdawał się z nami w pogawędki, na przykład w czasie przerwy. Pozostawał w klasie i milcząc siedział przy swoim katedralnym stole. Wytworzył wokół siebie taką atmosferę, że nie zdarzyło się nigdy, aby któryś z nas próbował go o cokolwiek zapytać. Woleliśmy szukać odpowiedzi na nurtujące nas pytania u innych wykładowców tej katedry.

- Całe szczęście – mówiliśmy sobie – że jego nie wyznaczają na rozjemcę w ćwiczeniach dowódczo-sztabowych w terenie.

Bowiem ci, którzy z nami jeździli w teren, byli bardziej przystępni. Właśnie dlatego, że w tych wyjazdach nie uczestniczył, otrzymał od nas przydomek „teoretyka”. Prawdopodobnie nigdy nie był w linii i nigdy nie parał się praktycznym zapatrzeniem wojsk, choćby na ćwiczeniach. Jeśli natomiast miał gotowe rozwiązanie w postaci opracowania metodycznego, w ćwiczeniach grupowych, to potrafił wszystko tam wyczytać i skrupulatnie nas z tego rozliczać.

- Czy my nie za surowo oceniamy tego Dawidowicza? – stawialiśmy niekiedy pytania.

Na trzecim roku, w taktyce tyłów, podobnie zresztą jak w wszystkich przedmiotach, otrzymaliśmy zupełnie dotąd nieznanych nam wykładowców. Podobnie jak w pozostałych przedmiotach, wykłady prowadził szef katedry gen. Dudek albo jego zastępca płk dr Litwa. Dla mnie ciekawsze były wykłady Litwy niż generała. Najczęściej spotykaliśmy się z takimi oficerami tej katedry, jak: płk dypl. Leć, płk dypl. Lisowski, ppłk dypl. Starecki, ppłk dr Wójtowicz i mjr dypl. Bobryk oraz płk prof. Felicjan Wiśniewski, występujący w roli doradcy szefa katedry.

W pierwszym półroczu zajęcia grupowe prowadził z nami płk Leć. Był to chyba jeden z najstarszych wiekiem oficerów frontowych, krępej budowy i niskiego wzrostu brunet o ciem-

nej karnacji. Dał się nam poznać jako człowiek rzetelny i prostolinijny. Do każdego zajęcia był doskonale przygotowany i bardzo się starał nauczyć nas problematyki, którą prezentował.

Pewnego razu, w czasie zajęcia grupowego, ten zacny oficer zapytał Włodka Króla - co powinien zawierać jakiś tam dokument tyłowy, opracowywany w formie - jak się wyraził - „tekstualnej?” Na to Włodek, słabo przygotowany i nie orientujący się w materii, zamiast odpowiadać powiada:

- Obywatelu pułkowniku, krew mnie zalewa - przepraszam za wyrażenie - jak słyszę i spotykam w opracowaniach akademickich stworzonych przez zacnych naszych nauczycieli, takie dziwolągi językowe jak „tekstualny!”

Rozwodził się jeszcze długo nad kwestiami poprawności języka, a wykładowca tym jego wystąpieniem został tak zbity z pantałyku, że już do przerwy nie wyegzekwował odpowiedzi. Natomiast Włodek w czasie przerwy pozaglądał do odpowiednich skryptów, popytał nas i po przerwie referował nie-najgorzej.

Niektórzy z kolegów mieli wyjątkowe zdolności do takiego wprowadzania wykładowców „w maliny”, albo jak to się też nazywało wyprowadzenie „w pole”, jeśli znaleźli się w sytuacji „podbramkowej”. Jednakże za najlepszego w tym względzie uchodził jeden z KBW-iaków (Zdzichu O.).

Było to jednak niczym, w porównaniu z wybiegami, do jakich doszli w kilka lat później, nasi następcy - słuchacze. Zdarzyło się na przykład, że jednego roku (choć nie jestem pewien, czy był to wypadek pojedynczy), kiedy mieli oni zdawać trudne kolokwium, przygotowali pomieszczenie do zdawania w internacie. Nauczyciel, po pewnych oporach, wyraził zgodę. Trzeba do tego dodać, że znali skłonność nauczyciela do obfitych posiłków. Na dodatek celowo zaplanowali czas rozpoczęcia kolokwium tak, aby nie mógł skorzystać z posiłku na „Górcę”.

- Nie, tak wcześnie, to nie rozpoczniemy, bo przedtem będą musiał coś zjeść - mówił nauczyciel.

- Obywatelu pułkownika, myśmy to przewidzieli i dlatego jest już zamówiony posiłek dla obywatela pułkownika w bufecie, który właśnie mieści się tam, w bloku 14. - odpowiada na to starszy grupy.

Wykładowca nieco się opierał, ale uległ przede wszystkim w trosce o efektywne wykorzystanie czasu. Tymczasem w bufecie była zamówiona nie jedna, a kilka małych golonek, które trzymane były pod parą. Do goloneczek przewidziano pieczywo, herbatkę jak również zarezerwowano kilka butelek piwa, które golonce miały najbardziej odpowiadać.

Na przybywającego nauczyciela, przed wejściem do bloku 14. oczekiwał wyznaczony słuchacz, wysoki, w wyjściowym, czystym i odprasowanym mundurze, jego zadaniem było pilotowanie wykładowcy.

Kiedy oczekiwany nauczyciel zjawił się w pobliżu wejścia, słuchacz podszedł do niego energicznie i zameldował, jakie ma zadanie do wykonania.

- Dziękuję wam poruczniku - powiedział nauczyciel, podając jednocześnie rękę słuchaczowi wyprężonemu jak struna.

- A gdzie to się ma odbyć? - znowu zapytał.

- Zaraz będziemy na miejscu - meldował słuchacz.

Teraz maszerowali obaj, słuchacz pół kroku z tyłu, z lewej strony wykładowcy.

Na korytarzu oczekiwał starszy grupy z grupą, która spostrzegłszy nadchodzących ustawiła się w dwuszeregu. Starszy grupy podał odpowiednie komendy, następnie wyszedł na spotkanie i zameldował grupę gotową do zdawania kolokwium.

- Dziękuję - powiedział nauczyciel, podając mu rękę.

- Jeszcze raz muszę zapytać, gdzie to się ma odbyć?

- O tu, obywatelu pułkownika - starszy grupy wskazał na drzwi pomieszczenia, a następnie je otworzył.

Obaj weszli do środka, pozostawiając grupę na korytarzu. W niewielkim pomieszczeniu pośrodku ustawiony był stół na-

kryty zielonym suknem, przy nim krzesło dla nauczyciela oraz drugie, po przeciwnej stronie, dla zdającego.

- Melduję obywatelu pułkownikowi, że tak właśnie zostało przygotowane pomieszczenie. Tu również zostanie za chwilę podany posiłek, który jest już „pod parą”. To dlatego, aby nie tracić czasu na chodzenie do bufetu, a przede wszystkim na stanie tam w kolejce - meldował starszy grupy.

- No dobrze, bardzo mi się podoba miejsce. Sądzę, że w takim pomieszczeniu będziecie lepiej zdawać niż by to miało miejsce w sali grupowej. Zaraz ja tu sobie rozłożę bilety z pytaniami.

Mówiąc to, wyciągał równocześnie ze swojej teki notatki i bilety z pytaniami. Rozkładał je na suknie, pojedynczo treścią zwrócone do zielonego sukna. W toku tej krótkiej wymiany zdań przyniesiono golonkę z chrzanem, ale była również musztarda, bo nie wiadomo było jakie są w tym względzie upodobania konsumenta. Znalazło się również pieczywo, herbata, butelka piwa oraz szklanka.

- Proszę bardzo, smacznego! - Zachęcał starszy grupy.

Ponieważ nauczyciel był głodny, a z natury łakomy, więc nie marnując czasu oraz by nie ucierpiała świeżość golonki, przystąpił do konsumpcji. Jedząc zachwycał się doskonale przyrządzoną golonką, a popijał nie herbatą, a piwem, które starszy grupy nie omieszkał nalać do szklanki.

Po konsumpcji rozpoczęło się kolokwium. Najtrudniej było przebrnąć przez niego pierwszej dwójce słuchaczy, wytypowanej i niemal zmuszonej przez grupę do takiej kolejności. Uważano ich za najlepiej przygotowanych. Był również trzeci i czwarty wytypowany, jednakże tej drugiej dwójce posłużyło szczęście. Bowiem po godzinie, kiedy zakończył zdawanie drugi z kolei słuchacz, nauczyciel zmuszony potrzebą wywołaną przez spożycie moczopędnego napoju wyszedł do toalety. Wtedy słuchacze wtargnęli do pomieszczenia, podejrzeli pytania, każdy postarał się zapamiętać nie tylko treść ale i położenie pytania, aby na nie trafić. Sprawność owego zabiegu była wiel-

ka, bo starszy grupy ustalił i zapowiedział, że każdy z nich ma prawo podjąć tylko jeden bilet, przeczytać, odłożyć i do niego się przygotować.

Po powrocie nauczyciela powstał pewnego rodzaju kłopot, bo wytypowana dwójka również chciała mieć odrobinę czasu na przygotowanie odpowiedzi na wybrane teraz pytania. Jednakże i tu znaleziono wyjście. Do pomieszczenia wniesiono prawie natychmiast następną golonkę i kolejną butelkę piwa. Nauczyciel miał pewne opory. Jednakże piękny wygląd małej golonki, a przede wszystkim wilczy apetyt i tym razem wpłynęły na decyzję. W tym czasie następny w kolejce słuchacz osiągnął pełną gotowość do zdawania.

W toku jego odpowiedzi wywiązała się szeroka dyskusja. Tym bardziej, że nie tylko syty, ale i z aspiracjami do miana bardzo dobrego pedagoga i dydaktyka nauczyciel, nie szczędził czasu na wyjaśnianie niektórych kwestii. Hołdował bowiem zasadzie, że egzamin, a tym bardziej kolokwium, należą do form nauczania.

Oczekujący w kolejce słuchacze nie narzekali na przedłużającą się dyskusję. Wręcz przeciwnie, byli radzi, że mogą się jeszcze lepiej przygotować do odpowiedzi. Dlatego też w toku trwania owej dyskusji podano nauczycielowi kawę, z której chętnie skorzystał, a którą traktowano jako kolejny środek moczopędny.

Do zakończenia kolokwium podano jeszcze dwie małe golonki i piwa. Pewnie dlatego było jeszcze kilka przerw na wędrówkę nauczyciela do toalety. Za każdym razem słuchacze wchodzili do pomieszczenia i sprawdzali, czy położenie biletów z pytaniami nie uległo zmianie.

Nauczyciel był wielce zadowolony. Dlatego też po zakończeniu kolokwium poprosił starszego grupy do pomieszczenia i przy jego udziale wystawiał oceny. Nie sądźmy, że starszy grupy miał tu decydujący głos. O nie. Nauczyciel ten miał bowiem z góry założoną ogólną ocenę (średnią) grupy, na przykład cztery i trzy dziesiąte, a najwyżej cztery i pięć dziesiątych.

Mogła więc być mowa o poprawieniu poszczególnym słuchaczom ocen, ale tylko w takich granicach aby się zmieścić w z góry założonej ocenie ogólnej grupy. Taka była bowiem polityka owego nauczyciela. Na pojedyncze oceny miał więc wpływ starszy grupy.

- A to ci dopiero! - pomyślałem sobie po zrelacjonowaniu mi tego przypadku.

- Że też za moich czasów nie potrafiliśmy wpaść na tego typu rozwiązanie, bo i wtedy można było znaleźć takich nauczycieli, którzy zjedliby golonkę i napili się piwa.

Jak wspomniałem wcześniej, z takich przedmiotów jak taktyka wojsk inżynieryjnych, taktyka wojsk łączności oraz taktyka i technika obrony przed bronią jądrową nie prowadzono na trzecim roku kolokwium, ani też nie należały do przedmiotów zaliczanych. Wystawiano nam jednak z tych przedmiotów oceny roczne. Czyniono to więc na podstawie naszej aktywności na zajęciach grupowych, ocen otrzymywanych w toku ćwiczeń dowódczo-sztabowych w terenie oraz oceny uzyskiwanej w toku egzaminu końcowego (państwowego).

Taktykę i technikę wojsk inżynieryjnych na pierwszym roku, bo tak ów przedmiot się nazywał, prowadził w mojej grupie mjr inż. Mańkowski i on przyjmował też kolokwium. W drugim roku nauczycielem tego przedmiotu był elegancki pan ppłk dypl. Didenko i u niego trzeba było zdać również kolokwium oraz egzamin z rodzajów wojsk, w którym były pytania także z tej dziedziny. Natomiast na trzecim roku w mojej grupie prowadził ten przedmiot, występujący pod nazwą „Taktyka wojsk inżynieryjnych”, mjr dypl. inż. Wacław Izydorek. Był jednym z tych, którzy służbę wojskowa odbywali w SKOR. Miało to miejsce nad Wartą w Gorzowie Wielkopolskim. SKOR-u jednak nie ukończył, bo krótko przed egzaminami, jako ochotnika, skierowano go do kompanii akademickiej przy Politechnice Gdańskiej. Stamtąd po utworzeniu Wojskowej Akademii

Technicznej został do niej przeniesiony z całą kompanią. Po ukończeniu studiów został skierowany do pracy dydaktycznej w ASG WP, a będąc nauczycielem akademickim, wieczorowo ukończył ASG. Odbył też praktykę liniową w Dęblinie. Po dwóch fakultetach, praktyce liniowej i z kilkuletnim doświadczeniem dydaktycznym był doskonałym nauczycielem.

Prawdopodobnie dlatego, że nie było z tego przedmiotu kolokwium, nasz wykładowca, późniejszy mój serdeczny kolega, a w ostatnich latach służby bezpośredni przełożony, tak wiele od nas wymagał, że przedmiot dał nam się mocno we znaki.

Zdarzyło się na przykład, że pewnego poniedziałku, mieliśmy zajęcia grupowe, a tymczasem kilku kolegów pojechało do domu i do zajęcia byli słabo przygotowani. Izydorek „poderwał” jednego z nich do odpowiedzi. Był to bodaj Stasiu Piotrowski, oficer bardzo zdolny, a przy tym także sprytny. Nauczyciel począł go niesamowicie maglować. Kluczył więc biedny Stasiu, wił się jak w ukropie, ale wyjaśniał problem możliwie poprawnie. W pewnym momencie podchodzi do niego wykładowca, zagląda mu na mapę i nie może dostrzec sytuacji inżynierskiej.

- Jak to? - powiada Izydorek.

- Przecież tu nie ma sytuacji, o której nam tu obywatel major opowiada tak niezrozumiale.

- Tak, nie mam wrysowanej sytuacji, bo jeździłem do domu i nie zdążyłem uzupełnić rysunku na mapie.

Wtedy wykładowca sprawdził nam wszystkim mapy. Jak się okazało, jeszcze dwóch oprócz Piotrowskiego nie posiadało omawianej sytuacji. Na zakończenie oglądania naszych map mjr Izydorek oświadczył:

- Wobec tego, że nie jesteście przygotowani do zajęć, podobnie jak wasz kolega Piotrowski, proszę się do mnie zgłosić jutro rano celem zaliczenia dzisiejszego zajęcia. Tylko proszę się dobrze przygotować i oczywiście trzeba też mieć ze sobą mapę z wrysowaną sytuacją.

Izydorek należał do tych nauczycieli, którzy niczego słuchaczom nie przepuszczali.

Podobnie rzecz się miała z taktyką wojsk łączności. Nie było z tego przedmiotu kolokwium, ale wystawiano nam ocenę roczną. Gdyby więc nie zaliczyć zajęć grupowych w ćwiczeniach głównych to, nie dość, że niezaliczone byłoby to ćwiczenie jako całość, to jeszcze nie dokonano by w indeksie wpisu „zaliczono” w rubryce – ocena roczna, z owego przedmiotu.

W poszczególnych latach studiów, w mojej grupie prowadzili zajęcia z tego przedmiotu tacy oficerowie jak: wspomniany wcześniej ppłk dypl. Józef Mackiewicz, ppłk dypl. Stanisław Lewandowski oraz ppłk dypl. Geleta. Każdy z nich do naszej edukacji podchodził z wielką starannością. Bywali doskonale przygotowani merytorycznie i metodycznie. Najbardziej jednak oddany profesji oraz wykazujący wielki sentyment dla prowadzonego przedmiotu, był Geleta. To na wskroś uczciwy i prostolinijny oficer. Był jednocześnie jednym z najbardziej doświadczonych nauczycieli. To właśnie on prowadził z nami wykłady, choć niektóre prowadził również Lewandowski. Nie pamiętam natomiast wykładów wygłaszanych przez szefa katedry – płk dypl. Romana. Może nie przepadał za uprawianiem dydaktyki. Niedługo po przybyciu gen. Kuropieski odszedł z ASG, a na jego miejsce przyszedł dotychczasowy szef wojsk łączności WOW – płk dypl. Jerzmanowski.

Płk Lewandowski wyróżniał się wśród łącznościowców okazałą posturą. Wysoki, silnej budowy blondyn z kędzierzawą czupryną i otwarty na kontakty z otoczeniem. Zawsze uśmiechnięty i posiadający na każdą okoliczność dowcip.

Bez kolokwium na trzecim kursie musiała się też odbyć „obrona przed bronią jądrową”. W zajęciach grupowych, w ramach ćwiczeń nie opuszczał nas mjr dypl. Kiełb. Do jego wymagań zdążyliśmy się przyzwyczaić i nikt z nas nawet nie próbował narzekać. Tym bardziej, że i inne grupy miały

z „chemikami” utrapienie. Tyle, że w tamtych grupach prawie co roku ci oficerowie się zmieniali. Podobnie jak w przypadku katedr poprzednich, na ćwiczeniach spotykaliśmy jeszcze innych oficerów tej katedry, zwłaszcza takich jak mjr dypl. Nikiel, który robił wrażenie oficera inteligentnego, elokwentnego o szerokich zainteresowaniach oraz z innymi oficerami tej katedry jak mjr dypl. Grzmil, ppłk dr Michalak i ppłk dr Nawrocki.

## PRACE DYPLOMOWE

Szczególnym zadaniem w toku naszych studiów było przygotowanie i obrona pracy dyplomowej. Dla niektórych, jak na przykład Sawickiego, zadanie to okazało się „orzechem trudnym do zgryzienia”.

Ja wybrałem temat historyczny, który brzmiał: „Analiza i ocena działań bojowych 8 DP w walce z ukraińskim podziemiem w południowo-wschodniej Rzeszowszczyźnie w latach 1945–1947”, a więc dotyczyła strony taktycznej tego wydarzenia. Podejmując się opracowania tego tematu, nie zdawałem sobie sprawy z trudności na jakie miałem napotkać. Już od momentu wybrania tematu, w którym to wyborze niemałą rolę odegrał patriotyzm lokalny i przywiązanie do macierzystej dywizji, czytałem wszystko, co mogłem znaleźć na ten temat w literaturze wspomnieniowej, również i w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym*. Temu celowi miała też służyć praktyka liniowa, którą wybrałem w 8 DZ. Miałem bowiem nadzieję, że dużo materiału znajdę w kronice dywizji. Prowadziłem też wywiady z uczestnikami owych działań: płk. Besenem i mjr. Czakiem. Wszystko to okazało się dalece niewystarczające, a stanowiło jedynie pewien przyczynek i stwarzało zaledwie bardzo ogólny obraz tego typu działań. Pozwoliło mi zrozumieć, że podstawą do opracowania tematu musi być materiał źródłowy.

Tymczasem, jak się wkrótce miałem przekonać, kłopot polegał na tym, że taki materiał mogłem znaleźć w Centralnym Archiwum Wojskowym (CAW), a dostęp do niego był bardzo utrudniony. Z dokumentów archiwalnych można było bodaj (już nie pamiętam) korzystać w pracowni, tylko w godzinach 10.00–15.00, a ja uczestniczyłem w tym czasie w zajęciach programowych.

Ledwie się one skończyły biegłem na chwilę do CAW i przeglądałem duże sterty materiału, aby wyszukać coś interesującego. Użyłem określenia – sterty materiałów, bo otrzymałem archiwa jeszcze nieuporządkowane. Pracowałem także w dni wolne od zajęć, to jest w soboty. Potem, kiedy korzystałem z materiałów znajdujących się w archiwum w Wesołej, to kilkakrotnie zwalniałem się z zajęć u kierownika grupy. Nie odmawiał mi, ale nie mogłem nadużywać jego uprzejmości. Było to więc, jeśli idzie o czas, niewystarczające.

W materiałach archiwalnych śledziłem takie dokumenty bojowe jak mapy, rozkazy bojowe, zarządzenia. Tymczasem map, szkiców było zaledwie kilka i to z końcowego okresu działania. Nie było też rozkazów bojowych, a może nie zdążyłem się do nich „dobrać”. Zabrakło czasu.

Znajdowałem natomiast wiele meldunków bojowych o przeprowadzonych akcjach. Dopiero z nich odtwarzałem sobie przebieg działań. Spotykałem też meldunki dotyczące nastrojów w oddziałach i pododdziałach. Szczególnie dużo ich pisał ówczesny major Śliwiński zastępca dowódcy 8 DP ds. polityczno-wychowawczych.

Z meldunków pochodzących z różnych okresów, a w których znajdowałem strzępy interesujących mnie informacji ustaliłem, że dywizja na Rzeszowszczyznę przybyła już w lipcu 1945 r. Z rejonu Krosna i Sanoka miała nadzorować odcinek granicy polsko-czechosłowackiej na odcinku od Piwnicznej do Użok. Jest to na samym południowo-wschodnim cyplu granicy.

Tymczasem narastającym problemem w rejonie odpowiedzialności dywizji, który wkrótce został powiększony i obej-

mował powiaty: Brzozów, Gorlice, Jasło, Nowy Sącz, Lesko i Sanok stała się działalność Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA).

Dowództwo dywizji rozpoczęło przeciwko niej działalność. Na początku była to demonstracja siły i polegała na przemarszu jej oddziałów przez wsie i miasteczka bieszczadzkie. Potem dywizja rozwinęła działania rozpoznawcze. Jednakże oddziały dywizji coraz częściej były atakowane przez UPA i ponosiły straty.

Od kwietnia 1946 r. dywizja wchodziła w skład Grupy Operacyjnej (GO) Rzeszów i zintensyfikowała swoją działalność przeciwko UPA. Pozostawała jednak rozmieszczona pułkami, w rejonach bardzo od siebie oddalonych. Pododdziały tych pułków, na sygnał o pojawieniu się lub działaniu UPA, podążały we wskazany rejon i podejmowały walkę.

Takie działanie nie przynosiło spodziewanych rezultatów. Dlatego też dla zwiększenia skuteczności działania oddziały dywizji zostały rozśrodkowane w terenie batalionami. Dla przykładu wspomnę, że 34 pp wchodzący w skład 8 DP stacjonował siłami jednego batalionu wraz ze sztabem pułku w Olchowcach koło Sanoka. Kolejny batalion stacjonował w Bali-grodzie, a następny w Cisnej. Takie rozmieszczenie sił zwiększało operatywność działania. I owszem, zwiększyło operatywność pododdziałów w terenie, ale równocześnie utrudniło dowodzenie nimi.

Sposób działania polegał bowiem na tym, że pododdziały do miejscowości, w których - według danych z rozpoznania - działały lub odpoczywały pododdziały UPA, podążały na rozkaz dowódcy pułku. Najczęściej przybywały tam za późno, bo przeciwnik, mając doskonałe rozpoznanie i ubezpieczenie, nie tylko zdołał ująć, ale zorganizować zasadzki. Bataliony ponosiły więc straty.

W 1947 r. UPA zintensyfikowała działania. 28 marca zginął wiceminister obrony narodowej gen. broni K. Świerczewski.

Spowodowało to utworzenie GO „Wisła”, w której skład wchodziła również 8 DP.

Dywidzja natychmiast przystąpiła do akcji. W wyniku zdobytych wcześniej doświadczeń powszechnie stosowano blokadę wybranego terenu i „przeczesywanie” wraz z miejscowościami. Działania były lepiej planowane, a przede wszystkim znacznie lepiej zorganizowane i zabezpieczone.

Poszukiwana w archiwum problematyka, stawała się coraz bardziej frapująca, przykuwająca moją uwagę. Jednakże czas naglił, a jeszcze bardziej ponaglał mnie kierownik pracy. Obawiał się, że nie zdołam się uporać z napisaniem pracy w wyznaczonym czasie. On znacznie lepiej zdawał sobie sprawę, że oprócz napisania trzeba jeszcze nieco czasu na jej wydanie.

Ja tymczasem czułem wielki niedosyt i w dalszym ciągu zajmowałem się gromadzeniem materiałów.

Wreszcie, w pewnym momencie „dojrzałem” i powiedziałem sobie:

- Dość! Więcej czasu nie mogę poświęcić zbieraniu materiałów i poszukiwaniu go w CAW, bo nie zostanie mi czasu na porządkowanie zdobytego materiału i pisanie. To, co mam, musi wystarczyć.

Tak naprawdę zabrałem się do pisania dopiero w połowie kwietnia. Miesiąc ten był przeznaczony na pisanie prac dyplomowych. W tym czasie nie mieliśmy zajęć dydaktycznych. Tak było tego czasu niewiele, a tymczasem ja jego pierwszą połowę zużyłem na poszukiwania w archiwum. Teraz, to jest w drugiej połowie kwietnia, pracowałem dzień i noc, a i tak miałem wielką obawę, że nie oddam pracy do druku w terminie.

- Po jakiego czorta podjąłem się pracy historycznej? - mówiłem sobie chwilami.

- Czyż nie lepiej było wziąć problem taktyczny w formie referatu, a nawet operacyjny albo i ćwiczenie, w którego opracowywaniu miałem i to niezłe doświadczenie?...

Na taktyce na pewno, a nawet na sztuce operacyjnej, w połowie trzeciego roku studiów znałem się nie najgorzej, a przynajmniej tak mi się wydawało.

- Gdyby nawet tak nie było i natrafiłbym na kłopoty w opracowaniu referatu lub ćwiczenia z zakresu operacyjnego, to przecież na pewno łatwiej bym się z tym uporał. Przede wszystkim pogłębiłbym znajomość problematyki, z którą niewątpliwie będę miał do czynienia w dalszej służbie - rozważyłem z dużym ładunkiem poczucia własnej winy.

Z takiego rodzaju rozumowania zwierzyłem się nawet swojemu kierownikowi pracy - ppłk. dypl. Raźnikiewiczowi, w wyniku czego był niezadowolony, a nawet zaniepokojony. Jego nastrój poprawił się dopiero po oddaniu mu do przeczytania 2/3 mojej pracy. Oceniał bowiem, że to co przeczytał jest dobre i przestaje się obawiać o jej zakończenie.

Jakież było moje zdziwienie, gdy pod koniec kwietnia przyszedł do mojego pokoju zbrojmistrz akademii ppłk Maziarz ze swoim pociotkiem w stopniu kapitana, studiującym w WAP, kończącym studia i opracowującym ten sam temat, ale od strony historycznej. Zwłaszcza, gdy po zagajeniu przez owego zbrojmistrza kapitan zwrócił się do mnie z pytaniem i prośbą o wyjaśnienie, z jakich materiałów korzystałem, co ciekawego spotkałem oraz czy bym ewentualnie mógł mu je udostępnić i zgodzić się na ich wykorzystanie w pracy dyplomowej.

Udostępniłem mu, pożyczając na kilka dni moje materiały, ale było to dla mnie niezrozumiałe.

- Oni mają na pracę cztery, a my jeden miesiąc i on przyjeżdża do mnie po materiały?... Czy to nie jest śmieszne? - stawiłem sobie pytanie.

Wiele miesięcy później nasz zbrojmistrz, przy jakiejś okazji, poinformował mnie, że jego kuzynek nie obronił pracy dyplomowej. Powiedziano mu w uzasadnieniu:

- No cóż towarzyszu kapitanie, podjęliście się opracowania tematu z naszej najnowszej historii. Zostały wam udostępnione archiwa, nie tylko CAW ale MSW i KC. Okazało się jednak, że wy nie umiecie z zawartych materiałów korzystać i poprawnie ich odczytywać. W swojej pracy przedstawiliście bowiem zarówno nasze władze centralne, jak i dowództwo GO „WISŁA” w bardzo niekorzystnym świetle. Z waszego opracowania wynika, że popełniono same błędy, a tymczasem nie tak ten okres naszej historii powszechnie jest oceniany. Dlatego też zmuszony jestem wam oświadczyć, że komisja wystawiła ocenę negatywną – zakomunikował przewodniczący podkomisji.

Na owe czasy był to ewenement w WAP. Winą obarczono też kierownika pracy i w wyniku tego podobno musiał odejść z akademii.

Wiele kłopotu przysporzyła, a przede wszystkim wiele czasu i wysiłku pochłonęła praca dyplomowa ppłk. Olewińskiego. Chociaż, jak mi się wydawało przed laty, będąc z nim razem na KDO, że był to oficer bardzo zdolny, operatywny i posiadający duże doświadczenie. Wtedy był na kursie dowódców pułku, potem dowodził pułkiem i przyszedł na studia do ASG, włączony z kilkoma innymi bezpośrednio do naszego, drugiego rocznika.

Podjął się opracowania pracy dyplomowej w formie ćwiczenia na temat „Operacja zaczepna armii pancernej”. Kierownikiem pracy został płk dypł. Mieczysław Manejkowski, który w oczach kadry akademickiej uchodził raczej za lekkoducha, unikającego wysiłku i mało odpowiedzialnego. Kierownik pracy, aby mieć spokój z dyplomantem, natychmiast wystarał się dla niego o duże pomieszczenie w piwnicy, zapewniając dobre warunki, a przede wszystkim spokój przy opracowywaniu ćwiczenia.

Jak gigantyczna to była praca, wystarczy wspomnieć, że szerokość jego map sięgała od podłogi do sufitu, a ich długość nie mieściła się na dłuższej ścianie owego pomieszczenia o pięciometrowej długości. Możemy sobie wyobrazić, ile czasu ten

„biedny” dyplomant poświęcić musiał na samo sklejenie takiej mapy, a przecież było ich kilka. Tymczasem owo klejenie było zajęciem ubocznym, mechanicznym. Natomiast merytoryczna i zasadnicza część tej pracy wymagała stworzenia koncepcji, odpowiedniego jej ustawienia i rozegrania, a następnie opisanie.

Posiadanie takiego pomieszczenia bardzo pomagało, choćby przez to, że Olewiński każdego dnia po zakończeniu pracy nie musiał likwidować i porządkować swojego warsztatu, składać map i martwić się o dokumenty niejawne. Zamykał i wychodził. Mimo to w pewnym momencie był tak opóźniony z jej wykonaniem, że sam kierownik był tym przerażony i zaczął czynnie mu pomagać w rysowaniu sytuacji na mapie.

Na szczęście wszystko się dobrze skończyło, ale dyplomant bardzo się zaniedbał w nauce. Odstawał, stracił dawną pewność siebie, był zupełnie inny niż ten, którego poznałem przed laty na KDO w Poznaniu.

- A po jaką cholere wybieral taką „kobyłę” na pracę dyplomową - mówili niektórzy.

- On taki doświadczony, były szef sztabu pułku, a potem dowódca pułku, tyle się najeździł po ćwiczeniach, a i tu, tyle ich odbył w czasie trwania II roku studiów i nie wiedział co kryje w sobie taki temat? - dodawali inni.

Zdawał sobie sprawę czy nie, to inne zagadnienie. Sądzę jednak, że nasi nauczyciele nie powinni formułować i proponować słuchaczom podjęcia takich tematów na pracę dyplomową.

Z opracowaniem prac dyplomowych kojarzy mi się jeszcze inne, dość zabawne wydarzenie. Pewnego dnia, gdzieś na początku stycznia 1966 r., to jest, kiedy należało już mieć zaakceptowany plan pracy (tezy referatu lub zamiar stron, jeśli praca miała formę ćwiczenia) przyszedł do mnie poznany wcześniej kolega artylerzysta, słuchacz czwartego roku studiów - kpt. Napierała. Prosił abym mu pomógł w opracowaniu zamiaru do ćwiczenia.

- Ja opracowałem taki zamiar, ale mój kierownik pracy - płk dypl. Kaganiec nie zechciał go zaakceptować - powiada Napierała.

- Według Kagańca, taki zamiar stron jest nie do przyjęcia, tym bardziej w ćwiczeniu, które ma być pracą dyplomową - wyjaśniał.

- Czy to właśnie ten zamiar? - zapytałem, spoglądając równocześnie na trzymany przez niego w ręce rulonik.

- Tak, to właśnie ten mój zamiar.

- No to rozkładaj go i popatrzmy, co się tu da zrobić. Tym lepiej, że jest nas dwóch (był akurat w moim pokoju Janusz Szyfers).

Napierała rozłożył swoją mapę z narysowanym zamiarem i przystąpiliśmy do analizy i oceny opracowanego „dzieła”. Na zakończenie orzekliśmy, że ten, uchodzący za wyjątkowo surowego i skrupulatnego wykładowcę, Kaganiec miał rację. Jest tu bowiem kilka uchybień natury taktyczno-operacyjnej nie wytrzymujących krytyki. Niestety, na tej mapie tego zamiaru nie sposób poprawić - dodałem.

- Musiałbyś pobrać nową mapę znacznie większych rozmiarów (wskazałem jakie arkusze) i przyjść do nas najlepiej w przyszłą sobotę i wtedy spróbowałibyśmy ci w tym pomóc. No co Januszu, pomożemy mu? - zwróciłem się do Szyfersa.

- Owszem mogę się do tego również przyłączyć - odpowiada Janusz.

W sobotę, zaraz po obiedzie, zjawił się u mnie w pokoju Napierała ze swoją starą i nową, czystą i o dużo większych rozmiarach, świeżo sklejoną mapą i teczką. Zostawiłem go w pokoju i poszedłem po Szyfersa. Obawiałem się, że zapomniał o przyrzeczeniu i może się wybrać do Modlina, gdzie mieszkała jego małżonka. Na szczęście zastałem go. Przyprawiam Janusza do pokoju, a tymczasem nasz kolega zdążył wyładować ze swojej teki butelkę wódki, pokrojone już wędliny i przygotowuje całe przyjęcie, krojąc pieczywo i wyciągając dodatkowo ogóreczki oraz wodę mineralną.

- A to co? - pytam zaskoczony jego chęcią częstowania nas jeszcze przed rozpoczęciem pracy.

- A to tak dla animuszu, żeby wam się lepiej pracowało nad koncepcją ćwiczenia - odpowiada Napierała, ogromne chłopisko.

- Chcesz mieć zamiar, czy tylko odbyć z nami libację? - pytam.

- Jeśli mamy opracować zamiar, czyli koncepcję twojego ćwiczenia, to natychmiast chowaj to wszystko z powrotem do teki i możesz dopiero to wyjąć, jak twój zamiar będzie gotowy - nakazałem mu.

- No wiesz Lucjan, po jednym to moglibyśmy teraz łyknąć. Może i lepiej by nam się pracowało, natomiast po zakończeniu pracy wypijemy i zjemy, jeśli już to tutaj przytargał nasz szacowny kolega - powiada Szyfers.

Wypiliśmy, potem były rozważania, które jeszcze się nie kleiły. Znowu było po kielichu oraz wspaniała zakąska i tak, jak przewidywałem, zamiar nie został opracowany.

Dopiero następnego soboty, a może nawet dwa tygodnie później przystąpiliśmy ponownie do opracowania owego zamiaru. Wykonaliśmy go na kalce technicznej, ale w kolorze, i zalecili koledze przenieść ów zamiar na mapę, ale dopiero po zaakceptowaniu przez płk. Kagańca. Nie byliśmy bowiem pewni, czy taka koncepcja zadowoli kierownika pracy.

Już w poniedziałek przyszedł do nas Napierała rozpromieniony i powiada, że wszystko jest w porządku. Gotów jest postawić następną butelkę i prosi, abyśmy zechcieli jeszcze spojrzeć na to, po przeniesieniu na mapę i podkolorowaniu. Oczywiście propozycja, a raczej prośba została przyjęta bez konieczności opłacenia się butelką. Pomagaliśmy mu jeszcze przy tworzeniu kolejnych położeń i rozwiązań, aczkolwiek te następne dotyczyły problematyki artyleryjskiej i nasza pomoc była raczej zbędna.

Można więc powiedzieć, że prawie wszyscy słuchacze mieli problemy z opracowaniem pracy dyplomowej oraz jej

obroną. U jednych były one poważne, jak na przykład u Sawickiego czy Olewińskiego, u innych mniejsze. Jednak każdy zmagał się z trudnościami. Jeśli nawet opracowanie nie stanowiło dużej uciążliwości, to jej obrona była przeżywana emocjonalnie.

Do takich, którzy nie mieli kłopotów z opracowaniem ćwiczenia, należał Tadek Urbańczyk. Kierownikiem jego pracy był płk Klonowski. Dał Tadeuszowi odpowiednie wytyczne, od czasu do czasu podyskutowali przy szkicach, jakie sporządzał na papierze Urbańczyk, i kierownik pracy nie przeszkadzał dyplomantowi.

Do akceptacji Urbańczyk przedstawił całe ćwiczenie, to jest zamiar i plan jego przebiegu. Co prawda był to tak zwany brudnopis, ale na mój gust wykonany został porządnie i mógł stanowić drugi egzemplarz.

Po rozłożeniu na stole przez Tadeusza mapy z zamiarem, jego kierownik o nic nie pytał, nie nakazywał niczego wyjaśniać, tylko się wpatrywał w mapę. Po chwili odsunął nieco dalej od stołu krzesło, wszedł na nie, i znowu się przyglądał, z oddalenia i z góry, aby lepiej widzieć.

Podobnie było z mapą planu przebiegu ćwiczenia. Kiedy się na nie napatrzył, powiedział, że jest dobre.

- A część opisowa też jest już gotowa? - zapytał.

- Jeszcze nie. - Właśnie nad nią pracuję - odpowiedział dyplomant.

- Jak będzie gotowa, to proszę ją przynieść razem z mapami - dodał.

Recenzentem tej pracy był pracownik Głównego Inspektoratu Szkolenia. W recenzji napisał mówiąc oględnie, nieprzyjemne uwagi. Urbańczyk był nimi zaniepokojony. Na szczęście, kiedy w czasie obrony zobaczył i wysłuchał dyplomanta, zmienił zdanie, uwagi wycofał i zaproponował ocenę bardzo dobrą.

Doszliśmy do przekonania, że przyjęte w ćwiczeniu rozwiązania były tak nowatorskie, iż recenzent przyjął je za niemożliwe do zrealizowania. Dopiero w toku obrony zrozumiał istotę zagadnienia.

W każdym razie dla nas wszystkich trzeci rok studiów okazał się najbardziej uciążliwy, a owa uciążliwość w znacznym stopniu była pochodną wielkiego zaangażowania się w opracowanie pracy dyplomowej.

## ĆWICZENIE EGZAMINACYJNE

Byliśmy tuż przed zakończeniem studiów. Czekало nas najtrudniejsze zadanie, bo zdanie egzaminu dyplomowego przed komisją państwową: z taktyki ogólnej i sztuki operacyjnej oraz z taktyki rodzajów wojsk. Tuż po egzaminie, bodaj następnego dnia, odbywała się obrona prac dyplomowych, która trwała przez kilka kolejnych dni.

Zanim jednak do tego doszło, odbyła się konferencja pedagogiczna, na której omawiano w sposób bardzo dokładny nasze postępy w nauce i osiągnięte wyniki. Oceniano przede wszystkim ostatni rok studiów, ale odnoszono się również do naszych wyników w latach poprzednich. Obradom przysłuchiwał się komendant gen. Kuropieska i podobno ogromnie się pieklił, że zanosilo się na to, iż trzech kolegów ukończy studia z wyróżnieniem, a nie było wśród nich ppłk. Tadeusza Urbańczyka, u którego dopatrywał się największych predyspozycji dowódczych.

- Zabronilem przecież wpisywania ocen w indeksach słuchaczy, a tymczasem słyszę tu tylko trójki, czwórki i piątki. To wcale nie chodzi o to, aby tu mówić, że ten to jest piątkowy czy czwórkowy, a do czego on się nadaje, na dowódcę, oficera sztabu i to jakiego szczebla?... - mówił.

O tym nie było nam dane wiedzieć. Dotarło to do nas, zwłaszcza tych, którzy pozostali w akademii jako nauczyciele, dopiero po pewnym czasie, kiedy byliśmy już pracownikami tej uczelni.

Po konferencji wybuchła jednak bomba. Jeden z naszych kolegów w wyniku owej konferencji nie został dopuszczony do egzaminu i obrony pracy dyplomowej. Natychmiast się musiał rozliczyć i odejść z akademii. Zachodziła więc obawa, czy aby nie dojdzie jeszcze do tego, że niektórzy z nas mogą nie zdać egzaminu, lub też nie obronić pracy dyplomowej, mimo że wszystkie one zostały już dopuszczone do obrony.

Powstał też nowy problem. Ważyły się bowiem losy, co do formy naszego egzaminu. Komendant forsował egzamin w formie ćwiczenia. Jego zdaniem, jeszcze jedno przepytывanie nas, nikomu nie było już potrzebne. Ani nam słuchaczom, ani naszym nauczycielom. Nie powinno być wątpliwości co do naszej wiedzy i umiejętności w zakresie taktyki ogólnej, sztuki operacyjnej oraz taktyki rodzajów wojsk. O wiele ważniejsze są nasze umiejętności z zakresu organizowania działań i kierowania nimi na hipotetycznym polu walki. Niebagatelna jest również umiejętność wykorzystania rodzajów wojsk, a przede wszystkim umiejętność kierowania zespołem ludzi, jakim jest sztab armii.

Byłaby to, według niego, jeszcze jedna okazja do powiększenia naszej sprawności w tym względzie, a jednocześnie okazja do pokazania naszych umiejętności zaproszonym na owe ćwiczenie gościom. A mieli nimi być dowódcy, od dowódcy dywizji wzwyż, oraz przedstawiciele wysokich sztabów i instytucji centralnych MON.

Można powiedzieć, że komendant pragnął się nami pochwalić, a jednocześnie stworzyć okazję ku temu, aby nasi przyszli przełożeni wiedzieli, kogo otrzymują i przekonali się, że przyjęta koncepcja kształcenia przyniosła pożądane efekty, że jej oponenti nie mieli racji. Prawdopodobnie liczył również i na to, że przekonani o słuszności przyjętego programu staną się jego zwolennikami.

Natomiast nowy szef Sztabu Generalnego gen. dyw. W. Jaruzelski był zdania, że powinna to być teoria, a więc pytania

i odpowiedzi ustne. Wyjaśnienia i przekonywanie się stron w tej kwestii trwały.

W rezultacie komendant wybrał złoty środek i uzyskał na niego zgodę. Dlatego odbyliśmy ćwiczenie dowódczo-sztabowe, a po jego zakończeniu odbył się egzamin teoretyczny.

Ponieważ zastosowano jedną i drugą formę egzaminu, ćwiczenie z konieczności trwało krótko. „Grałem” w nim szefa oddziału rozpoznawczego armii. Stanowiłem w jednej osobie cały oddział. W roli dowódcy armii występował mjr Roman Tomaszewski. Nie pamiętam kto występował w pozostałych rolach w naszym składzie armii, bo było utworzonych kilka zespołów ćwiczących. Wszystko po to, abyśmy występowali na określonych stanowiskach pojedynczo, wtedy wszyscy mieli wiedzieć, co wykonał delikwent i w jaki sposób potrafił swoją pracę zaprezentować.

Moim rozjemcą był ppłk dypl. Stanisław Mistewicz, jeden z wykładowców Katedry Rozpoznania Wojskowego i Armii Obcych.

Zadanie miałem arcytrudne. Musiałem bowiem uczestniczyć w wypracowaniu decyzji przez dowódcę armii, to jest przedstawić mu ocenę nieprzyjaciela, potem wrysować ją na mapie decyzji, a dopiero potem opracowałem „Plan Rozpoznania Armii” jako jeden z podstawowych dokumentów, za który przede wszystkim miałem być oceniany. Owszem, wykonałem go, ale tylko graficznie na mapie z elementami legendy. Czasu było wyjątkowo mało na wykonanie tej pracy. Otrzymaliśmy bowiem dokumenty w godzinach popołudniowych, a następnego dnia od godziny ósmej mieliśmy meldować decyzję.

W tych warunkach zakończyłem swoją pracę około godziny 6.30. Następnie przeszedłem z bloku 101, gdzie odbywało się ćwiczenie, do internatu. Ogoliłem się i wziąłem prysznic, a następnie udałem się na śniadanie do kasyna. Przed godziną ósmą byłem już w sali nr 401 gotów do referowania.

Natychmiast „dorwał” mnie mój rozjemca i poprosił o przedstawienie opracowanych dokumentów. Zaprowadziłem go więc

w pierwszej kolejności do mapy decyzji rozwieszonej już na czołowej ścianie, przygotowanej do meldowania i powiadam:

- Melduję obywatelu pułkownikowi, że wszystko to, co na tej mapie decyzji wiąże się z oceną przeciwnika, to dzieło moich rąk.

Mistewicz patrzył i zastanawiał się nad rysunkiem wykonanym w kolorze niebieskim, czytał niektóre elementy legendy przyklejonej u dołu mapy.

- No tak, rozumiem i nie mam uwag, ale to chyba nie wszystko? - oświadczył jednocześnie pytając.

- Teraz proszę do kolejnej mapy - mówiłem - wskazując jednocześnie kierunek gdzie niedawno zawiesiłem opracowany przeze mnie plan rozpoznania.

- A to jest podstawowy, opracowany przeze mnie dokument - stwierdziłem.

Teraz ppłk Mistewicz lustrował dokładnie dokument, oglądając zarówno wykonany na mapie rysunek, jak też umieszczoną w dolnej części mapy legendę. Patrzył, czytał, a wreszcie pyta:

- To wszystko? - usłyszałem ton zdziwienia.

- Tak, melduję, że to wszystko co zdołałem wykonać jako szef i personel wykonawczy tego oddziału. Jak na jednego, wydaje się, że to wcale niemało. Po prostu więcej nie byłem w stanie wykonać, w tak ograniczonym czasie - podkreśliłem.

- To musi mi wystarczyć do referowania - odpowiedziałem zdziwiony jego reakcją.

Teraz dopiero zauważyłem jego zaniepokojenie, że mogę z tym słabo wypaść. Zauważyłem, że mój rozjemca poczuł się nieco winny, że nie dopilnował, abym opracował jeszcze i opisową część planu rozpoznania.

Było już za późno, aby można było cokolwiek jeszcze próbować dorobić, bo za kilka minut, zgodnie z planem mieliśmy przystąpić do meldowania decyzji.

Po chwili przybyła nasza podkomisja z płk prof. Jakubem Brochem na czele. Kiedy zasiadła za stołem, a na sali zapanała cisza, usłyszałem głos profesora:

- O przedstawienie oceny nieprzyjaciela proszę szefa Oddziału Rozpoznawczego Armii.

Podszedłem do mapy z decyzją. Zameldowałem o siłach nieprzyjaciela zaangażowanych w walce w pierwszym rzucie, o jego odwodach bliższych i położonych w głębi, do czego mogą dążyć oraz co dla naszych wojsk i powodzenia operacji może stanowić zagrożenie. Wskazałem również obiekty do ewentualnych uderzeń jądrowych.

Po zakończeniu referowania postawiono mi jeszcze kilka pytań dodatkowych. Kiedy i na nie odpowiedziałem, podziękowano mi. Poszedłem więc prawie na koniec obszernej, a przede wszystkim długiej sali nr 401 i zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku, czując zmęczenie, usiadłem, wyłączając się prawie zupełnie z omawianych problemów. Szybko nastąpiło odprężenie i błogie uspokojenie. Tymczasem niedługo potem szturcha mnie ktoś łokciem, informując jednocześnie, że jestem wzywany do mapy.

Wstałem więc niepewny, ale idę i po drodze rozważam:

- O co mnie chcą pytać? Po co ten Broch mnie woła? - zastanawiałem się, idąc.

- Proszę o powtórzenie pytania, bo nie zrozumiałem, siedząc tak daleko - zwróciłem się do przewodniczącego.

Powtórzył, a ja znowu referowałem, wyjaśniając, kiedy będą gotowe i gdzie mogą wejść do bitwy odwody przeciwnika. Potem jeszcze musiałem coś wyjaśnić i uzasadnić możliwościami czasowo-przestrzennymi. Następnie wyjaśniałem pewne kwestie związane z prowadzeniem rozpoznania, zwłaszcza przez grupy specjalne.

Po raz drugi mi podziękowano. Tym razem miałem już zupełny spokój, jakkolwiek uważałem śledząc, co i jak referują koledzy, bo wciąż się obawiałem, że mogę być znowu pode-

rwany do wyjaśniania kwestii związanych z działalnością przeciwnika.

W podobny sposób jak mnie przepytowano pozostałych kolegów ze składu naszego zespołu. Wysłuchiwanie wystąpień trwało do godzin popołudniowych. W międzyczasie między referatami zarządzano przerwy, ale absolutnie nie według godzin lekcyjnych.

Na zakończenie przewodniczący podkomisji dokonał podsumowania ćwiczenia egzaminacyjnego, jako swego rodzaju eksperymentu. Równocześnie zameldował gen. Tuczapskiemu (zastępcy szefa Sztabu Generalnego), który uczestniczył w końcowej fazie naszego ćwiczenia, że według owej podkomisji jest to bardzo dobra forma sprawdzenia przygotowania oficerów do pełnienia wyznaczonych funkcji, w odpowiednich dowództwach (poprzedniego dnia nasze ćwiczenie wizytował również szef Sztabu Generalnego gen. Wojciech Jaruzelski).

Otrzymaliśmy podziękowanie za wysiłek, ale nie zakomunikowano nam otrzymanych ocen. Te miały być ogłoszone dopiero po egzaminie ustnym. Mimo to czułem, że wypadłem zupełnie dobrze.

Pospiesznie przystąpiliśmy do rozliczania się z map i innych dokumentów.

## **EGZAMIN PAŃSTWOWY I OBRONA PRAC DYPLOMOWYCH**

Egzamin ustny nie dostarczył takich emocji jak ćwiczenie, aczkolwiek oprawa tego przedsięwzięcia oraz utrzymywany nastrój były wzniosłe i dostojne. Może dlatego, że tyle tych egzaminów mieliśmy za sobą, nie robił na nas większego wrażenia. Niewiele się różnił, zwłaszcza w formie, od tych, które zdawaliśmy na zakończenie każdego roku. Tak przyjmowała to

znaczna część z nas. Ja, też do nich należałem. Byli jednak i tacy, którzy ten egzamin przeżyli w wielkim stresie.

Podobnie jak w poprzednich egzaminach, z dużej liczby biletów z pytaniami egzaminacyjnymi wybieraliśmy jeden. Należało spokojnie przeczytać zawarte w bilecie pytania, zameldować komisji numer biletu oraz czy zrozumiałe są pytania i dopiero wtedy przewodniczący zezwalał zabrać opieczetowany papier do sporządzenia planu odpowiedzi, zająć miejsce i przygotować się do odpowiedzi.

W sali, gdzie komisja przyjmowała egzamin, mogło przebywać trzech zdających. Jeden z nas odpowiadał, a dwóch pozostałych przygotowywało się do odpowiedzi. Po zakończeniu odpowiedzi przez pierwszego i wyjściu na korytarz, do sali wchodził następny. Meldował się po bilet do komisji, potem zajmował miejsce do przygotowania się, a przygotowany podchodził i rozpoczynał zdawanie.

Wszystko, co było związane z egzaminem ustnym, skończyło się w ciągu jednego dnia. Na zakończenie cała grupa wchodziła do sali i przewodniczący, w podsumowaniu jego przebiegu, przedstawił bardzo dobrze i słabiej przyswojone problemy. Każdemu z nas podał ostateczną ocenę za ćwiczenie oraz egzamin ustny.

W dniu następnym rozpoczęła się obrona prac dyplomowych. Prowadziła ją ta sama podkomisja, która przyjmowała egzamin. Ja musiałem jednak bronić swojej pracy przed inną podkomisją - historyczną, której przewodniczył gen. bryg. Stanisław Okęcki, wyznaczoną jedynie do przyjęcia obrony prac.

Obrona prac dyplomowych była znacznie większym przeżyciem niż egzamin. Tu nawet najbardziej odporni wątpili, kiedy przyszło im zmierzyć się „oko w oko” z komisją, która nie wiadomo o jakie problemy zechce zapytać, aby poszerzyć ujęte w pracy zagadnienia, jak przyjmie to, co zostało opracowane, a przede wszystkim, jak zostanie odebrany sposób obrony. Było tu znacznie więcej niewiadomych niż można było się spodziewać w czasie egzaminu.

To nic, że była to przecież nasza własna praca. Ponieważ obejmowała wycinek jakiegoś złożonego problemu, nigdy nie można było mieć pewności, że będziemy mogli sobie poradzić z postawionymi przez podkomisję dodatkowymi pytaniami. Można sobie wyobrazić, jak czuli się tacy jak ja, niehistorycy, których porwał sentyment, w obronie przed komisją złożoną z historyków. Tym bardziej, że niektóre problemy mogły być nieco inaczej widziane przed wydrukowaniem pracy, a odmiennie po jej wydrukowaniu. Niektóre ujęcia chciałyby się na przykład zmienić, poprawić, ale z ich dokonaniem nie umieliśmy sobie poradzić. Wydawało się nam, przynajmniej mnie, że tego się już nie da wprowadzić, że pociąga to za sobą wiele kłopotów, bo to i podpisane przez kierownika, a i zatwierdzone przez szefa odpowiedniej katedry, oddane do recenzji.

W niektórych przypadkach dopiero uwagi recenzentów zaskakują autorów prac dyplomowych. Może być jeszcze gorzej i bywa, że zaskoczony zostaje również kierownik pracy dyplomowej. Tak więc niektórzy dyplomanci dopiero wtedy rozumieją, że czegoś nie dopracowali, albo że przedstawili błędnie rozumiany pogląd. Chcieliby się z tego wycofać, dokonać odpowiedniej zmiany. Jest już za późno, nic nie można zrobić.

Wprawdzie mój recenzent mjr mgr Szota, pracownik redakcji Wojskowego Przeglądu Historycznego, bardzo mnie pocieszył i był łaskaw okazać zadowolenie z mojej pracy. Napisał pochlebną recenzję. Mimo to ogarniał mnie niepokój. Tym bardziej, że, jak zaznaczył recenzent, komisja po zapoznaniu się z nią może mieć odmienne zdanie. Niepokój wzrósł jeszcze bardziej na obronie pracy Józka Gierałtowskiego, w której uczestniczyłem. Gen. Okęcki wyczuł pewną jego słabość i bardzo zabiegał stawianymi pytaniami, aby tę słabość jeszcze bardziej uwydatnić, udowodnić, że czegoś tam brakuje. Delikwent wiał się i pociał.

Tak mi się owe zabiegi generała nie podobały, że aż żałowałem swego uczestnictwa w tej obronie. W każdym razie

przebiegiem obrony Gierałtowskiego zostałem źle usposobiony do przewodniczącego.

Broniłem pracy w drugiej kolejności, kiedy słońce najbardziej nagrzewało salę.

Miałem przygotowany referat, który poprzedniego dnia zaakceptował konsultant (kierownik mojej pracy). Postanowiłem jednak, że nie będę go czytał, a referował przy mapach stanowiących załączniki do mojej pracy. Co prawda nie były one imponujące, bo dotyczyły najczęściej sił działających w składzie batalionów, a tylko sporadycznie występowały pułki tej dywizji w pełnym składzie. Nigdy natomiast nie występowała w takich działaniach cała dywizja, nawet w czasie demonstrowania siły. Dlatego referat położyłem na mównicy, nawet go nie otwierając. Później tego żałowałem, bo w czasie wystąpienia, zwłaszcza na początku, byłem ogromnie spięty i sztywny. Przez to zbyt mocno akcentowałem słabe przygotowanie dywizji do tego rodzaju działań. Tak bowiem działała trema, której rzadko kto potrafił się oprzeć, a u mnie powiększały ją przeżycia z obrony Gierałtowskiego.

Na początku mojego wystąpienia obronnego stwierdziłem, że:

1. 8 DP utworzona została w Mordach na Lubelszczyźnie w 1944 r. i wchodząc w skład 2 A WP brała udział w forsowaniu Nysy Łużyckiej, a w końcowym etapie wojny pomagała w wyzwoleniu Czechosłowacji w rejonie Mielnika.

2. Do walki ze zbrojnym podziemiem na Rzeszowszczyźnie została skierowana bez przygotowania.

3. Jej kadra przeceniała swoje doświadczenie bojowe, które tylko na froncie zewnętrznym mogło przynosić efekty, a nie w działaniach nieregularnych.

4. Niewybaczalnym błędem – jak oceniłem – był brak zainteresowania się doświadczeniami w zwalczaniu działań nieregularnych. Co prawda, nie było w tym czasie tego rodzaju opracowań, ale wystarczyło poznać bogate przecież doświadczenia naszych oddziałów partyzanckich z czasów niemieckiej

okupacji i przez analogię poznać metody działania UPA. Poznanie tych metod działania przez kadre, uczyniłoby działania dywizji skuteczniejszymi. A tymczasem – stwierdziłem przytaczając maksymę arabską – „zwalczanie partyzantów metodami działań regularnych jest podobne do jedzenia zupy nożem”.

Chociaż przedstawiona przeze mnie ocena była słuszna – jak mi potem, przy kielichu, zrelacjonował kierownik pracy – to, ton jakim ją wygłosiłem, nie został dobrze odebrany przez komisję, zwłaszcza przez jej przewodniczącą.

Na poparcie wygłoszonych tez przedstawiłem i krótko scharakteryzowałem okresy działań:

I okres: Demonstrowanie siły, koncentracje wojsk w garnizonach, a tym samym, stworzenie dużego ramienia oddziaływania na przeciwnika, jako działań typowo regularnych, nie dość, że nieskutecznych, to jeszcze przynoszących duże straty, zwłaszcza na drogach podejścia do przeciwnika.

II okres: Przeniesienie ciężaru gatunkowego działań na prowadzenie rozpoznania przy równoczesnym zwiększeniu operatywności i manewrowości sił własnych przez rozlokowanie ich batalionami na rozległym obszarze odpowiedzialności. Był to duży postęp, aczkolwiek i w tym okresie powszechnie stosowano działania regularne (przemarsz drogami, wkraczanie do miejscowości i przeszukiwanie, albo podejście, okrążenie i przeszukiwanie). Najsłabszą stroną tego okresu było powszechne wykorzystywanie łączności przewodowej, którą nągminnie podsłuchiwała UPA. Dlatego, między innymi, dowódca 34 pp mjr Gerhard rozmawiał zwykle z jednym ze swoich dowódców batalionów po francusku, a to z kolei stało się przyczyną wielu podejrzeń po zamachu na gen. Świerczewskiego.

III okres przyniósł zupełnie nowe, dotąd nie stosowane formy prowadzenia walki z UPA. Były one wynikiem doświadczeń uzyskanych w pierwszych dwóch okresach. Polegały głównie na blokowaniu i „przechesywaniu” określonego terenu. Działania w tym okresie charakteryzowały się dokładnością

ich planowania przez sztaby oraz współdziałaniem między pododdziałami blokującymi i „przeczesującymi”.

Mniej więcej w tym duchu kontynuowałem swoje wystąpienie.

Na wygłoszenie referatu dostałem, zgodnie z moją prośbą, dwadzieścia minut. Ponieważ go nie czytałem, a omawiałem przy mapach opracowanych do pracy jako załączniki, zużyłem czasu nieco więcej. Nie omieszkał mi tego wytknąć gen. Okęcki po zakończeniu wystąpienia.

Po referacie, komisja zadawała mi pytania. Było ich sporo, między innymi:

1. Jak dyplomant ocenia udział 8 DP w walce ze zbrojnym podziemiem z politycznego punktu widzenia?

2. Czy dyplomant zna treść ulotek UPA kierowanych do naszych żołnierzy i czy spotkał się z takimi ulotkami, albo zapoznał się z ich treścią z innych źródeł?

Na przygotowanie odpowiedzi na zadane pytania również otrzymałem dwadzieścia minut.

W sali pozostałem sam – jak to było w zwyczaju – i bardzo intensywnie obmyślałem i przygotowywałem odpowiedzi. Już przedtem pojawiały się na moim czole krople potu, ale teraz pokryłem się nimi cały. Nie dość bowiem, że od wielu dni panowała spiekota, to przez przeszkloną ścianę od strony południowej paliło słońce. Okna były otwarte na oścież, ale to nie przynosiło ochłody.

Kiedy czas minął, członkowie komisji, recenzent i konsultant, a także obserwatorzy, wrócili do sali i zajęli swoje miejsca. Udzielono mi głosu.

Odpowiadałem kolejno na pytania według porządku, w jakim zostały zadane, bo na szczęście i hierarchia zadających je była w ten sposób zachowana. Pierwszy zadał je bowiem przewodniczący podkomisji, a dopiero potem jej członkowie oraz recenzent. Tym razem były to pytania dodatkowe, bo na zadane w recenzji odpowiedziałem w swoim „obronnym” referacie.

Swój polityczny punkt widzenia na udział dywizji w walce ze zbrojnym podziemiem omawiałem bardzo oględnie i krótko. Stwierdziłem wprost, że:

- Krajowi w tym czasie najbardziej potrzebny był spokój na odbudowę zniszczonej gospodarki, a ponadto władza dążyła do umocnienia swojego stanu posiadania. - Nie zamierzała swoich osiągnięć politycznych oddawać innym siłom i z tego punktu widzenia całe działania i udział w nich dywizji były słuszne.

Na szczęście mimo tak lapidarnej odpowiedzi nikt mnie więcej aspektami tego pytania już nie niepokoił.

Jeszcze prościej odpowiedziałem na pytanie dotyczące ulotek.

- Nie spotkałem się z takimi ulotkami w czasie studiowania materiałów archiwalnych ani też z publikacjami dotyczącymi tego tematu. Przypuszczam jednak, że mogły one zawierać zarówno pogroźki, jak i nawoływanie do zaprzestania walki - odpowiedziałem.

Zarówno w toku przygotowywania się do odpowiedzi, jak i teraz, niepokoiła mnie myśl - dlaczego oni mnie indagują pytaniami natury politycznej, kiedy tematem mojej pracy była: „ocena działań w walce z (...)” Mam więc wykazywać i oceniać taktyczną, a nie polityczną stronę tych działań.

W pewnym momencie korciło mnie, aby do pierwszego pytania dodać, że Związek Radziecki do naszych poczynań na Rzeszowszczyźnie odnosił się raczej z rezerwą, bo z wielu meldunków składanych przez pułki do dywizji wynikało, że odprawione do granicy wschodniej transportami kolejowymi rodziny Łemków i przekazane przedstawicielom radzieckim, po kilku dniach spotykane były ponownie w Ustrzykach Górnych, Ustrzykach Dolnych, a także w Berehach. Wyglądało na to, że były te rodziny zwalniane z transportu na terenie Ukraińskiej Republiki po to, żeby mogły wrócić.

Dobrze, że się ugryzłem w język i takiej opinii nie wypowiedziałem. Byłoby pewnie немало kłopotu po takim stwierdzeniu.

Po odpowiedzi na wszystkie pytania zabrał głos recenzent pracy i bardzo mnie wychwalał. Podkreślił, że moja praca jest nowatorska i stanowi wielki przyczynek do naszej najnowszej, kompletnie jeszcze nie opracowanej historii. W wystąpieniu natomiast przedstawiłem zwięźle i bardzo jasno taktyczną ocenę działań 8 DP w walce z ukraińskim podziemiem na Rzeszowszczyźnie. Dlatego - powiedział:

- Proponuję łączną ocenę za pracę i jej obronę - bardzo dobrą.

W tym miejscu generał zaprotestował, bo na wydanie ocen przewidziane jest miejsce w czasie narady komisji, na którą zapraszano przecież zarówno recenzenta, jak i konsultanta. Jednakże stało się, i wszyscy ocenę recenzenta usłyszeli, łącznie ze mną i kolegami, przeważnie z młodszego rocznika, którzy chcieli widzieć, jak to się odbywa i co ich czeka w następnym roku, kiedy to oni będą bronić swoich prac dyplomowych.

Przewodniczący poprosił nas o opuszczenie sali, w której pozostała tylko komisja, recenzent i konsultant. Miano ustalić ostateczną ocenę mojej pracy.

Po krótkim pobycie na korytarzu zostaliśmy zaproszeni do środka przez kierownika mojej pracy.

Teraz wszyscy się zatrzymali na poprzednio zajmowanych miejscach w postawie stojąc i w gotowości do wysłuchania oceny.

Ja stałem przed mównicą, pośrodku sali i dwa kroki przed stołem, za którym teraz stali członkowie podkomisji.

Generał omawiał moją pracę. Stwierdził, między innymi, że bardzo starannie ją przestudiował. Zgadza się, że stanowi ona poważny przyczynek do najnowszej historii, oraz że z przestudiowanych w archiwum materiałów wyciągnąłem pouczające wnioski. Następnie oświadczył, że po wnikliwej dyskusji członków podkomisji pracę oceniono na dobrze.

Podziękowałem za wysoką, moim zdaniem, ocenę komisji i recenzentowi za życzliwe uwagi, a kierownikowi pracy za wydatną pomoc w czasie kierowania jej opracowaniem.

Po przyjęciu gratulacji od przewodniczącego, członków podkomisji i pozostałych obecnych na sali, a przede wszystkim po otrzymaniu wraz z gratulacjami indeksu z oceną zbierałem swoje „manatki”, aby dać miejsce kolejnemu szykującemu się do obrony.

Dopiero jednak po wyjściu na korytarz wciągnąłem swobodnie głęboki oddech. Byłem zadowolony, że wreszcie mam to już poza sobą oraz z otrzymanej oceny.

Było to bowiem głębokie przeżycie i trzeba dodać, że nie tylko ja doznałem takiego uczucia, nie byłem w tym odosobniony. Ba, takie uczucie zostaje na długo.

Po latach doświadczeń ośmielałem się stwierdzić, że miłe wrażenia pozostają najczęściej u tych, którzy od samego początku, po podjęciu tematu, podeszli do tego poważnie, pracowali nad przygotowaniem materiałów systematycznie, a potem nad ich opracowaniem.

Warto dodać, że na głębokość naszych przeżyć wywiera wpływ wiele czynników. Można do nich zaliczyć odpowiednie przygotowanie pomieszczenia, w którym zdajemy egzamin i bronimy pracy, a także ceremoniał w toku tych egzaminów i obrony prac. Stwarzają one bowiem nastrój powagi i skupienia a można nawet powiedzieć - napięcia.

Na uwagę zasługuje także fakt, że podkomisje przyjmowały obronę trzech prac dziennie. Odbywało się to więc od godz. 8.00 do 14.00, co dawało około dwóch godzin na jednego dyplomanta.

Przebieg obrony wyglądał podobnie w innych podkomisjach. Emocje towarzyszące obronie podnosiło przybycie na niektóre tematy, lub do niektórych dyplomantów, wysokich rangą dostojników wojskowych, zwłaszcza takich jak: minister obrony narodowej, wiceministrowie tego resortu oraz szef Sztabu Generalnego, któremu bezpośrednio podlegała akade-

mia i który przygotowaniem jej absolwentów bardzo się interesował.

Wspomniałem, że z otrzymanej oceny za swoją pracę byłem zadowolony. Nie był nią jednak ukontentowany kierownik pracy ppłk dypl. Raźnikiewicz. Jego zdaniem ocena powinna być wyższa tym bardziej, że taką ocenę proponował recenzent.

## „KUPCY”

W toku egzaminów przybyli do akademii przedstawiciele Departamentu Kadr MON oraz kadr okręgów wojskowych celem przeprowadzenia rozmów i ostatecznego ustawienia nas w przydziałach służbowych. Nazywaliśmy ich „kupcami”, bo w pewnym sensie kupowali nas do swoich oddziałów i związków taktycznych, a niektórych także do instytucji centralnych MON. Każdego z nas informowano, na jakie stanowisko po opuszczeniu murów uczelni został zaplanowany oraz proszono o ustosunkowanie się do propozycji. Wyrażaliśmy zgodę, albo prosiliśmy o inny przydział służbowy. W niektórych przypadkach prośby zostały uwzględnione. Na ogół jednak bardzo niechętnie dokonywano korekt w opracowanych planach.

Zanim przeprowadzono ze mną rozmowę, przyszedł do mnie Sawa – jak nazywaliśmy Sawickiego – i wyjaśnił w tajemnicy, że jestem zaplanowany na stanowisko szefa sztabu pułku czołgów w Szczecinie. Jednakże przewidują również dla mnie pracę w Sztabie Generalnym WP lub w ASG WP.

- W pierwszej kolejności będzie z tobą prowadził rozmowę przedstawiciel Sztabu Generalnego. - Jeśli na to nie wyrazisz zgody, to wtedy pójdziesz do Szczecina – objaśniał mi Sawa.

- Jeśli natomiast taką propozycję przyjmiesz, to ja, zamiast do Wędrzyna, trafię właśnie do Szczecina – kontynuował. Nie ukrywam, że mi na tym bardzo zależy abyś przyjął propozycję w Sztabie Generalnym – dodał. - Bardzo cię nawet o to proszę.

- Dlatego przyszedłem cię uprzedzić o zamierzeniach co do twojej osoby, abys miał czas przemyśleć i abys przypadkiem nie odrzucił, bądź co bądź, bardzo korzystnej propozycji - przekonywał mnie szacowny kolega.

- Skąd ten człowiek ma takie informacje, kto go o tym poinformował?... - myślałem.

- No więc?... - pytał po chwili niecierpliwy Sawa. - Chciałbym bowiem wiedzieć jak się ustawić do rozmowy, którą będą prowadzić ze mną - dodał.

- Po pierwsze chciałbym wiedzieć, skąd masz takie dane? To zaczyna być interesujące, że podczas gdy my wszyscy nic nie wiemy, a z tobą również nie prowadzono jeszcze rozmowy, ty wszystko wiesz. Nie tylko, jakie są plany w stosunku do ciebie, ale i w stosunku do innych, na przykład do mnie - odpowiedziałem.

- Czy posiadane przez ciebie informacje są wiarygodne? - zapytałem.

- Tego nie chciałbym mówić, ale wkrótce się przekonasz, że moje informacje są prawdziwe - odpowiedział Sawa.

- Ja ci też nic nie powiem, bo nie będę próbował zagrywać tu w ciemno. Jeszcze nikt ze mną nie rozmawiał, a ty chciałbyś, abym się zdecydował - wyraziłem swoje zdziwienie. - Poczekaj z bólami. Jak mi coś zaproponują, a możliwy będzie wybór, to być może, iż uwzględnię twoje sugestie - odparłem.

Już następnego dnia miałem możliwość przekonać się, że Sawicki miał dobre rozeznanie, chociaż źródła informacji nie zdradził. Do akademii przybył bowiem płk Barański, szef Zarządu I Sztabu Generalnego, późniejszy generał, dowódca POW, i poprosił mnie na rozmowę.

Po krótkim wprowadzeniu, że jest mu wiadomo, iż jestem doświadczonym oficerem liniowym, osiągnąłem dobre wyniki jako słuchacz, sprawdziłem się na odbywanych w ASG ćwiczeniach, chce mi zaproponować pracę w Sztabie Generalnym. Po tym wstępie zapytał wprost:

- Chciałby obywatel major pracować w Sztacie Generalnym?... - Odpowiadała by wam taka praca?...

- Obywatelu pułkowniku, nigdy nie pracowałem w sztabie, nawet najniższego szczebla. Trudno mi więc powiedzieć, na podstawie tego z czym się spotykałem w czasie akademickich ćwiczeń, że mi to odpowiada, albo że z powodzeniem będę mógł takiej pracy podołać, że będę sobie z nią radził.

- Słyszałem, że obywatel major dobrze sobie radzi nie tylko z pracą na mapie, ale i z pisaniem, a w sztabie tak wysokiego szczebla właśnie takie umiejętności są niezbędne - wyjaśniał płk Barański.

- Obywatelu pułkowniku, melduję, że tam gdzie zostaną skierowany będę pracował tak, jak będę umiał i jak mi pozwolą moje umiejętności.

- Wobec tego, cieszę się, że tak to zostało przez was przyjęte i taki macie do tego stosunek - oświadczył płk Barański. Chciałbym jednakże dodać, że jakkolwiek planujemy zatrudnić was w Sztacie Generalnym, to nie jest to jeszcze decyzja ostateczna, tym bardziej że walczy o pozostawienie was w akademii gen. Kuropieska. Do waszego powrotu z urlopu sprawa będzie załatwiona i wtedy się dowiecie gdzie będziecie pracować - oświadczył płk Barański.

O moim ewentualnym przydziale do Szczecina nic mi nikt nie wspomniał. Za to Sawa podszedł do mnie w czasie obiadu i dziękował, zapowiadając jednocześnie, że postawi za to dobrą wódkę. Nawiasem mówiąc, nigdy jej nie postawił, aczkolwiek okazje ku temu były, a nawet kilkakrotnie.

Rozliczyłem się z dokumentów, a co najważniejsze - z karty obiegujowej, podobnie jak wszyscy pozostali koledzy i otrzymałem wraz z nimi rozkaz wyjazdu oraz zlecenia na przejazd koleją. Nie mogliśmy własnym oczom uwierzyć, że nasze urlopy trwają od 18 lipca do 30 sierpnia 1966 r.

- Aż półtora miesiąca urlopu? - pytaliśmy jeden drugiego.

- Widzicie? Taki to jest ten Kuropieska. Wymordował nas i zmaltretował tymi ćwiczeniami, ale teraz daje nam odpocząć jak trzeba - mówił Gierałtowski.

Po urlopie, to jest 1 września miałem się zameldować w Departamencie Kadr MON. Potem się okazało, że tak samo mają się zameldować Urbańczyk i Ostrowski. Dopiero tam mieliśmy się dowiedzieć - co sugerował mi płk Barański - jaki jest nasz ostateczny przydział służbowy. Inni koledzy otrzymali skierowania do oddziałów i sztabów związków taktycznych, a także instytucji centralnych MON.

## PROMOCJA

Po zakończeniu obrony prac dyplomowych odbyła się odprawa Komisji Egzaminacyjnej z udziałem zastępców komendanta, szefów katedr oraz kierowników taktycznych kursów dyplomowych. Prowadził przewodniczący komisji - gen. Kuropieska.

Omówiono przebieg egzaminów oraz uzyskane przez nas wyniki i ustalono pięć pierwszych lokat do wyróżnienia złotym medalem. Wypadło na: mjr. Jana Stychno, mjr. Stanisława Jaworskiego i ppłk. Henryka Antoszkiewicza z kursu ogólnowojskowego; mjr. Mariana Szczepaniaka z Fakultetu Wojsk Rakietowych i Artylerii oraz kpt. Mieczysława Hamerę z Wydziału Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej Kraju.

Taka była arytmetyka wyników uzyskanych w czasie trzech lat studiów oraz w czasie egzaminu państwowego (końcowego) i obrony pracy dyplomowej.

Arytmetyczne wyniki wywołały niezadowolenie komendanta. Jego zdaniem - jak już raz podkreśliłem - talent operacyjno-taktyczny oraz najwyższe spośród nas predyspozycje dowódcze wykazywał Tadeusz Urbańczyk, a tymczasem w wyniku owej arytmetyki nie uplasował się nawet w pierwszej piątce.

Trzeba dodać, że jeszcze przed egzaminem zostały przeanalizowane nasze oceny i ustalono, że jest między nami dwóch, którzy, jak można się tego spodziewać, zdadzą egzamin na bardzo dobrze i na taką ocenę zasługują. Jest jednak pewien szkopał, bo nawet jeśli go zdadzą celująco, to i tak nie ukończą studiów z oceną bardzo dobrą, bo jednemu przeszkadza ocena dostateczna z języka niemieckiego, a drugiemu taka sama ocena z języka rosyjskiego. Zainteresowani prawdopodobnie o tym nie wiedzieli, bo, jak wspomniałem, oceny nie były wpisywane do indeksów.

W tych warunkach kierownik naszego kursu płk dr Zenon Klonowski, wezwał do siebie delikwentów, zapoznał ze sprawą i polecił przygotować się i poprawić ocenę.

W odpowiednim czasie powołana została nawet komisja do przyjęcia egzaminu poprawkowego.

Jednym z owych trójkowiczów był Urbańczyk, który kategorycznie odmówił powtarzania egzaminu. Oświadczył wręcz, że on „u tego... Libermana nie będzie więcej zdawał”.

- Tym bardziej nie będę go prosił o przyjęcie do poprawienia oceny - oświadczył.

Ten drugi poświęcił trochę czasu na przygotowanie się, poddał egzaminowi i... ocenę poprawił. Na owej odprawie zameldowano komendantowi, że Urbańczyk nie znajdzie się nie tylko w piątce wyróżnionych, ale nawet wśród tych, którzy ukończą akademię z oceną bardzo dobrą.

- Próbowałem go nakłonić do ponownego zdawania egzaminu z języka niemieckiego, ale odmówił - meldował Klonowski.

- A to on taki słaby z tego języka? - zapytał komendant.

- Nie, podobno nie jest taki słaby. Stać go na to, aby mieć co najmniej ocenę dobrą - meldował dalej Klonowski.

- Mówicie, że odmówił? - No widzicie, nawet z tego wiadać, że jest nieprzeciętny - orzekł komendant.

- Jeśli on taki honorowy, jak mówicie, to ja, jako przewodniczący komisji, podnoszę mu ocenę z języka i niech ma ocenę ogólną bardzo dobrą - oświadczył generał na zakończenie.

Po chwili mówił dalej:

- Cóż mi z takiego systemu oceniania, jeśli z niego nie wynika, kto jest najlepszy - orzekł podniesionym głosem.

- Zostaliśmy powołani do przygotowania przyszłych dowódców i oficerów sztabu. Pod takim kątem trzeba nam oceniać słuchaczy. Takie cechy ich osobowości powinny być najwyżej cenione. Nie chodzi tu o wyszukiwanie rachmistrzów oraz takich, którzy potrafią pięknie i donośnie wydawać komendy, a o tych, którzy w niedalekiej przyszłości będą dowodzić związkami taktycznymi i operacyjnymi, kierować naszymi siłami zbrojnymi - perorował.

- Tymczasem, jak widać z tych nieszczęsnych zestawień, nasi nauczyciele, mimo moich wskazań, w dalszym ciągu najwięcej uwagi poświęcili tym, którzy najlepiej odtwarzają treść regulaminów i instrukcji, nie doceniając umiejętności samodzielnego myślenia. Mówiłem już o tym na naszych konferencjach i jak widzę nie wzięto tego pod uwagę - mówił dalej zdenerwowany.

Nic tu jednak nie pomagało zdenerwowanie. Uzyskane stopnie musiały być wzięte pod uwagę i one zadecydowały o ustawieniu owej kolejności w czołówce XVII Promocji.

Tego samego dnia, to jest dzień przed uroczystą promocją, odbyło się wręczenie licznemu gronu kolegów aktów nominacyjnych na wyższe stopnie wojskowe. Jasiu Pietroń, Stasiu Jaworski i Włodek Kalski oraz Edek Grzana i Romek Tomaszewski awansowali do podpułkownika, a liczna grupa kapitanów do majora. Tylko trzech z naszego rocznika odchodziło do wojsk w stopniu kapitana: Walinowicz, Gierałtowski i Krzyżaniak.

Następnego dnia, 17 lipca 1966 r., odbyła się nasza promocja, która była XVII w ASG WP. Uroczystość miała miejsce w sali zwanej „degolówką” na pierwszym piętrze w kasynie. Taką na-

zwę nadano sali na cześć prezydenta, który w przeszłości był nauczycielem w uczelni, a w czasie swojej wizyty w Warszawie był również spodziewany w ASG WP. Przy tej okazji w Rembertowie droga od stacji do bramy akademii została wyasfaltowana. Podobnie pokryte asfaltem zostały drogi na terenie uczelni, a przed kasynem od wschodniego szczytu, wykonano specjalny podjazd. Ponadto zmodernizowano część kasyna (salę „degolówkę” oraz salę kameralną na parterze).

Ustawiono nas szeregami, w głąb, bliżej ściany północnej. W każdym szeregu po 10 a może nawet 12 oficerów. W pierwszym rzucie byli ogólnowojskowi, w drugim artylerzyści i OPL, w trzecim – lotnicy.

W poszczególnych rzutach ustawieni byliśmy według stopni i alfabetu. W pierwszym rzędzie znaleźli się więc pułkownicy i podpułkownicy, potem majorowie i na końcu kapitanowie.

Pierwsze lokaty nie były wzięte pod uwagę w ustawieniu. Przodownicy zajmowali miejsca według posiadanych stopni oraz w porządku alfabetycznym. Takie podejście wynikało podobno z niezadowolenia komendanta.

Na lewym naszym skrzydle i na wysokości pierwszego szeregu, ustawiła się kierownicza kadra akademii, a przed naszym frontem, obok wejścia do sali – zaproszeni goście na czele z gen. Tuczańskim.

Co najmniej kilkanaście minut trwało oczekiwanie na ministra obrony narodowej marszałka Mariana Spychalskiego. Przybył w towarzystwie gen. Kuropieski, a meldunek złożył mu gen. Tadeusz Pióro – zastępca komendanta ds. naukowych.

Po krótkim wystąpieniu komendant prosił ministra o wręczenie dyplomów. W pierwszej kolejności otrzymywali je pułkownicy. Komendant towarzyszył ministrowi i każdemu gratulował. Po wręczeniu ostatniemu w pierwszym szeregu koledy wykonali zwrot w lewo i cały szereg przechodził na tył ugrupowania. Następny szereg przesuwał się o jeden krok do przodu i czynność się powtarzała.

Po zakończeniu wręczenia dyplomów przemówił do nas minister. Stał przed naszym szykiem, mniej więcej pośrodku. Czynił to wprawdzie bez kartki, ale ogromnie wolno i może dlatego robiło to nieciekawe wrażenie. Nużyło. Tymczasem na dworze panował upał. Tym większa duchota panowała w tak zatłoczonej sali. Okna były otwarte, ale nie odczuwaliśmy ulgi. Pot spływał po nas nie kroplami, a strumieniami.

W pewnym momencie, nasz świeżo dyplomowany ppłk Stanisław Majewski ogromnie poczerwieniał. Ponieważ był ustawiony w pierwszym szeregu, jako jeden z najstarszych stopniem, jego nienormalne rumieńce zostały zauważone przez ministra.

- Czy wy się źle czujecie pułkowniku? - zwrócił się do Majewskiego.

- Melduję obywatelu marszałku, że czuję się bardzo dobrze.

- Dostaliście takich mocnych wypieków, że pomyślałem, iż może źle się czujecie. Niedawno, bo wczoraj, miałem spotkanie z oficerami i jeden z nich tak bardzo zaślabł, że lekarz musiał udzielać mu pomocy - wyjaśniał marszałek.

Po uroczystości, jeden z kolegów mówił do Majewskiego:

- Słuchaj, ty byłeś rzeczywiście czerwony. Nic dziwnego, że marszałek to zauważył.

A Majewski mu na to:

- Tak, może i byłem czerwony, bo mnie zdenerwowało to przemówienie. Ale co, miałem mu powiedzieć, że jego mowa doprowadziła mnie do takiego napięcia?...

- No tak, rzeczywiście, miał bardzo nieudane wystąpienie, a jeszcze ten upał przyczyniał się do tego, że trudno było tego słuchać - dodał pierwszy.

Po tym ciężkim przemówieniu przeszliśmy do sali kasykowej po drugiej stronie holu, w której oczekiwało nas uroczyste śniadanie promocyjne. Stoły były suto zastawione jadłem. Wszystko na zimno: kurczak, sałatka jarzynowa, ozorki w gala-

recie, ciastka, galaretka owocowa, zimne napoje, alkohol, kawa, herbata.

Były również przemówienia, a raczej toasty. Pierwszy wzniesiony przez komendanta, potem gen. Bordziłowskiego. Następnie jeszcze raz zabrał głos minister. Jeśli pierwsze wystąpienie odebrane zostało przez nas jako złe, a pobudliwego Majewskiego doprowadziło nawet do zdenerwowania, to następne było obraźliwe. W tak uroczystym dla nas dniu nie powinien był bowiem „wygarniać” nam zbyt wysokich wymagań, do których zaliczał pozwalanie sobie przez nas, na nieliczące z honorem i godnością oficera Ludowego Wojska, żądanie w zakresie przydziałów do garnizonów.

- W warunkach, gdy nasza partia wymaga rzetelności i poświęcenia dla dobra sprawy - Naszej Ojczyzny - mówił.

Tymczasem nikt z nas do owych żądań, ani wygórowanych wymagań wcale się nie poczuwał.

Nasz minister po prostu przywoływał nas jeszcze raz, korzystając z okazji, do posłuszeństwa, zarzucał niepopelnione przez nas grzechy. Może to i dobrze dbać o tego rodzaju walory oficera dyplomowanego, ale to nie przy tak uroczystej okoliczności.

Jako ostatni na uroczystym śniadaniu wystąpił sekretarz naszej organizacji partyjnej ppłk dypl. Roman Tomaszewski. Był to oficer inteligentny o wysokiej kulturze umysłowej. Zanim trafił na studia w ASG, oprócz służby w jednostce, miał za sobą kilkuletni okres pracy w naszym ataszacie jednego z państw zachodnich, a w czasie studiów uzyskiwał bardzo dobre wyniki. Nigdy nie mówił tego co wie, a tylko ile należało i, ile chciał powiedzieć. Teraz w swoim wystąpieniu podziękował naszym nauczycielom, a przede wszystkim komendantowi akademii za trud i ogromne starania o jak najlepsze nasze przygotowanie do wykonywania zadań w oddziałach i związkach taktycznych, do których trafimy w najbliższej przyszłości. Dziękował także władzom partyjno-politycznym oraz naszym najwyższym przełożonym za umożliwienie nam studiowania

w jakże zasłużonej dla Ojczyzny, a przede wszystkim dla naszych sił zbrojnych uczelni.

Przemęczenie jakiego doznałem w ostatnich dniach, a przede wszystkim przegrzanie organizmu w czasie naszej promocji, przyniosło przeziębienie jak podejrzewałem. O dziwo, w czasie takiego upału. Już w czasie uroczystego śniadania poczułem się fatalnie. Tymczasem moich sześciu kolegów z grupy, którzy do końca chcieli utrzymać naszą zwartość, uważało, że ponieważ w większości nie zamierzaliśmy uczestniczyć w naszym balu promocyjnym, trzeba to uczcić po męsku, wraz z naszym kierownikiem grupy, tym bardziej, że udowodnił, iż jest „swój chłop”.

- Wobec tego, gdzie możemy to zrobić i kiedy? - pytałem kolejno kolegów. Oczywiście, było by najwygodniej tuż po śniadaniu i właśnie tu, na „Górcie” - dodałem.

- No dobrze, pójdę zapytać kierowniczkę sali, czy jest to możliwe - powiedziałem kolegom i odszedłem.

Okazało się, że możemy z owej sali skorzystać i być obsłużeni nie wcześniej niż po dwóch godzinach od zakończenia uroczystego śniadania. Przy czym, można będzie być obsłużonym tylko do godziny siedemnastej. Po tej godzinie sala będzie nieczynna ze względu na przygotowania do balu.

Zdobytą informacją podzieliłem się natychmiast z kolegami i zaprosiłem w ich imieniu Jandę, informując go jednocześnie o czasie spotkania, którego przerwa podyktowana została trudnościami lokalowymi. A Janda na to:

- Co?.. Za dwie godziny? Szkoda czasu, a ponadto, trudno się będzie zebrać. Mam inną propozycję: chodźcie do mnie do domu. Was siedmiu, a ja ósmy, to w moim mieszkaniu żaden problem. Jest ono bowiem dostatecznie duże.

- Jeśli tak, to na którą się umawiamy? - pytam.

- Już idziemy. Co będziemy odkładać, umawiać się, zbierać - odpowiada mi na to Janda.

Podchodzę do kolegów, informuje o sprawie, a na to Włodek:

- No to podziel ostatnie zadania, bo czas nie stoi.

- Janusz - alkohol, Stasiu - zakąski, Wiejak - pieczywo, wodę mineralną i inne, Jasiu - słodycze. Wszystko na 9-10 osób, bo w domu jest pani Janda, a może jeszcze ktoś się znajdzie. Trzeba mieć mały zapasik. Całość rozlicza i dzieli na „nasze głowy” do zapłaty - kolega Olewiński, i to trzeba załatwić jeszcze przed wejściem do Jandy. Najlepiej na zbiórce, którą zrobimy w holu naszego internatu - brzmiało moje ostatnie polecenie jako starszego grupy.

Ponieważ w międzyczasie podszedł do nas Janda i wszystkiego wysłuchał, począł nalegać, abym się już z nim udał do mieszkania, a pozostali w miarę załatwiania sprawunków do nas dołączali.

Nie przyjęliśmy jednak tej propozycji. Włodek otrzymał jeszcze dodatkowe zadanie - kupić kwiaty dla pani domu. Natomiast nasz kierownik nie mając ochoty na samotne udanie się do domu pozostał ze mną i Olewińskim. Wspólnie oczekiwaliśmy powrotu kolegów ze sprawunkami.

Wszystko szło sprawnie i niedługo znaleźliśmy się w mieszkaniu Jandy, mieszczącym się w willi, tuż za naszym internatem. Odbywaliśmy koleżeńskie pożegnanie. Wszyscy byli zadowoleni, ale ja czułem się okropnie. Nie piłem, nie konsumowałem, patrzyłem tylko na kolegów i naszego przełożonego. Wszyscy zabawiali się dowcipami. Janda przepijał z każdym brudzia.

Pani domu nie dotrzymywała nam towarzysztwa. Przygotowała nam zakąski i podała do stołu.

Nie dotrwałem do końca, bo poczułem dreszcze. Przeprosiłem więc współtowarzyszy, pożegnałem się życząc jednocześnie każdemu kolejnych życiowych sukcesów i udałem się na izbę chorych w nadziei, że zastanę doktora i uzyskam jakieś wzmocnienie. Lekarz mnie zbadał i orzekł zatrucie pokarmowe. Dał mi leki i nie zalecał wybierać się w podróż. Leki zażyłem, odpocząłem w internacie i czując się nieco lepiej wybrałem się

do pociągu na godz. 22.00. Akurat o tej porze moi dyplomowani koledzy wyruszali na bal.

## POSŁOWIE

Odbywając studia w latach 1963–1966 byliśmy mimo woli, świadkami wielkich przeobrażeń, jakich dokonywano w tym czasie w ASG WP.

Niecałe siedem miesięcy pierwszego roku, przypadło na „panowanie” gen. bryg. Mieczysława Bienia. Następne miesiące pierwszego oraz drugi i trzeci rok naszych studiów odbyliśmy pod przemożnym rektorowaniem gen. dyw. Józefa Kuropieski.

Według naszego odczucia, w tym pierwszym okresie, chociaż było nam ciężko, to wszystko toczyło się w uczelni spokojnie, planowo. Nam, stanowiącym podmiot kształcenia, wydawało się, że wszystko co dokonuje się w procesie dydaktyczno-wychowawczym, zmierza do wyznaczonego celu, po utartym od lat torze i, że jest to tor bardzo dobry, sprawdzony przez kilkanaście pokoleń słuchaczy, naszych poprzedników.

Istniały wprawdzie zastrzeżenia co do niektórych form i metod nauczania, zwłaszcza do pisania i odpisywania konpektów w czasie nauki własnej oraz odczytywania ich w toku zajęć, odczytywania wykładów, które naszym zdaniem, w takich warunkach należało raczej nazywać odczytami. Mieliśmy również zastrzeżenia do kurczowego trzymania się opracowań metodycznych przez naszych wykładowców. Przyjmowaliśmy to jednak, jako zło konieczne i godziliśmy się z istniejącym stanem rzeczy.

Jednakże już ostatnie miesiące pierwszego roku, przy nowym komendancie, przyniosły poczucie zmian. Bywał on bowiem wszędzie. Zjawiał się niezapowiedziany na naszych zajęciach w klasie, a nieodłącznie towarzyszył nam w terenie na

ćwiczeniach. Natychmiast podniosło to intensywność naszego samokształcenia i korzystnie wpłynęło na przebieg i sprawność ćwiczeń.

Kolejne lata były już zupełnie inne, aczkolwiek program naszego rocznika, w zasadzie, nie uległ zmianie. W szczególności, jeśli idzie o wymiar godzin przeznaczonych na poszczególne przedmioty, zmiany były nieznaczne, a dotyczyły zmniejszenia ich wymiaru w takich przedmiotach jak „Technika czołgowa i strzelania z czołgu” i jeszcze w kilku innych, ale w bardzo niewielkim stopniu. Tak zaoszczędzone godziny wykorzystano w dziale taktyczno-operacyjnym.

Dużych zmian dokonano natomiast w formach nauczania. Ogromnie wzrosła bowiem ilość ćwiczeń taktycznych i operacyjnych, zwłaszcza dowódczo-sztabowych w terenie. Równocześnie z przedstawionymi wyżej zmianami prowadzona była ostra selekcja wśród naszego grona słuchaczy. Były to przykre i trudne do zniesienia „ciąćcia”. Spróbujmy sobie wyobrazić, jak czuli się słuchacze usunięci z akademii za słabe postępy w nauce, jeśli oceniono, że nie rokują nadziei zostać wartościowymi oficerami dyplomowanymi.

Selekcja prowadzona była również wśród nauczycieli akademickich. Dotknęła nie tylko szefa Katedry Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej, który musiał odejść już w pierwszym roku kierowania akademią przez nowego komendanta. Niedługo potem odszedł również szef Katedry Rozpoznania płk dypl. Piszczek. Na jego miejsce został przeniesiony szef Oddziału Rozpoznawczego Warszawskiego Okręgu Wojskowego płk dypl. Jerzy Lewandowski. Jego katedra została wkrótce wzmocniona oficerami z Katedry Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej: ppłk dypl. Wiesławem Wójcikiem, ppłk dypl. Włodzimierzem Auerbachem oraz mjr dypl. Zdzisławem Ostrowskim.

Starannie byli dobrani dowódcy – kierownicy taktyczni kursów oraz kierownicy grup.

Aż trudno uwierzyć, że nad tym wszystkim potrafił utrzymać pieczę sam komendant akademii.

Te zmiany, przyniosły nowe i bardzo silne motywacje zarówno u nauczających jak i nauczanych. Może powstać pytanie: co to zmieniło? Czy, jak to wpłynęło na efekty nauczania?

Otóż, uzyskane efekty były nadspodziewanie wysokie. Można też z powodzeniem stwierdzić, że za największe osiągnięcia tego okresu, za osiągnięcia nowego komendanta, należy uznać:

- gwałtowne i bezkolizyjne przejście z dotychczasowego tradycyjnego systemu kształcenia na system szkolenia zintegrowanego;

- „wyrwanie” słuchaczy z murów uczelni i wyprowadzenie w teren, w Polskę;

- zerwanie z werbalizmem na korzyść analityczno-syntetycznego podejścia do prowadzenia ocen, wnioskowania i przewidywania oraz rozbudzania wyobraźni i nauczania poprawnego myślenia.

Przejście na system kształcenia zintegrowanego, a równocześnie skrócenie studiów dla specjalności: wojska raketowe i artyleria oraz obrona przeciwlotnicza wojsk znalazło wielu przeciwników, aczkolwiek wszyscy specjaliści po ukończeniu owych studiów byli zadowoleni i twierdzili iż przyniosło im to, ogromne poszerzenie wiedzy i umiejętności jako oficerów dyplomowanych. Mogę dodać, że kiedy w latach 1985-1987 prowadziłem badania nad stopniem przygotowania absolwentów ASG WP do pracy w oddziałach oraz związkach taktycznych i operacyjnych, to prawie 70% respondentów stwierdziło, że lepsze efekty przynoszą studia w systemie zintegrowanym.

Wszystkie zmiany, które w 1964 r. miały dopiero swój początek, poprzedziło wyznaczenie celu kształcenia, celu do osiągnięcia którego miała zmierzać akademii. Było nim **wykształcenie oficera dyplomowanego**, na którego będą oczekiwali dowódcy wszystkich szczebli, którego wszyscy będą chcieli pozyskać, który będzie mógł się dobrze wywiązać ze swoich

obowiązków, co najmniej w roli szefa wydziału operacyjnego dywizji lub równorzędnej w rodzajach wojsk i służb.

Jeśli kandydat na oficera dyplomowanego – słuchacz, takiej nadziei nie rokuje, to nie należy w niego inwestować. Zdaniem gen. Kuropieski, promowanie oficera dyplomowanego z tak słabego, nieodpowiedniego „materiału” może przynieść szkodę. Taki bowiem oficer dyplomowany będzie wpływał niekorzystnie na wyniki pracy każdego zespołu, w składzie którego przypadnie mu pracować. Będzie on bowiem „ciągnął” ów zespół do tyłu, w dół.

Trzeba tu jednocześnie dodać, że wcale nie szło tu o to, aby przygotować swego rodzaju rzemieślnika. To miał być oficer odczytany, kulturalny, akuratny w każdym środowisku; orientujący się w ekonomii i gospodarce kraju, posiadający zasób wiedzy historycznej, zwłaszcza z zakresu historii sztuki wojennej, a przede wszystkim sprawnie kierujący zespołami ludzi i swobodnie poruszający się zarówno w teorii jak i praktyce taktyki i sztuki operacyjnej. Znajdowaliśmy się w miejscu gdzie byliśmy poddawani starannej „obróbce” i, które śmiało można nazwać „Kuznię Kadr” dowódczo sztabowych doskonale przygotowanych – jak na owe czasy.

Gen. Kuropieska uważał, że dotychczas kształcono bardzo dużo oficerów. Jednakże poziom tego kształcenia nie zawsze był wysoki. Dlatego to właśnie absolwenci ASG WP trafiali na stanowiska dowódców batalionów, szefów sztabów batalionu, a nawet na stanowiska dowódców kompanii czołgów z etatami kapitańskimi.

Należy także stwierdzić, że w programach dotychczasowego kształcenia oficerów dyplomowanych bazowano na wzorach akademii ZSRR. Komendant wprowadził natomiast choć może niezupełnie, doświadczenia naszej Wyższej Szkoły Wojennej i wzbogacał je własnymi doświadczeniami. Zabiegał również, a nawet bardzo, o rozwijanie u słuchaczy patriotyzmu, a nie, jak to miało miejsce zarówno przed jak i po nim, tak zwanego patriotyzmu socjalistycznego.

Za jego czasów nie wkuwaliśmy już 10 stalinowskich udeżeń, które przedtem stanowiły „gwóźdz” programu w nauczaniu historii sztuki wojennej. Teraz również dominowały w tym przedmiocie przykłady z działań Armii Radzieckiej, jednakże o wiele więcej uwagi poświęcano działaniom naszych sił zbrojnych w 1939 r., zwłaszcza armiom „Poznań” i „Łódź”, działaniom 1 DP im. Tadeusza Kościuszki oraz 1 i 2 armii Wojska Polskiego, a zwłaszcza przełamaniu Wału Pomorskiego oraz działaniom partyzantki ludowej, a nawet AK. Niektóre z przerabianych przykładów budziły nasze wątpliwości. Dopatrywaliśmy się w nich nieudolności dowódców i kompletnego nieliczenia się ze stratami, zwłaszcza w ludziach. Takim przykładem wywołującym u nas negatywne oceny było, działanie 1 DP pod Lenino.

Wyjątkową nieudolność dostrzegliśmy w działaniach Armii Radzieckiej pod Annopolem oraz w przełęczy Dukielskiej.

Nasze niezadowolenie wywoływało również całkowite pomijanie w historii sztuki wojennej niemieckich planów operacji i organizacji działań. Naszym zdaniem nauczać należy również na przykładach i rozwiązaniach przeciwnika, jeśli są pouczające.

Kolejne niezadowolenie wywoływało pomijanie w programie, działań AK, przy równocześnie nadmiernie rozbudowanym programie dotyczącym Armii Ludowej.

Tego rodzaju braki programowe uzupełniano prelekcjami w terenie w toku prowadzenia ćwiczeń dowódczo-sztabowych.

Warto wspomnieć, że w 1990 roku, kiedy tworzone Akademię Obrony Narodowej i równocześnie przechodzono ze studiów trzyletnich na dwuletnie, przywrócono system zintegrowany. Zadecydowała o tym, większa jego wydajność (skuteczność). Należy przyjąć, że powrót do systemu zintegrowanego jest równocześnie przyznaniem racji generałowi Kuropiesce.

Za czasów „panowania” gen. Kuropieski wyjątkową wagę przywiązywano na ćwiczeniach do formułowania „zamiaru” dowódcy. Na początku tylko nieliczni spośród wielkiego grona

nauczycieli, utożsamiali się z takim wymogiem. Z czasem zwolenników precyzyjnego zamiaru było coraz więcej. Byli jednak i tacy, którzy do końca uważali, że to przynosi szkodę. Ich zdaniem za mało uwagi, a przede wszystkim czasu, poświęcało się planowaniu działań, zwłaszcza opracowywaniu dokumentów bojowych oraz, że formułowane zamiary były zbyt ogólne.

Tymczasem komendantowi chodziło o jasność i prostotę w formułowaniu zamiaru i zadań, o tworzenie i rozważanie wielu sytuacji, o dostarczanie możliwości prowadzenia analiz, ocen, wyciągania wniosków, o przewidywanie rozwoju sytuacji w czasie, o kształtowanie poprawności formułowania myśli.

Jak wskazuje dzisiejsza praktyka kształcenia w AON oraz sposób podejścia do tej kwestii w wojskowych uczelniach Zachodu, i w tym względzie koncepcja kształcenia gen. Kuropieckiego była słuszna.

Jeśli zaś idzie o absolwentów mojego rocznika, to panowało przekonanie, że zostaliśmy bardzo dobrze przygotowani do pełnienia funkcji dowódczych i sztabowych w oddziałach, związkach taktycznych, a nawet, operacyjnych. Studiowaliśmy co prawda według starego programu, w którym dokonano dla nas niewielkich zmian, ale zapanowała już nowa, zupełnie inna atmosfera w uczelni. Pozwoliło to uzyskać znacznie lepsze efekty nauczania.

Nasze losy potoczyły się później różnymi drogami. W przeważającej mierze drogi te pokrywały się z prognozami jakie zakreślili nam nauczyciele akademicy. Tylko czasem zdarzały się „odchylenia”, niekiedy znaczne, naszych kierunków rozwojowych. Dla przykładu przytoczę niektóre z nich.

Mjr dypl. Jan Stychno, prymus kursu ogólnowojskowego, miał służyć w linii. Z bliżej nie znanych przyczyn, ta koncepcja wykorzystania go nie została zrealizowana bezpośrednio po ukończeniu studiów. W końcu, ze znacznym opóźnieniem w stosunku do naszej trójki, przybył do akademii. Nie został jednak dowartościowany przez komendanta. Uważał go bo-

wiem za prymusa „arytmetycznego”. Dlatego pewnie, skierowany został do Zakładu Służby Sztabów, który niedługo potem został przekształcony w Katedrę Służby Sztabów. Ani zakład, ani początkująca katedra, nie posiadały tak wysokiej rangi jak np. Katedra Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej.

Pewnie by pracował tam przez długie lata może i do emerytury, ale przypadł do gustu gen. Kruczkowi dowódcy 8 DZ, przebywającemu na kursie w ASG, gdzie Stychno prowadził zajęcia. Generał akurat potrzebował oficera na dowódcę pułku i zaproponował to Stychnie. Ten wyraził zgodę i bardzo szybko został dowódcą 32 pz w Kołobrzegu. Sprawiał się dobrze i już po dwóch latach został przesunięty na szefa sztabu 12 DZ w Szczecinie. Stamtąd trafił na szefa oddziału operacyjnego w sztabie Wojsk Wewnętrznych, których dowódcą został gen. Kruczek. Bardzo dobrze się zapowiadał także i na tym stanowisku, ale przyszła restrukturyzacja owych wojsk w wyniku czego został przeniesiony do Sztabu Obrony Cywilnej. W następnej kolejności był delegowany do pracy w sztabie Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego w Moskwie, a po powrocie do kraju przeszedł w stan spoczynku.

Ppłk dypl. Stanisław Jaworski, absolwent z druga lokatą, wprost ze studiów trafił do Sztabu Generalnego WP. Po kilku latach pracy z bardzo dobrą opinią „startował” do akademii Woroszyłowa. Nie wyszło, bo udowadniał jednemu z egzaminatorów, że referowany problem zna nie gorzej od tych co pytają. Trudno powiedzieć ile miał racji, ale dobrze na tym nie wyszedł. Pozostał na dotychczasowym stanowisku, dosłużył się awansu do stopnia pułkownika i doczekał emerytury.

Ppłk dypl. Henryk Antoszkiewicz (trzecia lokata), po studiach wrócił do Głównego Inspektoratu Szkolenia. Na wyznaczonym stanowisku sprawiał się bardzo dobrze i w uznaniu zasług został skierowany na stanowisko szefa sztabu dywizji w Krośnie Odrzańskim. Potem został dowódcą tej dywizji, a po niedługim czasie przeniesiony na dowódcę 1 DZ w Legionowie i wkrótce awansowany do stopnia generała brygady co, bez

akademii im. Woroszyłowa należało w naszym wojsku, owego czasu, do rzadkości. Po kilku latach, ku zaskoczeniu kół wojskowych przeniesiono go na zastępcę komendanta WAT do spraw liniowych, gdzie z wielkim zapamięłaniem przystąpił do kształtowania u młodych studentów, przyszłych oficerów, walarów przełożonego i wychowawcy. Po kilku latach niestrudzonej pracy zmarł nagle na zawał.

Ppłk dypl. Tadeusz Urbańczyk został pracownikiem dydaktycznym w akademii na stanowisku kierownika taktycznego grupy, w zespole płk dr Aleksandra Cierpickiego. Taką samą funkcję otrzymałem ja oraz mjr dypl. Zdzisław Ostrowski.

Urbańczyk od samego początku wyróżniał się dużymi zdolnościami i umiejętnością przekazu. Osiągał coraz lepsze wyniki w pracy dydaktyczno-wychowawczej.

W wypadkach marcowych ujawnił się u niego brak skrupułów w dążeniu do sukcesu. W wyniku jego zachowań w stosunku do najbliższego otoczenia, zwłaszcza do bezpośredniego przełożonego płk. dr. Bidzińskiego, któremu groziło wydalenie z partii oraz zwolnienie z wojska, nie tylko go nie bronił, ale walczył się przyczynił do jego kłopotów.

Nasza społeczność bardzo krytycznie oceniała te poczynania i wokół Urbańczyka wytworzyła się bardzo nieprzyjemna atmosfera. Rozpoczął więc starania o odejście z akademii. Został szefem sztabu dywizji desantowej w Gdańsku. Starał się bardzo, a zdolności pozwalały, toteż wkrótce przypadł do gustu swojemu przełożonemu płk. dypl. Kruczkowi. Za wyjątkowo wysokie efekty pracy, po dwóch latach został dowódcą tej dywizji.

Miałem okazję obserwować go w tej roli podczas ćwiczenia, na którym byłem wraz ze słuchaczami mojej grupy. Jego oficerowie byli nim zafascynowani. Patrzyli w niego, niczym w obrazek. Cokolwiek by nie polecił wykonać, to realizowali bez cienia wątpliwości, w przekonaniu, iż tylko tak, jak nakazał „BURANO” będzie najlepiej. Cieszył się wśród nich wysokim autorytetem. Nawet przydomek „BURANO” wymieniali z wiel-

kim zadowoleniem i uniesieniem w głosie. Otrzymał go za pewne podobieństwo do piosenkarza - Cygana, w owym czasie popularnego Gdańszczanina.

„Burano” podobał się również płci pięknej, a że pokusa zwyciężyła wstrzeźliwość, i miało to miejsce w kręgach wojskowych, powstał problem. Wezwano go do GZP na rozmowę. Mówiło się nawet, że nie zostanie przesunięty do innej, nieco większej dywizji - jak dotąd planowano.

Na szczęście niedługo po tych kłopotach, odbył kilka poważnych ćwiczeń, a jedno z nich na terenie NRD, w których nie tylko zachwyił, ale oczarował przełożonych i obserwatorów, a zwłaszcza dostojników z armii zaprzyjaźnionych, i powyższe, wszystkie grzechy przeciw moralności, zostały mu jakby przebaczone. Mimo to, nie został przesunięty na dywizję „pełno-krwistą” - jak to kiedyś było planowane. Zwlekano z taką decyzją. Takie decyzje skutecznie blokował szef GZP, aczkolwiek nie wszyscy przełożeni podzielali takie rozwiązanie.

Niedługo potem jako oficer rokujący nadzieję doskonałego dowódcy wyższego szczebla, został skierowany na „Woroszyłówkę”. Tam również potwierdził swoje uzdolnienia operacyjno-taktyczne oraz predyspozycje dowódcze. Swoimi nietuzinkowymi rozwiązaniami zadziwił nie tylko wykładowców, ale i samego komendanta tej uczelni.

Po powrocie i krótkim stażu w Sztabie Generalnym WP został wyznaczony na dowódcę 8 DZ w Koszalinie odzyskując zaufanie przełożonych, a równocześnie ciesząc się autorytetem u podwładnych, a co także ważne - zdobywając wielkie uznanie tamtejszych władz terenowych. Po studiach w ZSRR stał się bardziej dostojny i panujący nad zapędami miłosnymi. Na niwie służbowej odnosił sukcesy.

W uznaniu zasług, po kilkuletnim dowodzeniu ową dywizją został przeniesiony na stanowisko szefa sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Tu również wykazał duże zdolności organizacyjne oraz talent operacyjny. Przede wszystkim uzyskał wysoki autorytet u podwładnych oficerów. Pochlebne

opinie szybko docierały do centrali, tym bardziej, że droga była krótka. Przepowiadano mu wielką karierę. Przeholował jednak w poczuciu swoich możliwości. Znalazł się w konflikcie z bezpośrednim przełożonym i odwołano go ze stanowiska.

Po kilkumiesięcznym pozostawaniu w bezczynności wyznaczono mu stanowisko zastępcy komendanta ASG WP do spraw naukowych. Stosownie do wymagań na powierzonym mu nowym odcinku pracy bardzo szybko opracował i obronił pracę doktorską, a następnie z powodzeniem przeprowadził swoją habilitację. Zdobył uznanie profesury i wykazywał zadatki wspaniałego pracownika nauki. Jednakże zmogła go przedwcześnie choroba.

Mjr dypl. Zdzisław Ostrowski po rocznej pracy w Katedrze Taktyki Ogólnej i Sztuki Operacyjnej, gdzie pełnił funkcję kierownika taktycznego grupy ogólnowojskowej i bardzo dobrze się zapowiadał, został przeniesiony do katedry Rozpoznania Wojskowego i Armii Obcych. Dwa lata później powierzono mu stanowisko szefa sztabu brygady Wojsk Wewnętrznych w Białymstoku. W półtora roku później został dowódcą tej brygady. Stąd był dwukrotnie typowany na studia w Akademii im. Woroszyłowa, ale bez powodzenia, bo ktoś temu przeszkadzał. Potem przyszła reorganizacja Wojsk Wewnętrznych, w wyniku której został przeniesiony na szefa sztabu 15 DZ. Znowu kandydował na studia w „Woroszyłówce” i tym razem, z powodzeniem.

Po powrocie odbył podobnie jak Urbańczyk, staż w Sztapie Generalnym. Potem wrócił do 15 DZ, ale jako jej dowódca. Dowodził dwa lata, a następnie powierzono mu stanowisko szefa sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego. Szybko zdobył uznanie i autorytet współpracowników, ale w czasie jednej z podróży służbowych do Warszawy uległ wypadkowi samochodowemu. Lekarze nie rokowali pełnego wyzdrowienia. W takich warunkach powołano na to stanowisko kolejnego oficera.

Tymczasem Ostrowski po kilku zabiegach operacyjnych, szybko wracał do zdrowia i w wyniku kilkumiesięcznej kuracji

osiągnął pełną zdolność do pracy. Powierzono mu wtedy funkcję szefa sztabu Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Znowu uzyskiwał bardzo dobre efekty swojej pracy. Przełożony B. w wielu kwestiach miał odmienne od niego zdanie. Stosunki między nimi zaczęły układać się niepomyślnie. Został więc przesunięty na zastępcę do spraw obrony terytorialnej dowódcy POW.

Po kilku latach pracy na tym stanowisku, został powołany na pełnomocnika rządu do spraw pobytu i wyprowadzenia wojsk Armii Radzieckiej z naszego terytorium. Kończąc tę odpowiedzialną misję odszedł w stan spoczynku.

Inny kolega, bardzo zdolny i pracowity uchodził w naszych oczach za wyjątkowej klasy sztabowca. Również nauczyciele tak go oceniali, bo na ćwiczeniach powierzano mu najważniejsze funkcje sztabowe.

Po ukończeniu studiów został skierowany do pracy w Sztabie Generalnym. Praca w tej instytucji okazała się dla niego nieciekawa. Tymczasem dowództwo rodzimej dywizji składało ofertę ciekawszą, bo funkcje szefa wydziału operacyjnego i usilnie namawiało do powrotu. W konsekwencji delikwent napisał raport o przeniesienie do linii ze wskazaniem garnizonu. Prośba została uwzględniona i szanowny kolega znalazł się wkrótce na dawnych pieleszach, aczkolwiek w innej roli z czego był wielce rad i z wielkim zapałem przystąpił do pracy.

Po roku odszedł szef sztabu dywizji i nasz kolega zajął jego miejsce. Tak szybki awans na stanowisko szefa sztabu dywizji był ewenementem. Awansowany dostał skrzydeł i pracował z jeszcze większym zapałem. Bezpośredni przełożony, to jest dowódca dywizji był z jego pracy wielce zadowolony. We wszystkich sprawach szef sztabu potrafił go w każdej sytuacji zastąpić. Wiedział o wszystkim, co działo się w dywizji, pilnował terminów, o wszystkim pamiętał, komu trzeba przypominał w odpowiednim czasie.

W roli dowódcy widziałem go, podobnie jak Urbańczyka na ćwiczeniu, w którym z jakichś uzasadnionych względów nie uczestniczył etatowy dowódca. Wtedy mój szacowny kolega spisywał się znakomicie. Wśród jego ćwiczącego sztabu pannał wyjątkowy spokój i zgranie.

- Zachowują się oni i stosują styl pracy na jego podobieństwo - myślałem obserwując prace tego wspaniałego zespołu.

Bardzo dobrze było przez kilka lat. Potem powoli jego inicjatywa, a przede wszystkim rozsądek, zaczęły spadać. Prawdopodobnie osiągnął próg, którego nie tylko nie potrafił przekroczyć, ale i na nim utrzymać. Intensywnie pracując dawał i innym wiele pracy. Podwładni nie mieli wytchnienia. Narastało niezadowolenie. Nie pomagał fakt, że szef sztabu osobiście opracowywał wiele dokumentów. Zdarzały się wypadki, że z opracowanym przez siebie dokumentem przychodził do szefa wydziału operacyjnego, zalecał jego podpisanie i przyjęcie za obowiązujący. Podwładny tłumaczył, że takiego dokumentu nie przewidują obowiązujące normy - nie pomagało.

W ten sposób kierowany przez niego sztab miał więcej dokumentów niż trzeba było ich opracować. Posiadał bowiem „Plan wykorzystania planów”. Kiedy przybywali kontrolujący, z podziwem odnosili się do jakości i staranności wykonanych dokumentów, a przede wszystkim ich mnogości. Mimo tych niewątpliwych osiągnięć, w jego stylu pracy pojawiały się pewne wady i niedociągnięcia. Nie znosił, na przykład uwag kontrolujących. Nawet z ich niewinnych pytań bywał niezadowolony. Obrażał się, bo niby dlaczego oni tego nie wiedzą, nie rozumieją, tylko on musi im wyjaśniać i tłumaczyć. Nie zawsze potrafił „sprzedać” to, co było przez podległy mu sztab opracowane. Utała się nawet opinia podległych mu oficerów, wypowiadana z żalem, że ten szef sztabu, mimo, iż tak ciężko pracuje i tyle wymaga od nich, nie potrafi ich pracy przedstawiać „sprzedawać”. Odwrotnie niż jego poprzednik, który doskonale „sprzedawał” nawet to, czego oni, jeszcze nie zrobili.

W takiej atmosferze, kiedy przyszło ćwiczenie, a dowódca był na urlopie, jeszcze przed jego rozpoczęciem tak wielce wymęczył siebie i podległą kadrę rozwiązaniami przewidywanych wariantów sytuacji, że jak przyszło rozwiązywać zadanie, wszyscy byli w fatalnej kondycji, łącznie z nim. Doszło do tego, że nie potrafił odpowiedzieć na najprostsze pytania kierownika ćwiczenia. Do tego stopnia ogarnął go bezwład myślowy. Swoim zachowaniem wprowadził tego przełożonego w prawdziwe osłupienie. Był przecież znany nie tylko z pracowitości, ale i uzdolnień.

Na domiar złego, coraz częściej zaglądał do kielicha. Pracował do późnych godzin nocnych. Kiedy w jego gabinecie o piątej rano paliło się światło – a co nie należało do rzadkości – jego podwładni pytali:

- Powiedz mi, czy szef sztabu jeszcze pracuje, czy już pracuje?...

Bywało, że właśnie o piątej rano dzwonił do szefa wydziału operacyjnego i prosił do siebie, do mieszkania. Jak się wkrótce okazało, musieli omówić kilka przedsięwzięć, zaplanowanych na dany dzień, a na które zabrakło czasu w dniu poprzednim. A trzeba dodać, że mieszkali w tej samej klatce schodowej.

Podwładny, w takich warunkach, i na wszelki wypadek, „przećwiczył” golenie i mycie, ubierał się kompletnie i po chwili meldował jak trzeba, wchodząc do przedpokoju. Przełożony podawał mu rękę bez słowa, a następnie wskazał pokój, do którego miał ruszyć i, co też natychmiast wykonał podwładny i dopiero mówił:

- Poprosiłem cię do domu, bo by mówili, że dzisiaj znowu pracowałem całą noc – powiedział na zakończenie szef sztabu.

Mimo tak wczesnej pory szef sztabu częstował kawą i koniakiem. Podwładnemu o takiej porze ów poczęstunek nie odpowiadał, ale popijał towarzysząc przełożonemu.

Zanim ruszyli do pracy, zjedli jeszcze śniadania, z którymi na nich czekały małżonki.

Znacznie częściej miało miejsce wypijanie kilku lampek koniaku po dobrze wykonanej pracy. Niektórym z podwładnych (bliskich współpracowników) ten rodzaj uznania odpowiadał. Przez innych przyjmowany był bardzo źle. Tym bardziej, że takie wypicie bywało początkiem potężnej „popijawy” nawet w innym garnizonie.

Twego rodzaju imprezy były obserwowane przez wielu oficerów, którzy odnosili się do nich z niechęcią. Szerzyły się o tym różne opowieści, powstawała bardzo niedobra atmosfera. Zaczęto mówić, że szef sztabu nie umie wypić, że w pracy jest apodyktyczny, zwłaszcza pod wpływem alkoholu. Panowała i szerzyła się opinia, że czyta tylko rozkazy i regulaminy, kompletnie ignoruje literaturę piękną. Nie uznaje sztuki filmowej, teatru, a tym bardziej muzyki.

- On uznaje jedynie pracę i alkohol. - Nie szanuje podwładnych i nie rozumie ich potrzeb życiowych - mówiono o nim.

Problem narastał. Dotychczasowa opinia znakomitego pracownika sztabu, w tych warunkach powoli zanikała.

Wreszcie, źle została oceniona gotowość bojowa dywizji i, znakomitego przed laty szefa sztabu przeniesiono na szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego.

Mimo dobrej posady jaką otrzymał w wyniku przeniesienia, czuł się pokrzywdzony i jeszcze więcej popijał. Nadużywanie alkoholu oraz wiele innych używek, przede wszystkim zaniedbywanie stanu zdrowia, przyczyniło się w znacznym stopniu do zawału, z którego nie dało się go odratować.

Czytelnika proszę o wybaczenie tego, że nie użyłem nazwiska szanowanego kolegi. Nie o nazwisko przecież tu idzie, a o fakt, że w określonych warunkach nawet najlepszy może ulec pokusie, zatraceniu poczucia rzeczywistości i umiaru w wykorzystywaniu swoich możliwości, a przede wszystkim w racjonalnym wykorzystaniu możliwości psychofizycznych swoich podwładnych.

Przykład naszego kolegi jest wyjątkiem w naszej populacji, które to wyjątki mają prawo się zdarzyć.

Są też zgoła inne przykłady. Bowiem inny z naszych kolegów, któremu w toku studiów nie wrócono wielkiej kariery, należał bowiem do przeciętnych, nawet bardzo przeciętnych, to właśnie zakończył ją bardzo udanie.

Na I roku miał nawet poważnie zagrożenie, bo jedno z ćwiczeń nie zostało mu zaliczone, a z takim szwankiem kole-dzy przecież odchodzili.

On się jednak ostał. Co prawda, nigdy nie błyszczał i nikt nawet nie pamięta, aby zagrał jakąś poważną funkcję na ćwiczeniu, publicznie, przed kursem referował, wyróżnił się ciekawym rozwiązaniem itp. Takiego „wystawiania” się, skutecznie unikał. Równocześnie potrafił być towarzyski, miły dla otoczenia, zarówno dla kolegów jak i nauczycieli. Potrafił ich, na przykład zagadnąć na korytarzu, zwłaszcza w czasie przerwy, podtrzymać mapę jak ktoś referował, podać wskaźnik, wieszak do mapy. Był zawsze widoczny tam gdzie nie było odpowiedzialności.

W toku prowadzenia ocen i wyciągania wniosków z wytworzonego położenia, dyskusowania i dochodzenia do rozwiązania na naszym samokształceniu nie przeszkadzał i nie wadził. Wiadomo było, że nic nie wniesie, ale był tolerowany. W taki to sposób studia przeszły mu bez większego wysiłku, wydawał się nijaki jeśli idzie o wiedzę i zdobyte umiejętności.

Po studiach zajmował różne stanowiska, ale nigdzie nie odegrał większej roli. Nie można mu było także niczego zarzucić. W zasadzie, wywiązywał się ze swoich obowiązków. Tym bardziej, że zbyt długo nigdzie nie zagrzał miejsca. Najczęściej bywał początkującym, wchodził w sytuację, zapoznawał się. Kiedy natomiast nadchodził czas rozliczania się, zdania egzaminu z powierzonej funkcji i nałożonego zadania, szczęśliwym trafem był przenoszony na inne miejsce. W ten sposób nic złego go nie spotkało.

Tylko jeden z wysokich rangą przełożonych wyraził o nim bardzo niepocholebną opinię. Powiedział nawet, że nie chce go więcej widzieć w swoim zespole. Nie odbiło się to jednak na jego rozwoju.

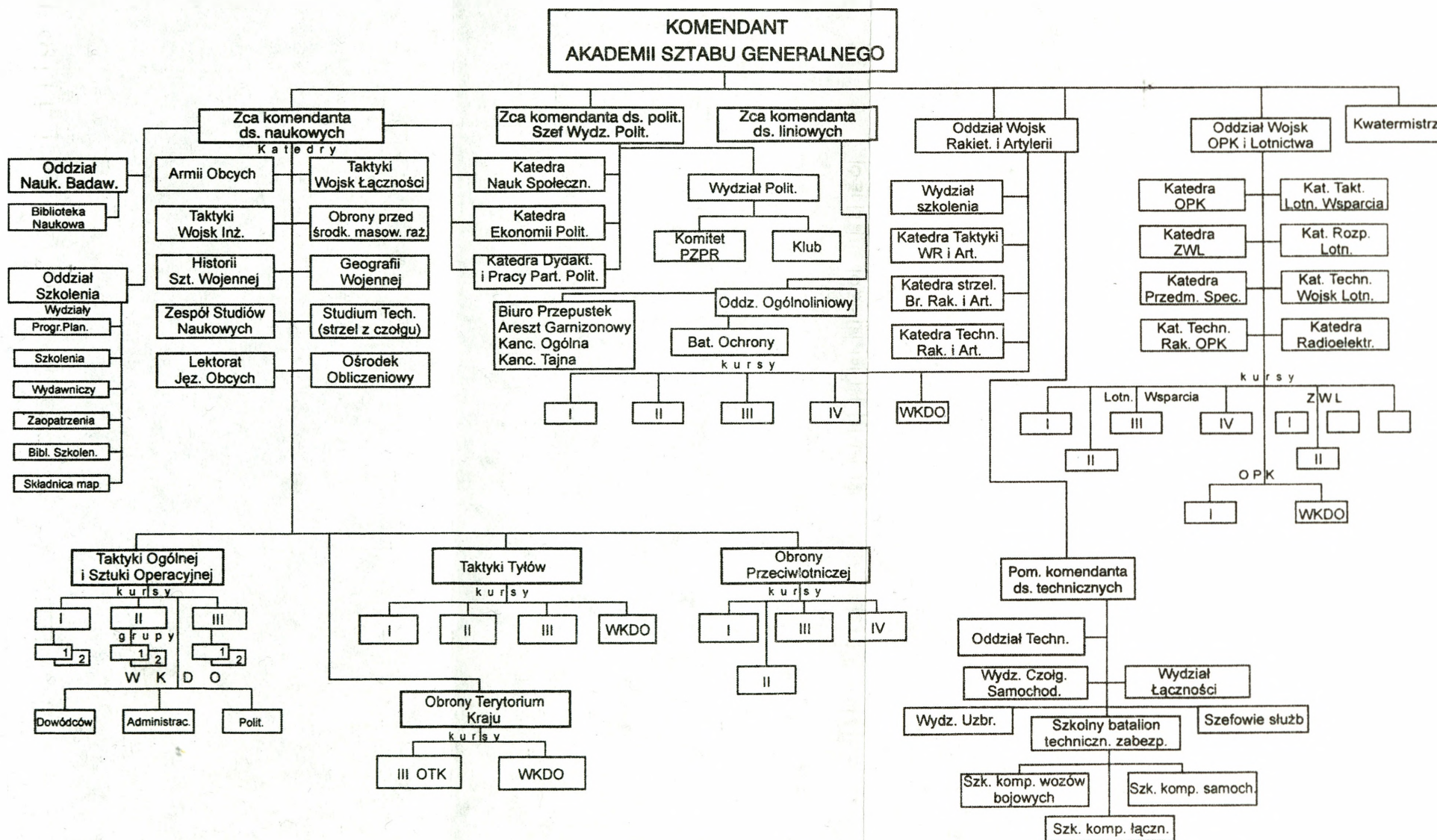
Być może, że – jak to zresztą określił jeden z lepiej znających go kolegów – miał dobrego „pchacza”. W tym względzie nasz szacowny kolega utrzymywał wielką dyskrecję. Dlatego jedynie nieliczni wiedzieli, że wszystko to zawdzięcza ustosunkowanemu członkowi rodziny.

Co by tu jednak nie powiedzieć, to trzeba przyznać, że kolega miał talent do robienia dobrego wrażenia, pozyskiwania sobie i zjednywania otoczenia, a równocześnie do pilnowania swoich spraw i sprawnego zabiegania o pomyślne ich rozwiązanie. Można zatem powiedzieć, że chociaż merytorycznej wiedzy i umiejętności odbyte studia nie dały, to jego intelekt rozwinął się niepomiaralnie.

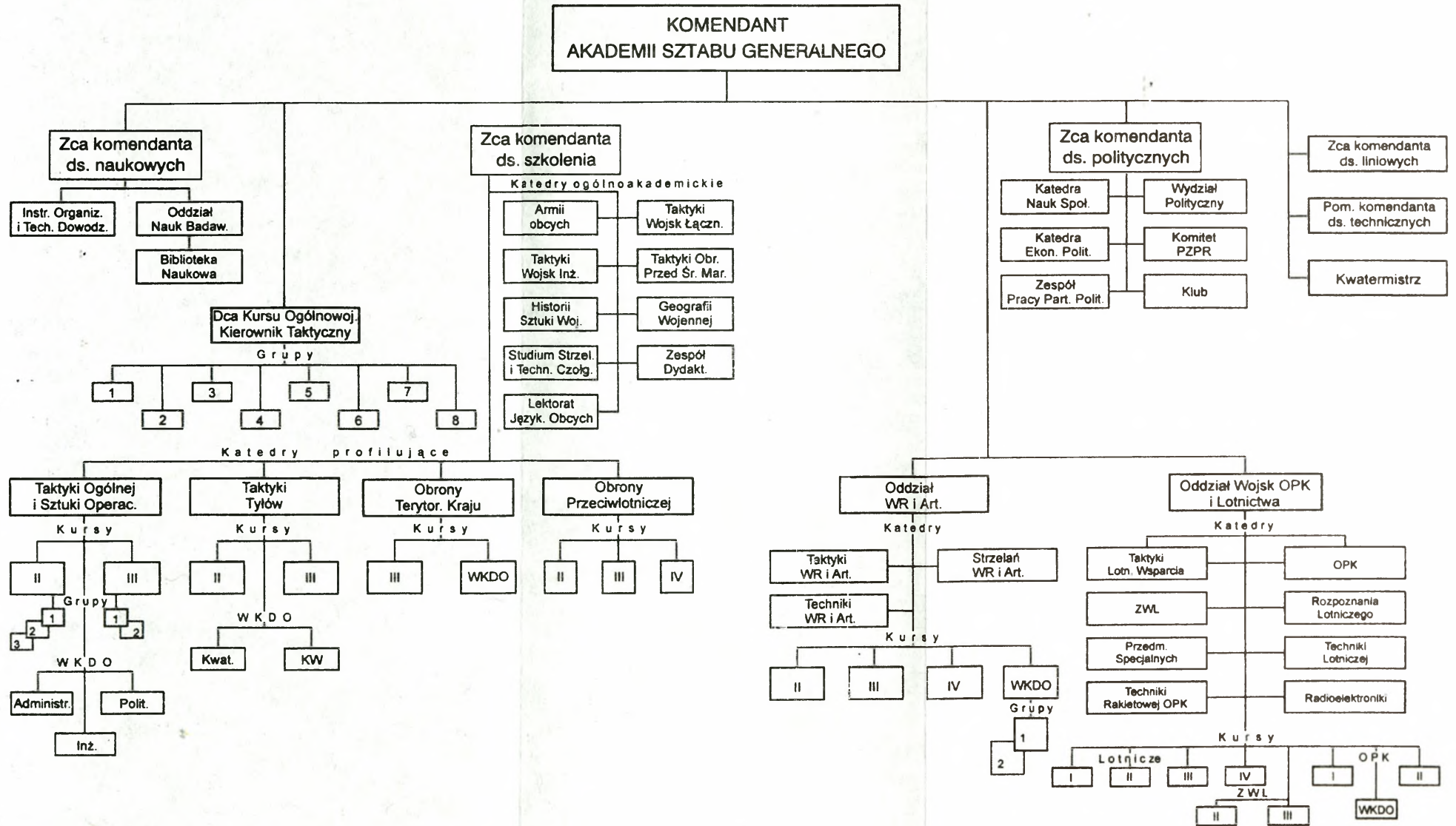
Prymus Wydziału Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej – kpt. dypl. Mieczysław Hamera w wieku 31 lat pozostał w ASG WP, w Katedrze Zabezpieczenia Wojsk Lotniczych, która później została przekształcona w Katedrę Tyłów Lotniczych, a ostatnio w Katedrę Logistyki Lotniczej, jako pracownik dydaktyczno-wychowawczy. Pracując nad sobą systematycznie zdobywał kolejne stopnie wojskowe i naukowe, a także i stanowiska. Po latach, aczkolwiek przedwcześnie, w stosunku do wieku, jako profesor doktor habilitowany i szef owej katedry, odszedł na wieczny spoczynek, niezbyt długo ciesząc się osiągnięciami swojej pracy naukowej.

Mjr dypl. Marian Szczepaniak – prymus Fakultetu Wojsk Rakietowych i Artylerii również został w ASG WP. Jako najlepszy matematyk wśród artylerzystów, został skierowany do pracy w Instytucie Dowodzenia i rozwijał się jako informatyk. Los go nie oszczędzał i również przedwcześnie zmarł.

GŁÓWNE ELEMENTY STRUKTURY ORGANIZACYJNEJ ASG WP na rok 1963/64



## GŁÓWNE ELEMENTY STRUKTURY ORGANIZACYJNEJ ASG WP na rok 1964/65







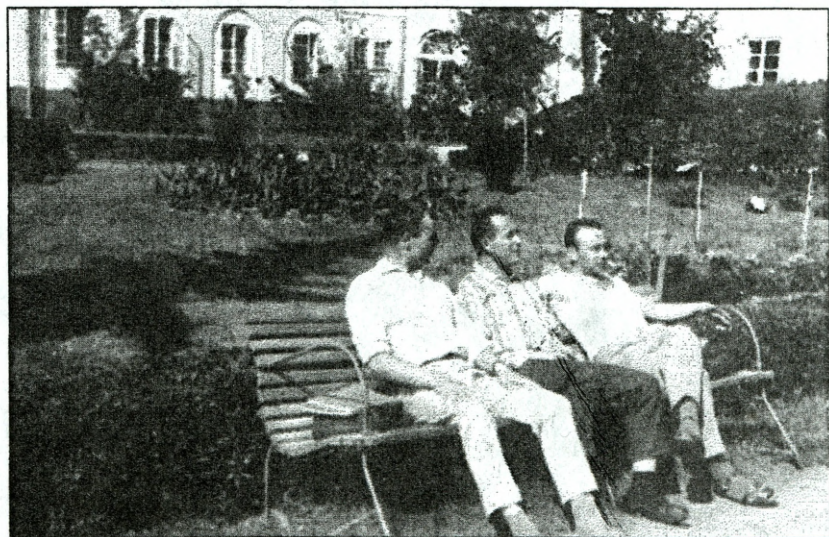
*Kadra i słuchacze Akademii podczas inauguracji roku akademickiego*



*Mjr Roman Tomaszewski przemawia po wręczeniu nam indeksów*



*Na Polance przerwa w czasie przygotowania się do kolokwium*



*Na ławce przed internatem: Krukowski, Zapala, Sawicki*



*W Łazienkach podczas niedzielnego wypoczynku: Zapala, Sawicki, Kurkiewicz*



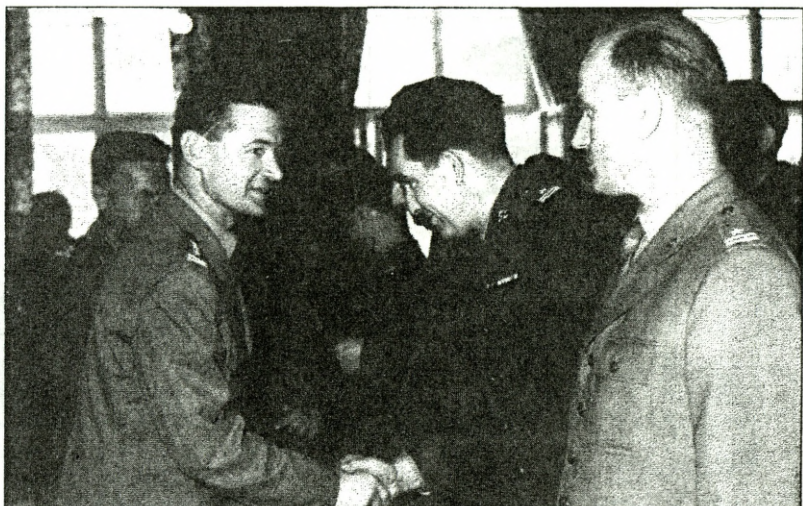
*Przerwa w rozważaniach taktycznych. Na przydrożnej skarpie próbujemy dowcipkować dla odprężenia. Od lewej: 1 Wiejak, 2 Podgrodzki, 4 Koziół, 5 Kawęcki, 8 Ostrowski, 9 Raduchowski, 10 Szyfers*



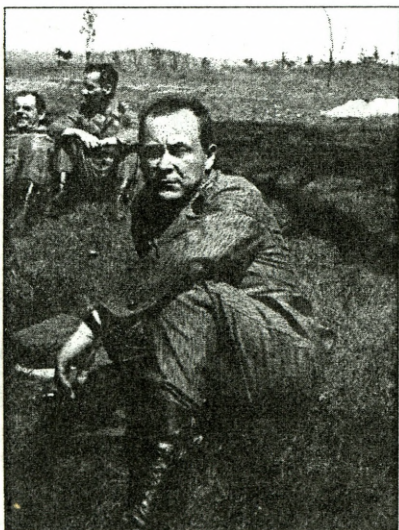
*Tu kierowałem grupą rekonesansową*



*Przejazd na kolejny punkt pracy*



*Szef katedry TO i SzO płk prof. Jan Kurniewicz wręcza wyróżnienia i składa gratulacje słuchaczom starszego rocznika*



*Jeszcze przerwa ale za chwilę trzeba referować. W głębi od lewej: T. Urbańczyk, Włodzimierz Kalski, a bliżej Lucjan Zapala*



*Mjr dypl. Adolf Bąk –  
kierownik taktyczny 1 grupy  
ogólnowojskowej  
(pierwszego kursu)*



*Mjr dypl. Stanisław Oleksiński –  
kierownik taktyczny 2 grupy  
ogólnowojskowej*



*Orientowanie topograficzne i taktyczne na kolejnym punkcie pracy.  
Od lewej: kpt. Józef Gieraltowski, mjr Lucjan Zapala, mjr Stefan Wiejak,  
kpt. Józef Kozioł, mjr Edward Grzana, kpt. Sikorski, mjr Stanisław Jaworski*



*Spotkanie szefa Sztabu Generalnego WP z kadrą Akademii z okazji przekazywania obowiązków komendanta Akademii. Przemawia gen. bryg. Mieczysław Bień, w środku gen. broni Jerzy Bordziłowski, z prawej nowy komendant ASG WP gen. dyw. Józef Kuropieska*



*W czasie bankietu wydanego na cześć odchodzącego komendanta. Od lewej: płk prof. Jakub Broch, gen. dyw. Józef Kuropieska, gen. bryg. Mieczysław Bień, gen. bryg. Tadeusz Pióro*



*Odpoczynek pod wierzbami w rejonie Latowicza*



*Nasi przełożeni na II kursie.*

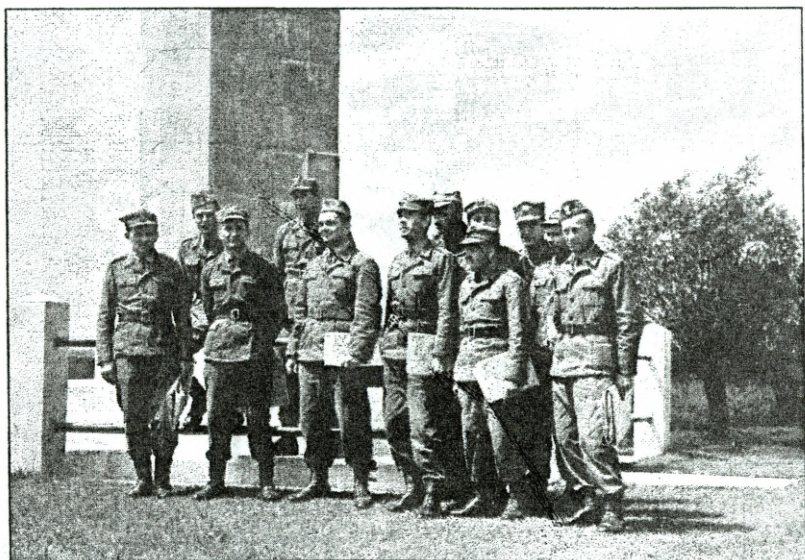
*Od lewej: ppłk dr Konstanty Myszlon, ppłk dypl. Edward Łańcucki,  
ppłk dr Bogusław Bidziński, płk dypl. Klemens Kotus*



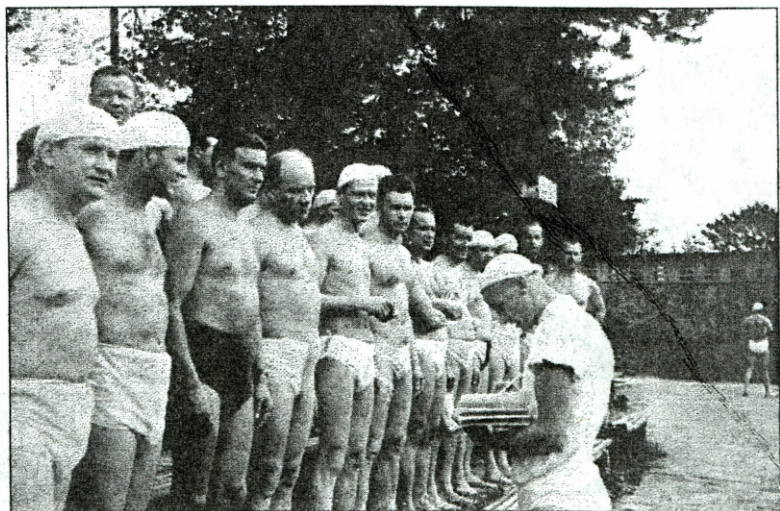
*Płk dypl. Jan Konieczny – kierownik 1 grupy*



*Konsultacje w gabinecie historii sztuki wojennej.  
Prowadzi płk dr hab. Emil Jadziak*



*2 grupa ze swoim kierownikiem pplk dr. B. Bidzińskim*



*Przy odkrytym basenie akademickim.  
Obecność sprawdza mjr mgr Władysław Krawczak*



*Rozważania na punkcie obok ruin zamku w Chęcinach. Widzieliśmy oba skrzydła umownie nacierającej dywizji. Maksiu Kasprowicz awansował na rozjemcę przy naszym zespole i niczego nam nie przepuścił*



*W toku oceny położenia: Janek Raduchowski próbuje odpowiedzieć na pytanie. Od lewej: L. Zapala, S. Kurkiewicz, J. Raduchowski i S. Seroczyński*



*Na kolejnym punkcie pracy. Referuje mjr S. Piotrowski*



*Omówienie ćwiczenia. Uwagi i wskazówki przekazuje nam komendant ASG WP Józef Kuropieska*



*Kierownik taktyczny 1 grupy  
na III kursie – płk dypl.  
Tadeusz Szpakowski*



*Kierownik taktyczny 2 grupy  
płk dypl. Walerian Lewonowski*



*Kierownik 3 grupy  
płk dypl. Jwrzy Gawłowski*



*Kierownik 4 grupy  
płk dypl. Witold Janda*



*Grupa kolegów studiujących język rosyjski ze swoją panią profesor*



*Pplk Franek Januszewski omawia działanie desantu powietrznego*



*General wyraża uwagi w kwestii działania desantu*



*Na zakończenie pracy w rejonie Pustyni Błędowskiej*



*W salonce, propozycji autora wysłuchują: szef katedry TO i SzO,  
ppłk Oleksiński i płk mgr K. Maj*



*Kierownik ćwiczenia i jednocześnie nasz kierownik kursu  
płk dr Zenon Klonowski omawia zakończone ćwiczenie*



*W Kazimierzu nad Wisłą. Od lewej: pptk dypl. W. Janda, ptk dr hab. E. Jadaźak, gen. dyw. J. Kuropieska, pptk dypl. Z Raźnikiewicz*



*W rejonie Porytowego Wzgórze. Informacje wygłasza pptk dypl. Z. Raźnikiewicz*



*Król i Karolus tak daleko zapragnęli zaglądać w teren, że wdrapali się na półkę trygonometru. W ich ślad poszli ppłk Januszewski i ppłk Janda*



*Zwiedzanie jednego z bunkrów Wału Pomorskiego.  
Widoczni na zdjęciu: L. Zapata i S. Wiejak*



*Pani Eleonora Wodzyńska –  
profesor języka angielskiego*



*Ppłk Mieczysław Respondek –  
nauczyciel technologii  
pracy umysłowej*



*Ppłk dypl. inż. Wacław Izydorek – wykładowca Katedry Wojsk Inżynieryjnych*



*Ppłk inż. Kazimierz Łęcki –  
wykładowca techniki czołgowej*



*Ppłk inż. Józef Mańkowski –  
wykładowca Katedry Wojsk Inżynieryjnych*



*Na okręcie „Gryf”, w czasie rejsu wokół Wysp Duńskich.  
Od lewej: kpt. J. Raduchowski-Brochwicz, ppłk dypl. J. Gawłowski,  
ppłk dypl. W. Janda, płk dypl. T. Szpakowski*



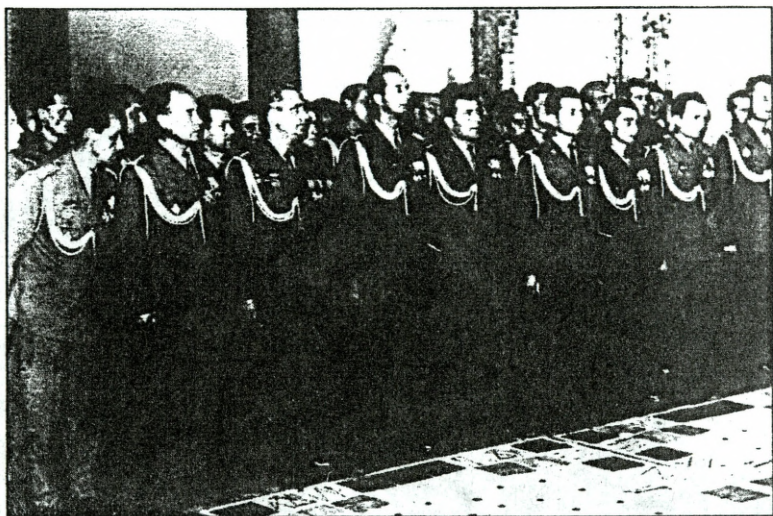
*Płk dr Z. Klonowski i ppłk dr Grzęda*



*Na zdjęciu od lewej: mjr W. Sujecki, ppłk S. Majewski,  
mjr L. Zapala, mjr T. Urbańczyk*



*Gen. Kuropieska wręcza nominacje na wyższe stopnie oficerom w przeddzień  
promocji. W pierwszym szeregu nauczyciele akademicy. W drugim absolwenci.  
Awans do stopnia pułkownika odbiera ppłk dr B. Bidziński*



*Absolwenci ustawieni do XVII promocji. W pierwszym szeregu od lewej pułkownicy: Jankowski, Merkułowski, Michałowski. Podpułkownicy: Antoszkiewicz, Grzana, Jaworski, Kalski, Olewiński*



*Dyplom i gratulacje od marszałka otrzymuje mjr Z. Ostrowski*



*Absolwenci 1 grupy ogólnowojskowej. Od lewej: mjr dypl. S. Kurkiewicz, pptk dypl. S. Seroczyński, plk dypl. Merkułowski, pptk dypl. J. Pietroń, mjr dypl. J. Stychno, mjr dypl. M. Krzyżaniak, pptk dypl. T. Urbańczyk*



*Absolwenci 2 grupy ogólnowojskowej: mjr dypl. W. Sujecki, pptk dypl. S. Jaworski, kpt. dypl. L. Walinowicz, mjr dypl. L. Rutkowski, plk dypl. Michałowski, pptk dypl. S. Majewski, kpt. dypl. J. Gieraltowski, mjr dypl. Z. Ostrowski*

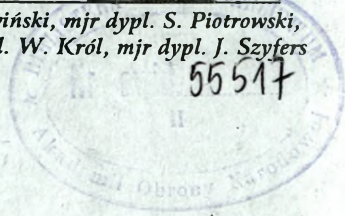


*Absolwenci 3 grupy ogólnowojskowej: pptk dypl. B. Wysocki,  
pptk dypl. R. Tomaszewski, pik dypl. M. Jankowiak, pptk dypl. H. Antoszkiewicz,  
mjr dypl. J. Podgodzki, mjr dypl. Z. Sawicki, pptk dypl. E. Grzana  
(brakuje na zdjęciu W. Kalskiego)*



*Absolwenci 4 grupy ogólnowojskowej: pptk Z. Olewiński, mjr dypl. S. Piotrowski,  
mjr dypl. S. Wiejak, mjr dypl. L. Zapala, mjr dypl. W. Król, mjr dypl. J. Szyfers*

55517



ISBN 83-88062-48-4

**AON** Wydział  
Wydawniczy